

Misterna powieść
utkana z miłości
i tęsknoty za
ukochaną osobą

SUSAN
MEISSNER

*Dziewczyna
z nagietkowym
szalem*



Misterna powieść
utkana z miłości
i tęsknoty za
ukochaną osobą

SUSAN
MEISSNER

*Dziewczyna
z nagietkowym
szalem*



Misterna powieść
utkana z miłości
i tęsknoty za
ukochaną osobą

SUSAN
MEISSNER

*Dziewczyna
z nagietkowym
szalem*



Susan Meissner

Dziewczyna z nagietkowym szalem

Rozdział pierwszy

Taryn

Manhattan

Wrzesień 2011

Kawałek tkaniny z kwiecistym wzorem spoczywał na stole krawieckim niczym

niedokończony bukiet panny młodej. Niegdyś białe tło przemieniło się w niemrawą barwę kości słoniowej, a kwiaty, dawniej w kolorze żywej magenty i fioletu, teraz szeptały lekkim cynobrem oraz lawendą stanowiącymi mgliste wspomnienie minionej świetności. Dotknęłam palcami tego

– liczącego sobie cały wiek – miękkiego materiału. Musiał starzeć się w słońcu; być może pozostawiony na oparciu krzesła lub też położony jako obrus na kredensie, tuż przy oknie wychodzącym na południe. A może po prostu leżał w zapomnieniu przez dłuższy czas, ponieważ stało się coś, co sprawiło, że jego właścicielka zapomniała, gdzie go położyła.

– Pewnie kiedyś był całkiem ładny.

Sześćdziesięcioletnia kobieta, która stała z drugiej strony stołu krawieckiego, zmarszczyła przeprasząco brwi. Prawdopodobnie była zawstydzona tym, że ten kawałek materiału, który przetrwał tak wiele lat, nie był odpowiednio przechowywany.

– Wciąż taki jest – zapewniłam ją. – Wzór pozostał nienaruszony, a jeśli chodzi o kolory, to z łatwością jestem w stanie sobie wyobrazić, jak żywe musiały być na początku.

– Naprawdę? – Jej głos przepełniała nadzieja. – Martwiłam się, że jest zbyt stary i wyblakły, by ktokolwiek mógł go zidentyfikować. Nie wiem nawet, skąd moja prababcia go miała.

– Tę tkaninę wykonano z francuskiej wełny pod koniec dziewiętnastego wieku.

Odwróciłam materiał na drugą stronę, chcąc lepiej mu się przyjrzeć.

– Najprawdopodobniej wzór nadrukowano za pomocą barwnika anilinowego tworzonych na bazie smoły węglowej. To dlatego kolory te były pierwotnie tak intensywne. – Zaśmiała się.

- I potrafi to pani ocenić, po prostu patrząc na materiał?
Odwzajemniłam jej uśmiech.
 - Cztery lata szkoły w zakresie materiałoznawstwa.
 - Nie wiedziałam, że są takie szkoły. Zapewne nie powinnam się dziwić, teraz istnieją właściwie szkoły od wszystkiego.
Odwróciłam materiał z powrotem na prawą stronę.
 - Myślę, że znajdę jego odpowiednik albo coś, co będzie do niego pasowało.
 - Och, to wspaniale! Ale to nie musi być tkanina z wełny. Słyszałam, że taka kosztuje niemało. Sztuczny jedwab będzie w sam raz.
 - Zrobię, co będę mogła. Czy mogę zachować materiał? A może mam pobrać próbkę?
 - Proszę zatrzymać go na czas poszukiwań. W międzyczasie poproszę kilka metrów tego.
- Na stole rozłożyła dwie bele pochodzącego z Batawii batiku w kolorach jesieni.
- Przesunęłam je do siebie i podałam jej do wypełnienia formularz informacyjny o tkaninie, po czym wręczyłam długopis.
- Będę potrzebowała pani danych kontaktowych, bym mogła wysłać pani e-mail, kiedy będę już miała możliwe odpowiedniki. Jeśli mogłaby pani zostawić też informacje o minimalnej oraz maksymalnej cenie, to także usprawniłoby moje poszukiwania.
- Klientka wzięła formularz.
- To wspaniale.
- Rozłożyłam pierwszą belę materiału w odcieniu ciepłego złota.
- To przepiękny wzór i nowość w tym sezonie. Ile metrów potrzeba?
- Kobieta jednak jakby mnie nie słuchała, zamiast tego wpatrywała się w kartkę, którą jej podałam.
- „Wszystko, co piękne, ma do opowiedzenia jakąś historię” – powiedziała, czytając na głos hasło reklamowe sklepu, które umieszczono w górnej części formularza. – Piękne słowa.
 - Tutaj, w Heirloom Yardzie, to nasze motto. Jeden z profesorów w szkole mnie tego nauczył.
- Tak naprawdę profesor powiedział, że każdy wzór materiału opiera się na powszechnie szanowanej prawdzie. Dawno temu upiększyłam jego stwierdzenie z zamierzchłych już czasów.
- To ile metrów pani potrzebuje? – powtórzyłam pytanie.

– Och, dwa. Nie! Trzy, proszę. Po trzy metry obydwu.

Odmierzyłam długość i zaczęłam ciąć.

– To naprawdę dobrze powiedziane – ciągnęła kobieta. – Szczególnie jeśli tworzy pani patchworkowe kołdry. A nazwa tego sklepu jest po prostu wspaniała. Czy na nią też sama pani wpadła?

Kiwnięciem głowy wskazałam na moją pracodawczynię i najlepszą przyjaciółkę, Celine, której srebrzyste, króciutko ostrzyżone w stylu pixie włosy, mieniły się w kalejdoskopie nadruków Jinny Beyer, kiedy tak czekała na kolejnego klienta.

– To Celine, która tam stoi, wpadła na tę nazwę. To jej sklep. A wszystkie te piękne, patchworkowe kołdry, które wiszą na ścianach, wyszły spod jej ręki.

Celine zwróciła wzrok w naszym kierunku i mrugnęła na przywitanie.

Odłożyłam pierwszą belę materiału i sięgnęłam po drugą, bawełnianą w kolorze brązowej czekolady, ozdobioną złotymi zawijasami.

– Właściwie to proszę uciąć mi dwa i pół metra tej tutaj.

Kobieta delikatnie westchnęła i objęła wzrokiem półki oraz stoły Heirloom Yard.

– Nawet nie wiecie, panie, jakże się cieszę ze znalezienia tego sklepu. Kiedy dowiedziałam się, że przeprowadzamy się na Manhattan, z miejsca zaczęłam opłakiwać utratę mojego ukochanego sklepu z tekstyliami. Nie wyobrażałam sobie, iż znajdę jego godnego następcę. Manhattan wydawał mi się zbyt nowoczesny i dystyngowany, by napotkać tu kołdry patchworkowe.

Jej komentarz mnie rozbawił. Sama przybyłam przed wieloma laty do tego miasta z kilkoma błędnymi założeniami na jego temat. Byłam świeżo upieczoną żoną i absolwentką uniwersytetu.

– Moja córka mieszka w Connecticut. To ona podpowiedziała mi, bym rozejrzała się po Upper West Side – ciągnęła kobieta. – W jednym z czasopism przeczytała, że specjalizujecie się w reprodukcji materiałów. To było kilka lat temu, ale córka przechowuje wszystkie archiwalne numery. W ten sposób was znalazłam.

Ten trzyletni już artykuł wciąż zapewniał nam nowych klientów.

Rozciągnęłam odwinęty kawałek drugiej z tkanin i zaczęłam ciąć.

– Tak naprawdę to moje ulubione zajęcie. Dopasowywanie nowych materiałów do starych tkanin.

– A ona jest w tym świetna – dodała Celine. Dzielilo ją już od nas jedynie kilka kroków, bo na drugim stole krawieckim przygotowywała się do odcięcia kawałka tkaniny.

– Uważam, że to bardzo, bardzo ciekawe – dodała klientka. – Czy zawsze udaje się pani odpowiednio dopasować tkaninę?

Moje nożyczki zatrzymały się na zaledwie sekundę.

– Niemal zawsze.

– Ale zdarzają się porażki?

Nożyczki po raz wtóry zastygły nad tkaniną.

– Im starszy materiał, tym jest to trudniejsze zadanie. Jeżeli nie uda nam się dopasować tkaniny, być może wybierzemy się do projektanta. Bywa to kosztowne, ale mamy kilku godnych polecenia fachowców.

– Ale zazwyczaj wam się udaje, prawda? Chcę powiedzieć, że to nie będzie koniec świata, jeżeli nie znajdziecie tej tkaniny, mam jednak nadzieję, że nie będzie z tym większych problemów.

Nożyce prześlizgnęły się przez materiał, tworząc ostatnie cięcie.

– Tak. Zazwyczaj tak.

– Wie pani – kontynuowała kobieta, nieświadoma drobnego przerywnika. – Będę musiała przynieść suknię ślubną mojej babci. W trakcie ekspansji na Zachód była ona wysyłkową panną młodą i...

Słuchałam jej z grzecznością. W rzeczywistości nagłą zmianę tematu rozmowy przyjąłam z ulgą, bo nie przypominała mi wówczas o jednej z tkanin, której nie mogłam znaleźć, a starałam się o to dziesięć lat. Prawda, że nie miałam ani próbki materiału, ani nawet jego zdjęcia.

Musiałam polegać jedynie na własnej pamięci, a jednak nawet to wspomnienie widziałam jak przez mgłę. Miałam tę tkaninę w dłoniach przez niecały dzień. Jak lubiła mi przypominać Celine, to był dzień inny od wszystkich. Nie powinnam być wobec siebie aż tak wymagająca.

Ileż katalogów z antycznymi próbkami materiałów przewertowałam, ile to stron internetowych i domów z materiałami sprawdziłam w poszukiwaniu odpowiedniej tkaniny? Szal wykonano we Francji z materiału *indienne* zgodnie z indyjskim wzorem, niewątpliwie jakieś sto lat temu. Na jednej z krawędzi wyszyto czarną nicią imię „Lily”, a powtarzający się wzór przedstawiał mnóstwo nagietków.

Przez niemal dekadę nie umiałam znaleźć niczego, co choć trochę przypominałoby tamtą tkaninę.

Zdarzały się chwile, w trakcie których, przy prędkim spojrzeniu na bele materiału, fotografię czy próbkę tkaniny, myślałam „nareszcie!”, a następnie z łomoczącym z emocji sercem przyglądałam się im po raz kolejny. I wtedy, gdy już niemal całkowicie odczuwałam ulgę, okazywało się, że byłam w błędzie. Chciałam to znaleźć, a mimo to nie potrafiłam.

Wszystko, co piękne, ma do opowiedzenia jakąś historię. Ale nie każda historia jest piękna.

Kobieta zakończyła opowieść o swojej babce, a ja odgoniłam od siebie wspomnienia.

Wręczyłam jej rulon zwiniętego materiału, po czym odebrałam od niej formularz, który jej wcześniej wręczyłam.

– Leslie, ta, która stoi przy przedniej kasie, podliczy to dla pani. Proszę przynieść suknię swojej babci, kiedy będzie pani mogła.

Rzuciłam okiem na formularz, chcąc znaleźć jej nazwisko.

– Bardzo miło było mi panią poznać, pani Courtenay. Będę się odzywać w sprawie tkaniny.

– Och, proszę mówić mi Ruth.

– A ja nazywam się Taryn.

Ruth Courtenay ruszyła w kierunku frontu sklepu, mijając innych klientów, z których

większą część stanowiły kobiety. Niektóre trzymały w dłoniach katalog z wzorami kołder otwarty na stronie z pozaginanymi rogami, inne nosiły bele tkanin z pietyzmem, niczym matki swoje dzieci, poszukując idealnego połączenia kontrastu i dopasowania.

I chociaż ten długi, wąski sklep był pełen klientów, wewnątrz panowała cisza jak w bibliotece. Nawet stacja muzyczna Pandory, grająca w tle, była nieco przytłumiona odgłosami rozwijanych bel materiałów. Podobał mi się sposób, w jaki tkaniny otulały głosy klientów, jakby chciały wszystkich delikatnie uściskać. Jazgot ulicznego korka, handlu i syren zniknął wraz z przestąpieniem progu Heirloom Yard.

Moja dziewięcioletnia córka, Kendal, często powtarzała, że było tu zbyt cicho. Zupełnie jakby uwieziono nas w czymś sennym marzeniu. A ponieważ zajmowałyśmy przytulne mieszkanie nad sklepem, to jego spokojna natura była naszym chlebem powszednim. To, od czasu do czasu, było powodem jej narzekań. Na szczęście nie przeszkadzało jej, że niewiele dzieliło moją pracę od życia prywatnego.

Uwielbiałam tu mieszkać. Nie dlatego, że przepadałam za córką, tkaninami czy kolorami.

Kochałam uczucie, jakie wywoływało we mnie to mieszkanie, kiedy po dniu pracy mogłam się w nim schronić.

Te górne pokoje były niemal jak odpowiedź niebios na niewypowiedzianą modlitwę.

Celine zaoferowała mi je, zanim podzieliłam się z kimkolwiek innym wiadomością o ciąży.

Zanim też zdążyłam sobie całkiem uświadomić, że jedna wypłata nie pozwoli mi utrzymać mieszkania na Brooklynie.

Gdyby Celine wynajmowała to mieszkanie komukolwiek innemu, czynsz z pewnością byłby znacznie wyższy. Ale ona zawsze upierała się, że obie korzystamy na tej sytuacji. Kendal i ja miałyśmy wygodny, chociaż niewielki kawałek dachu nad głową, a ona – kogoś zaufanego tuż nad sklepem.

Materiał Ruth Courtenay pozostawiłam na moim stanowisku pracy w pokoju na zapleczu, gdzie miałam laptop i półki wypełnione katalogami ze starymi próbkami tkanin. Nagle uświadomiłam sobie, że popołudnie dobiegało powoli końca. Kendal miała wychodzić ze szkoły za niecałe dwadzieścia minut. To był pierwszy dzień w szkole po długiej przerwie wakacyjnej.

Zdjęłam fartuch, rozłożyłam go na krześle biurowym i wróciłam do głównej części sklepu.

– Wychodzę po Kendal – powiedziałam bezgłośnie do Celine, a ona kiwnęła głową.

Wyszłam w ramiona wrześniego popołudnia. Za moimi plecami, wzdłuż

Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, aż do Riverside Park rozciągało się kilka bloków. Było tu ulubione miejsce Kendal i moje. Tuż przed nim skrzyżowanie na Broadwayu błyszczało miarowym ciągiem samochodów i szybami okien sąsiadujących sprzedawców. Mężczyzna wyprowadzający psa skinął na nieme powitanie, a matka z wózkiem nachyliła się, by włożyć wypłuty smoczek do buzi naburmuszonego dziecka. Samochód dostawczy zaparkował „na drugiego”, a stojący za nim pojazd zatrafił, demonstrując swoje niezadowolenie. Powietrze ledwie zdradzało, że lato dobiegało końca.

Kiedyś wrzesień był moim ulubionym miesiącem. Lubiłam, gdy tak słodko przeganiał

letnie pastele, by skapać półki sklepu w barwach kasztanu, mokki i każdym możliwym odcieniu czerwieni. To wrzesień przyciągał poważnych twórców quiltingu²; takich, którzy uwielbiali spędzać mroźne noce na wycinaniu, szyciu i tworzeniu dzieł sztuki z tkanin. To wtedy zabierano się do pracy.

Nawet teraz, przemierzając ulice, czułam te subtelne znaki nadchodzących zmian.

Wrzesień za każdym razem wracał z niesłabnącą siłą i to wciąż mnie zadziwiała, ale z innych już powodów.

Przeszłam przez Amsterdam obok kilku długich bloków, przyspieszając kroku, bo

zauważyłam, jak dzieci zaczęły zbierać się przed szkołą Kendal. Z pewnością była to najpiękniejsza szkoła państwowa na Manhattanie. Katedralne okna, rozległe zewnętrzne schody i słoneczne sale lekcyjne z wysokimi sufitami trafiały do mojego serca, które kochało wszystko, co nosiło znamiona czaru dawnego stylu. Szkoła Kendal stanowiła kolejny powód, dla którego podobało mi się to, jak żyłyśmy.

Przechodząc przez skrzyżowanie, zauważyłam moją córkę, która w grupce innych uczennic czwartej klasy patrzyła na gromadę popychających się i śmiejących chłopców. Jej błyszczące i proste, czarno-brązowe włosy mieniły się w słońcu późnego lata. Zupełnie jak u Kenta.

Miała też jego dołeczek w lewym policzku.

I te oczy, które zwięzały się w szczeliny, kiedy się śmiała.

Tego lata Kendal urosła bardziej od swoich szkolnych przyjaciół. Przewyższała o kilka centymetrów dziewczęta, które ją otaczały.

Zapowiadało się, że moja córka oprócz posiadania koloru włosów Kenta, będzie również tak samo wysoka jak on.

Pomachałam jej dyskretnie. Kendal wpatrywała się we mnie przez chwilę, nim w końcu opuściła swoje koleżanki.

– No więc jak minął ci pierwszy dzień w szkole po wakacjach? – spytałam wesoło.

– Było w porządku. I pamiętasz, mam, jak przy śniadaniu powiedziałam ci, że mogę już wracać do domu całkiem sama? To tylko trzy bloki, a ja mam już prawie dziesięć lat.

Wyprowadziłam nas z grupy nianiek oraz innych matek, które także odbierały swoje pociechy, po czym ruszyliśmy w stronę domu.

– Pamiętam. Wiem, że potrafisz sama wrócić do domu.

– Więc zgadzasz się ze mną?

Zaczynała nawet mówić jak Kent. Tak praktycznie i pragmatycznie.

– Powiedziałam, że się zastanowię. Poza tym lubię wracać z tobą do domu.

– Tak, ale wkrótce będę miała dziesięć lat.

– Wiem o tym.

Kendal westchnęła.

– Nie rozumiem, o co tyle szumu. Przecież jest biały dzień.

Biały dzień. Gdzież ona usłyszała to wyrażenie? Czy ktokolwiek jeszcze go używał

w dzisiejszych czasach? Te dwa zestawione ze sobą słowa przestały mieć dla mnie znaczenie dawno temu.

– Wiele złych rzeczy dzieje się w biały dzień, Kendal.

– Ale nie każdego dnia, mamó.

– Wiem – odpowiedziałam po chwili ciszy.

Wiedziała, że złe rzeczy nie dzieją się każdego dnia. Nie obawiałam się, że jakiś porywacz czai się, by zabrać Kendal, gdy tylko pozwolę jej samej wracać ze szkoły. To nie zamartwianie się tym, co mogłoby się zdarzyć, sprawiało, że się wahałam. Byłam niepewna, bo decyzja o tym, czy będzie wracała beze mnie, należała właśnie do mnie.

Doszliśmy do Amsterdamu. Gwar na ulicy rozbrzmiewał wokół nas, podczas gdy

czekałyśmy na zmianę światła na zielone.

– Powiedziałam, że się nad tym zastanowię. I tak zrobię.

Kendal zmarszczyła brwi.

– To tak, jakbyś powiedziała „nie”.

Samochody zatrzymały się, weszliśmy na skrzyżowanie.

– Pomyśleć o czymś a zdecydować to dwie różne rzeczy – powiedziałam. – Obiecuję, że

tak po prostu ci nie odmówię. A teraz opowiedz mi, co dzisiaj robiłaś.

Kendal zarysowała pobieżnie przebieg pierwszego dnia szkoły. Kiedy weszliśmy do Heirloom Yard, opowiadała mi właśnie o australijskim akcencie swojej nowej nauczycielki sztuki. Zdążyliśmy zrobić zaledwie

kilka kroków, kiedy zauważyłam, że Celine, Leslie i właścicielka kafejki z naprzeciwka stały w gromadzie przy stole krawieckim na środku sklepu.

Było oczywiste, że czemuś się przyglądały.

Gdy tylko usłyszały mój głos, podniosły głowy i jakby zgodnie odwróciły się w moją stronę. Niepokój i troska były ewidentnie wypisane na ich twarzach. Cokolwiek oglądały, dało im to jakieś powody do niepokoju.

– Co słyhać? – Doszłam do stołu, zanim którakolwiek z nich zdążyła odpowiedzieć na moje pytanie. Celine delikatnie wyciągnęła rękę, by mnie zatrzymać.

– Molly właśnie kupiła najnowszy numer magazynu „People” – mówiąc to, kobieta skinęła głową na naszą sąsiadkę z kafejki.

– No i? – spytałam z lekkim nierozumieniem. Nie czytałam już czasopism od jakiegoś czasu.

– Jakaś fotografka odnalazła kartę pamięci w starej torbie na aparat fotograficzny, którą przechowywała w szafce. Myślała, że ją zgubiła. Nie widziała jej od dziesięciu lat.

Zaśmiałam się nerwowo. Celine nie należała do panikarek, ale w tej chwili zasiała we mnie ziarno niepokoju.

– I?

Kobieta zawahała się, po czym odeszła na bok. Magazyn otwarto na dwustronicowym artykule zatytułowanym „Przed dziesiątą rocznicą: nowo odkryte zdjęcia z 11 września”.

Największe zdjęcie przedstawiało mężczyznę i kobietę stojących na krawężniku i wpatrujących się w obraz tragedii, którego soczewka aparatu nie uchwyciła.

W lot rozpoznałam szalik nakrapiany nagietkami, który to miałam kiedyś w rękach. Już po chwili ujrzałam własną twarz, która zdawała się odwzajemniać moje spojrzenie.

Czas jakby stanął w miejscu. Pochyliłam się w stronę krawędzi stołu, chcąc złapać się czegoś stabilnego. Wspomnienie tej krótkiej chwili kłębiło się wokół mnie.

– To ty. – Usłyszałam głos Kendal. Zamknęłam oczy, by wrócić do rzeczywistości tu i teraz, w Heirloom Yardzie; tu, przy stole krawieckim, otoczonym metrami cudownych tkanin.

Z otchłani mojej pamięci wyrwał mnie dawny głos...

Daj mi rękę.

Nie mogłam oddychać.

Daj mi rękę!

Nie mogłam oddychać!

– Taryn!

Celine objęła mnie, podtrzymując.

– Byłaś tam? Widziałaś to? – Słowa Kendal zadawały mi ból, ale przyjełam go z ulgą, bo dzięki niemu wiedziałam, gdzie się znajdowałam. Byłam bezpieczna. Żyłam. I miałam Kendal.

– Wszystko w porządku – szepnęłam do Celine. Poczułam, jak jej ramiona zaczęło opuszczać napięcie.

– Przepraszam cię, Taryn – powiedziała Molly. – Uznałam, że powinnaś to zobaczyć, zanim, no wiesz, ludzie zaczną cię o to pytać. Jutro to pismo będzie we wszystkich sklepach z gazetami.

– Czy podają tam moje nazwisko? – wyszeptalam.

– Nie – odparła szybko Celine. – Nie, tylko mężczyzny stojącego za tobą.

Przygotowałam się, by spojrzeć na czasopismo po raz drugi, ale mój wzrok znów

przyciągnęło zdjęcie, a nie opis znajdujący się pod nim.

Szał świecił niczym płomień, a ja przykładałam go do ust. Za mną mężczyzna

w uniformie kwiaciarza trzymał przy uchu telefon komórkowy.

Podobnie jak ja wpatrywał się intensywnie w niebo, spoglądając na płonące widowisko po drugiej stronie ulicy. Wszyty nad logo napis „Kwiaciarnia Atena” obwieszczał światu, że miał na imię Mick.

Zdjęcie to nie pokazywało późniejszego obrazu, kiedy mężczyzna imieniem Mick podnosił mnie z kolan, stawiając na nogi, podczas gdy świat wokół nas rozpadał się na kawałki.

Skupiłam uwagę na tekście.

Ulice były przepelnione tłumami przechodniów i osób ewakuowanych na sekundy przed upadkiem drugiej z wież. Jak stwierdził kwiaciarz z Manhattanu, Mick Demetriou (zdjęcie powyżej), ucieczka przed tłumem oraz gruzami była wstrząsającym doświadczeniem. – Nie sądziłem, że uda nam się przeżyć – mówi o sobie i o nieznannej kobiecie obok niego, której pomógł

się uratować. Kuzyn Demetriou, nowojorski strażak, zginął w północnej wieży.

– Nie wiedziałam, że tam byłaś – odezwała się Kendal. – Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? I co oznacza słowo „wstrząsający”?

– Nie teraz, Kendal – rzuciła Celine i schyliła się, by na mnie spojrzeć.
– Wiesz, możesz zadzwonić do tego pisma i powiedzieć im, że nie życysz sobie, by upubliczniali twoje nazwisko, w razie gdyby zamierzali zamieścić gdzieś jeszcze to zdjęcie.

Nie rozumiałam, co do mnie mówi.

– Co?

– Wielu z naszych klientów cię rozpozna. Być może zadzwonią do czasopisma, by powiedzieć, że wiedzą, kim jest „nieznana kobieta” z fotografii. Chcesz, żebym to załatwiła?

Nie potrafiłam odpowiedzieć na pytanie Celine. Nie umiałam wytłumaczyć Kendal, dlaczego nie powiedziałam jej, że tego dnia byłam niedaleko wież. Ani tego co oznaczało słowo

„wstrząsający”.

Jedyne, co mogłam robić, to wpatrywać się w tę drugą mnie na lśniącym papierze, ściskającą szal zdobiony jaskrawymi nagietkami, który uratował życie mnie i Kendal.

Ale nie Kentowi.

Dawny, znajomy towarzysz uniósł się znad fałdów szalika. Był to ten sam prześladowca, który dręczył mnie lata po śmierci Kenta.

Dźwięki napierały zewsząd, stępując zmysły. Czułam się otumaniona, stojąc bez ruchu wśród morza materiałów.

Wszystkie tkaniny świata razem wzięte nie mogły jednak zagłuszyć krzyku mojej rozpacz.

1. Określenie kobiety, która umieszczała swoje dane w katalogu, a następnie udawała się na tzw. Dziki Zachód w celu poślubienia mężczyzny, który ją wybrał.

2. Sztuka pikowania tkanin, szczególnie kołder.

Rozdział drugi

Clara

Ellis Island

Sierpień 1911

Po pożarze środkowa wyspa stanowiła mój cały świat. Dla imigrantów, którzy

schorowani przybyli z najdalszych zakątków świata, spokojny bieg kuli ziemskiej został

zaburzony. Ludzie czekali na pomoc w powrocie do zdrowia. Nie udawali się z powrotem do domów, gdzie zakończyło się ich dawne życie. Nie roztaczały się też przed nimi horyzonty nowej rzeczywistości. Utknęli, zawieszani niczym w próżni, między dwoma światami.

Zupełnie tak, jak ja.

Zabudowane oknami przejście siedziby przewoźnika łączyły szpitalne skrawki

pożyczonych ziemi z większą wyspą znaną jako Ellis. To słowo jednak zdawało się szeptać słowa nadziei. Za szpitalem, w którym pracowałam jako pielęgniarka, znajdował się Battery Park na Manhattanie. Oba miejsca dzieliła odległość, którą szybko można było pokonać, płynąc łodzią.

Z drugiej strony znajdowała się cieśnina Narrows i niebieska, satynowa, rozległa przestrzeń, prowadząca do dawnej ojczyzny każdego z nich. Szpital na Ellis stanowił lądowe miejsce pośrednie, gdzie ważyły się losy tego, kim byli i kim mieli się stać imigranci. Jeśli przybysza można było wyleczyć, miał zostać powitany na lądzie. W przeciwnym wypadku odsyłano go tam, skąd przyplynał.

Poza tym wyjątkiem, nie przeszkadzało mi to, że mieszkałam tam, gdzie doki Ameryki znajdowały się na wyciągnięcie ręki. Ja patrzyłam na linię jej horyzontu z innego rodzaju głodem.

Już pięć miesięcy minęło od czasu, gdy po raz pierwszy stanęłam na ulicach Nowego Jorku. Jego jasno oświetlone budynki mogłam oglądać z mojego pokoju, a w wietrzne poranki niemal słyszałam, jak pełne ulice budzą się do życia. Ale nie byłam gotowa, by do nich powrócić.

Prom przywiózł mi wszystko, czego potrzebowałam, a siedziby pielęgniarek, chociaż nieco ciasne, były schludne, nowe i świeże niczym morska bryza. Pokój dzieliłam z inną pielęgniarką, Dolly McLeod, która także pracowała i mieszkała na trzeciej wyspie, dolnym szczyble Ellis przypominającej kształtem literę E. Nasza kwatera znajdowała się rzut beretem od oddziałów szpitalnych, gdzie czekały choroby setek narodów tego świata. Ich jedynym pragnieniem było zostać uznanym za zdrowych na tyle, by spotkać się ze swoimi bliskimi, ucałować ich i opuścić wyspę. Chłodziłyśmy ich rozpalone gorączką czoła, pielęgnowałyśmy rany i karmiłyśmy słabnące nadzieje. Niektórzy z nich byli chorymi dziećmi oddzielonymi od swoich zdrowych rodziców. Inni dorosłymi cierpiącymi na choroby, o których, wyruszając do miejsca przeznaczenia podróży, nie mieli pojęcia. Paru osobom natomiast upośledzenie umysłowe nie pozwalało na

samodzielne życie, wobec czego, choć mieli zdrowe płuca i serca, zostawali odsyłani z powrotem do krajów, z których przyплыnęli.

Przybysze mówili w językach różniących się od wszystkiego, co znajome. Długie, zawile zdania zapęły się z dźwiękami alfabetu, które nie rymowały się ani nie miały metrum.

Niektórych z nich, my pielęgniarce, nauczyłyśmy się na pamięć, bo słyszałyśmy je tak często.

Wydawało się, że istniały tysiące słów na określenie spełnienia marzeń i tylko jeden wspólny jęk

oznaczaający utratę nadziei. Mnóstwo osób opuszczało szpitalną wyspę w lepszym stanie zdrowia, niż kiedy na nią przybyli. Ale oczywiście nie wszyscy. Wielu miało przenieść się na tamten świat.

Praca zajmowała nam czas od świtu do późnego wieczora. W nocy zasypiałyśmy

w mgnieniu oka. I nie było tu pozostałości po pożarze.

Dolly i kilka innych pielęgniarek wyczekiwały swoich wolnych dni, podczas których mogły wybrać się na brzeg. Przetęńczywszy wieczór, na wyspę wracały odpływającym o północy promem, pachnąc wodą kolońską, tytoniem i słonym potem. Najpierw zapraszały mnie, bym wybierała się z nimi, ale szybko zorientowały się, że nigdy nie opuszczam wyspy. Dolly, która po części wiedziała dlaczego, wyznała mi, że niegdyś przeżyła pożar domu. Miała wtedy osiem lat.

Jej zdaniem nie miałam się tak czuć przez cały czas, uważała, że po pewnym czasie lęk przed ogniem zrzucę jak wąż skórę.

Nie bałam się ognia. Byłam przybita tym, jak wszystko to, czego jesteś pewien, w jedną chwilę może zostać zmiecione z powierzchni ziemi.

Nie powiedziałam jej wszystkiego. Podobnie jak inne pielęgniarki, Dolly wiedziała o pożarze. Każdy w Nowym Jorku znał sprawę dotyczącą tragedii, która wydarzyła się w szwalni Triangle Shirtwaist. Wszystkie moje koleżanki z pracy miały świadomość, że ja oraz mieszkańcy od siódmego piętra w dół, zdołaliśmy uciec przed ogniem, który rozszalał się wyżej. Wiedziały też, że stu czterdziestu siedmiu pracownikom Triangle Shirtwaist to się nie udało.

Nie było tajemnicą, że drzwi prowadzące na schody do wyjścia na Washington Street były zamknięte (miało to zapobiec kradzieżom), a jedynym alertem sygnalizującym wybuch pożaru stał się sam ogień, bo nie było syren, które mogłyby wcześniej kogokolwiek zaalarmować. Moje

koleżanki słyszały, że pracownicy szwalni, głównie kobiety, wyskakiwały z okien, aby zginąć szybko, a nie umierać w płomieniach. Wiedziały, że śmierć zebrała krwawe żniwo. W końcu pisały o tym wszystkie gazety.

Kobiety nie miały jednak pojęcia, jak to jest widzieć ludzi wyskakujących z wysokich, płonących okien. Nie pytały też o to, bo któż mógłby pytać o takie rzeczy?

O Edwardzie nie wiedziały nic, bo nie wspomniałam o nim ani słowem.

Dopiero co zaczęłam pracę pielęgniarki w gabinecie lekarskim na szóstym piętrze i miałam zaledwie kilku znajomych w Nowym Jorku. Nawet Dolly nie podejrzewała, że Edward Brim skradł moje serce w zaledwie kilka godzin po tym, jak się poznaliśmy w windzie pierwszego dnia pracy.

Upuściłam moją parasolkę, a on ją dla mnie podniósł.

– Czyżby zapowiadało się na deszcz? – zapytał, uśmiechając się szeroko. Podobnie jak ja, był pierwszym pokoleniem Amerykanów ze swojej rodziny. Ta delikatność w jego głosie mówiła mi, że jego rodzice pochodzili z Europy. Tak jak moi. Jego ciemnonugatowe włosy były schludnie uczesane, ułożone z precyzją, ale zarówno nieco pognieciony garnitur, jak i kawałek smażonego jajka na mankiecie, choć maleńki, powodowały, że nie musiałam patrzeć na jego lewą dłoń, aby wiedzieć, iż był kawalerem. Tak jak mój ojciec był wysoki, chociaż szczupły.

Jego oczy przypominały kolorem świt po wietrznej, deszczowej nocy. Ale było w nim coś nowojorskiego. Jego rodzice, w przeciwieństwie do moich, z pewnością pozostali tu po opuszczeniu wyspy.

– Pachnie, jakby miało padać – odparłam.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, podczas gdy winda mknęła w górę.

– Doprawdy?

– A nie czuje pan tego? – odpowiedziałam i od razu tego pożałowałam. Oczywiście, że nie czuł. Przecież pochodził z miasta.

Mężczyzna stojący obok niego zaśmiał się.

– To dziewczyna z prowincji, Edwardzie. One zawsze wiedzą, na co się zanoszą.

– Ach tak. W takim razie cieszę się, że nie zwracałem sobie głowy polerowaniem butów dzisiejszego poranka.

Obaj się zaśmiali. Po chwili Edward nachylił się w moim kierunku.

– Proszę się cieszyć, że umie pani poznać, iż nadciąga deszcz. Niewiele jest rzeczy na świecie, które dają nam wcześniej znaki.

Odwzajemniłam jego uśmiech, nie potrafiąc oderwać od niego wzroku.

– Jest pani w Nowym Jorku od niedawna?

Pokiwałam twierdząco głową.

– W takim razie witamy w mieście, panno...

– Wood. Clara Wood.

Uklonił się lekko.

– Miło mi panią poznać, panno Wood. Edward Brim, do pani usług.

Winda zatrzymała się na szóstym piętrze i drzwi się rozsunęły.

– To moje piętro.

Niechętnie skinęłam głową na pożegnanie, a Edward przechylił kapelusz. Jego oczy spoczywały na mojej sylwetce, póki drzwi się nie zamknęły, a winda nie wznowiła swojego ospałego kursu.

Później, tego samego dnia, widziałam go, jak w deszczu biegł, aby złapać tramwaj.

Widziałam potem niemal codziennie albo w windzie, albo w korytarzu Asch Building.

Słyszałam, jak opowiadał o swojej pracy księgowego w Triangle Shirtwaist na dziesiątym piętrze. Wiedziałam, że mężczyzna, który często jeździł z nim windą, też tam pracował, był

kupcem tkanin i nazywał się Oliver. Zorientowałam się także, że Edward lubił herbatę earl grey, makaroniki i miętę zieloną, bo woń jego ubrań była połączeniem tych trzech zapachów. Kochał

baseball, ciasta wypiekane przez jego matkę oraz piwo angielskie.

Zawsze mówił mi „dzień dobry”, unosząc swój kapelusz, zawsze też sprawiał wrażenie, jakby chciał mnie o coś spytać, lecz nim udawało mu się odnaleźć odpowiednie słowa, dojeżdżaliśmy do mojego piętra. W dniu pożaru, kiedy zamykały się drzwi, zapytał, czy nie zechciałabym zobaczyć hali produkcyjnej, zanim skończy się zmiana. To była sobota. Szwaczki na dziewiątym piętrze kończyły pracę o siedemnastej. Zgodziłam się.

Pielęgniarki z wyspy Ellis nie wiedziały, że widziałam Edwarda skaczącego

z dziewiątego piętra w towarzystwie krzyczącej dziewczyny, której włosy i spódnica płonęły.

Bała się skakać sama, dlatego Edward chwycił jej dłoń. W chwili gdy ogień wyparł ich z okna.

Dolly i inne dziewczęta uważały, że miałam niebywałe szczęście, bo udało mi się uciec.

Ja jednak nie czułam się szczęściarą.

Kiedy byłam małą dziewczynką, uważałam, że szczęściem jest odnaleźć coś, co zdawało się utracone na dobre. Albo wygrać porcelanową lalkę na jarmarku, dostać nowy kapelusz czy mieć cały karnecik wypełniony tańcami, o które cię poproszono. Powodzenie sprawiało, że czułam się, jakby ucałowały mnie niebiosa i uśmiechnął się do mnie los.

Shczęście to jest coś takiego, co sprawia, że czujesz się, jakbyś mógł przенosić góry. I nie jest nim zdecydowanie desperackie pragnienie pozostania na wieczność pomiędzy dniem wczorajszym a jutrzejszym.

Moi rodzice na wieść o pożarze chcieli, bym wróciła do rodzinnej Pensylwanii. Ojciec zapewnił mnie, że wciąż miał dla mnie miejsce w swojej praktyce lekarskiej i że zawsze tak będzie. Ale ja nie chciałam wracać do tego, kim byłam kiedyś, do tego wiejskiego krajobrazu, gdzie każdy odcień brązu i zieleni jest taki sam. Dopiero co skończyłam dwadzieścia jeden lat.

Mieszkałam w Nowym Jorku, gdzie wszędzie każda barwa krzyczała zuchwale, czy to w dzień, czy w nocy. To miał być mój życiowy przełom, a przynajmniej tak to z początku wyglądało.

Gdyby nie pożar, Edward zaprosiłby mnie na kolację albo do kina. Z czasem byśmy się w sobie zakochali. Byłam o tym przekonana, chociaż znałam go przecież zaledwie dwa tygodnie.

Ale kiedy popiół i spalone tkaniny niczym śnieg zasypywały poranione ciało Edwarda i tak wielu innych ofiar, którym pomoc nie mogłam, wiedziałam, że będę musiała odnaleźć takie miejsce, gdzie mogłabym zrozumieć, co straciłam, a czego przecież nigdy tak naprawdę nie miałam. Jedynie przestrzeń dzieląca wczoraj od jutra mogła mi to zapewnić.

Rozdział trzeci

Dwie szpitalne wyspy składały się z brudu i kamieni zbitych spod nowojorskich ulic po to, by zrobić miejsce dla miejskiego metra. Zadziwiało mnie, że całe ładunki okrętowe pełne ziemi można było osadzić w wodzie, jakoby przekonując je, żeby pozostały w jednym miejscu.

Zdarzało się, że zastanawiałam się, czy w przypadku wewnętrznego trzęsienia wyspy pozostałyby nienaruszone? To nie Bóg je tutaj osadził, czy w takim razie byłby chętny je ochronić? Dawno temu, kiedy palec Boży dotknął zatoki, było tu mnóstwo terenów zalewanych w czasie przyptywów

i ławic ostryg. Tak przynajmniej mówią. Ale to, co stworzył Bóg, zniknęło wiele lat temu.

Moi rodzice przybyli do Ameryki z Europy na rok przed moimi narodzinami, jeszcze przed powstaniem szpitala na Ellis. Druga i trzecia z wysp powstały w krótkim odstępie czasu z dna morskiego. Było to lata po otwarciu szpitala. Stało się wówczas jasne, że trzeba coś począć z chorymi i przenoszącymi wirusy imigrantami.

Kiedy ukończyłam szkołę pielęgniarstwa w Filadelfii, nie przyszło mi do głowy, by ubiegać się o posadę tutaj. Nie wybrałabym wtedy odosobnionego miejsca. To ulice Manhattanu mnie przyciągały. Żywe barwy Nowego Jorku wabiły mnie, odkąd jako ośmiolatka obejrzałam tu widowisko, którego nigdy nie mogłam zapomnieć. Pragnęłam być częścią tej zadziwiającej energii, od kiedy tylko sięgałam pamięcią.

Moja siostra, Henrietta, miała najprawdopodobniej nigdy nie opuścić Pensylwanii. To tam wyszła za mąż i tam rodziła dzieci. Tam też miała kołysać swoje wnuki. Nie przydarzało jej się nigdy nic zaskakującego i to jej odpowiadało. Dla niej istniał tylko jeden odcień każdego koloru.

To właśnie nas różniło. Ją uszczęśliwiał ten jeden odcień.

Kolory zawsze mnie przyciągały. Zawsze. Im bardziej żywy, intensywny, głęboki czy niepowtarzalny, tym lepiej. W przeciwieństwie do mojej siostry, nigdy nie mdlałam, asystując mojemu Papie przy operacji, gdy nasze gąbki i narzędzia przybierały szkarłatną barwę. Kolor krwi rzucał na mnie urok, nawet wtedy gdy cierpienie pacjenta nie pozwalało mi całkiem się nim zachwycić. Henrietta mawiała, że krew to barwa śmierci. Ja mówiłam jej, że to kolor życia. Czyż nie jest tak? Czyż nie jest to kolor życia?

Gdy w dniu pożaru ciała lądowały na chodniku, to właśnie życie się z nich wylewało.

Czasami, w nocy, śniłam o pożarze, a mój umysł wyczarowywał kałuże na chodniku, jakby to były zdeptane czerwone bukiety kwiatów. Nie wiedziałam, że wydają wtedy dźwięki.

Musiało tak być, bo Dolly budziła mnie i szeptała: „Jesteś bezpieczna, Claro”. Innym razem tworzyłam scenariusz, wedle którego Edward przeżył pożar. Dlaczego ci, którzy tkali moje sny, całkowicie nie wypruli z nich tego ognia? Chciałabym śnić, że pożaru nie było wcale.

Moja wyspa nie stawiała przede mną żądań. To nie tu rozpoczął się bieg czasu i z pewnością nie tutaj będzie miał on swój koniec. Ludzie z

oddziałów przybywali i odchodzili.

To było wygodne miejsce do trwania w całkowitym zastygnięciu.

Każda mijająca mnie twarz była równocześnie urywkiem wspomnienia z życia, które kiedyś znałam i które z pewnością wciąż na mnie czekało.

W te dni, kiedy statki wpływały do nowojorskiego portu, promy zaczynały przybywać o świcie. Setki imigrantów przewijało się przez Ellis. Najpierw sprawdzano ich karty zejścia na ląd, potem spisywano imiona i sprawdzano stan zdrowia. Ci, którzy nie przeszli pomyślnie badania lekarskiego, trafiali do nas, wiezieni na łóżku szpitalnym, wózku inwalidzkim albo idąc o własnych siłach. Większość z nich została oznakowana kredą z inicjałami, które informowały

nas o objawach chorób, na które mogli cierpieć. Każdego dnia opiekowałam się kilkunastoma ludźmi, wymieniając się na różnych oddziałach zakaźnych. Kiedy jednak przybywało więcej statków, imigrantów było coraz więcej. Nie potrafiłam już ich naliczyć.

Pewnego pochmurnego sierpniowego dnia moje koleżanki i ja wstałyśmy przed

wschodem słońca i przy świetle lampki zjadłyśmy jajka z tostem.

Pierwszy prom przyplłynął wraz z chwilą, gdy słońce okalało front budynku Ellis przypominającego pałacyk. Do południa szpital wypełnił się nowymi przybyszami z najdalszych zakątków świata, podobnie jak dzień wcześniej i dzień później. Ale był tylko jeden pacjent, którego przybycie zwróciło moją uwagę.

Miedziany szal zawiązany wokół szyi mężczyzny czekającego w szpitalnej kolejce wyróżniał się kolorem spośród zbitki brązowych i szarych kurtek. Zdawało się, że wołał do mnie, tak jak gdyby wiedział, że przypominał ten splot ognia, który otaczał szyję Edwarda w chwili, gdy ten wyskakiwał z płonącego okna. Szal wyglądał na miękki, jakby wykonano go z owczej wełny. Od kiedy tylko go zobaczyłam, wiedziałam, że należał do kobiety, i to także mnie zaintrygowało.

Sanitariusz otworzył drzwi na zewnątrz i ostra bryza szarpnęła kapeluszami imigrantów, którzy właśnie wchodzili schodami głównego budynku, gdzie na nich czekałyśmy. Przed mężczyzną z szalikiem stała kobieta trzymająca rękę jasnowłosej dziewczynki, którą puściła, by pobiec po jej czapkę porwaną przez wiatr. Obserwowałam, jak mężczyzna łapie nakrycie głowy, które tanecznym ruchem zbliżało się do wody za nimi, po czym oddał je kobiecie. Ta przycisnęła je do piersi, skinąwszy głową w

geście wdzięczności. Przez tych pięć miesięcy tutaj często byłam świadkiem takich widoków. Niezrozumienie języków nie odarło imigrantów z pragnienia wyrażania podziękui, kiedy los uśmiechał się do nich choćby troszeczkę. W jakiś sposób znajdowali sposób, by to okazać.

Mężczyzna ten, szczupły i o złotych włosach, nosił czarną, filcowaną czapkę z daszkiem i trzymał zwykłą skórzaną teczkę. Oszacowałam, że miał około trzydziestu lat; być może był

trochę młodszy. Na jego twarzy dało się zauważyć ślady połyskującego zarostu, który pokrywał

lekkie zapadnięte policzki. Niewątpliwie wychudł podczas podróży przez Atlantyk, podobnie jak wszyscy pasażerowie trzeciej klasy, którzy wylądowali na Ellis. Ale w jego oczach pełno było bólu, a zmęczenie znaczyło całą jego twarz. Były to trudy podróży, ale nie tylko.

Podszedł do stołu, przy którym wraz z trzema innymi pielęgniarkami stałyśmy w naszych wykrochmalonych, białych uniformach. Obok nas siedziała nasza przełożona, pani Crowley, spoglądająca na oznaczenia rejestracyjne oraz opisane kredą przepaski, sprawdzająca imiona i nazwiska oraz kierująca przybyszy, w zależności od ich stanu zdrowia, do jednego z kilku szpitalnych budynków. Dziecko zaczęło rozcierać spuchnięte, zażawione oko, podczas gdy matka pacnęła jego dłoń, szepcząc mu słowa reprimendy. Chłopiec włożył rękę do kieszeni spodni. Jeżeli cierpiał na jaglicę, nigdy nie zobaczy brzegów Nowego Jorku, podobnie jak jego matka. To lekarz, a nie ja, dzięki Bogu, miał przekazać jej, że będą musieli wrócić tam, skąd przybyli. Nikt, kto cierpiał na przewlekłe zapalenie spojówek i rogówek, nie przechodził

pozytywnie badania.

Stałam tam, gotowa rozmawiać z imigrantami, którzy mówili po francusku. Nie

posługiwałam się biegle tym językiem, ale moja matka pochodziła z Francji i nauczyła mnie go na tyle, bym mogła rozumieć tak proste zdania, jak „ale ja nie jestem chory”, „mam spotkać się z moim kuzynem w New Jersey” czy „nie stać mnie na lekarza”. Kiedy francuskojęzyczny imigrant słyszy, jak zaczynam mówić w jego ojczystym języku, za każdym razem zaczyna usilnie błagać i prosić, a ja nigdy go nie rozumiem. Pani Crowley upiera się, iż to nieważne. Muszę jedynie wiedzieć, jak powiedzieć „Na razie należy udać się do wskazanego budynku szpitalnego.

Przy tym stole nie ma wyjątków, przykro mi”.

Niektórzy w tej pierwszej grupie ludzi przy stole mówili po niemiecku czy szwedzku.

Inni rozmawiali w języku angielskim z silnym szkockim akcentem. Jako że nikomu nie był

potrzebny mój zaledwie komunikatywny francuski, moją uwagę przyciągnął noszący szal mężczyzna. Jego oczy błyszcząły, ale nie chorobą. Nasze spojrzenia spotkały się, a to, co natychmiast nas połączyło, zadziwiło mnie tak bardzo, iż nie usłyszałam wołania przełożonej.

– Panno Wood!

Podskoczyłam lekko, w wyniku czego dźgnęłam się w żebra trzymaną podkładką do pisania.

– Tak, pani Crowley?

– Pytałam, czy zna pani węgierski?!

– Nie, przykro mi.

Kobieta błyskawicznie obróciła głowę do pozostałych pielęgniarek.

– Czy ktoś tu mówi po węgiersku?

Wokół nas rozbrzmiał chór chętnych, a ja w tym czasie zaryzykowałam ponowne

spojrzenie na mężczyznę. Wpatrywał się w czyste niebo widoczne przez wysokie szyby obok nas, a może w ład znajdujący się w oddali. A może szukał statku, którym tu przyплыł i który teraz stał zakotwiczony w porcie Nowego Jorku.

– Musi to pani pokazać lekarzowi, kiedy będzie pani badana – mówiła pani Crowley do stojącej przy stole ciemnowłosej kobiety.

Kobieta zaczęła płakać, a mężczyzna z szalikiem wrócił do rzeczywistości i spojrzał

w kierunku rozlegających się łkań, ozdobionych lirycznym dialektem, który zdawał się opadać dookoła pomieszczenia jak materiał. Nikt nie miał pojęcia, co chciała powiedzieć płacząca kobieta.

– Kochana, nie mogę tu pani pomóc – rzekła pani Crowley uspokajająco, choć stanowczo.

– Musi pani zgłosić się na oddział, do którego panią skierowano. Panno Wood, czy mogę panią prosić?

Podeszłam do kobiety, by delikatnie wziąć ją pod ramię, ale ta wyrwała mi się i uniosła nad stołem, błagając panią Crowley słowami, których nadal nikt nie rozumiał.

Nasza przełożona zwróciła się w stronę sanitariuszy stojących beczynnie w tylnej części pomieszczenia.

– Potrzebna mi pomoc – krzyknęła, po czym odwróciła się z powrotem do mnie. – Proszę powiedzieć jej po francusku, dokąd ma iść, panno Wood. Być może zrozumie w tym języku.

– Przykro mi – powiedziałam po francusku. – Przy tym stole nie robimy wyjątków. Musi pani zostać zbadana przez lekarza.

Kobieta chwyciła mnie za ramiona, a moja podkładka do pisania stuknęła o podłogę.

– *Je ne suis pas malade! Je ne suis pa malade!*

„Nie jestem chora”.

Jej akcent przypominał mój. Francuski nie był jej ojczystym językiem, ale znała go na tyle dobrze, by powiedzieć mi chociaż tyle.

– Sanitariusz! – wrzasnęła pani Crowley przez ramię.

Mężczyzna z szalikiem pochylił się, by podnieść leżącą na ziemi podkładkę, podczas gdy sanitariusz ruszył ku zrozpaczonej kobiecie. Przez kilka sekund słychać było jedynie dźwięk ich kroków na parkiecie, a także cichy szloch kobiety.

– Następny, proszę – powiedziała pani Crowley, jej głos nieco się trząśł.

Mężczyzna w szaliku zrobił krok naprzód. Podał mi moją podstawkę do pisania, ale jego oczy skupione były na postaci kobiety, delikatnie prowadzonej przez sanitariusza.

– Dziękuję – odparłam, wyciągając dłoń po podstawkę.

– Jak się pan nazywa? – spytała pani Crowley.

Mężczyzna w szaliku rozejrzał się powoli. Nie odezwał się ani słowem.

Moja przełożona wskazała ręką na etykietą nadaną przy rejestracji, umieszczonej na klapie kurtki.

– Pana etykieta? Tak, właśnie ta.

Mężczyzna podał jej oznaczenie.

Pani Crowley przeanalizowała jego kartę i sprawdziła swoją listę.

– A tak. Andrew... Gwynn.

Następnie podniosła wzrok i spojrzała za niego, gdzie inni czekali na swoją kolej.

– A pana żona, Lily? Czy jest z panem?

Mężczyzna imieniem Andrew Gwynn wpatrywał się w swoje dłonie, nie mówiąc ani słowa.

– Czy rozumie pan, o co pytam? Gdzie jest pani Gwynn? – spytała pani Crowley.

Pan Gwynn otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

Przez chwilę szefowa pielęgniarek przyglądała się jego oznaczeniu, po czym odwróciła się w kierunku swoich podwładnych stojących za nią.

– Dobry Boże, jest Walijszykiem, ale nie mówi słowa po angielsku. Czy ktoś może go spytać, gdzie podziewa się jego żona? Jej nazwisko widnieje na liście.

– Nie ma jej tutaj – odparł cicho pan Gwynn. Jego walijski akcent był jak bryza wertująca strony rozłożonego zeszytu z nutami.

– A to co? – rzekła pani Crowley.

Pan Gwynn westchnął, jakby wypowiedzenie tego było wszystkim, co mógł zrobić.

– On... powiedział, że jej tutaj nie ma – wtrąciłam.

– Ale jest na liście. Powinna być tutaj. Mieli się nie rozdzielać. – Pani Crowley, rozzłoszczona, skinęła głową. – Proste wskazówki. Czy mogą być prostsze? Mają trzymać się razem. – Swój wzrok z powrotem przeniosła na pana Gwynna. – Dlaczego się rozdzieliliście?

Mężczyzna patrzył na nią nieświadomymi oczami, jakby nie zrozumiał słowa z tego, co mówiła, lub też nie wiedział, jak ma jej wyjaśnić zaistniałą sytuację.

Pani Crowley uniosła rękę.

– Mają trzymać się razem. – Nachyliła się do pana Gwynna. – Gdzie jest pani Gwynn?

Pana *frau*?

– To po niemiecku, proszę pani – powiedziała pielęgniarzka obok mnie.

– Jej tu nie ma – mruknął Andrew Gwynn, spoglądając w dół na swoje dłonie.

– Czy w jego dokumentach wpisano, że wsiedli na statek razem?

Schyliłam się i spojrzałam na stertę dokumentów w ręce pani Crowley.

– Wsiedli na statek w Liverpoolu. Oboje. Razem.

Wyjrzałam zza ramienia pani Crowley. Andrew Gwynn i Lily razem wsiedli na statek Sewilla. Podczas śniadania słyszałam, że tego poranka szkarłatyna zabiła tam trzynaście osób.

Spojrzałam na Andrew Gwynna i rozumiałam już ból straty znajdujący się w jego oczach.

Zwróciłam się do pani Crowley.

– Myślę, że mogła umrzeć w trakcie podróży, pani Crowley. Proszę spojrzeć. Płynęli Sewillą.

Jej usta zastygły, otwarte w zdziwieniu, a policzki zalały się pąsem. Kiedy zdołała zamknąć buzię, zmarszczyła czoło.

– Czy naprawdę pytanie o jakieś informacje to tak wiele? Gdyby tylko dobrze wypełnili te dokumenty, nie zadawałabym mu żadnych pytań.

Pani Crowley sięgnęła po swój ołówek i wykreśliła nazwisko pod Andrew Gwynnem.

– Bardzo mi przykro z powodu pana żony, panie Gwynn. Naprawdę, bardzo, bardzo mi przykro. Ale jak pan wie, był pan... był pan w bliskim kontakcie z ofiarą szkarlatyny na pokładzie, dlatego musi pan udać się na kwarantannę dopóty, dopóki nie będziemy pewni, że nie jest pan chory.

Przełożona pielęgniarek spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę.

– On nie rozumie słowa z tego, co do niego mówię.

Odwróciła się do mnie i wręczyła mi jego dokumenty.

– Może pani odprowadzić pana Gwynna na oddział K, panno Wood. A potem, na

niebiosa, niech pani pobiegnie na główną wyspę i powie im, by byli ostrożniejsi! No i potrzebuję tu jakichś tłumaczy.

Zawahałam się chwilę, po czym podeszłam do mężczyzny.

– Czy pójdzie pan ze mną, panie Gwynn?

Ani nie odpowiedział, ani nie ruszył głową na potwierdzenie. Zrobiłam kilka kroków w stronę drzwi, a on podążył za mną, ale tylko wzrokiem.

– Proszę ze mną.

Pan Gwynn odwrócił się i ruszył w moją stronę. Tuż za nami pani Crowley wywołała kolejną osobę z kolejki. Po drodze sięgnęłam po moją pelerynę zawieszoną na wieszaku, bo dzień był nietypowo chłodny. Gdy narzuciłam ją sobie na ramiona, Andrew Gwynn stał

w drzwiach, przytrzymując je dla mnie.

– Dziękuję.

Skinął głową.

Szliśmy po schodach w tej bryzie późnego lata bez słowa. Po kilku krokach na cementowej ścieżce, prowadzącej do budynków oddziałów kwarantannowych, ciężar ciszy okazał się dla mnie zbyt silny. Musiałam ją czymś wypełnić.

– Bardzo mi przykro z powodu pana żony.

Patrzył na mnie w milczeniu.

– Nie mówię w języku walijskim, znam tylko trochę francuskiego. I to naprawdę niewiele. Moi rodzice wyemigrowali tutaj przed moimi narodzinami. Ojciec jest Irlandczykiem, a matka Francuzką. Spotkali się na statku, którym płynęli.

Znów spuścił wzrok, poprawiając trzymaną pod pachą teczkę.

Znajdowaliśmy się teraz blisko skupiska oddziałów kwarantannowych na samym końcu trzeciej z wysp. Nie było powodu, bym wchodziła na teren, gdzie szkarlatyna, tyfus czy cholera szalały niczym demony. Kiedy nie miałyśmy tam po co zaglądać, nie robiłyśmy tego. Na oddziale takim miałam mieć dyżur za trzy dni.

Kiedy doszliśmy do drzwi oddziału K, zatrzymałam się i podałam panu Gwynnowi dokumenty.

– Proszę wejść i dać to pielęgniarce, która siedzi przy stole. Czy to jasne?

Nie odpowiedział.

– Panie Gwynn?

– Tak, panno Wood.

Staliśmy i patrzyliśmy się na siebie. Wiedziałałam już, że zrozumiał wszystko, co do niego powiedziałam. I wszystko, co powiedziała pani Crowley, w tym moje nazwisko. To szok i rozpacz odebrały mu mowę. Przypominał mi mnie samą w dniu pożaru, kiedy żaden język nie mógł wyrazić tego, co czułam w środku. Ledwie opanowałam chęć wyciągnięcia ręki i dotknięcia mężczyzny.

– Czy da pan sobie radę, panie Gwynn? – spytałam jednak.

Patrzył na murowany front oddziału K.

– Nie wiem.

Musiałam wracać, mimo wszystko postanowiłam zostać chwilę dłużej w tej małej przestrzeni, którą dzieliliśmy.

– Czy mogę zrobić dla pana coś jeszcze?

Odwrócił się do mnie twarzą.

– Chciałbym dostać mój kufer, jeśli można.

Ten moment zrozumienia między nami delikatnie wyparował i po chwili ciszy z moich ust padła odpowiedź, jaką miałam serwować, kiedy imigranci z kwarantanny prosili o swój bagaż.

– Pana kufer będzie na pana czekał w bagażowni na głównej wyspie. Będzie pan mógł go odebrać po opuszczeniu szpitala.

– Chciałbym go mieć teraz. Proszę.

Jego oczy były ospałe, a ton grzeczny, lecz pod fasadą uprzejmości krył się rys rozpaczy.

– Przykro mi. Nie pozwolą panu go tu trzymać, panie Gwynn. Nie na oddziale

kwarantanny.

Moje słowa sprawiły, że Andrew zamknął oczy, jakbym sypnęła w nie piaskiem.

– Muszę mieć książkę z wykrojami mojego ojca – odparł. – Nie mam nic poza tym.

Potrzebuję książki z wykrojami mojego ojca.

– Książki z wykrojami?

– Był krawcem i ja nim jestem. Ta książka to wszystko, co mi zostało. Błagam. Jeśli kufer zostanie skradziony, pozostanę z niczym.

Otworzył oczy, które lśniły determinacją.

– Pomieszczenie z bagażami jest dosyć bezpieczne, panie Gwynn.

Widziałam jednak, że mi nie wierzył. Zresztą, nie było powodu, by dał mi wiarę moim słowom. Tam, gdzie zatrzymywano ludzi w setkach dziennie, bagażownia była ruchliwym i zatłoczonym miejscem. Nie chciałabym, by cokolwiek, co dla mnie cenne, przebywało tam dłużej niż jeden dzień.

Jego ogromna strata okazała się dla mnie zbyt wielką. Andrew pozostawił swoją ojczyznę daleko za sobą, jego żona nie żyła, a on miał właśnie wejść na oddział kwarantanny dla chorych na szkarlatynę. Bóg jeden wiedział, jak długo tam zabawi. Jedyne, co mu pozostało, to jego smutek i ten kufer. Znajdował się, podobnie jak ja, w zawieszaniu między wczoraj a jutrem, tyle że jego położenie było znacznie gorsze. Wiedziałam, że jeżeli poproszę o zgodę na wyjęcie książki z wykrojami dla Andrew, nie otrzymam takiego pozwolenia. Takie wykroje nie były potrzebne choremu człowiekowi. A zdrowy miał odzyskać je w posiadanie w ciągu tygodnia.

Wiedziałam też, że musiałam spróbować.

– Nie mogę panu przynieść kufra, panie Gwynn. Nikt mi na to nie pozwoli. Ale spróbuję uzyskać dla pana tę książkę z wykrojami. Będę potrzebowała pana bileciku od bagażu. Czy jest do tego jakiś klucz?

Część jego strachu zdawała się ulotnić. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął zwiniętą kartkę z numerami bagażu swojego oraz żony. Dał mi też dwa klucze, wiszące na sznurku zrobionym ze sznurówki obuwia.

– Leży na wierzchu, przykryty warstwą płótna.

Wzięłam od niego klucz oraz kartkę i wsunęłam je do kieszeni fartucha.

– Dziękuję, panno Wood – wymamrotał. Dostrzegłam cień uśmiechu wdzięczności na jego twarzy.

– Mogę jedynie spróbować, panie Gwynn. Być może wrócę do pana z pustymi rękoma.

Skinął głową i na jego twarz wrócił wyraz osłupienia i oszołomienia, jakby w każdej

chwili mógł przebudzić się ze snu, bo to nie mogło dziać się naprawdę.

Zastanawiałam się, czy miał jakąś rodzinę tutaj, w Ameryce, która na niego czekała.

– Czy chce pan, bym się z kimś skontaktowała? Czy ktoś czeka na pana na brzegu? –

spytałam.

– Tak, mój brat, Nigel, oraz jego żona. Mieszkają w Nowym Jorku, w Greenwich Village.

– Czy mam posłać im wiadomość, że pan... gdzie pan jest?

– Nadałem do nich telegram dzisiejszego ranka. Ze statku.

Wyjrzał w kierunku portu znajdującego się za nami.

– To dobrze.

Nie wiedziałam, co jeszcze powinnam powiedzieć. Andrew nie opuszczał mnie, by udać się do budynku. Zdawał się skupiony na jakiejś całkowicie nowej myśli.

– Nie uwierzy mi.

– Przepraszam?

Odwrócił się do mnie twarzą, jakby zaskoczony, że go usłyszałam.

– Ożeniłem się zaledwie tydzień temu, a przed ślubem znałem Lily tylko dwanaście dni. –

Potrząsnął głową, wpatrując się w dal. – Nigel będzie mnie miał za głupca – rzekł, a lekki sierpniowy wiatr porwał jego słowa i poniósł w dal.

Przed oczami ujrzałam Edwarda, podającego mi parasolkę. Wokół poczułam zapach herbaty earl grey i ciasta makaronowego. Wiedziałam, jak szybko serce może dla kogoś zabić.

Poczułam ukłucie bólu i wzdrygnęłam się.

– Nie uważam, że jest pan głupcem – powiedziałam.

Szalik kłębił się między nami, miękki i chętny do płasania w rytm wiatru. Mój węch wychwycił jego delikatną i słodką woń. W świetle słońca kolor ten przypominał mniej płomień, a raczej rój motyli monarchów1.

Dostrzegłam kaskady opadających nagietków, rozproszonych na całej tkaninie.

Andrew złapał oba końce i wygładził je na swojej piersi.

Gdyby tylko pani Crowley wiedziała, że szalik należał do jego zmarłej żony,

najprawdopodobniej nalegałyby, aby zabrać go i zutylizować.

Pan Gwynn zdawał się zorientować, że wpatrywałam się w ten element jego ubioru, wyciągając jednocześnie oczywiste wnioski. Spojrzał na szalik, po czym prędko włożył go do kieszeni swojego płaszcza.

– Dziękuję za pani pomoc, panno Wood – powiedział.

Potem otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął je za sobą.

1. Nazwa motyla wędrownego, którego górne skrzydła są barwy płowej pomarańczy, a ich krawędzie czarne.

Rozdział czwarty

Mój ojciec mawiał, że byłam dobrą pielęgniarką, bo nie wpadałam w panikę. Zarówno moja mama, jak i Henrietta mogły zamiatać w jego gabinecie, zawijać bandażę i dostarczać lekarstwa tym, którzy nie mogli dostać się do miasta. Żadna jednak nie potrafiła tak jak ja pomóc mu w trakcie operacji. Myślę, że zdziwiło go, że tuż po ukończeniu liceum nie wybrałam nauki w szkole dla pielęgniarek. Nie spieszyło mi się, by oficjalnie nauczyć się tego, co nieoficjalnie już umiałam. Zostałam w praktyce ojca, pracując u jego boku i rozmyślając, co mogę zrobić ze swoim życiem, podczas gdy moje koleżanki z dzieciństwa wychodziły za mąż lub wybierały szkoły dla przyszłych nauczycielek. Ja chciałam wyjechać do miasta. Małżeństwo z pensylwańskim farmerem nie było do niego drogą, a kolegia nauczycielskie nie przyciągały mojej uwagi. W myśli, że łatwo byłoby znaleźć pracę pielęgniarki na Manhattanie, istniało pewne pocieszenie. Mnie natomiast nie pociągał żaden inny zawód, pomimo mojego zamiłowania do kolorów. Nie malowałam ani nie układałam kwiatów, a haft na kanwie czy szycie nudziły mnie. Świat stanowił ogromne, tętniące energią miejsce. Pomimo mojego skromnego doświadczenia życia na prowincji, wiedziałam, że tak jest. Chciałam poznać ten świat w całej jego kolorowej żywotności. To Nowy Jork miał się nim stać.

Kiedy zastanawiałam się nad tym, co mi odebrano, na myśl przyszła mi dodatkowa strata.

Płomienie okradły mnie z przyszłości u boku Edwarda, tego byłam pewna, ale zabrały mi też bliskość tego, co dzikie i wspaniałe. Szpital był ruchliwym miejscem, daleko mu było do dzikości czy tym bardziej wspaniałości. Stanowił stabilne miejsce, gdzie szumiały dziesiątki tysięcy nieznanych mi słów. I nawet pomimo widma chorób, był niezwykle ospałym miejscem. To, co straciłam, widziałam jedynie, kiedy śniłam w nocy. Na tym spokojnym kawałku ziemi, otoczonym wodą, nie dostrzegałam tego.

Gdy opuszczałam oddział K z kluczami do kufra Andrew Gwynna i jego bilecikiem w kieszeni fartucha, cieszyłam się, że pani Crowley wysłała mnie abym rozejrzała się za dodatkowymi tłumaczami. Dawało mi to wiarygodny powód, bym mogła udać się na główną wyspę, choć wątpiłam, że uzyskamy więcej tłumaczy. Jeżeli wyspa była pełna ludzi, jak mówiono nam przy śniadaniu, wszyscy oni byli potrzebni w głównej hali.

Idąc przez siedzibę przewoźnika do głównego budynku kontroli imigrantów, widziałam jeszcze więcej niedołączonych i podejrzanych osób. Z niektórymi nawiązałam kontakt wzrokowy.

Zdawali się zadawać mi nieme pytania o to, dlaczego osoby z medycznej inspekcji tak stanowczo upierały się, że nie byli oni zdrowi na tyle, by gonić za swoimi marzeniami. Spuściłam głowę i przyspieszyłam kroku. Po drodze natykałam się jednak na coraz więcej ludzi – nowo przybyłych lub tych, którzy właśnie opuszczali Ellis. Kiedy przeszłam przez budynek, byłam już na głównej wyspie.

Centrum kontroli imigracyjnej zajmowało okazałą część lądu i zbudowane było na planie prostokąta. Uwielbiałam jego czerwone cegły, wapienne kremowe wykończenie czy małe wieżyczki z ich kopułami. Zostało ono zaprojektowane we francuskim neorenesansowym stylu, przez co zastanawiałam się, co myśleli sobie Europejczycy, kiedy na nie patrzyli. Czy sprawiało, że czuli się jak u siebie w domu, a może denerwowali się nieco, że ich pierwsze wrażenie związane z Ameryką nie różniło się tak bardzo od tego, co pozostawili za sobą?

Główny budynek wciąż pachniał i wyglądał na nowy. Pierwsza baza spłonęła doszczętnie ponad dziesięć lat wcześniej, co zresztą zauważyłam. Pierwotny budynek wykonano całkowicie z drewna. Nowe budowle na Ellis zbudowano z kamienia i cegły. Po pożarze nie pozostał nawet ślad.

Wchodząc do środka, napotkałam bardzo zaludnione, pełne energii miejsce. Jak podejrzewałam, w stacjach inspekcyjnych doskwierał ogromny brak tłumaczy. Udało mi się przekonać kogoś z hebrajskiego towarzystwa pomocy imigrantom, by przyszedł do szpitala później. Mówiąca po niemiecku pielęgniarka, która pomagała lekarzom przy badaniach, obiecała przybyć późnym popołudniem, lecz inne nie mogły się do tego zobowiązać. Kiedy załatwiłam tę sprawę, wyruszyłam zająć się drugą.

Miałam świadomość, że w bagażowni będzie panował zgiełk. W te dni, gdy przyływało wiele statków, kufry i walizki przywożono i zabierano aż do zapadnięcia nocy. To mogło zadziałać na moją korzyść, ale istniała też możliwość, że pokrzyżuje moje plany. Jeśli tragarze będą zbyt zajęci, by mnie obsłużyć, wrócę na wyspę z pustymi rękoma. Gdyby zaś nie mieli czasu zastanawiać się nad moją prośbą i pozwolili mi po prostu przeszukać bagaż, mogłabym zabrać książkę wykrojów Andrew i zarówno wejść, jak i wyjść niezauważona.

Kiedy znalazłam się już w budynku, gdzie mieściła się bagażownia i pokoje sypialniane za główną bazą, przeprosiłam innych i stanęłam z przodu kolejki. Wydawanie bagażu przebiegało w dosyć jednostajnym tempie, a recepcja była pełna ludzi, nie panował tam jednak chaos. Spojrzałam na bagażowego, który wydawał się młody i niedoświadczony w swojej pracy.

Zauważyłam chłopaka w wieku nie więcej niż szesnaście lat, tak przynajmniej mi się wydawało.

Wręczyłam mu bilecik bagażu Andrew.

– W szpitalu mamy pacjenta, który potrzebuje czegoś ze swojego kufra – powiedziałam. –

To ważne.

Młody człowiek miał niepewny wyraz twarzy. Z pewnością powiedziano mu, że bagaże są tutaj przynoszone i stąd zabierane. Nie byłam ani portierem, który sprawdzał ich zawartość, ani imigrantem, który bagaż odbierał.

Poprawiłam mój czepek pielęgniarki, chcąc zwrócić uwagę na uniform, który miałam na sobie.

– To ważne – powtórzyłam.

– Nie jestem pewien, czy...

– Pan Gwynn, mężczyzna, o którym mówię, przybył tutaj dzisiejszego poranka.

Przyszedłby po swój bagaż osobiście, ale przebywa na kwarantannie. Nie powinno być problemu ze znalezieniem tego przedmiotu. Dopiero co przyjechał. Mam kluczyk – przerwałam mu.

Pozostali pracownicy byli zajęci, a ja widziałam, że młodzieniec obawia się zapytać ich, co zrobić z moją sprawą. Muszę przyznać, że zagrałam na jego strachu.

– Czy wie pan, jak ma wykonywać swoją pracę? A może mam panu przypomnieć?

Żrenice jego oczu rozszerzyły się i widziałam już, że wygrałam.

– Naturalnie, panienko.

Młody mężczyzna zniknął wśród długich rzędów kufrów, pudeł i walizek. Z odległości kilku metrów przyglądałam się, jak sprawdzał zgodność z zapisem w karcie dwóch bagaży, które stały u jego stóp. Najwyraźniej usiłował ustalić, którego z kufrów państwa Gwynnów potrzebuję.

Nie ulegało wątpliwości, że ten należący do Lily również znajdował się wśród tymczasowo przechowywanych bagaży z Sewilli.

– Proszę przynieść oba kufrы – rzuciłam do niego. Zdumiony, spojrział na mnie, a ja się uśmiechnęłam.

– Proszę przynieść oba bagaże. Ma pan tu wiele do zrobienia. Znajdę to, czego potrzebuje pan Gwynn.

Chłopak skinął głową i umieścił oba kufrы, spośród których jeden był znacznie mniejszy, na wózku transportowym i popchnął je w moim kierunku. Parę chwil później został wezwany,

gdyż do pomieszczenia wwożono właśnie świeżą dostawę bagaży, przy których musiał pomóc.

– Dziękuję panu. Kiedy skończę, zostawię je tutaj i będzie je mógł pan od razu odłożyć.

Widzę, że ma pan dużo pracy.

Wyciągnęłam dłoń po bilecik z numerem nadania bagażu.

– Tak, panienko.

Młodzieniec przyniósł oba kufrы, oddał mi kartkę i odjechał z wózkiem. Ja natomiast szybko uklękłam przy mniejszym z bagaży, sądząc, że należy do Andrew. Użyłam pierwszego z kluczy, ale zamek się nie otwierał. Kiedy spróbowałam drugim, zatrask puścił. Chcąc zabrać książkę z wykrojami i oddalić się jak najszybciej, otworzyłam kufer, ale kiedy podniosłam wieko, zorientowałam się, że należał on do Lily. Wewnątrz znajdował się bezładny

stos kobiecych ubrań, rękawiczek, kilka kuferków z biżuterią, żółty kapelusz oraz para miodowo-brązowych butów. Przez chwilę po prostu siedziałam i wpatrywałam się w to spektrum barw, które stanowiło jej życie. Taki niewielki kufer. Tylko kilka drobiazgów. I wyglądało na to, że pakowała się w pośpiechu. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam powodów, aby przeglądać zawartość kufra Lily Gwynn. Miałam już zatrzasać wieko, kiedy w oczy rzuciła mi się cienka książka z wystającymi z niej kartkami. Znajdowała się tuż pod rękawiczkami. Chwyciłam ją i zauważyłam, że był to tomik poezji Johna Keatsa. Jej stan wskazywał na to, że musiała być często czytana. Jej grzbiet prawie odpadał, a okładka była zużyta.

Nie ulegało wątpliwości, że ta niewielka książeczka wiele znaczyła dla Lily.

Wyciągnęłam tomik spod rękawiczek, położyłam go na kolanach i zatrzasałam wieko kufra.

Być może Andrew spędzi długie dwa, trzy lub więcej tygodni, walcząc z tą samą chorobą, która zabiła jego świeżo poślubioną żonę. Pewnie będzie chciał mieć jej ulubiony tomik poezji przy łóżku. Gdybym była na jego miejscu, niczego bardziej bym nie pragnęła. Przyniosę mu go.

A nawet poczytam dla niego, jeśli sobie tego zażyczy.

Sięgnęłam po drugi z kufrów i otworzyłam go. Książkę z wykrojami przykryto krótkim kawałkiem płótna tak, jak powiedział Andrew. Była gruba i nieporęczna. Położyłam ją na podłodze, zamykając wieko drugiego kufra. Sięgnęłam po tomik oraz książkę z wykrojami i wstałam.

W miejscu, gdzie układano bagaże rząd po rzędzie, panował teraz duży gwar.

Odszukałam młodego chłopaka, którego w pewien sposób oszukałam, by mi pomógł.

– Skończyłam – zawołałam do niego.

Miał zaróżowione policzki, a na jego czole pojawiła się stróżka potu. Wraz z kolegą właśnie taszczył na miejsce wielką skrzynię. Kiwnął do mnie głową. Odwracając się, by wyjść, usłyszałam, jak ten drugi pyta go:

– Co ona tu robi?

Przyspieszyłam kroku i wyszłam. Przycisnęłam obie książki mocno do piersi

i wkroczyłam w tłum ludzi, chcąc jak najszybciej w nim zniknąć, na wypadek gdyby ktokolwiek z przełożonych w bagażowni miał jakieś

pytania do młodego człowieka. Ruszyłam do siedziby przewoźnika i w kierunku zewnętrznego korytarza przez dwa budynki na trzecią wyspę.

Dochodziło południe i panujący wszędzie typowy gwar ucichł, bo wielu z przybyszy przeniosło się na stołówkę, by zjeść obiad. Ja także miałam niebawem mieć przerwę, musiałam jednak bezpiecznie schować książki w moim pokoju. Dopiero po zakończeniu zmiany mogłam spokojnie dostarczyć je Andrew.

Gdy dotarłam na trzecią wyspę, szybko skręciłam w lewo w pierwszą wylaną betonem dróżkę prowadzącą do kwater pielęgniarek. W budynku było cicho i pusto. Osoby, które pracowały nocami, właśnie spały, a te z nas, których zmiany przewidziano na pory dzienne, przebywały na oddziałach. Ruszyłam w stronę pokoju, który dzieliłam z Dolly, i weszłam do

środku. Skierowałam się prosto do mojego łóżka, pod które chciałam ukryć obie książki.

Kiedy klękałam, nieporęczna przez swój ciężar książka z wykrojami zaczęła mi się wymykać i częściowo wydostała się z płóciennej oprawy. Wyciągnęłam rękę, by ją złapać, i wówczas tomik poezji wyslizgnął się z mych rąk, upadając na podłogę i uwalniając różne, luźno ułożone w nim dokumenty. Poprawiłam oprawę książki z wykrojami i wsunęłam ją pod łóżko, po czym sięgnęłam po tomik, a papiery Lily Gwynn zgięły się w środku.

Doprawdy nie było moim zamiarem przeglądanie ich. Chciałam jedynie odłożyć je tam, gdzie umieściła je Lily. Kiedy jednak podniosłam pierwszą z kartek, rzucił mi się w oczy tytuł: AKT UNIEWAŻNIENIA MAŁŻEŃSTWA

Dwa wydrukowane na nim nazwiska brzmiały: Lily Kerani Gwynn oraz Andrew Paul Gwynn. W końcowej części aktu Lily podpisała się już pod swoim nazwiskiem, ale pole przeznaczone na podpis Andrew pozostawało puste.

Druga kartka była napisanym odręcznie listem. Choć starałam się odwrócić wzrok, to jednak mimowolnie powracał on do pierwszej linijki tekstu.

Drogi Andrew,

Mam nadzieję, że pewnego dnia zdołasz mi wybaczyć...

Rozdział piąty

Każda cząstka mego ciała mówiła mi, że nie powinnam czytać tego listu. Przyzwoitość nakazywała mi odłożyć go na miejsce, do wnętrza książki, jednak nieposkromiona ciekawość zwyciężyła.

Mój ojciec powiedział mi kiedyś, że gdy przychodzi czas narodzin dziecka, nic nie może zatrzymać tego procesu. Coś wewnątrz ciała matki, nad czym nie może ona zapanować, po prostu decyduje o tym, że ma ono opuścić jej łono. Być może sama matka wolałaby poczekać na nadejście lekarza, ustanie śnieżycy, wzejście słońca czy powrót swojego męża. Nie może jednak zaciągnąć lewarka i powstrzymać dziecko przed przyjściem na świat. Ono po prostu się rodzi.

Raz czy dwa pomagałam ojcu przy porodach i mogę to potwierdzić. Pewnych rzeczy nie można zatrzymać, nawet jeśli się tego pragnie.

Ja nie mogłam przestać czytać listu, choć kiedy moje oczy chłonęły jego treść, policzki ze wstydu zalewał szkarłat.

Drogi Andrew,

Mam nadzieję, że pewnego dnia zdołasz mi wybaczyć.

Proszę cię, nie szukaj mnie. Nie jestem tego warta i nie chcę, byś to robił. Pragnę natomiast, byś zapomniał, że mnie kiedykolwiek poznałeś.

Od początku planowałam zniknąć, jak tylko przybędziemy z naszymi bagażami do domu twojego brata. Od dnia, kiedy Cię poznałam, planowałam pobiec za wynajętą taksówką w poszukiwaniu pozostawionej w niej rękawiczki. Chciałam znaleźć na ulicy kogoś, kto przekaże ci informację, byś zajrzał do mojego kufra, gdzie wiedziałam, że odnajdziesz ten tomik. Taki miałam plan, jeszcze zanim poznałam Twoje imię, drogi Andrew. Dlatego też w tej chwili czytasz ten list.

Nie jestem tym, kim myślisz.

Podpisałam akt unieważnienia małżeństwa, abyś nie miał problemów, ale tak naprawdę wierzę, że nie będziesz go potrzebował. W rzeczywistości nie jesteśmy małżeństwem, bo przed poślubieniem Ciebie, byłam już czyjąś żoną. On nazywa się Angus Ravenhouse i jest potworem.

Musisz wiedzieć, że bestia, do której poślubienia mnie zmuszono, ukradła mi wszystko, kiedy zmarł mój ojciec – moje życie, dobre imię mojego ojca oraz pozostawiony przez niego majątek. Nie kocham Angusa. Wyszedłam za niego pół roku temu, aby ochronić moją matkę przed ruiną i rozpaczą, ale ona i tak zmarła kilka tygodni później, bo miała złamane serce. Wiedząc, że jest bezpieczna w niebie, nic już nie trzyma mnie dłużej w

tym więzieniu, jakim jest tamto małżeństwo. Ucieczka od Angusa to mój jedyny cel. Musiałam opuścić Anglię tak, by nie mógł

mnie namierzyć i dostać się do Ameryki, gdzie jego pieniądze i wpływy nie mają żadnego znaczenia. Potrzebne mi było inne nazwisko, by to należące do Lily Ravenhouse nie widniało w spisie pasażerów. Jest tak niewiele sposobów, by otrzymać nowe nazwisko...

Uciekłam z Londynu do Liverpoolu dwa miesiące temu przepelniona ogromną nadzieją, że poznam kogoś, kto będzie mógł mi pomóc. Wiedziałam doskonale, że tylko podstępem będę mogła tę pomoc otrzymać. Nie miałam czasu, byś mnie poznał, choć kiedy spotkałam Cię na ulicy w dniu, gdy otrzymałeś list od swojego brata, wiedziałam od razu, że masz dobre serce.

Musiałam być z Tobą na statku jako Twoja żona nosząca Twoje nazwisko. A Ty wyjeżdżałeś tak niedługo. Dlatego pozwoliłam Ci uwierzyć, że zakochałam się w Tobie w ciągu tych kilku dni, i miałam głęboką nadzieję, że Ty nie uznasz tego za niewiarygodne. Nie mogłam wówczas być wobec Ciebie uczciwa tak, jak na to zasługujesz. Jestem jednak w tej chwili.

Nigdy nie chciałam Cię skrzywdzić. Przysięgam Ci przed Bogiem, że to prawda.

Zasługujesz na kogoś, kto Cię pokocha tak, jak mężczyzna powinien być kochany. Nie jestem tą osobą.

Wyruszam na Zachód i proszę Cię, byś o mnie nie pytał, choć wątpię, byś zamierzał.

W tym kufrze nie pozostało nic, czego potrzebuję. Z jego zawartością możesz zrobić, co będziesz chciał. Jeśli to pomoże Ci o mnie zapomnieć, spal ją.

Proszę Cię jednak, byś nie nienawidził mnie zbyt długo. Żyłam z nienawiścią przez długich sześć miesięcy. Ona jest jak trucizna, czarna jak smoła i zbyt niebezpieczna, by ją żywić.

Jestem i zawsze będę Twoją dłużniczką.

Lily Broadman Ravenhouse

Kiedy skończyłam czytać, tomik poezji leżał otwarty na moich kolanach, a akt unieważnienia małżeństwa spoczywał na jego stronach. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz; potworne uczucie chłodu zakradło się i otuliło mnie niczym płaszcz. Cienki papier, na którym napisano list, wydawał lekki dźwięk, który przypominał mi o tym, że trzymałam go w ręce.

Ciężar wiedzy, jaką teraz posiadałam, wbił mnie w podłogę. W moim umyśle widziałam, jak Lily chciała rozegrać swój plan działania. Najpierw mieli dobić z Andrew do nowojorskiego portu, a potem z bagażami na wyspę Ellis. Następnie przeszliby przez inspekcję dla imigrantów.

Promem udaliby się na Manhattan, na nabrzeżu zaś spotkaliby się z bratem Andrew. Wynajęliby taksówkę i wpakowali do niej swoje kufry. Przybyliby na miejsce do domu jej szwagra i wyładowali kufry. Lily wróciłaby na ulicę po utraconą rękawiczkę, licząc na to, że Andrew i jego brat byliby zajęci wypakowywaniem kufrów. Kobieta zapłaciłaby żebracze albo młodemu chłopakowi, by przekazali mężczyźnie w czarnym, filcowanym kapeluszu wiadomość, kiedy ten wyjdzie z budynku. Weszłaby do taksówki po rękawiczkę, ale zamiast tego zapłaciłaby kierowcy, by pospieszył na dworzec kolejowy.

Kiedy kufry znalazłyby się w końcu w mieszkaniu, Andrew zacząłby szukać Lily.

Wybiegłby na zewnątrz, ale ani po niej, ani po taksówce nie pozostałby ślad. Mężczyzna zacząłby rozglądać się wokół, być może wołając imię żony. Następnie opłacony posłaniec podszedłby do niego, mówiąc, że ma wiadomość od kobiety z pomarańczowym szalem. „Proszę zajrzeć do jej kufra”.

Początkowo Andrew nie dałby wiary jego słowom. Zapytałby, dokąd poszła kobieta.

Posłaniec wzruszyłby ramionami i powtórzył treść wiadomości.

Andrew schyliłby się, chwycił

chłopca za ramiona albo spojrzał głęboko w oczy żebraczki.

– Dokąd poszła? – zapytałby.

– Wsiadła do taksówki – odparłby rozmówca.

– Jak to wsiadła do taksówki?

Wtedy wysłannik Lily wskazałby na ruchliwą ulicę.

– Wsiadła do taksówki.

Andrew popędziłby do mieszkania brata. Zacząłby szperać w poszukiwaniu klucza do bagażu. Być może zasugerowałby bratu, by wezwać policję. Na kolanach chyliłby się przy kufrze Lily, a jego palce trzęsłyby się podczas wkładania klucza do zamka. Nie wiedziałby, czego ma szukać. Jak dużo czasu potrzebowałby na znalezienie listu wewnątrz tomiku poezji? Dwóch minut? Pięciu? A może więcej? W końcu by go

odszukał, a następnie przeczytał, chłonąc z uwagą każde słowo. Wiele minut odmierzyłby zegar, tykając na znak mijającego czasu.

A jej już by nie było.

Nie wiem, jak długo siedziałam, wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby Lily nie zaraziła się chorobą.

W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że nie mogłam dalej trwać w tym stanie

zawieszenia. Nie miałam po co zabierać tego tomiku. Andrew nie prosił mnie o cokolwiek z kufra Lily. To moje własne samolubne pragnienie, by ulżyć jego rozpaczcy sprawiło, że zabrałam książkę, by zanieść ją Andrew. Chciałam nawet czytać mu na głos te wiersze, chcąc pokazać, jaką wspaniałą opiekunką jestem. Mój własny głód, by coś znaczyć, sprawił, że wzięłam tomik, bo chciałam być aniołem miłosierdzia, który pomoże Andrew znaleźć jego drogę z jego przestrzeni zawieszenia.

Nigdy nie powinnam była brać tej książki.

Złożyłam list i włożyłam go na miejsce wraz z aktem unieważnienia małżeństwa.

Musiałam odłożyć tomik na miejsce, gdzie miał on odegrać swoją rolę. Skrzywiłam się na myśl o Andrew czytającym ten list, kiedy w końcu dotarłby do mieszkania brata. Okrucieństwo tego faktu było nie do przyjęcia, szczególnie w stosunku do rozpaczającego człowieka. Ale jasnym było, że to nie ja powinnam decydować o przeznaczeniu tego listu. Zostało już postanowione, że Andrew ma go znaleźć.

Wstałam ze świadomością, że gdybym została i dalej nad tym rozważała, porwałabym ten straszny list na strzępy. „Nie mam prawa o tym decydować”, wyszeptałam na głos, wrzucając tomik z powrotem do kieszeni fartucha i upewniając się, że mam klucze do bagażu, bym mogła go zwrócić tam, gdzie jego miejsce. Nie mam prawa.

Kiedy udawałam się na zewnątrz, w holu budynku sypialnianego było wciąż cicho.

Kroczyłam w kierunku korytarza, prowadzącego do siedziby przewoźnika. Kończyła się pora obiadowa i budynek na powrót zaczynał tętnić życiem; wszędzie roiło się od nowych przybyszów i tych, którzy przeszli przez badania i czekali na promy mające zabrać ich na brzeg.

Przyspieszyłam kroku i do budynku z bagażami dotarłam ledwo łapiąc oddech. Było tam wiele ludzi jak wcześniej, a być może nawet więcej.

Przedarłam się naprzód i z rozczarowaniem odkryłam, że kufer Lily został już odłożony na miejsce. Ten należący do Andrew wciąż tam stał.

Zacząłam szukać chłopca, który wcześniej mi pomógł. Zauważyłam go składującego skrzynki przy odległej ścianie. Zawołałam go. Podszedł do mnie szybko, jakby chcąc mnie uciszyć.

– Nie wolno pani otwierać niczyjego bagażu. Tutaj się tego nie robi. My jedynie go przechowujemy.

W trakcie mojej nieobecności poprosił o wyjaśnienia. I powiedziano mu prawdę.

– Obiecuję, że więcej nie będę o to prosić. Przysięgam – powiedziałam.

– Muszę tylko wiedzieć, gdzie zabrano ten mały kufer. Duży, należący do pana Gwynna, stoi tam, gdzie go zostawiłam. Ale nie ma małego. Muszę wiedzieć, gdzie jest.

– Zabrali go.

– Kto taki?

– Nie wiem. Inspektorzy. Mieli go na swojej liście.

– Co masz na myśli? Na jakiej liście?

Już jednak wypowiadając te słowa, odczułam przeszywający dreszcz lęku. Zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć na moje pytanie, ja już wiedziałam, na jakiego rodzaju liście znalazł się kufer Lily. W tej samej chwili było dla mnie jasne, dlaczego inspekcja go zabrała.

– Na statku, z którego pochodził ten kufer, szalała śmiertelna choroba. Nie wiadomo, który z pasażerów zachorował jako pierwszy. Wszystkie bagaże chorych zostały zabrane.

Były to bagaże ofiar śmiertelnych.

Kufer Lily powędrował do pieca, gdzie miał zostać spalony.

Nie mogłam już odłożyć do niego listu. Tam, gdzie było jego miejsce.

Wybiegłam z pomieszczenia, przytrzymując dłońią książkę w kieszeni, podczas gdy brzegi listu Lily marszczyły się pod moimi palcami.

Rozdział szósty

Szkarlatyna rozpoczyna spustoszenie w organizmie człowieka, zanim zdąży on zauważyć jej obecność. Groźna bakteria, zbyt mała, by dostrzec ją gołym okiem, przedostaje się do ciała z miejsca narażenia, jakiego nie jest się nawet świadomym. Kiedy już trafi do wewnątrz, zaczyna atakować. Tylko taki ma cel. Najpierw chorego boli gardło, ale to tak, jakby połknął potłuczone szkło. Potem pojawia się tak wysoka gorączka, jakby człowiek gotował się od środka.

Uporczywy ból głowy sprawia, że chory chowa się pod pierzyną, pragnąc po prostu zniknąć, zapaść w sen i przeczekać tym samym, aż choroba minie. Wówczas organizm jest już poważnie zakażony, a każdy, kto zbliża się do nosiciela, musi zasłaniać nos i usta. To wszystko na wypadek, gdyby chory zaczął kaszleć i posłał chorobę drogą kropelkową do powietrza, którym oddycha. Jeśli osoby zajmujące się chorymi nie myją rąk tuż po sprawowaniu opieki, same prędko padają ofiarami szkarlatyny. Podczas gdy chory leży w łóżku, trawiony chorobą, na jego ciele pojawia się gniewna, szkarłatna wysypka: najpierw na klatce piersiowej, potem na ramionach i nogach. Jest tak szorstka w dotyku, jak język kota. Mniej więcej szóstego dnia zaczyna blednąć, a skóra łuszczy się jak po oparzeniu słonecznym. Na języku pojawia się jasny nalot; po zejściu białej warstwy zyskuje on barwę truskawki. To dobra wiadomość, bo oznacza, że prawdopodobnie chory wyzdrowieje.

Lecz jeżeli bakteria ta atakuje na pokładzie rozkołysanego statku na Atlantyku, przemieszcza się swobodnie niczym dziki żreback, zbierając duszę po duszy. Nie ma tam lekarza czy pielęgniarki, którzy natrą rozgrzane gorączką ciało chorego olejkami czy ulżą poczerwieniałym kończynom, sprawiając im kąpiel w sodzie.

A jeśli infekcja znajdzie drogę do krwiobiegu chorego, jeżeli dostanie się do serca –

wtedy dojdzie do ogólnego zakażenia ustroju lub zapalenia opon mózgowych. Gdy to nastąpi, nie ma już nadziei. Ulgę można znaleźć tylko w niebie.

Bakterie są tak małe, tak ciche i nie sposób zobaczyć, gdzie się zaczęły. Czy są na ubraniach zmarłych? Czy czyhają na ich pościeli? A może czekają w czymś bagażu?

Kiedy na jednym statku zaraza zabija trzynaście osób, odpowiedź na te pytania jest zawsze niezmienna. Istnieje tylko jeden sposób, by upewnić się, że choroba nie przygotowuje się do ataku z rzeczy należących do zmarłych na ludzi, którzy witają na brzegu przybyszy.

Trzeba spalić te rzeczy.

To wszystko trzeba spalić.

Mogłam zanieść tomik i list Lily prosto do pieca do spalania.

Nie sądziłam, by w jej kufrze czaiła się zaraza. Odpowiedzi zrozpaczonego Andrew na pytania pani Crowley upewniły mnie, że Lily zmarła bardzo niedawno. Być może była to kwestia kilku ostatnich dni.

Byłam też pewna, że jej kufer trafił do luku bagażowego z innymi skrzyniami, kiedy opuszczali Liverpool i zanim kobieta zachorowała. Nawet jeżeli otworzyła kufer po tym, jak miała styczność z chorobą, ryzyko zarażenia się praktycznie nie istniało.

Oczywiście inspektorzy na wyspie Ellis nigdy nie zrobiliby czegoś takiego. Ważne było to, że nie miałam się czego obawiać. Tomik znajdujący się w mojej kieszeni nie stanowił wylęgarni choroby.

Kiedy szłam z powrotem przez siedzibę przewoźnika, wyobrażałam sobie, jak płomienie w piecu pochłaniają list Lily, zamieniając w popiół jej przerażające wyznanie. Gdybym najpierw nie natknęła się na jej książkę, tym właśnie by się ono stało.

Gdybym nie igrała z czymś, co mnie nie dotyczyło, Andrew Gwynn na zawsze utraciłby

szansę na poznanie prawdy o obłudzie swojej młodej żony. Całe swoje życie bez względu na to, jak długie by ono nie było, przeżyłby wierząc, że kobieta, którą poślubił krótko po jej poznaniu, go kochała. Myślałby, że aby wyjść za niego i popłynąć z nim do Ameryki, pozostawiła wszystko, co jej znane. W imię miłości.

Teraz jednak nadarzyła się okazja, by poznać prawdę.

Wszystko zależało ode mnie.

Wydawało się, że miałam dwa wyjścia. Mogłam pozbyć się tomiku oraz tego, co w nim znalazłam, i pozwolić Andrew wierzyć, że jego zmarła żona go kochała, albo dać mu list i możliwość rozpaczania z powodu tego, jak okrutnie został oszukany.

Co było gorsze? Oplakiwanie utraty czegoś bez świadomości, że nigdy się tego nie miało? A może rozpacz po stracie tego, co myślało się, że się ma, a co nigdy do nas nie należało?

Pomyślałam o Edwardzie, który przed śmiercią w moich snach pocałował mnie, a na jawie przyciągał moje spojrzenie.

Nie potrafiłam wskazać, co było gorsze.

Nie mogłam zdecydować w tej chwili, co zrobić z listem Lily. Piec z paleniskiem będzie go głodny także innego dnia. Ogień zawsze pożąda tego, co do niego nie należy.

Popędziłam do głównego budynku szpitalnego na trzeciej wyspie. Kończyła się pora obiadowa. Nie było już czasu, bym wróciła do mojej sypialni i zostawiła w niej tomik Lily.

Biegając z powrotem na miejsce, czułam, jak podskakiwał w kieszeni mojego fartucha. Dolly wracała właśnie z jadalni personelu, a ja mało na nią nie wpadłam w głównym korytarzu.

Zmierzyła mnie spojrzeniem, a zauważywszy mój bezdech i konsternację, uniosła brew.

– Gdzieś ty była? Nie widziałam cię w jadalni. Wszystko w porządku? Zmusiłam się do uśmiechu.

– Tak. Miałam sprawę do załatwienia dla pani Crowley.

– Cały ten czas ją załatwiałas? Kiedy przyszłam jeść, pytała o ciebie. Miała nawet kogoś po ciebie posłać.

– Wszystko w porządku – powtórzyłam.

Kiedy ruszyłyśmy przed siebie, dotknęła mojego ramienia.

– Widziałam, jak wcześniej szłaś do pokojów pielęgniarek. Miałam już za tobą pójść, bo myślałam, że źle się czujesz.

Moja ręka instynktownie sięgnęła do kieszeni fartucha, by ją zakryć. Oczy Dolly podążyły za tym ruchem, po czym ponownie skupiły się na mojej twarzy, przyglądając się jej badawczo.

– Wszystko w porządku.

Wymawiając te słowa, po raz trzeci brzmiałam jeszcze mniej wiarygodnie. Dolly, będąc jedyną osobą, która wiedziała, o czym śniłam w nocy, uniosła ponownie brew. Nagle jej zaniepokojenie stało się czymś, czemu mogłam zaufać. Musiałam postanowić, co zrobić z listem, a Dolly nie zadawałaby mi pytań o moje dyskusyjne zachowanie w bagażowni. Mogłam bez przeszkód spytać ją o radę.

– Nie chodzi o mnie, a o mężczyznę, który stracił żonę, płynąc Sewillą. Właśnie się czegoś o niej dowiedziałam. Coś, czego on nie wie.

Oczy Dolly rozszerzały się z ciekawości.

– Tego mężczyznę, którego zaprowadziłaś na oddział K chwilę temu? Skinęłam głową.

– Poprosił, bym wyjęła coś dla niego z jego kufra, a kiedy to zrobiłam...

– Zrobiłaś to?

– Tak. Ten człowiek właśnie stracił żonę. Tak czy inaczej, w ten sposób zobaczyłam...

dowiedziałam się o niej czegoś, czego on z pewnością nie wie.

– A co to takiego? Czego on nie wie?

Od głównej izby przyjęć dzieliło nas zaledwie kilka metrów.

Dostrzegłam krawędź

nakrycia głowy pani Crowley, kiedy siadała przy stole wśród gromady imigrantów w ciemnych okryciach.

– Nie tutaj – szepnęłam. – Powiem ci później. Ale muszę znaleźć sposób, by spotkać się z nim ponownie.

Ona też obniżyła tembr głosu.

– Zamierzasz mu powiedzieć?

– Jeszcze nie wiem, co zrobię.

– Kiedy będziesz miała zmianę na oddziałach?

– Nie wcześniej niż za trzy dni.

Dolly wzruszyła ramionami.

– Niech sam się o tym dowie.

– Tak nigdy się nie stanie, jeśli ja mu tego nie powiem.

Na jej twarzy pojawiło się z wąpnie.

– Dlaczego nie?

Byłyśmy już przy samej recepcji i zamknęłam buzię na kłódkę. Dałam Dolly niemy znak głową i obie kroczyłyśmy już ku rozgniewanej pani Crowley.

Nasz przełożona zwróciła się do mnie.

– Prosiłam panią, by znalazła tłumaczy, a nie udała się do Europy uczyć się języków obcych!

– Bardzo przepraszam, proszę pani.

Kobieta wstała z krzesła.

– Nie jadłam jeszcze obiadu, a tu wciąż jest grupa biednych ludzi z pokładu Sewilli, których trzeba zaprowadzić na oddział K. Jedna z was będzie musiała to zrobić, a druga przejąć moje zadania tutaj do czasu, aż reszta wróci ze stołówki.

– Ja mogę panią zastąpić przy stole, proszę pani – powiedziała Dolly, zanim jeszcze pani Crowley zdążyła skończyć zdanie, po czym usadowiła się na jej krzesło i spojrzała na mnie.

Pani Crowley wręczyła mi niewielki stos kart rejestracyjnych, a ja zwróciłam się ku smutnym współpasażerom rejsu, którym płynął Andrew Gwynn. Było ich może z dwunastu, głównie mężczyźni. Trzy młode kobiety ze zwisającymi z tyłu głowy blond warkoczami trzymały się razem. Dziewczyna w środku wyglądała na nieco bladą i miała nieobecne spojrzenie. Już na tym etapie byłam pewna, że jest chora.

– Mam nadzieję, że podczas swojej przechadzki po Ellis zdążyła pani coś zjeść – rzuciła w moją stronę pani Crowley, przemykając obok mnie.

– Mogę zjeść później.

– Proszę mi tylko powiedzieć, czy to, że tak długo pani nie było, oznacza, że znalazła mi pani tłumaczy? – spytała przez ramię, kiedy już zaczęła iść spokojnym krokiem.

– Niestety, nikogo nie mogli przysłać. Być może znajdzie się ktoś po południu.

Machnęła ręką, nawet się nie odwracając.

Bezgłośnie podziękowałam Dolly i zwróciłam się do grupy ludzi:

– Proszę iść za mną.

Kilka zmieszanych spojrzeń powiedziało mi, że nie wszyscy znali angielski. Ci jednak, którzy rozumieli, co do nich mówiłam, podnieśli swoje torby i skierowali się, by pójść w moją stronę. Inni podążyli za nimi. Razem zaczęliśmy cicho kroczyć ku oddziałom kwarantanny.

Tym razem zaprowadziłam niewielką grupę na oddział, by pomóc przy niej pracującym

tam pielęgniarkom. Miałam świadomość, że prawdopodobnie Dolly potrzebowała mnie na izbie przyjęć, lecz wiedziałam też, że sama celowo pomogła mi uszczknąć tych kilka chwil. Kiedy tylko nowi pacjenci trafili na oddziały, udało mi się uzyskać potwierdzenie informacji o tym, gdzie zabrano Andrew Gwynna dziś rano. Niebawem podążałam już do dalszej części oddziału K, gdzie rozkwaterowano też pozostałych mężczyzn z podejrzeniem szkarlatyny.

W pokoju znajdowało się dwanaście metalowych łóżek i większość była już zajęta. Jedni z mężczyzn siedzieli na swoich posłaniach, czytając, drudzy grali razem w karty, a jeszcze inni leżeli z rękoma złożonymi na piersiach, wpatrując się w sufit. Połowa z nich wciąż miała na sobie ubrania, w których przyjechali. Z pewnością miało się to zmienić, w szczególności jeżeli byli nosicielami. Kilku leżało już chorych i nie ruszało się. Mężczyzna pracujący przy mobilnej kuchni pchał właśnie swój wózek. Widać było, że dopiero co zjadł.

Zauważyłam Andrew z lewej strony rzędów łóżek. Stał przy oknie z rękoma

w kieszeniach spodni, wyglądając przez szyby na wyciągnięte ramię Statuy Wolności i wielki świat rozciągający się tuż za nim. Jego torba na ramię leżała otwarta na łóżku, tuż przy niej filcowy kapelusz. Kiedy nie miał go na głowie, mogłam dostrzec, że jego włosy były krótko ostrzyżone,

choć widać było zaczątki loków, które wyrosłyby, jeśli by ich nie ścinał. Zdjął

kurtkę i powiesił ją na krześle stojącym obok łóżka. Kawalek słoneczno-pomarańczowej tkaniny zerkał z jej zgieć.

Wydawał się nieświadomy, że się zbliżam. Dzieliło nas zaledwie kilka kroków, więc odchrząknęłam, a on się odwrócił. Gdy zorientował się, że to ja, spojrzał na moje dłonie, niewątpliwie, by upewnić się, czy mam książkę z wykrojami jego ojca. Czułam ciężar tomiku poezji przy biodrze, w kieszeni fartucha, podczas gdy Andrew wpatrywał się w moje puste dłonie. Z pewnością wyglądało to tak, jakbym nic dla niego nie miała.

– Udało mi się odebrać pańską książkę z wykrojami, panie Gwynn – powiedziałam szybko. – Postaram się panu ją przynieść później. Chciałam po prostu dać panu znać, że jest bezpieczna w moim pokoju.

– Ma ją pani? – Zdawało się, że wątpił, iż tego dnia może przytrafić się coś dobrego.

Szukał w moich oczach potwierdzenia, że się nie przesłyszał.

– Przykro mi, że będzie pan musiał na nią poczekać, ale nie ma możliwości, bym przyniosła ją panu już teraz. Moja przełożona wróci niebawem z obiadu, a ja mam dokończyć zmianę na izbie przyjęć.

– Czy jest bezpieczna w pani pokoju? – W jego słowach wyczułam akcent, który sprawił, że usłyszałam nieznane mi tony.

– Kwatery pielęgniarek nie są połączone z oddziałami, a drzwi do naszych pokoi są zamykane na klucz.

Skinał głową.

– Nie chciałem być niewdzięczny. Po prostu nie chcę stracić ostatniej rzeczy, jaką mam.

– To nie był wyraz niewdzięczności, panie Gwynn.

Odwrócił się lekko do okna.

– Jeśli zachoruję, czy zrobi coś pani... Czy mogłaby pani coś dla mnie zrobić?

Zawahałam się tylko przez chwilę.

– Tak, jeśli będę w stanie.

Ponownie stanął do mnie twarzą.

– Niech mój brat dostanie książkę z wykrojami. Proszę ją bezpiecznie przechować do czasu, aż przyjedzie, żeby... Przyjedzie po mnie.

To nie wydawało się zbyt trudnym zadaniem, chociaż pani Crowley z pewnością

uznałaby, że trzymanie rzeczy pacjenta w sypialni pielęgniarki jest co najmniej niestosowne. Ale

ja właśnie to robiłam, a zaczęłam już ponad godzinę temu.

– Czy mam ją przechować w swoim pokoju do czasu, aż zobaczymy, co przyniesie przyszłość? – zapytałam. – Jeżeli pan nie zachoruje, opuści nas pan w ciągu kilku dni. Wówczas będę mogła ją panu przynieść.

Skinął głową, a na jego zniekanej troską twarzy pojawiła się ulga.

– A jeśli zachoruję i jeśli... Jeśli umrę...

– Będzie pan miał tu o wiele lepszą opiekę niż pana... Niż ktokolwiek na tym statku, panie Gwynn. Wielu ludzi, którzy się zarażają, zdrowieją pod odpowiednią opieką lekarską.

Zamilkłam. Nie było powodu, by mówić o tym, co oczywiste – jego żona umarła, bo znajdowała się na statku na środku oceanu. Jeśli zachorowałaby, będąc tutaj, na Ellis, być może wygrałaby z chorobą.

– Ale jeśli nie wyzdrowieję – ciągnął Andrew, jakbym mu wcale nie przerwała –

dopilnuje pani, by książka trafiła do mojego brata?

W chwili, gdy z jego ust padło to pytanie, zrozumiałam, że zyskałam czas na decyzję, co zrobić z listem Lily. Jeśli Andrew Gwynn umrze na szkarlatynę podobnie jak jego żona, nic nie musiałam robić. Mógłby umrzeć w spokoju, wierząc, że jego cudowna, świeżo poślubiona żona go kochała. Zapewne szukałby jej w raju i być może w niebie poznałby prawdę. Ale tam prawda zdaje się nie boleć. To tutaj może być straszna.

Jeśli natomiast Andrew zachorowałby, a później wyzdrowiał, oznaczało to, iż zostało mi wiele dni na zastanowienie.

Gdyby jednak nie zachorował wcale, miałam mniej niż tydzień.

Wciąż był jeszcze czas.

Andrew czekał na moją odpowiedź.

Nie chciałam mówić mu, że zadbam o to, by jego brat otrzymał książkę z wykrojami, jeśli sam przybędzie na wyspę, by ją dostać. To wymagałoby zbyt wielu wyjaśnień.

– Oczywiście – powiedziałam. – Mam mieć zmianę na oddziałach zakaźnych

w poniedziałek. Wtedy zobaczymy, jak się pan będzie miewał.

Uklonił się lekko.

– Dziękuję. Jestem pani dłużnikiem.

– Nie ma za co – powiedziałam prędko, jakby uciekając od jego trzech ostatnich słów.

Usiadł powoli na swoim łóżku, jakby myślenie o tym, co szykuje dla niego los, wyczerpało go.

– W takim razie zostawię pana, by mógł się pan tu rozgościć.

– Dziękuję pani.

Wyciągnął do mnie rękę, wnętrzem skierowaną ku górze. To był bardzo dziwny gest.

Jakby biedak prosił o jałmużnę. Patrzyłam się tylko, niepewna tego, co chciał, bym zrobiła.

– Czy ma pani klucze do mojego bagażu? – zapytał.

– Och! Ależ oczywiście!

Sięgnęłam do kieszeni, gdzie dłonią mocno trzymałam tomik poezji, a moje palce od czasu do czasu muskały list z wyznaniem Lily. Kiedy wyczułam sznurówkę oraz dowody nadania bagażu, szybko wyciągnęłam je z kieszeni. Położyłam je w jego dłoniach.

– Obawiam się, że kufer pana żony... Że drugi kufer zabrano do spalania. Nie ma go już w bagażowni.

Ta wiadomość bynajmniej go nie zaskoczyła.

– Powiedziano mi, że pewnie tak się stanie. Mówili, że chcą zniszczyć wszystkie rzeczy, które należały do zmarłych. Tak dla pewności. Był to bardzo groźny przypadek.

Zacisnął dłoń wokół kluczy i bilecików, a ja tymczasem ruszyłam, by wyjść z sali.

– Ma pani dobre serce, panno Wood.

Odwróciłam się, by spojrzeć na Andrew, ale on ponownie wyglądał już przez okno.

Dobroć zawsze motywowana jest czymś szlachetniejszym, niż tylko pragnieniem bycia dobrym.

Ja miałam zranione serce. Tak jak on. I nie było w tym nic szlachetnego, jedynie rozpacz.

Rozdział siódmy

Popołudnie mijało szybko, kiedy na Ellis przybywało coraz więcej ludzi, co często zdarzało się w piątki. Dolly, ja i pozostałe pielęgniarki w punkcie przyjmowania imigrantów miałyśmy niewiele czasu na rozmowę, bo prowadziłyśmy przybyszy do pokojów. Mieli tam spędzić przynajmniej weekend. Widziałam, że Dolly czekała z upragnieniem na koniec dnia, by

mogła się dowiedzieć, co takiego odkryłam o Lily Gwynn. Kiedy więc późnym popołudniem w naszym korytarzu pojawił się tłum kolejnych, którzy mogli być chorzy, mruknęła pod nosem:

– Czy ten piękny dzień się kiedyś skończy?

Tuż przed zajściem słońca posłano mnie z kolejnym poleceniem. Tym razem miałam udać się na główną wyspę w poszukiwaniu polskiego tłumacza. Zanim jednak go znalazłam i przyprowadziłam, izba przyjęć była już nieczynna. Później Dolly czekała na mnie w stołówce dla pracowników, ale kiedy mnie wypatrywała, krzesła zajęły nasze koleżanki. Musiałyśmy odłożyć rozmowę o Lily Gwynn na później. Dolly, rozczarowana, dźgała ze złości ziemniaki na swoim talerzu.

Gdy w końcu byliśmy już w naszej sypialni, ubrane w koszule nocne, a potrzeby dnia codziennego zostały załatwione, wyciągnęłam spod łóżka książkę z wykrojami należącą do Andrew Gwynna.

– A to co takiego? – zapytała Dolly, kiedy zdejmowałam z tomu płócienne okrycie.

– To książka z wykrojami. Należała do ojca pana Gwynna. Obawiał się, że w bagażowni zostanie skradziona.

– Śmierdzi. – Dolly zmarszczyła nos.

Przysunęłam książkę bliżej nozdrzy i zaciągnęłam się zapachem starego papieru i muślinu.

– Mnie się podoba.

– Co ta książka ma wspólnego z jego zmarłą żoną?

– Nic. To właśnie z jej powodu poszłam do bagażowni.

Okryłam ją z powrotem płótnem i wsunęłam pod łóżko. Usiadłam na kolanach

i z kieszeni przyniesionego do łóżka fartucha wyciągnęłam tomik poezji.

– Kolejna książka? – Dolly wyglądała na znudzoną.

– Ta należała do niej. Nie wiedziałam, który z dwóch kufrów na bileciku pana Gwynna był jego. Myślałam, że do niego należy ten mniejszy. Ale byłam w błędzie. Mniejszy był

własnością Lily Gwynn. I kiedy omyłkowo go otworzyłam, zauważyłam ten tomik poezji.

Pomyślałam, że może i tę książeczkę chciałby mieć. Należała do niej i wydawało się, że wiele dla niej znaczyła. Dlatego wzięłam ją, by mu ją dać.

– I?

– I kiedy dotarłam do naszego pokoju, by odłożyć obie książki na później, przypadkowo upuściłam tomik. Wypadły z niego te papiery.

Podaliśmy je Dolly i obserwowałam jej wyraz twarzy, gdy czytała oba dokumenty.

– Dobry Boże! – wysapała.

– Wiem. Czy to nie okropne?

– Znali się tylko dwa tygodnie?

– Ależ to smutne, prawda?

– I on się z nią ożenił?!

Ogrom jej zaskoczenia uciszył mnie na chwilę. Wydawała się bardziej zatrzwożona tym,

że Andrew poślubił Lily niż nieuczciwością jego żony.

– Cóż jest złego w tym, że się z nią ożenił? – spytałam w końcu, a wtedy Dolly pomachała trzymanym w dłoni listem.

– Czy muszę wyjaśniać? Przecież on jej nie znał!

Czułam, jak zaczynam płonąć z oburzenia.

– Ale myślał, że zna. Ona chciała, by tak myślał. To jej okropna zbrodnia. Nie jego.

– No cóż, w takim razie głupota też powinna być za nią uważana. Poślubienie kogoś, kogo dopiero się poznało, nią jest.

– Oddaj mi to. – Wyrwałam jej z rąk list i akt unieważnienia małżeństwa, a jej oczy były szerokie jak spodki.

– Czemu jesteś na mnie zła?

– Nie jestem na ciebie zła.

Złożyłam dokumenty i wsunęłam je z powrotem do tomiku poezji.

– Właśnie, że jesteś. Czy chcesz powiedzieć, że postąpił mądrze, żeniąc się z kimś, kogo ledwie znał?

– Chcę powiedzieć, że nikt nie powinien mówić, ile czasu potrzeba, aby się w kimś zakochać.

– Ale o to mi właśnie chodzi. Ona go nie kochała!

– Ale on kochał ją – obruszyłam się. – Czyż to nie oczywiste?

Widziałas go dzisiaj, kiedy nosił jej szal owinięty wokół szyi, ledwie mogąc odpowiedzieć na moje pytania. Wiesz, że mówi po angielsku. Rozumiał wszystko, co mówiła do niego pani Crowley. To rozpacz sprawiła, że się tak zachowywał.

Dolly pokręciła głową.

– On jej nie znał. Jak można znać kogoś, kogo dopiero co się spotkało?

Powiedziała to z taką stanowczością, że poczułam, jakby ciężar kuli armatniej uderzył

mnie w pierś. Wzdrygnęłam się, a to nie umknęło uwadze mojej rozmówczynie.

– Czy uważasz, że można kochać kogoś, kogo dopiero co się spotkało?

Ton jej głosu był miękki i znaczący, zupełnie jakby właśnie wpadła na trop czegoś.

Czegoś, co wcześniej było przed nią ukryte. Pochyliła głowę, by nawiązać ze mną kontakt wzrokowy.

– Czy to przytrafiło się kiedyś tobie?

Napotkałam jej spojrzenie, spodziewając się roześmianych oczu, ale zamiast tego dostrzegłam jedynie współczucie. Gdyby na jej twarzy gościł jedynie odcień ciekawej wesołości, być może wciąż bym się złościła, jednak empatia, która się tam pojawiła, rozkruszyła moje oburzenie, a z oczu zaczęły wylewać się powstrzymywane od miesięcy łzy.

Już po krótkiej chwili Dolly była przy mnie, otaczając ramionami. Niewielki tomik poezji został przyciśnięty do mojej piersi, dźgając żebra, podczas gdy ja, wyprowadzona z równowagi siłą doświadczanych uczuć, cała się trzęsłam. Łzy strumieniami płynęły mi po policzkach, ale nie chciałam poddać się łkaniu. Czułam, że głęboko w moim gardle coś utkwiło, coś wściekłego, co próbowało wyszarpnąć się na powierzchnię. Ja jednak nie otwierałam ust. Tłumiłam w sobie jęk.

Przez cały czas Dolly tuliła mnie i szeptała:

– Już dobrze, dobrze. Już dobrze.

Po kilku chwilach mój płacz ustąpił i mogłam wziąć się w garść. Nie płakałam od dnia pożaru. Wcale nie chciałam płakać na wyspie. Za bardzo się obawiałam, że moje łzy zaleją ją cierpieniem, którego doświadczyłam. Nie chciałam, by cokolwiek związanego z pożarem istniało w moim świętym miejscu pomiędzy wczoraj a jutrem. Otarłam policzki rękawem koszuli nocnej, a Dolly sięgnęła po chusteczkę leżącą na jej stoliku nocnym. Nie chciałam jej. Nie zamierzałam

obdzielać moją niedolą przestrzeni wokół mnie.

– Czy w tym pożarze straciłaś kogoś ci bliskiego? – zapytała Dolly delikatnie, choć mnie słowa te ubodły jak ciernie.

Kiwnęłam głową, nie patrząc na nią, zawstydzona, że nie potrafiłam już dłużej tego przed nią ukrywać.

– Czy dopiero co go wtedy poznałaś? Czy o to chodzi?

Ponownie skinęłam na potwierdzenie.

– On nazywał się Edward, prawda?

Spojrzałam na nią, gwałtownie unosząc głowę.

– Skąd wiesz?

Dolly odgarnęła mokry kosmyk włosów z moich oczu.

– Czasami wołasz jego imię, kiedy masz... kiedy coś ci się śni.

Moja twarz poczerwieniała. Poczułam falę gorąca.

– Naprawdę?

– Tak.

Okazało się, że w rzeczywistości niewiele mogłam ukryć przed tą wyspą. Słyszano tu już imię Edwarda i mój pełen udręki płacz – najwyraźniej wielokrotnie – podczas gdy leżałam, śpiąc i przeżywając bez końca dzień pożaru w koszmarach sennych.

– Kim on był? – spytała Dolly, nieśmiało zachęcając mnie do zwierzeń.

Otarłam wilgotne oczy.

– To był po prostu najbardziej uprzejmy mężczyzna, jakiego znałam. Po raz pierwszy spotkałam go w windzie. Był księgowym pracującym w Triangle na dziesiątym piętrze. Ja pracowałam na szóstym. Widywaliśmy się codziennie, jadąc windą. Zawsze uchylał kapelusza, witał się ze mną i odprowadzał mnie spojrzeniem, kiedy wysiadałam przed nim. Wydaje mi się, że każdego dnia zwlekał z wejściem do windy, czekał na mnie. Ta niepewność, czy się pojawię, musiała być pewnie dla niego bardzo stresująca.

Zaśmiałam się cicho, a Dolly mi zawtórowała.

– W dzień, kiedy wybuchł pożar, zaprosił mnie na górę, bym obejrzała halę produkcyjną.

Wspomniałam tę chwilę, pamiętając pewne wahanie w jego głosie, w razie gdybym wzięła go za zbyt śmiałego. Lecz ja uśmiechnęłam się i powiedziałam mu, że chętnie zobaczę pracę maszyn do szycia w akcji. A on odwzajemnił się szerokim uśmiechem. Spojrzałam na Dolly.

– Potem chciał mnie zaprosić na kolację. Tego jestem pewna.

Widziałam to w jego oczach. I zgodziłabym się.

– A on... On zginął w płomieniach.

W pamięci znalazło się też miejsce na resztę tamtego dnia. Edward stał wysoko nade mną na krawędzi swojego dobiegającego końca życia.

– Stał w oknie. Widziałam go na gzymsie. Płomienie otaczały jego szyję niczym szalik.

– Och, Claro.

– Na tym gzymsie stała z nim młoda szwaczka. Jej ubrania także zajęły się ogniem. Było jasne, że bała się sama wyskoczyć, on więc podał jej dłoń. Spadali razem.

– Och, dobry, słodki Jezu! – wymamrotała Dolly.

– To był taki miły człowiek – szepnęłam, a po moich policzkach znów popłynęły łzy.

– A on... Czy nie mogli go uratować?

Pokręciłam głową.

– Tylko jedna osoba przeżyła skok z budynku. Zresztą później i tak zmarła.

– Och! Już pamiętam. To musiało być straszne.

– Było. I wciąż jest – powiedziałam. – Stałam tam, ze wszystkimi moimi umiejętnościami pielęgniarскими, i nikomu nie mogłam pomóc. Jemu też.

Na chwilę zapanowała między nami cisza. Przetarłam jeszcze raz powieki i kątem oka zauważyłam, że Dolly zrobiła to samo. Po chwili wzięła moje dłonie w swoje ręce.

– A ja przez cały czas sądziłam, że to strach przed ogniem trzyma cię tutaj. Zupełnie jakbyś utknęła na Ellis. Ale to nie o ogień chodziło, lecz o to, co on ci zabrał, prawda? To dlatego nigdy nie płyniesz z nami na brzeg. Z powodu tego, co straciłaś, a nie tego, przed czym uciekłaś.

– Nie utknęłam na Ellis – wymamrotałam. – Ja chcę tu być.

Dolly nakryła moje dłonie swoimi.

– Nie opuściłaś wyspy od pięciu miesięcy, Claro.

– Ale to nie oznacza, że tu utknęłam.

– Tak czy inaczej jesteś tu i nigdy nie opuszczasz wyspy. Czy boisz się, że spotkasz kogoś nowego? Że mogłabyś się z tego wyleczyć? Czy o to chodzi?

– Nie obawiam się tego.

Ta kwestia spłynęła z moich ust z taką łatwością, jakbym ją wcześniej ćwiczyła.

– W takim razie czego?

Na to pytanie nie było już gotowej odpowiedzi.

– Czy boisz się, że dowiesz się, iż on był żonaty albo coś w tym stylu? Że może był miły, bo wiedział, że byłaś tam nowa?

Przykryłam tomik poezji dłonią.

– To niedorzeczne. Nie boję się tego. A on nie był żonaty.

Otworzyłam szeroko usta, lecz po chwili zamknęłam je po raz kolejny. Brzęczało mi w uszach i nie mogłam poskładać myśli.

– Być może dobrze by ci zrobiło, Claro, gdybyś dowiedziała się, kim był Edward. Ledwie go znałaś. Może gdybyś więcej o nim wiedziała, łatwiej by ci było się z tym uporać. Opuść wyspę i zacznij żyć.

Brzęczenie w uszach przybierało na sile. Sięgnęłam dłonią do ucha i potarłam je.

– Nie wiem, co by to zmieniło. Kochałam to, co już wiedziałam.

– A co wiedziałaś?

– Tyle, ile trzeba.

– Jeśli to by było, ile trzeba, nie tkwiłabyś na tej wyspie.

– Wcale tak nie jest!

– Cóż, mnie się wydaje inaczej. A jeśli chociaż trochę zależy ci na Andrew Gwynnie, powinnaś dać mu ten list i pozwolić dalej żyć, na wypadek gdyby i on gdzieś utkwiał. Sądzę, że nie zasługuje na to, aby całe życie opłakiwać żonę, która go nie kochała. A ty jak uważasz?

Czułam, jakby uszy miały mi zaraz wybuchnąć.

– Nie wiem.

Dolly pochyliła się nade mną i ucałowała w czoło.

– Wybierz się ze mną i dziewczynami do miasta jutro wieczorem.

Idziemy potańczyć.

– Może – odparłam powoli, zupełnie bez przekonania.

Dolly wdrapała się na swoje łóżko i podniosła kołdrę.

– Prześpij się z tym, Claro. Nie musisz teraz robić niczego z tym listem.

Przyjaciółka odwróciła się do mnie plecami, chroniąc się przed światłem, którego blask wciąż bił od lampki stojącej na moim stoliku nocnym.

Siedziałam tak przez dłuższą chwilę, bojąc się położyć i poddać działaniu snu, bo wtedy musiałabym ponownie udać się na miejsce pożaru.

Nigdy nie powinnam była otwierać kufra Lily. Nie powinnam była brać tej książki.

Gdybym tylko ją tam zostawiła, teraz zostałby z niej już tylko popiół.

Rozdział ósmy

Po raz pierwszy zakochałam się, mając trzynaście lat. Nazywał się Otto Hertz i był ode mnie o trzy lata starszy. Znaliśmy się od wczesnych lat

szkolnych. Nie zwrócił jednak mojej uwagi do czasu, aż przydarzył mu się przykry upadek z dachu stodoły w trakcie odgarniania miotłą śniegu.

Jego ojciec, Niemiec, który ledwie mówił po angielsku, przyprowadził go do gabinetu lekarskiego mojego taty. Był to przenikliwie chłodny i bezbarwny lutowy dzień. Tego ranka ojcu pomagała moja matka, kiedy jednak wniesiono Ottona z wyróżniającym się punktem w postaci kości sterczącej z poczerwieniałej skóry jego ramienia, mama szybko opuściła gabinet, chwytając się za brzuch. Podczas gdy ojciec nastawiał niesforne kości, przywracając je w odpowiednie miejsca Ottona i zszywał ranę, ja stałam u jego boku i pomagałam mu. Kiedy ramię było już zabandażowane, siedziałam z naszym pacjentem. Eter i morfina przestawały działać, ja natomiast przykładalam do wielkiego jak kurze jajo guza na czole Ottona – innego dobrodziejstwa upadku chłopca – zimny kompres. Podziękował mi za moją pomoc i powiedział, że mam ładne włosy.

Moje natychmiastowe uczucie do tego niebieskookiego chłopca było intensywne

i ekscytujące. Ale nie było ono odwzajemnione. Poza komentarzem na temat włosów, Otto nigdy nie dał mi powodu, abym myślała, że on też coś do mnie czuł.

Przez cały ten czas, kiedy dochodził do siebie, za każdym razem, gdy tylko Otto pojawiał

się w gabinecie mojego ojca na kontrolę, zdjęcie szwów czy zmianę opatrunku, znajdowałam jakiś pretekst, by tam być. Udawało mi się wymyślać najróżniejsze powody, aby brać udział

w opiece nad nim, co martwiło mojego ojca, ale nigdy nie sprawiło, że Otto zwrócił na mnie uwagę. Kiedy jego ramię się zagoiło, nie pojawił się już w gabinecie. Musiałam trzymać się nadziei, że spotkamy się przypadkowo na ulicy, ale w rok po całym zajściu zdarzyło się to jedynie dwukrotnie. Za każdym razem Otto odpowiedział na moje wylewne powitanie tak, jak to dobrze wychowanemu chłopcu przystawało, ale jasne było, że moje uczucie pozostało nieodwzajemnione. Rok później, w czasie świąt Bożego Narodzenia, widziałam go z jakąś dziewczyną. Kolejne dwanaście miesięcy potem, gdy miał osiemnaście lat, ożenił się z nią.

Dopiero gdy Otto poślubił inną, z niechęcią zmusiłam żywione wciąż do niego uczucia, by uleciały z mojego serca niczym wypuszczony z klatki ptak. Kiedy je wspominam, pamiętam, że było mi ciężko, ale czułam się też

wspaniale. Przynajmniej miałam coś od Ottona, kiedy tak kurczowo trzymałam się mojej nieodwzajemnionej miłości.

Kolejny raz zakochałam się jako osiemnastolatka. Daniel Borden był studentem medycyny, który odbywał praktykę w gabinecie mojego ojca, by zakończyć naukę. Mieszkał

z nami przez dwa miesiące, ale ja zakochałam się w nim już po pierwszych trzech tygodniach.

Tym razem moje uczucia zostały odwzajemnione. Kiedy stało się jasne, że mamy się ku sobie, ojciec uznał, że rozsądnie będzie, jeśli Daniel wynajmie pokój u dyrektora miejscowej szkoły na pozostały czas czterech miesięcy, które miał spędzić na praktyce lekarskiej.

Przez kolejnych osiem tygodni byłam w siódmym niebie. Daniel obdarowywał mnie kwiatami, pisał wiersze miłosne, czytał mi książki, całował pod gwiazdami, szeptał czułe słówka i każdego dnia opowiadał mi, jak smutno mu będzie, gdy wróci do Bostonu. Zdecydowanie oczekiwałam, że jeszcze przed wyjazdem poprosi ojca o moją rękę, ale tak się nie stało.

W ostatni wieczór przed jego odjazdem siedzieliśmy na ławeczce w purpurowym blasku zachodzącego słońca. Spytałam go wprost, jaką widzi przed nami przyszłość. Pocałował moją dłoń i powiedział, że chce skończyć szkołę, dostać pracę i mieć dach nad głową, zanim

porozmawia z moim ojcem. Prosił mnie, żebym była cierpliwa, dodając, że dzięki miłości dni będą szybko płynąć.

I tak też było.

Ale odległość również ma wpływ na bieg czasu.

Po kilku pierwszych miesiącach rozłąki, listy od Daniela zaczęły przychodzić coraz rzadziej. Dlatego też ja pisałam częściej. Jego słowa, wcześniej pełne uczucia, stały się mniej namiętne, toteż ja pisałam śmieiej. Jego obietnice co do wspólnej przyszłości ustały, więc to ja w korespondencji zawierałam więcej zapewnień.

Pewnego dnia jego listy przestały nadchodzić. Rozum podpowiadał mi, że istniał ku temu powód, lecz serce nie chciało przyjąć go do wiadomości. Pisałam do Daniela zupełnie, jakby między nami nic się nie zmieniło. Moi rodzice zaś, dostrzegłszy, że korespondencja się urwała i, przestali o niego pytać. Henrietta z kolei, wtedy już zamężna, mieszkająca ze swoim ukochanym na pobliskiej farmie, zauważyła, że nie byłam już w stanie dostarczać jej żadnych informacji o tym, jak idzie Danielowi na studiach, czy też w ogóle żadnych wiadomości o nim.

Dała mi do zrozumienia, że nadszedł czas, aby spojrzeć prawdzie w oczy – Daniel już mnie nie kochał. Najdelikatniej, jak potrafiła, chociaż i tak ją za to nienawidziłam, powiedziała mi, że zapewne zakochał się w kimś innym, ale nie miał odwagi, by mi to wyznać.

Odpowiedziałam Henriecie, że nie ma pojęcia, o czym mówi, i nie odzywałam się do niej przez miesiąc. Tak czy inaczej, to ona miała rację.

W końcu Daniel przysłał mi list, w którym napisał, że przeprasza, iż tak okropnie mnie potraktował. Nie oczekiwał, że mu przebaczę. Nie wiedział, jak mi powiedzieć, że na koncercie poznał pewną młodą kobietę. Nie spodziewał się, że się w niej zakocha, bo już kochał mnie.

Czekał, aż to uczucie do niej, które go zaskoczyło, minie, ale ono tylko się umocniło. Zwierzył

się, że poprosił ją o rękę, a ona się zgodziła.

Było mu bardzo przykro.

Nigdy nie chciał mnie skrzywdzić.

Życzył mi wszystkiego dobrego.

Moi rodzice, chwala im za to, sami wywnioskowali, co napisał Daniel. Podobnie było z Henriettą, choć ona błagała, by podzielić się z nią szczegółami korespondencji, co dałoby jej możliwość odpowiedniego okazania współczucia. Dałam jej więc list do przeczytania.

Powiedziała mi, że zasługuję na kogoś lepszego. Poradziła, bym udała się w jakieś wspaniałe miejsce, gdzie mogłabym zająć myśli czymś zupełnie niezwiązanym z Danielem Bordenem.

Podobnie jak inne bliskie mi osoby wiedziała, że zanim moje serce mocniej dla niego zabiło, już wcześniej łaknęło kolorów wielkiego miasta.

Poczekalam kilka miesięcy, aby moja rana zabliźniła się, i doszłam do wniosku, że Henrietta miała rację.

Nie chciałam jednak wyjeżdżać tylko na jakiś określony, krótki okres czasu. Pragnęłam wyjechać na zawsze. Chciałam udać się do Nowego Jorku. Jeśli miałam to zrobić jako niezamężna kobieta, potrzebna mi była praca.

Istniał tylko jeden powód, dla którego wybrałam szkołę pielęgniarstwa.

Prawda jest taka, że jestem dobra w naprawianiu. Lubię to. Osoby chore to ludzie wymagający naprawy, a ja lubię składać ich na powrót w całość.

Nauka w szkole pielęgniarstwa była łatwa. Mój ojciec już wcześniej nauczył mnie niemal wszystkiego, co powinnam wiedzieć. To, czego mi nie przekazał, potrafiłam szybko przyswoić.

Szkoła ta dodała mi skrzydeł, by opuścić wiejską część Pensylwanii na rzecz Filadelfii, a dzięki dyplomowi mogłam pofrunąć na Manhattan.

To tam zakochałam się po raz trzeci.

Nazajutrz po tym, jak pokazałam Dolly list Lily, wstałam, odczuwając zaskoczenie i ulgę, że nie śniłam o pożarze. Kiedy ubiegłej nocy w końcu wczołgałam się do łóżka, wydawało mi się, że w naszym pokoju czuć spalenizną. Ucieczka w sen kojarzyła się z czymś ryzykownym.

Leżałam dłuższy czas, nie śpiąc, rozmyślając nad tym, co Dolly powiedziała o mojej niechęci do opuszczenia wyspy. Według przyjaciółki bałam się zdecydować na ten krok, bo wtedy mogłabym odkryć, że Edward wcale nie odwzajemniał moich uczuć.

Dolly niemal mnie oskarżyła o zakochanie się nie w realnej osobie, lecz w wyobrażeniu o niej, które sama sobie wykreowałam, dostatecznie jej nie poznawszy.

Rzeczywistością były ulice Nowego Jorku, od których dzieliła mnie odległość, jaką pokonywały każdego dnia promy. Ja znajdowałam się na wyspie, w mojej przestrzeni pomiędzy wczoraj a jutrem, gdzie mieszkaly marzenia.

To marzenia były tym, co na Ellis dobre. Kiedy kłopoty kładły się niczym mroczny cień i swoimi mackami przetrzymywały na wyspie, to marzenia napełniały imigrantów nadzieją.

W końcu zasnęłam, a jeśli ktoś odpowiada za moje sny, był tej nocy łaskawy. Spałam jak zabita. Nad ranem Dolly musiała ściągać mnie z łóżka.

Leżałam przez kilka minut bez ruchu w szarym świetle świtu, przygotowując się psychicznie na nadchodzący dzień. Nasza zmiana skończyła się w sobotę wczesną porą.

Następnego dnia miałam wolne. Nie było powodu, by odrzucić zaproszenie Dolly, poza takim, że nie chciałam iść. Postawienie stopy na Manhattanie oznaczałoby początek czegoś i koniec innej rzeczy. Nie miałam ochoty niczego kończyć ani niczego zaczynać. Przewróciłam się na drugi bok. Zarówno tomik poezji, jak i złożone w nim kartki leżały na moim stoliku nocnym.

Podniosłam się z łóżka, uniosłam koce i wsunęłam książkę pod poduszkę.

Kiedy się ubrałam, poszłyśmy do stołówki pracowniczej na śniadanie, po czym udałyśmy się do recepcji, aby powitać przybyłych do szpitala w sobotę.

– Czy podjęłaś już decyzję? – spytała cicho Dolly, kiedy szliśmy z innymi

pielęgniarkami korytarzem.

Szczerze powiedziawszy, nie byłam pewna, o którą decyzję jej chodziło. Podejrzywałam, że miała na myśli wieczorne wyjście do Nowego Jorku.

– Dolly, nie jestem jeszcze gotowa.

– Mam na myśli ten list. To jasne jak słońce, że nie zgodzisz się na wieczorną potańcówkę.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na nią.

– Zastanawiałam się nad tym. Po prostu nie jestem jeszcze gotowa na tańce.

– Jak uważasz. A co z listem?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie podjęłam jeszcze decyzji.

– Czy chcesz, żebym ja mu go dała?

Odwrociłam się do niej gwałtownie.

– A po co miałabym cię o to prosić? Nie chcę, byś pisnęła mu o tym choć słówko. Jemu ani nikomu innemu!

– Och, cicho. Nic mu nie powiem. Zaproponowałam ci to, abym to ja była posłańcem tej okropnej wiadomości, a nie ty. Ty wciąż będziesz mogła być jego cudowną Florence Nightingale¹, a ja znienawidzonym gońcem.

Poczułam, że moją twarz rozpała rumieniec.

– Co masz na myśli, mówiąc „jego cudowną Florence Nightingale”?

– To, że to nie ciebie musi pamiętać jako tę, która weszła w rzeczy jego zmarłej żony, dowiedziała się o niej czegoś strasznego, a potem musiała go o tym powiadomić.

– Ale ja nie weszłam. Znalazłam ten list przez przypadek.

– Jeżeli zmienisz zdanie, daj mi znać.

Już miałam się bronić, lecz Dolly wyraźnie była gotowa zmienić temat rozmowy.

Zauważyła inne pielęgniarki kroczące przed nami, młode kobiety, z którymi zazwyczaj płynęła na brzeg, i dołączyła do nich, by z nimi porozmawiać. Kiedy już dotarliśmy na izbę przyjęć, a pozostałe dziewczęta porozchodziły się, by zgłosić się na oddziały, jedna z nich, Ivy, zwróciła się do mnie.

– Mam nadzieję, że zmienisz zdanie i pójdziesz z nami dziś wieczorem, Claro!

Uśmiechnęłam się, ale nic nie odpowiedziałam.

Na izbie przyjęć czekała na nas kolejka złożona z tych imigrantów, których badanie lekarskie wypadło niepomyślnie. I tak też zaczął się nowy dzień.

Nie popłynęłam na brzeg.

Sobotni wieczór spędziłam, pisząc długie listy do moich rodziców oraz Henrietty, czytając książkę i zastanawiając się nad przyszłym tygodniem, który miałam spędzić, pracując na oddziałach kwarantanny.

Poszłam spać przed północą. Byłam sama w pokoju. Nie zbudziłam się, kiedy wróciła Dolly. Rano, gdy wychodziłam, jeszcze spała. W trakcie śniadania czytałam psalmy, odbyłam również długi spacer po Ellis. Siedziałam i wpatrywałam się w majaczący na horyzoncie Nowy Jork, skąpany w blasku południowego słońca. Na oddziałach dziecięcych czytałam opowiadania chorym brzdącom i czekałam, aż Dolly wyłoni się z naszych kwater.

Ona i cztery pozostałe dziewczyny, z którymi udała się na brzeg, znalazły mnie w salonie wypoczynkowym dla personelu. W ich rękach dostrzegłam niewielkie opakowania po czekoladkach.

Wyobrażałam sobie, że wciąż mogłam poczuć na nich zapach miasta, niemal usłyszeć bicie jego serca.

Tej nocy, kiedy Dolly i ja poszłyśmy spać, wiedziałam, że ten aromat, który wciąż wyczuwałam, ośmieli to, co odpowiada za treść moich snów.

Śniłam, że byłam z Edwardem w windzie, która płonęła. Uśmiechnął się do mnie i wyciągnął rękę w moją stronę. Podałam mu swoją dłoń.

Miałam kwiaty we włosach i nie bałam się.

1. Jedna z najbardziej sławnych angielskich pielęgniarek, znana ze swoich działań w trakcie wojny krymskiej.

Rozdział dziewiąty

Kiedy poniedziałkowego poranka razem z Dolly stawiłyśmy się w siedzibie pielęgniarek na trzeciej wyspie, po cichu miałam nadzieję, że zostanę przydzielona do sali Andrew Gwynna, bym mogła obserwować go bez zwracania na siebie niczyjej uwagi. Jak się okazało, zostałam przypisana do dziecięcego oddziału chorych na odrę, a oddział K, gdzie przebywali mężczyźni zarażeni szkarlatyną, przypadł w udziale Dolly. Przyjaciółka jednak od razu zapytała przełożoną, czy mogłybyśmy się zamienić. Siostra przełożona na oddziałach zakaźnych, przypominająca ptaka pani Nesbitt, chciała wiedzieć dlaczego. Dolly odparła, że lubi

towarzystwo maluchów, a poza tym ostatnim razem to ona musiała pracować na oddziale ze szkarlatyną. Pani Nesbitt zmarszczyła czoło, po czym wyduła wargi, przez co zrobiła się jeszcze bardziej podobna do bociana. Mimo wszystko dokonała zmiany w swojej rozpisce.

– Do zobaczenia w południe – powiedziała pogodnie Dolly, kiedy ona, ja i inne pielęgniarki zaczęłyśmy rozchodzić się do swoich zadań. Podziękowałam jej spojrzeniem.

Udałam się na oddział K, przywdziewając przy tym zapinaną wysoko pod szyją pelerynę, aby uchronić odzież, którą miałam na sobie, przed jakimikolwiek, najmniejszymi nawet, bakteriami. Oddział był teraz obłożony, głównie dzięki imigrantom z przedziału najtańszej klasy na statku „Sewilla”. Niektórzy leżeli w łóżkach, wyraźnie gorączkujący. Inni siedzieli i jedli śniadanie. Reszta wpatrywała się po prostu przed siebie, siedząc lub leżąc na łóżkach i nie potrafiąc wykrzesać z siebie ani odrobiny radości na nowy dzień. Na samym końcu pokoju dostrzegłam Andrew Gwynna, który wciąż leżał w swoim łóżku. Taca ze śniadaniem stała obok nietknięta.

Pielęgniarka, która sprawowała dyżur nocny i którą spotkałam w wejściu, streściła mi stan mężczyzn znajdujących się teraz pod moją opieką.

– Ci trzej tutaj – powiedziała, wskazawszy na ciemnowłosych mężczyzn, którzy leżeli w swoich łóżkach, trzęsąc się – dostali gorączki w sobotnią noc. Wczoraj po południu był u nich lekarz. Kiedy będziesz się nimi zajmowała, załóż maseczkę. Ci przy tej ścianie mówią, że czują się dobrze, nie mają gorączki ani powiększonych węzłów chłonnych. Ci czterej tam – zwróciła uwagę, wskazując na tylną część sali, w tym na łóżko Andrew Gwynna – zdaje się, że wszyscy zachorowali wczoraj. Sugeruję zakładanie maseczki. Reszta zostanie wypuszczona jutro, jeśli do tego czasu nie będzie innych objawów choroby. Lekarz ma przyjść na obchód około godziny dziesiątej. Ten na samym końcu – mówiąc to, wskazała na łóżko Andrew – nic jeszcze nie zjadł

i nie miałam już czasu, by się nim zająć.

Robiąc notatki, pokiwałam głową. Pielęgniarka wyszła, a ja powoli przeszłam się po sali, życząc dobrego dnia siedzącym przy łóżkach i zatrzymując się przy tych, którzy mieli gorączkę.

Chciałam sprawdzić, kto nie śpi i może czegoś potrzebować. Celowo zostawiłam sobie Andrew Gwynna na koniec.

Podeszłam do jego łóżka, zakładając cienką maseczkę ochronną zakrywającą nos i usta.

– Panie Gwynn – powiedziałam cicho. – To ja, siostra Wood. Czy chciałby pan zjeść śniadanie?

Żeby móc na mnie spojrzeć, Andrew obrócił się powoli. Na jego twarzy można było dostrzec pierwsze wypieki – znak gorączki. Uniósł rękę do swojego gardła, a kiedy przelykał, na jego twarzy zagościł przykry grymas.

Nie trzeba było diagnozy lekarza, aby wiedzieć, że zdążył się już porządnie rozchorować.

Gdyby był to drugi dzień choroby, oczekiwałabym, że mam dwa, a nawet trzy tygodnie na

podjęcie decyzji co do listu Lily. Omdlewające spojrzenie Andrew nieco mnie zaniepokoiło.

Rozpacz była znaczącym graczem w jego walce z chorobą. To ona zawsze odgrywała istotną rolę, cokolwiek po niej następowało.

Pochyliłam się nad mężczyzną i, chcąc ocenić, czy ma gorączkę, położyłam na jego czole dłoń. Jego skóra była rozpalona. Wyciągnął rękę, chcąc chwycić mnie za nadgarstek.

– Nie – wyszeptał.

Uniosłam rękę, zaskoczona, że mój dotyk sprawiał mu ból.

– Czy już boli pana głowa, panie Gwynn? – Ból głowy zazwyczaj nie występował

wcześniej niż trzeciego czy czwartego dnia.

– Proszę się nie zbliżać. To choroba. Jestem chory.

Obawiał się, że od dotykania go i ja mogłabym się zarazić. Zapewne przykładał dłoń do czoła Lily tak, jak ja to teraz robiłam. A teraz sam leżał powalony przez chorobę.

– Jesteśmy tu bardzo ostrożni, panie Gwynn. Kiedy jestem na oddziale, myję ręce dziesiątki razy. Pod koniec dnia są od tego czerwone jak buraki. – Zaśmiałam się lekko, ale on tylko drgnął, próbując po raz kolejny przełknąć. – A może trochę śniadania, panie Gwynn? –

ciągnęłam. – Potrzeba będzie panu sił. Lekarz zapytał mnie, dlaczego pana nie nakarmiłam. Nie chce pan chyba, żebym miała kłopoty, prawda?

Zwrócił głowę w kierunku tacy ze śniadaniem.

– Nie mogę. Połykać – wymamrotał. Jego walijski akcent jeszcze bardziej uwydatniał
rwące się słowa.

Przyjrzałam się, co przyniesiono pacjentom na śniadanie. Przełknąć jajecznicę i tosty to za wiele. Nachyliłam się nieznacznie nad Andrew, by poprawić mu poduszkę.

– Wypijmy trochę bulionu warzywnego, dobrze? Czy może mi pan pomóc?

Andrew powoli uniósł się do pozycji siedzącej. Przysunęłam tacę bliżej niego i podałam mu łyżkę.

– Jest naprawdę dobry – powiedziałam radośnie. – Doprawiony w sam raz.

Andrew wziął do ręki łyżkę i uniósł ją do ust. Kiedy jednak zaczęła się trząść, opuścił ją.

– Czy jadł pan wczoraj? – zapytałam.

– Nie byłem głodny.

– Kiedy ostatni raz pan jadł, panie Gwynn?

Zamknął oczy.

– Nie pamiętam.

Myślami wróciłam do tego, jak mogły wyglądać jego ostatnie dni. Jeżeli Lily zmarła pod koniec podróży, a on czuwał przy jej boku, być może nie jadł od czterech czy pięciu dni.

Odsunęłam tacę, po czym sięgnęłam po krzesło, które przysunęłam do jego łóżka. Wzięłam do ręki miskę z zupą oraz łyżkę, która teraz luźno spoczywała w dłoni Andrew.

– Pomogę panu.

– Nie – szepnął.

– Tak.

Ułożyłam serwetkę tuż pod jego brodą i zanurzyłam łyżkę w bulionie. Niechętnie otworzył usta i pozwolił mi się karmić. Przełykanie zajmowało mu wiele czasu, a przy samej czynności mocno się krzywił.

– Nie mogę więcej – wyszeptał w pewnym momencie.

– Może pan. – Nabrałam łyżką kolejną porcję, a on się nie sprzeciwił.

Ciepły bulion po trochu koił stan zapalny w jego gardle. W miarę jedzenia męczyzna coraz mniej się krzywił. Miał wciąż nieco zaszklone oczy, ale było w nich już więcej przytomności. Wpatrywał się we mnie i w pewnym momencie uzmysłowiłam sobie, że w pełni

odwzajemniałam jego spojrzenie. Zaczęłam szukać tematu, na który mogłabym z nim porozmawiać.

– Zapytałabym pana o krawiectwo, ale jestem pewna, że mówienie sprawia panu ból, a zresztą i tak musi pan jeść – powiedziałam nerwowo. – Bycie krawcem musi wymagać umiejętności oraz wiele wprawy. Zapewne bardzo pan to lubi.

Andrew zamrugał, po czym wzruszył ramionami.

– Tym się zajmuję.

Trzymałam łyżkę wysoko nad talerzem. W jego słowach dosłyszałam tę samą spokojną rezygnację, którą i ja miałam w głosie, kiedy ktoś pytał mnie, jak to jest być pielęgniarką.

– Wiem, co ma pan na myśli – powiedziałam. – Jestem pielęgniarką, bo tym się zajmuję.

I zawsze tak było. Mój ojciec jest lekarzem i mieszka w Pensylwanii. Pomagałam mu w jego gabinecie od dziesiątego roku życia.

– Ja zacząłem wszywać guziki, kiedy miałem osiem lat.

Uśmiechnęłam się, słysząc o kolejnym małym szczególe, który nas łączył. Karmiąc go, opowiedziałam mu o moich rodzicach, siostrze, która nie wymagała od życia zbyt wiele, i zanim się zorientowałam także o tym, jak bardzo pragnęłam żywych świateł i kolorów miasta, i że to pielęgniarstwo przywiodło mnie na Manhattan.

– Nowy Jork – wyszeptał, a ja po raz kolejny w jego wypowiedzi wyczułam coś, z czym łatwo się identyfikowałam. On także pragnął Nowego Jorku. To krawiectwo miało go tam zaprowadzić.

– Tak, Nowy Jork – wymamrotałam.

Położył się z powrotem na poduszce, a ja nie nalegałam, by ponownie wstał. Przez chwilę oboje zatraciliśmy się w myślach o tym, czego pragnęliśmy i co byliśmy skłonni zrobić, aby to osiągnąć.

– Czy mogę już dalej nie jeść? – spytał w końcu.

Spojrzałam na jego talerz. Zjadł ponad połowę porcji. Odstawiłam naczynie na tacę.

– Powiem kucharkom, aby przygotowywano dla pana delikatniejsze jedzenie, panie Gwynn. Koniec z tostami.

– Na jak długo?

– A jak długo nie będzie pan mógł ich jeść?

Andrew potrząsnął powoli głową.

– Jak długo... – Zaczął mówić, lecz najwyraźniej zmienił zamiar: – Lily odeszła w ciągu czterech dni – oznajmił.

– Otoczymy tu pana naprawdę dobrą opieką, panie Gwynn.

Wstałam i sięgnęłam po stojącą przy jego łóżku niewielką miednicę z wodą, na brzegu której leżała zwinięta szmatka. Delikatnie zamoczyłam materiał w wodzie i wycisnęłam, po czym położyłam go na czole Andrew, odganiając gorączkę chłodem i wilgocią.

Mężczyzna zamknął oczy.

– Gdyby zapadła na tę chorobę w późniejszej części podróży, byłaby dziś tutaj i dochodziła do siebie, prawda? – Otworzył oczy i patrzył na mnie tak, że jasne było, iż oczekiwał ode mnie odpowiedzi.

– Ludzie w różny sposób przechodzą szkarlatynę, panie Gwynn. Wielu udaje się przeżyć.

– Ale nie wszystkim.

– Nie. Nie wszystkim.

– Nie wiem nawet, czy istnieje ktoś, do kogo powinienem napisać – powiedział. – Nie wiem, czy ma kuzynów, ciotki lub wujów. Powiedziała mi, że jej rodzice nie żyją i że nie ma rodzeństwa. Ale z pewnością istnieje ktoś, kogo powinienem zawiadomić.

– Yyy... Może tak, a może nie.

– Jak to możliwe, by nie miała nikogo na świecie? Musi być ktoś, kto powinien się dowiedzieć, kto przejąłby się jej śmiercią.

W jego głosie pojawiła się chryпка. Rozgrzany bulion nie działał już na jego struny głosowe.

– Cicho, panie Gwynn. Czas odpocząć.

Przytrzymałam szmatkę jedną ręką, a drugą poprawiałam poduszkę, aby mógł się wygodniej położyć.

– W porządku?

Andrew skinął głową.

– Muszę teraz pójść do pozostałych pacjentów na oddziale. Czy jeszcze czegoś pan potrzebuje?

– Nie, dziękuję, siostró. I dziękuję za... za całą resztę.

Moje policzki zalały się lekkim pąsem. Czulałam, jak rozgrzewają je różane barwy.

– Nie ma za co.

– Przechowa pani dla mnie książkę z wykrojami?

– Oczywiście.

Zamknął oczy, jeszcze raz wypowiadając szeptem słowa podziękowań.

Odchodząc, zdałam sobie sprawę, że w pobliżu jego łóżka nie dostrzegłam szalika.

Miałam nadzieję, że włożył go do szuflady nocnego stolika.

Z samego rana przybył doktor Treaver, aby zrobić obchód.

Doktor Treaver, który pojawił się na wyspie w tym samym czasie co ja, w wielu kwestiach przypominał mi mojego ojca. Nie tylko dlatego, że był w podobnym wieku i trudnił się tą samą profesją. Obaj mieli delikatny głos, palili ten sam rodzaj tytoniu (jego ubrania trąciły wyróżniającą się owocową wonią) i mieli schludny, wyraźny charakter pisma. Nigdy nie miałam kłopotów z odczytywaniem zaleceń doktora Treavera. Nie o wszystkich lekarzach na wyspie można to było powiedzieć.

Przybył kilka minut po godzinie dziesiątej, a za nim podążał inny lekarz. Właśnie pomagałam młodemu mężczyźnie wrócić do jego łóżka tuż po skorzystaniu z toalety. Szybko umyłam ręce i przywitałam ich przy biurku pielęgniarskim.

– O, siostra Wood, to miło, że jest pani z powrotem na tym oddziale – powiedział swoim miękkim jak jedwab głosem doktor Treaver. Wskazał na lekarza stojącego tuż za nim, który wyglądał na niewiele starszego ode mnie. Miał mahoniowe włosy, lśniące złote okulary i świeżo przystrzyżony, cienki wąsik. – To jest doktor Randall. Jest tu na stażu i dopiero poznaje wyspę.

Doktorze Randall, to jest siostra Wood.

Uścisnęłam dłoń nowego lekarza.

– Bardzo mi miło pana poznać, doktorze.

– Doktor Randall zupełnie niedawno ukończył studia w Bostonie – ciągnął doktor Treaver, a przed moimi oczami stanął nieproszony obraz Daniela Bordena. On także studiował

medycynę w tym mieście. Odgoniłam od siebie niepożądany obraz. – Zabieram go, by rozeznał

się w sytuacji na oddziałach i poznał pacjentów. Jutro będzie pracował samodzielnie.

Doktor Treaver uśmiechnął się, a doktor Randall zaśmiał się lekko.

– Mam nadzieję, że się nie zgubię – powiedział ten drugi. – To miejsce jest znacznie większe, niż można by przypuszczać, patrząc z nabrzeża.

Starszy z lekarzy ruszył do pierwszego łóżka.

– Ach tak, pielęgniarki pracujące tutaj zadbają, żeby nie wpadł pan do wody. Siostra Wood dobrze zna okolice.

Sięgnęłam za biurko po mój wózek z zaopatrzeniem oraz miednicę, a w tym czasie obaj lekarze zaczęli zakładać odzież ochronną i maseczki.

Podczas gdy lawirowaliśmy wspólnie pomiędzy łózkami pacjentów, czekając przy niektórych chwilę czy dwie na tłumaczy, zauważyłam, że doktor Randall się we mnie wpatrywał. Tak przynajmniej mi się wydawało.

Utkwiłam więc wzrok w pacjentach, nie chcąc, aby wziął moje zupełnie pozbawione podtekstu spojrzenia za jakiś rodzaj zachęty. Kiedy dotarliśmy do łóżka Andrew, uniosłam umieszczoną z tyłu kartę pacjenta i sumiennie notowałam to, co dyktował mi doktor Treaver. Mężczyzna badał

palcami powiększone węzły chłonne pacjenta, sprawdzał, czy są już pierwsze oznaki typowej dla choroby wysypki, zmierzył Andrew temperaturę i obejrzał gardło. Kiedy osłuchiwał jego serce, doktor Randall zwrócił się do mnie.

– Słyszałem, że przeżyła pani pożar Triangle Shirtwaist.

Trzy słowa, które nie należały do mojej przestrzeni między wczoraj a jutrem, niczym liźnięcia języków ognia połaskotały mój umysł. Pożar Triangle Shirtwaist. Ich paląca obecność przestraszyła mnie tak bardzo, że niemal upuściłam kartę, którą trzymałam w dłoniach. Andrew odwrócił się i spojrzał w moją stronę.

Jedynie kilka z pozostałych pielęgniarek wiedziało, co przygnało mnie na wyspę. Ten temat nigdy nie był poruszany poza naszymi kwaterami sypialnianymi. I tego właśnie chciałam.

Powód, dla którego objęłam posadę na Ellis, był tylko i wyłącznie moją sprawą. Pragnęłam z całego serca zapytać nowego lekarza, skąd, na Boga, się dowiedział, zamiast tego powiedziałam:

– Yyyy.... Tak, doktorze.

– To musiało być okropne przeżycie. Czytałem o tym na łamach „Globe”. Ponad stu czterdziestu zabitych?

– Tak – wymamrotałam, szukając wymówki, która mogłaby wybawić mnie od tej rozmowy.

– A pani była na szóstym piętrze budynku, prawda? To zaledwie dwa piętra niżej od miejsca wybuchu pożaru, zgadza się?

Powietrze wokół mnie z każdą chwilą stawało się coraz bardziej gorące. Czułam, jak na moim czole pojawia się stróżka potu. Jakim cudem znał tyle szczegółów? Kto mu w ogóle o tym powiedział? Z pewnością nie Dolly. Tylko nie Dolly. Nie Dolly. Tylko nie Dolly. Ona by tego nigdy nie zrobiła. Nie Dolly.

Zauważyłam, jak Andrew wpatruje się we mnie, unosząc brew w konsternacji.

– Miała pani wiele szczęścia, że udało się pani bezpiecznie wydostać – ciągnął doktor Randall.

W jego głosie mogłam usłyszeć, że rzeczywiście cieszył się z tego powodu. Mnie jednak po głowie chodziła tylko jedna myśl, a mianowicie jak wszedł w posiadanie tych wszystkich informacji.

– Kto panu o tym powiedział? – spytałam.

Doktor Treaver przeniósł spojrzenie z Andrew na mnie. Był zaskoczony moim pytaniem, najwyraźniej brzmiącym jak dowód braku szacunku. Zapewne oczekiwał, że powiem, jak wdzięczna losowi jestem, iż udało mi się uratować.

Doktor Randall zawahał się tylko przez chwilę.

– Jedna z pielęgniarek, dziś rano na oddziałach dziecięcych.

Nie Dolly. Proszę, tylko nie Dolly.

– Carter. Siostra Carter, chyba tak się nazywała.

Ivy.

Skinęłam głową, nie wypowiadając ani słowa.

– Przepraszam, siostrze Wood. Wydaje się pani roztrzęsiona. Temat tej rozmowy był

przypadkowy. Napomknąłem o pożarze, a pani koleżanka powiedziała, że jest tu pielęgniarka, która tam była. Przepraszam, że o tym wspomniałem. Chciałem jedynie powiedzieć, że cieszę się, iż uszła pani z tego cało.

– Nic... Nic się nie stało – zająknęłam się. – Minęło już sześć miesięcy.

– Mimo wszystko. To był okropny dzień w dziejach Nowego Jorku – powiedział doktor Treaver. – Sześć miesięcy czy sześć lat, na zawsze pozostanie dniem, w którym doszło do tragedii. Tak wielu ludzi zginęło. Nie miałem pojęcia, że pani tam była, siostrze Wood.

Chwyciłam się podnóżka łóżka Andrew, aby się nie przewrócić, bo obraz dookoła wirował. Żaden z lekarzy zdawał się tego nie zauważyć. Ale nie uszło to uwagi Andrew.

Doktor Treaver poprosił doktora Randalla, by ten podszedł do łóżka Andrew, aby obejrzeć jego gardło i przebadac powiększone węzły chłonne. Na polecenie doktora Treavera pacjent otworzył usta, ale jego oczy wciąż spoczywały na mnie.

Lekarze naradzali się, ostatecznie doktor Treaver powiedział Andrew, że nie powinien się niczym martwić, bo znajduje się w dobrych rękach. Przekazał też, by słuchał się pielęgniarek i brał leki, które mu dajemy. Na koniec dodał, że on i doktor Randall zajrzą do niego następnego dnia.

Obaj doktorzy umyli dłonie w małej miednicy stojącej na moim wózku i przystąpili do badania pacjenta zajmującego łóżko tuż obok Andrew. Ja zostałam przy jego łóżku nieco dłużej.

Powoli zbierałam swoje rzeczy, próbując jednocześnie wziąć się w garść. Uczucie, które mi jednak towarzyszyło, mogłam nazwać jedynie gniewem i w żaden sposób nie pomagało mi się uspokoić; pokój nadal wirował. Chciałam, aby wyspa na powrót stała się przestrzenią dzielącą wczoraj od jutra, w której nie było miejsca dla pożaru.

Wiedziałam, że Andrew obserwował mnie przez cały ten czas.

Co mogłam jednak zrobić?

Widział już to ciemne miejsce, z którego się wydobyłam. Albo zaledwie jego niewielki kawałek.

Wiedział, że przeżyłam coś strasznego. Coś, czego nie doświadczyli inni.

Dniem po pożarze była niedziela. Wszystkie kościoły na Dolnym Manhattanie biły w dzwony na znak żałoby, ja jednak nie mogłam zdobyć się na to, aby przekroczyć próg choć jednego z nich. Tytuły gazet wybrzmiewały o bólu całego miasta w sposób typowy dla niepowetowanej straty, lecz ja nawet nie brałam do rąk prasy. Nie musiałam czytać o tym, co widziałam na własne oczy. Ponad sto ludzkich istnień odebranych ot tak, bez powodu. I gdzie w tym był niby sens?

Wyjrzałam przez okno mojego mieszkania, wychodzące na Washington Square Park. Mój wzrok zatrzymał się na solidnej konstrukcji Asch Building. Z zewnątrz trudno było dostrzec jakiegokolwiek skutki katastrofy, która miała miejsce w środku dzień wcześniej. W mieście mówiono, że to ognioodporny budynek. I rzeczywiście, sama budowla wyszła z całego zajścia bez szwanku. To ludzie przebywający na piętrach, gdzie wybuchł pożar, a także łatwopalne przedmioty, na których pracowali, polegli w nierównej walce z ogniem.

Kiedy dotarłam do windy, idąc na spotkanie z Edwardem, ogień już płonął. Drzwi otworzyły się na dziewiątym piętrze, w twarz buchnęła mi mieszanka gorąca i dymu, a do środka wpadło kilka dziewcząt.

– Pali się! – krzyknęła jedna z nich.

Kabina w jednej chwili wypełniła się ludźmi po brzegi. Ich ubrania i włosy pachniały popiołem. Zapytałam dziewczynę stojącą obok o lokalizację pożaru, a ona powiedziała, że ogień był wszędzie, pochłaniając bez litości sukienki w pracowniach.

Kiedy tylko udało nam się bezpiecznie zjechać na poziom korytarza, operator windy zaczął poganiać nas do wyjścia, chcąc wrócić na górę. Pragnęłam poczekać na Edwarda w holu, ale zaledwie kilka minut później zostałam przegoniona na zewnątrz budynku, w którym zarządzono ewakuację. Pognałam na drugą stronę Greene Street, gdzie na chodniku gromadził się niewielki tłum. Strażacy dopiero przyjechali, a policja rozklejała dookoła budynku taśmę oddzielającą ludzi od miejsca tragedii. Szwaczka, która przybyła zaraz po mnie z dziewiątego piętra, powiedziała, że winda nie będzie już wjeżdżać na górę, bo ogień wdarł się do szybu. Kilka dziewcząt wpadło do środka i poniosło tam śmierć, wepchnięte w przepaść przez spanikowanych kolegów i koleżanki, którzy biegli za nimi.

Spytałam, czy ktoś skorzystał ze schodów. Odparła, że nikt nie mógł się tam przedostać.

Drzwi były zamknięte na klucz. Obok mnie stali inni ocaleni, ale wśród nich nie było Edwarda.

W oknach zasnutych płomieniami pojawiły się twarze pierwszych osób, a ja modliłam się, by Edwardowi udało się bezpiecznie wydostać na zewnątrz. Właśnie wtedy stojący obok mnie mężczyzna wydyszał:

– Ona skacze!

Spojrzałam we wskazanym przez niego kierunku, a tłum jęknął z przerażenia. Pierwsza z dziewcząt wyłoniła się z dymu, po czym skoczyła. Powietrze jednak nie chciało jej podtrzymać

– rozbiła się na ochraniającą szkło okienne ramie z zatrważającą siłą. Nawet z tak dalekiej odległości mogliśmy dostrzec, że jej ciało roztrzaskało się na kawałki.

Potem w oknach pojawiło się więcej kobiet, wysoko nad nami, wdrapujących się na parapety.

– Nie skaczcicie! Nie skaczcicie! – zaczął skandować otaczający mnie tłum gapiów.

Zacząłam krzyczeć razem z nimi, lecz to nic dawało.

Trzech strażaków szarpało się z rozłożeniem specjalnej siatki, ale wysokość była zbyt ogromna. Pierwsza z dziewcząt, która trafiła w siatkę, wypadła z niej i wylądowała niczym bezwolna masa wiele metrów dalej.

Wiedziona moim pielęgniarzkim instynktem, chwiejnym krokiem pognałam na ulicę, desperacko pragnąc poskładać w całość kości tych ludzi. Stojący obok mnie mężczyzna, który pracował w warzywniaku, powstrzymał mnie, kładąc mi na ramieniu dłoń przesiąkniętą zapachem kapusty.

– Panienko, proszę się odsunąć!

– Ale ja jestem pielęgniarzką! – wykrzyknęłam.

– Spadną na panią i zabiją!

Śmiałość jego słów na chwilę mnie zmroziła. Jak gdyby ktoś spadając na mnie, mógł

mnie zabić. Nedorzecznosc.

Wtedy uniosłam głowę i spojrzałam na tych wszystkich skaczących ludzi, starając się na przekór zdrowemu rozsądkowi udowodnić sobie, że to nieprawda. I wtedy go dostrzegłam: Edward znajdował się na gzymsie wysoko nade mną. Ogień otaczał jego szyję. Obok stała jakaś dziewczyna. Płomienie trawiły jej firmowy strój, a długie włosy płonęły. Edward przesuwiał się do krawędzi, ona krzyczała. W końcu wyciągnęła do niego dłoń, a on ją chwycił.

W momencie kiedy krzyknęłam „nie!”, oboje skoczyli.

Sklepikarz chwycił mnie ponownie, kiedy rzuciłam się w stronę budynku, lecz tym razem zdołałam mu się wyrwać. Dotarłam do taśmy, którą zostało odgrodzone miejsce pożaru, a policjant uniósł rękę, nakazując mi się zatrzymać.

– Jestem pielęgniarzką! Jestem pielęgniarzką! – krzyczałam, dostrzegając za mężczyzną ciała leżące bezwładnie niczym szmaciane lalki, połamane i powykręcane, roztrzaskane wśród wszechobecnej czerwieni.

Pogruchotane ciało Edwarda wypatrzyłam kilka metrów dalej i nawet pomimo sznura dostrzegłam, że miał skrecony kark. Widziałam też dziewczynę, którą niejako przed chwilą odprowadził do bram niebios. Ich ręce nie były już złączone.

– Proszę stąd iść! – warczał policjant. – Tu jest niebezpiecznie. I żadnemu z tych nieszczęśników nie zdoła już pani pomóc. Proszę przejść na drugą stronę ulicy, i to migiem!

Nad nami ktoś zaniósł się żalonym płaczem, uderzyła w nas fala powietrza, a chwilę później tuż obok spadło ciało ciemnowłosej dziewczyny.

– Proszę stąd iść! – krzyknął policjant.

Minęło kilka chwil, zanim zdążyłam wykonać jego polecenie. Nie pamiętam, jak dotarłam na drugą stronę ulicy, gdzie nadal stał sprzedawca warzyw. Dopiero po jakimś czasie, kiedy to jego żona tuliła mnie łkającą do swojej piersi, wróciła mi przytomność umysłu. Nie wiem też, kiedy oboje zabrali mnie do pomieszczenia na tyłach swojego sklepu i dali trochę brandy. Wieczorem nalegali, by chłopak, który dostarczał im towar, odprowadził mnie do domu.

Tłum na Greene Street nie zmałał. Szczęśliwie jednak zdołano pozbierać wszystkie ciała. Po ogniu nie zostało już ani śladu – pożar trwał jedynie pół godziny.

Trzydzieści minut.

Jak dowiedziałam się później, właściciele Triangle Shirtwaist w chwili wybuchu pożaru znajdowali się na dziesiątym piętrze, szybko jednak zostali ewakuowani na dach, a potem na stojący obok budynek, uciekając drogą niedostępną tym z ósmego i dziewiątego piętra.

Gdyby nie planowane spotkanie w szwalni ze mną, Edward mógłby być wśród nich, cały i zdrowy. Zajmował się księgowością, a nie szyciem. Istniała tylko jedna przyczyna, dla której za dwadzieścia piąta znajdował się na dziewiątym piętrze.

Czekał na mnie.

Rozdział dziesiąty

Taryn

Manhattan

Wrzesień 2011

Pierwszy z dziennikarzy znalazł mnie w ciągu dwóch dni. Ostatecznie nie skorzystałam z propozycji Celine, aby to ona zadzwoniła zamiast mnie do czasopisma i poinformowała ich, że nie życzę sobie kontaktu. To by jedynie mnie ujawniło.

– Dziennikarze i tak dowiedzą się, że to ty – zripostowała przyjaciółka.
– To zdjęcie ma w sobie ogromną gamę emocji. Inni także będą chcieli je opublikować, mogę za to poręczyć.

Będą dzwonić, i to często. Duża część klientów naszego sklepu wie, że tamtego dnia straciłaś męża.

Wzruszyłam ramionami.

– Cóż, co ma być, to będzie. Teraz i tak nic z tym nie zrobię, więc nie zamierzam martwić się na zapas.

Celine miała słuszość. Jako że za tydzień wypadła dziesiąta rocznica, wysłuchiwanie opowieści przechodniów o tym, jak udało im się uciec przed zawaleniem się południowej wieży, było dla dzienników bardzo interesujące. To zdjęcie przypominało opinii publicznej ogrom tragedii, jaką stanowiło bycie częścią rzezi tak wielu niewinnych ludzi. Dwie twarze przedstawione na tej fotografii – jedna męska, a druga kobieca – stanowiły uosobienie uczuć wszystkich tych, którzy pamiętali ten dzień. Tak przynajmniej sugerowały pierwsze linijki artykułu.

Grzecznie odrzucałam zaproszenia na wywiad do telewizji śniadaniowych – najpierw pierwsze, potem drugie, i wszystkie kolejne. Nikt z mediów nie naciskał na mnie, bym przemyślała swoją decyzję. Była to jedna z oznak grzeczności, jaka dotyczyła wszystkich tych, którzy 11 września stracili kogoś bliskiego. Odmowy opowiadania o zadrach w naszych sercach nie sprawiały, że czuliśmy się winni.

Kendal jednak miała pytania, na które czułam się zobowiązana odpowiedzieć, choć prawda była taka, że zupełnie nie wiedziałam, od czego zacząć. Przez dziesięć lat potrafiłam przyczajać się między rzeczywistością a żalem. Udawałam, że ani jedno, ani drugie nie ma na mnie wpływu. Nie szłam do przodu, ale również się nie cofałam. Mieszkanie nad Heirloom Yardem dawało mi poczucie, że żyłam nad snami innych ludzi, a nie własnymi. Dopiero ta fotografia mi to uświadomiła.

Autorka zdjęć, która znalazła kartę pamięci, powiedziała, że był to łut szczęścia.

Przypadkowo natrafiła na torbę na aparat fotograficzny. Nie podejrzewała, że wciąż ją posiada.

Ale to nie był pierwszy raz, kiedy doszłam do wniosku, że życie to zbiór jedynie wybranych chwil, zarówno wspaniałych, jak i okropnych. Niektórzy nazwaliby to dziełem przypadku. Coś takiego przytrafiło mi się godzinę przed tym, jak fotograf zrobił to zdjęcie.

Podczas gdy leżałam czwartą noc po publikacji fotografii, wiedziałam, że mój kruchy rozejm ze szczęściem i przeznaczeniem właśnie się skończył. Miejsce, które znalazłam sobie pomiędzy wczoraj a jutrem, pomiędzy przeszłością a przyszłością, rozpadło się, może tak naprawdę nigdy nie istniało.

Ci, którzy powiadają, że wszystko zdarza się po coś, mówią tak tylko wtedy, gdy im to pasuje. Nie należą oni do ludzi, którzy żalują, że nie mogą

cofnąć czasu i dokonać innych wyborów. Nie budzą się w nocy, szepcząc: „Gdyby tylko...”.

Tego wtorkowego poranka niebo miało najpiękniejszy odcień pastelowego błękitu. Było bezchmurne i gładkie. Promienie obiecującego, szafranowego słońca wpełzały na narzutę łóżka, a Kent, trzymając w ręce czerwony kubek termiczny, podchodził właśnie, aby ucałować mnie na pożegnanie. Jego koszula miała odcień żywej zieleni, a na jej tle widniał czarny jak węgiel, jedwabisty krawat.

Ten dzień zapisał się w mojej pamięci kolorami.

Pamiętam moją żółtą pidżamę w grochy, w której leżałam, czekając, aż Kent wyjdzie z mieszkania.

Albo pakunek w kolorze bieli połączonej z barwą piany morskiej, który schowałam pod łóżkiem.

Szarość kojarząca mi się z oczekiwaniem w napięciu przez kilka minut.

Różowy znak krzyżyka.

Tak, po tylu latach wciąż pamiętałam go doskonale.

A potem ten szalik w kolorze nagietków – ostatnia piękna rzecz, jaką widziałam tamtego dnia.

Kiedy zdarzało się, że nie mogłam zasnąć, spędzałam całe noce na odtwarzaniu tego konkretnego wtorku w różnych barwach. Czasami więc niebo nie było takie niebieskie, a słońce skradało się za nadętymi chmurami, Kent miał żółtą koszulę i nie niósł w dłoni kubka. Ja leżałam w fioletowej pidżamie, mówiąc mu, że spóźnia mi się okres i że może chciałby poczekać kilka chwil, aby sprawdzić wraz ze mną wynik testu ciążowego, chociaż i tak pewnie nic z tego nie będzie.

Innym razem niebo było stalowoszare. Kent miał na sobie niebieską koszulę w paski i szarobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy. Opuścił mieszkanie, zanim zdążyłam się obudzić.

Dzwoniłam do niego później, ubrana w koszulę nocną w niebieskim odcieniu z dodatkiem zieleni, upstrzoną małymi stokrotkami. Kent akurat dojeżdżał do swojego biura na trzydziestym czwartym piętrze, a wtedy ja wykrzykiwałam do słuchawki słowa, które tak bardzo pragnęłam wypowiedzieć od czterech lat: „Jestem w ciąży!”.

Zaczynamy omawiać nasze plany na kolację, którą to zamierzamy uczcić radosną nowiną, ja wchodzę na balkon, gdzie kiwają do mnie na powitanie czerwone pelargonie. Tego dnia nie ma pomarańczowego szalika. Pomarańczowy szalik w ogóle nie istnieje. To, o czym nie chciałam myśleć,

czego nie chciałam zawierać w tej wizji, i tak by się wydarzyło, ale koniec końców Kent wróciłby do mnie, do domu, kilka godzin później. Roztrzęsiony, pokryty pyłem i sadzą, ale wróciłby. Płakałby nad wydarzeniami minionego dnia, zarówno tymi dobrymi, jak i złymi.

Wyobrażałam sobie ten dzień w różnych kolorach wiele razy.

Kiedy cofam się pamięcią do pierwszych chwil po przebudzeniu, zanim ta okropna machina zdarzeń poszła w ruch, dech w piersiach zapiera mi myśl, jak dwa telefony mogą zmienić wszystko. Dwa zwyczajne, pozornie nic nie znaczące telefony.

Pierwszy wykonałam ja do Kenta, kilka minut po godzinie siódmej. Wiedziałam, że będzie miał rozmowę konferencyjną z jakimś europejskim państwem, stąd zdawałam sobie sprawę, iż nie będzie mógł użyć swojego BlackBerry. W dłoni trzymałam test ciężowy, a mój głos drżał nieznacznie, kiedy zostawiałam wiadomość na poczcie głosowej. „Hej, skarbie. Czy możemy zjeść razem śniadanie w Windows On The World1 za kwadrans dziewiąta? Chcę ci coś pokazać, wiesz? Coś naprawdę super. Oddzwoń, jeśli nie dasz rady. Kocham cię”.

Drugi telefon wykonała Rosalynn Stauer, jedna z najlepszych klientek Celine. Pani Stauer

była w posiadaniu bardzo starej tkaniny i prosiła, bym odebrała materiał, zanim ona wyjedzie do Szkocji tego samego dnia. W ten sposób miałam rozpocząć dopasowywanie próbek podczas jej nieobecności. Prosiła także, bym wstąpiła do niej w drodze do pracy.

Gdybym nie zadzwoniła do Kenta, znajdowałby się na trzydziestym czwartym piętrze, gdzie pierwszy z samolotów wbił się w północną wieżę.

Gdyby nie telefon od Rosalynn Stauer, nie spóźniłabym się na spotkanie z Kentem, a więc Kendal i ja byłybyśmy martwe. To z tego powodu nie powiedziałam córce, że byłam wtedy tam, na ulicy, kiedy upadły wieże, a jej tatuś trafił do nieba. Oznaczałoby to konieczność opowiedzenia jej o obu tych telefonach. O pierwszym, który dał nam szansę, i drugim, który tę szansę odebrał Kentowi.

Nie chciałam, by sądziła, że historia skomplikowała się z jej powodu. Równie mocno zależało mi kiedyś na tym, aby nie robić złudnych nadziei Kentowi. Zakupiłam test ciężowy w tajemnicy. Jeśli byłby negatywny, Kent nigdy nie musiałby się o tym dowiedzieć.

W chwili kiedy po raz pierwszy zobaczyłam znak plusa, wydał mi się on całkowicie nierealny. Przez kilka sekund nie byłam w stanie zrobić nic

innego, jak wpatrywać się w ten kawałek plastiku, który cicho obwieszczał, że rosło we mnie nasze dziecko. I wtedy wypełniająca mnie radość stała się jakby bolesna. To było zbyt cudowne uczucie, by przeżywać je samej. Ból mieszał się z radością, ponieważ mojego ukochanego ze mną nie było.

Krażyłam po naszym brooklyńskim mieszkaniu, będąc w siódmym niebie i rozmyślając jednocześnie, jak powinnam powiedzieć Kentowi o ciąży. Nie chciałam czekać na jego powrót do domu, z trudem udawało mi się usiedzieć w jednym miejscu. Właściwie to nie wiedziałam, czy wytrzymam jeszcze choćby godzinę. Zapraǳnęłam, by wyrosły mi skrzydła, abym mogła przelecieć przez rzekę i podzielić się z Kentem dobrymi wieściami. Pamiętałam, jak całkiem niedawno świętowaliśmy naszą szóstą rocznicę w Windows On The World. Ta restauracja, znajdująca się niemal na szczycie północnej wieży, była idealnym miejscem, gdzie mogłabym mu powiedzieć. W końcu sto sześć pięter nad ziemią to już prawie siódme niebo.

Zadzwońlam do Kenta, zadowolona, że mogę nagrać mu się na pocztę. Potem wzięłam prysznic i przygotowałam się, wkładając bladuróżową letnią sukienkę na ramiączkach w tulipany. Z tego co mówili w telewizji, miało być naprawdę gorąco. Rosalynn Stauer zadzwoniła, kiedy właśnie zakładałam kolczyki. Na początku zirytowała mnie swoją niedorzeczną prośbą. Przez nią musiałabym zmienić moje poranne plany tylko po to, by odebrać od niej kawałek tkaniny, którą miałam później dobrać. Pani Stauer mieszkała na Long Island, ponad godzinę drogi pociągiem.

– Dziś wyjeżdżamy do Szkocji. Muszę być na lotnisku w Newark o jedenastej –
powiedziała.

Gdyby nie była najlepszą klientką Celine, powiedziałabym jej, że powinna była zająć się tą sprawą wcześniej, a nie w dzień wyjazdu.

– Czy nie może mi pani tego wrzucić do skrzynki, zanim pani wyjedzie? – zapytałam jednak mimo wszystko, wyciągając z szafy parę balerinek.

– Och, nie mogę, Taryn. To pamiątka rodzinna.

– Przykro mi, ale nie mogę przyjechać na Long Island. Dzisiejszego poranka jestem z kimś umówiona, pani Stauer. To ważne.

– Och, czyż nie wspominałam, że jestem w centrum? – rzekła z entuzjazmem w głosie. –

Roger miał sprawę do załatwienia, więc zostaliśmy w mieście na noc. W takim razie idealnie się składa.

Założyłam buty i spjrzałam na zegarek. Celine była w Paryżu na zakupach, a ja miałam się wszystkim opiekować. Chciałam, by była zadowolona, że to mnie powierzyła pieczę nad

swoimi sprawami, bo niedawno awansowała mnie na zastępcę dyrektora. Jeśli opuściłabym Brooklyn już teraz, być może zdążyłabym wpaść do hotelu, w którym zatrzymali się państwo Stauer.

– Który to hotel? – spytałam na wszelki wypadek.

– Millenium.

Znajdował się zaledwie pięć minut pieszo od północnej wieży, praktycznie po drugiej stronie ulicy. Przez krótką chwilę poczułam coś bardzo dziwnego. Zupełnie jakby nie było zbiegiem okoliczności, że pani Stauer zatrzymała się wczoraj w mieście, że nieprzypadkowo miałam tę sprawę do załatwienia przed spotkaniem z Kentem. Odepchnęłam jednak od siebie te myśli. Nie chciałam myśleć ani o pani Stauer, ani o jej materiale. Pragnęłam po prostu wejść, wyjść i dostać się do Kenta.

– Dobrze, pani Stauer, właśnie wychodzę. Będę na miejscu za jakieś dwadzieścia minut.

Czy możemy się spotkać w recepcji?

– Och, cudownie, Taryn, po prostu cudownie. Do zobaczenia niebawem! – Rozłączyła się.

Pognałam do kuchni, żeby wyłączyć ekspres do kawy i zamknąć okno nad zlewem, które zaprotestowało z piskiem, a potem wybiegłam z domu.

Tego poranka miasto tętniło życiem, a stacja High Station zappełniła się ludźmi, którzy zmierzali na Manhattan. Przepchnęłam się przez tłumy, torując sobie drogę do pociągu A.

Weszłam do niego dosłownie w ostatniej chwili przed odjazdem, dziesięć minut później byłam na Wall Street. Już wtedy poczułam, jak piękny dzień się zapowiadał. Powietrze było ciepłe i świeże, ja natomiast nosiłam w sobie maleńki załazek nowego życia.

Po pięciominutowej pieszej wędrówce stałam przy recepcji hotelu Millenium. Były dwadzieścia cztery minuty po godzinie ósmej. Wciąż miałam dużo czasu. Ale mojej klientki jeszcze nie było.

Poczekalam pięć minut, po czym podeszłam do biurka przy recepcji, by poprosić o wykonanie telefonu do pani Stauer.

– Pani Stauer prosi, aby przyszła pani na górę – powiedziała recepcjonistka, odkładając słuchawkę. – Szesnaste piętro, pokój tysiąc sześćset dwadzieścia cztery.

Westchnęłam głęboko, lecz nakazałam sobie zachować spokój, recepcjonistka przecież niczemu nie zawiniła. Wziąwszy więc głęboki wdech, skierowałam się ku windom.

Pani Stauer była kobietą po siedemdziesiątce, której kasztanowe loczki mogły równać się barwą jedynie z sierścią setera irlandzkiego. Przywitała mnie w szlafroku.

– Dziękuję ci, że przyszłaś, Taryn. Tak się cieszę, że możemy się tym zająć przed moim wyjazdem. No chodź, chodź. – Otworzyła szerzej drzwi.

– Nie mogę zostać zbyt długo. Jestem umówiona i...

– Ale ja się nawet nie zdążyłam ubrać. A to zajmie mi tylko chwilkę. Wejdz, proszę.

Zaraz wracam.

Podreptała z powrotem do swojego pokoju, a ja tuż za nią. Drzwi się za mną zamknęły.

Najwyraźniej pan Stauer poszedł po gazetę, pił kawę, a może zażywał świeżego powietrza. Róg pokoju wypchany był wielkimi walizkami. Na całej rozciągłości ustawionego pośrodku stolika leżały talerze z resztkami naleśników z jagodami.

Pani Stauer podniosła z podłogi dużą damską torbę i ustawiła ją na niepościelonym ogromnym łożu. Wepchnęła do niej rękę i wyciągnęła ze środka niewielki worek.

– Tę podróż do Glasgow zaplanowaliśmy wieki temu. Chcieliśmy odwiedzić moją

kuzynkę. I nagle, wczoraj, przypomniałam sobie, że obiecałam jej spróbować znaleźć taki szal, jaki posiadała nasza cioteczka. Nie byłam pewna, gdzie go schowałam.

Spojrzała na mnie.

– Wiesz, pochodzę ze szkockiej rodziny. Ta ciotka, najmłodsza siostra mojej matki, przybyła tu w 1912 roku, miesiąc po zatonięciu Titanica. Przebrnęła przez Ellis i inne rzeczy.

Była pokojówką u profesora Uniwersytetu w Edynburgu.

– Pani Stauer, ja naprawdę muszę już iść.

– Naturalnie. Cóż, odnalazłam go zawieruszonego w cedrowej skrzyni w pokoju

gościnnym.

Pani Stauer otworzyła woreczek i wyciągnęła z niego kawałek błyszczącej,

pomarańczowo-czerwonej tkaniny. Od razu wpadła mi w oko cała ta kaskada nagietków pleciona w indyjski wzór materiału. Całość przypominała ciepłą jesień, z czułością otulającą świat swymi barwami. Pani Stauer rozwinęła materiał, ukazując mi go w całej jego doskonałości. Był piękny.

Sięgnęłam po niego instynktownie.

Zadowolona z mojego zainteresowania, pani Stauer rozpostarła go na mojej otwartej dłoń.

– Piękny, prawda? Ma pewnie jakieś sto lat.

Powiodłam palcami po jedwabistej strukturze nici. Ten szal niewątpliwie utkano we Francji, wzorując się na indyjskim motywie. W Indiach nagietki stosowano często, by czcić bóstwa, świętować śluby i opłakiwać zmarłych. Moją uwagę przyciągnęła czerń znajdująca się przy brzegu. Ktoś wyszył na nim imię. Lily.

– Czy Lily była pani ciotką? – zapytałam.

– Nie jestem pewna, kim była. Moja ciotka nazywała się Eleanor. Ale ten szalik podarował jej ktoś, kto także pracował z profesorem. Amerykanin. To właśnie dlatego otrzymałam go ja, a nie moja kuzynka. Jest nas jednak tylko dwie, a szalik wciąż jeden. Corrine pragnęłaby mieć jego replikę, jeśli to będzie możliwe. Nasza cioteczka nosiła go cały czas.

Chciałabym, zajeżdżając dziś wieczorem do Glasgow, powiedzieć jej, że znajdziesz coś odpowiedniego.

– Zrobię, co w mojej mocy – powiedziałam, wciąż zaintrygowana pięknem szala oraz tym, jak mnie przyciągał. Wtedy jednak przypomniałam sobie, że za piętnaście ósma miałam spotkać się z Kentem i przekazać mu najwspanialszą pod słońcem wiadomość. Zerknęłam na zegarek. Była ósma czterdzieści dwie.

– Muszę iść. Jestem spóźniona. Obiecuję, że się tym odpowiednio zajmę, pani Stauer. –

Pomknęłam w stronę drzwi. – Życzę szczęśliwej podróży.

Otworzyłam drzwi i niemal przez nie wyfrunęłam, składając szal w prostokąt. Szybkim krokiem udałam się w stronę wind, za sobą jednak usłyszałam panią Stauer, która krzyczała, że zapomniałam torebki. Prędko

zawróciłam i wzięłam ją od niej. Pospieszyłam ku windom ponownie i czekałam niecierpliwie na przybycie jednej z nich.

Droga do recepcji na parterze dłużyła się niesamowicie. Winda lekko zatrzęsała się pomiędzy ósmym i dziewiątym piętrem, ale nie zwróciło to mojej uwagi. Kiedy tylko drzwi otworzyły się na poziomie recepcji, sięgnęłam do torebki po telefon. Chciałam powiadomić Kenta, że jestem w drodze. Moje palce przeszukały wnętrze torebki, ale nie znalazły komórki.

Czyżbym zostawiła ją w domu? A może ktoś mi ją ukradł, kiedy jechałam do hotelu? Byłam tak zdenerwowana, że ledwie zauważyłam dziwne miny ludzi. Ktoś pytał boja hotelowego, co stało się na zewnątrz, ja jednak nie słuchałam jego odpowiedzi. Ponownie spojrzałam na zegarek. Była już ósma czterdzieści osiem. Przejście przez centralny plac World Trade Center zajmie mi pięć minut, a kolejne tyle wjechanie na sto szóste piętro. Byłam zła na panią Stauer, że ukradła mi tych kilka cennych chwil. Kent pewnie zastanawiał się, dlaczego nie dzwonię albo przynajmniej nie piszę wiadomości.

Zbliżając się do drzwi obrotowych, usłyszałam, jak ktoś mówi o katastrofie lotniczej,

a ktoś inny wzywa imię Boga. Wyszłam na zewnątrz, czując zapach dymu i benzyny, a także odrobinę woni papieru i kurzu.

Spojrzałam na plac. Płomienna zadra paliła wysoko nade mną najwyższe piętra północnej wieży. Dym wylewał się jak potwór, który właśnie wydostał się z najciemniejszej możliwej jaskini.

– To był odrzutowiec! – krzyknął ktoś stojący kilka metrów ode mnie. – Widziałem to.

Wleciał prosto w wieżę.

– Ja to słyszałem – dodał ktoś inny. – Aż zatrzęły się okna w moim gabinecie.

Z daleka dobiegł nas dźwięk syren. Tuż przede mną przejechały trzy wozy policji.

Kent.

Przepchnęłam się przez tłum ludzi zgromadzonych przed hotelem i rzuciłam się przez Church Street, by dotrzeć na plac. Policja jednak zaczęła już oddzielać tłum, nie chcąc, by ktokolwiek podchodził jeszcze bliżej północnej wieży.

Kent!

Gwałtownym ruchem ponownie sięgnęłam do torebki, usilnie pragnąc odszukać telefon.

Musiałam zadzwonić do Kenta. Wciąż nie mogłam jednak znaleźć komórki. Plac wypełniał się kolejnymi ewakuantami oraz spadającymi kawałkami plastiku, papieru i metalu. Policja wraz z załogą ochrony blokowała wszystkie wejścia na teren kompleksu, dlatego musiałam ciągle się przepychać, aby dostrzec twarze opuszczających budynek ludzi. Musiałam znaleźć wśród nich Kenta, by powiedzieć mu, że ze mną wszystko w porządku, że nie byłam w windzie w drodze do niego. Musiałam się również upewnić, że i jemu nic się nie stało.

Kent na pewno w porę dotarł do wyjścia przeciwpożarowego.

Wróciłam na Church Street, próbując zobaczyć ostatnie piętra budynku, gdzie Kent z pewnością na mnie wcześniej czekał. Pierścień dymu okalał niższe kondygnacje. Gdyby tylko Kentowi udało się dostać do jakiegoś wyjścia przeciwpożarowego... „Boże, spraw, żeby się stamtąd wydostał!”.

Moje przeszkłone łzami oczy wpatrywały się w niebo, kiedy nagle rozległ się zjadliwy pisk. Na lewo od miejsca, gdzie spoglądałam, podmuch bieli wbił się w południową wieżę. Huk eksplozji rozsadził powietrze, a ognista pięść wydostała się z górnej połowy budynku. Wokół

mnie zabrzmiały krzyki i przekleństwa. Ludzie znajdujący się przed kompleksem płakali przerażeni.

Uderzenie jednego samolotu w budynek mogło być pomyłką. Dwa uderzenia już nie.

Działo się coś strasznego, coś bardzo złego. Gdy z nieba spadały kolejne odłamki, przez moje ciało przebiegał strach.

Po prostu musiałam użyć jakiegoś telefonu, aby zadzwonić do Kenta. Chciałam dać mu znać, gdzie jestem, aby mógł mnie odnaleźć. Byłam przerażona i chciałam, aby on był tu teraz przy mnie. Przeszłam przez ulicę pomiędzy pojazdami ambulansu i wbiegłam z powrotem do hotelu Millennium. Panował w nim chaos, bo właśnie ewakuowano obecne tam osoby.

Ekran telewizorów w recepcji były włączone na kanale CNN. Przemykając obok, usłyszałam, jak prezenter wiadomości podawał informację, że dwa samoloty wbiły się w obie wieże – pierwszy w północną o godzinie ósmej czterdzieści osiem, a drugi w południową trzy minuty po dziewiątej rano.

– Proszę, czy mogę skorzystać z waszego telefonu? – krzyczałam do rozgorączkowanych recepcjonistów, którzy usiłowali pomóc kilkunastu osobom naraz. Nikt mnie nie słuchał.

Błagałam dwójkę napotkanych ludzi, którzy przemknęli obok mnie, by użyczyli mi telefonu, ale oni pokręcili jedynie przecząco głowami.

Pani Stauer! Mogłam wrócić do jej pokoju i stamtąd zadzwonić. Ominęłam windy, które

były przepełnione wysiadającymi ludźmi i pomknęłam ku schodom. Kiedy dobiegłam na szesnaste piętro, ledwie łapałam oddech. Walłam w drzwi pokoju, ale odpowiedź nie nadeszła.

Było już dwadzieścia minut po dziewiątej.

Pobiegłam na sam dół, wciąż ciężko dysząc. Wyprowadziła mnie obsługa hotelowa, która także powoli kierowała się do wyjścia. Na zewnątrz potęgował się zapach paliwa i poczucie zniszczenia. Wraz z tłumem uciekających ludzi popychano nas przez Maiden Lane w kierunku Broadwayu, gdzie zatrzymałam się, by nabrać powietrza i chwilę odpocząć. Nie chciałam iść ani kroku dalej. Postanowiłam tam stać, dopóki nie przebiegnie obok mnie ostatnia ewakuowana osoba. Musiałam jednak znaleźć kogoś, kto choć na moment użyczyłby mi swojego telefonu.

Zbierając myśli, słyszałam, jak ludzie wokół rozmawiali, płakali, przeklinali.

– Boże, co to za jedni? – powiedziała jedna osoba.

Inna dodała:

– Tam są ludzie. Będą skakać.

Zmusiłam się, aby unieść głowę i spojrzeć na północną wieżę, z której buchał siwy dym.

Dostrzegłam jakiś pyłek, jakby mały punkcik na próbce wstrętnego, szarego materiału. Pyłek spadł i zniknął mi z pola widzenia.

– Ci, którzy są na samej górze, nie mogą się wydostać. Zaczęli skakać – powiedział

pierwszy z gapiów. – Widziałem już chyba z pięćdziesięciu skaczących.

Odwróciłam się gwałtownie do otaczających mnie ludzi.

– Mój mąż jest w północnej wieży! – krzyczałam. – Na miłość boską, czy ktoś może pożyczyć mi telefon?!

– Proszę. – Mężczyzna w uniformie kwiaciarza z wyszytym imieniem Mick wyciągnął do mnie swój aparat. – Ale nie wiem, czy się pani dodzwoni.

Chwyciłam telefon i wymamrotałam słowa podziękowania, lecz moje dłonie trzęsły się tak mocno, że nie mogłam wybrać numeru. Łzy zamazywały mi obraz. Nie mogłam ani przestać płakać, ani też opanować drgawek targających moim ciałem.

Kwiaciarz położył swoją dłoń na mojej.

– Ja to zrobię – powiedział delikatnie. – Jaki mam wybrać numer?

Szlochałam, nie potrafiąc odsunąć od siebie widoku spadającego punktu. Miałam świadomość, że to nie był tylko punkt. To był jakiś człowiek. Jakaś osoba. Podałam kwiaciarzowi jego telefon i pośpiesznie wypowiedziałam numer komórki Kenta. Następnie sięgnęłam do torebki po chusteczkę, choć wiedziałam, że nie miałam żadnej. Moja dłoń zacisnęła się na paczce z szalem pani Stauer, który wydawał się mnie przyciągać, prosić, bym go wyjęła.

Wyciągnęłam więc materiał i przyłożyłam go do twarzy, by otrzeć łzy. W niciach tego szala poczułam tysiące różnych zapachów, niektóre z nich chyba tak stare, jak sama miłość. W tamtej chwili chciałam rzucić się w te nagietki i nigdy się z nich nie wynurzać. Gdybym była bardziej świadoma ludzi stojących wokół mnie, być może usłyszałabym, jak ktoś robi zdjęcie, zbyt mocno byłam jednak skupiona na ogromie własnej udręki.

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że nie odbiera, proszę pani – powiedział kwiaciarz. –

Może proszę napisać do niego wiadomość.

Moje ręce wciąż niesamowicie się trzęsły. Próbowalam sięgnąć po telefon, ale było jasne, że nie wystukam tekstu wiadomości.

– Co mam napisać?

Czy tak miała wyglądać nasza ostatnia wymiana zdań? Czy Kent wciąż żył, by mógł

odczytać tę wiadomość? Musiałam wierzyć, że tak.

– Proszę napisać, że jestem bezpieczna. Proszę napisać mu, że go kocham. I proszę napisać też, że zostanie ojcem.

Kwiaciarz pisał dyktowaną mu przeze mnie wiadomość, a oczy wypełniły mu się łzami.

Moje policzki zostały poznaczone nimi już jakiś czas temu. Rozpacz przepelniała mnie do cna.

– Dziękuję – wyszeptałam.

Skinął głową i odwrócił się, wycierając wilgotne oczy.

Spojrzałam z powrotem na przepelnione dymem niebo.

– Może zdążył już wyjść. Na którym piętrze pracuje? – powiedział kwiaciarz po kilku minutach.

– Na trzydziestym czwartym – wyszeptałam bez emocji.

– W takim razie pewnie zdążył się wydostać.

– Ale nie tam był.

Przez kilka kolejnych minut, nawet nie wiedziałam ile, patrzyłam, jak kwiaciarz ciągle sprawdzał swój telefon. Chciałam wierzyć, że robił to w mojej sprawie. Zwróciłam się do niego raz czy dwa, ale on pokiwał przecząco głową.

W pewnej chwili usłyszałam, jak ludzie mówili między sobą, że potwierdzono fakt jakoby dwa samoloty zostały porwane przez terrorystów. Ci celowo uderzyli nimi w wieże World Trade Center. Ktoś mówił, że Pentagon również został zaatakowany w ten sam sposób. Zakryłam uszy dłońmi, by nie słyszeć tych głosów.

Ludzie mijali mnie, a ja przyglądałam się im z uwagą, wierząc wbrew zdrowemu rozsądkowi, że zobaczę wśród nich znajomą twarz Kenta.

Wtedy usłyszałam nieziemski warkot, nieprzyjemny dla uszu pisk, który rozerwał

zmacone niebo i sprawił, iż pod naszymi stopami zatrzęsła się ziemia.

– Południowa wieża się wali! – Usłyszałam czyjś krzyk.

– To niemożliwe! – odpowiedział ktoś inny.

– Uciekajmy! – Dał się słyszeć trzeci głos.

Ludzie stojący z tyłu napaarli na mnie, w wyniku czego upadłam na kolana, a pył i gruz, niczym zmienna fala przybyła prosto z piekła, zaczęły się na nas walić.

Kiedy próbowałam się podnieść, trafiła mnie ściana gruzu. Przez chwilę widziałam tylko jej ruch. Żadnego światła, dźwięku, błagań o litość. Nawet powietrza.

Był tylko niewielki kawałek szalu, ostatnia piękna rzecz w samym środku chaosu, gdzie otchłań próbowała zagarnąć mnie w swe ramiona.

Nie mogłam oddychać.

„Proszę dać mi swoją rękę!”.

Ściana przygniotła moją klatkę piersiową.

„Proszę dać mi rękę!”.

Poczułam, jak dotykają mnie jakieś palce, ale przez chwilę chciałam pozwolić wygrać ciężarowi ściany. Jeśli Kent nie żył, co mi pozostało?

Palce złapały trzymany przeze mnie szalik i pociągnęły go.

Wystarczyło, bym puściła materiał, a wtedy mogłabym znaleźć się tam, gdzie był Kent. Kiedy piekący ból przeszywał mają klatkę piersiową, zastanawiałam się, jak boli umieranie w ten sposób.

Ale wtedy przypomniał mi się mały różowy plusik. Ściana nie mogła tknąć tego życia, które we mnie zakiełkowało. Kent chciałby, abym żyła.

Nie poddałam się. Pomagając sobie szalem, niczym ostatnią deską ratunku, z pomocą kwiaciarza stanęłam na własnych nogach i razem uciekliśmy przed ciemnością.

1. Popularna restauracja, która działała w północnej wieży World Trade Center od 1976

roku aż do wydarzeń z dnia 11 września 2001 roku.

Rozdział jedenasty

Clara

Wyspa Ellis

Wrzesień 1911

Już na początku mojej pracy na wyspie Ellis odkryłam, że obowiązki pielęgniarki w szpitalu są każdego dnia takie same. Ich powtarzalność niosła ze sobą dziwne uczucie pocieszenia. Gdyby nie ta zajmująca rutyna, widok nigdy niekończącego się ludzkiego cierpienia byłby dla takiej osoby udawką. Istnieje tu tak wiele bólu, jakiego może zaznać człowiek.

Skupianie się tylko i wyłącznie na wykonywanym właśnie zadaniu pozwalało mi i moim koleżankom uchronić się przed całkowitym

zatraceniem się w tym, co otaczało nas każdego dnia.

Kiedy po rozmowie na temat pożaru doktor Randall przygotowywał się do opuszczenia oddziału, ja usiłowałam odzyskać równowagę, przypominając sobie, by koncentrować się na prostych czynnościach, jakie mam wykonywać. Spojrzenie doktora Randalla, który wraz z doktorem Treaverem kończyli swoje zapiski, miało boleśnie przepaszający wyraz. Udawałam, że tego nie zauważam.

Tuż po przeniesieniu się lekarzy na kolejny oddział otrzymałam osoby do pomocy przy obmywaniu pacjentów oraz czyszczeniu ich basenów. Ci z mężczyzn, którzy byli w stanie chodzić, korzystali z toalety poza oddziałem, podtrzymując się na naszych ramionach. Andrew obserwował, jak jedna z pielęgniarek pomagała pacjentowi, który w drugiej części sali korzystał

z basenu, zachowując niewiele prywatności. Następnie usiadł powoli i spuścił nogi po stronie swojego łóżka. Zaczął się podnosić, a ja pospieszyłam do niego z miejsca, gdzie dwa łóżka dalej zmieniałam prześcieradła.

– Proszę uważać, panie Gwynn! – Podeszłam do niego, obejmując go od tyłu. Ciało trawione gorączką parzyło przez szpitalne ubranie mężczyzny. – Czego pan potrzebuje?

– Muszę zobaczyć, czy sobie z tym poradzę.

Ton jego głosu przywiódł mi na myśl odległe miejsce, gdzie stały wykonane z muru pruskiego, kryte strzechą chaty.

– Z czym?

– Z toaletą.

– Pomogę panu.

– Nie chcę pani kłopotać.

Zacieśniłam uścisk w pasie mężczyzny.

– Po prostu postójmy przez chwilę i przekonamy się, jak pan się będzie czuł.

– Nie chcę, by pomagała mi pani... Z toaletą.

Jego skromność wydała mi się dziwnie urzekająca.

– A co pan na to, abyśmy tam poszli? Zobaczymy, jak się pan będzie czuł –

powiedziałam.

Andrew skinął głową i podążyliśmy korytarzem pomiędzy łózkami. Mężczyzna oddalał

się nieco ode mnie, chcąc oszacować, na ile da radę stać na własnych nogach.

– I jak pan się czuje? Dobrze?

– Tak, tak, dziękuję.

Zamilkł i ciężko przełknął ślinę.

– Bardzo mi przykro z powodu tego pożaru.

Niepewna równowaga, jaką zdołałam odzyskać po mojej wcześniejszej rozmowie

z doktorem Randallem, nieco się ulotniła. Nie czułam już jednak wokół siebie obecności płomieni, jak miało to miejsce wcześniej. Wydawało się, że Andrew wspominający o pożarze nie wywoływał u mnie takiej reakcji. Kiwnęłam głową.

– Tak wielu ludzi zginęło – dodał.

– Tak.

– Czy nie mogli stamtąd uciec?

– Nie, to nie było możliwe.

– Czy wśród nich byli pani przyjaciele?

Zawahałam się na chwilę.

– Tak, jeden z nich.

Jego ręka powędrowała do gardła, które potarł.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie także. Proszę oszczędzać głos, panie Gwynn.

Dotarliśmy do wyjścia i przeszliśmy przez korytarz prowadzący do toalet. Zapytałam go, czy czuje się na siłach iść sam.

– Tak, dziękuję.

Wszedł do toalety, po czym odwrócił się do mnie, przeczekując moje spojrzenie.

– Poradzę sobie – oznajmił, po czym zamknął cicho drzwi.

Podczas przerwy na lunch zastałam Dolly, Ivy oraz kilka innych pielęgniarek przy tym stole co zwykle. Postawiłam moją tacę i usiadłam na pustym krześle obok Dolly.

– Jak mija ci dzień? – zapytała, chcąc otrzymać swego rodzaju zakodowaną wiadomość, dzięki której wiedziałaby, czy poczyniłam jakieś postępy w mojej wiadomej, tajemniczej sprawie.

– Pracowicie – odparłam. – W szponach szkarlatyny mamy dziesięciu mężczyzn.

Dolly zmarszczyła czoło, lecz wyraźnie rozumiała, że nie powinna mówić mi

w obecności innych, iż nie o taką odpowiedź jej chodziło. Jasne było, że przy tym stole nie miałyśmy szans porozmawiać o Lily Gwynn i jej liście bez przyciągania zbędnej uwagi. Nie przy wszystkich dziewczętach, które tam siedziały. No i przede wszystkim nie przy Ivy.

Niczym wywołana do tablicy, Ivy odłożyła widelec.

– Czy poznałyście już dzisiejszego ranka nowego stażystę? – spytała. – Ależ on ma klasę!

– Och, nie wydaje mi się – odrzekła Dolly. – Jest za chudy.

Ivy zaśmiała się i zwróciła do mnie.

– A ty, Claro, czy nie uważasz, że jest przystojny?

Przeżułam kawałek ziemniaka, który miałam w ustach.

– Bo ja wiem. Może.

– Nie dam ci go sobie sprzątnąć sprzed nosa, Ivy. To lekarz i do tego z Bostonu. Nie przeszkadzałoby mi nawet, gdyby miał troje oczu i zajęczą wargę – powiedziała Margaret, która często brała udział w sobotnich wypadach Dolly na tańce.

– Słyszałam, że w oko wpadła mu Clara – dodała kolejna z nich, Nellie. Odrzuciłam do tyłu głowę.

– Co? To nieprawda!

– Po obchodzie u ciebie przyszedł na mój oddział z odłą. Słyszałam, jak pytał doktora Treavera o twoje imię.

– To jeszcze nic nie znaczy – zaprotestowałam.

– Interesuje go jedynie ten pożar, to wszystko! – wypaliła Ivy, która, jak widać, chciała zagarnąć bostońskiego lekarza dla siebie za wszelką cenę. No i, rzecz jasna, musiała wspomnieć o pożarze.

– Powiedziałaś mu o tym? – spytała z niejakim oburzeniem Dolly i chwiała jej za to.

– Rany boskie, przecież wszyscy o tym wiedzą! I to on pierwszy o tym wspomniał, a nie ja. Powiedziałam mu, że mamy tu pielęgniarkę, która była świadkiem tamtych zdarzeń.

– Po coś to zrobiła?! – zawołała Dolly.

– Ale co? Przecież to było wiele miesięcy temu – powiedziała Ivy, zwracając się do mnie.

– Prawda, Claro? To było nawet zanim zaczęłam tu pracować.

– Prawda.

W ustach miałam kawałek mięsa, za nic nie mogąc go przełknąć. Zapadła wymowna cisza, wobec czego wstałam i zabrałam swoją tacę.

– To mięso jest za twarde. Chyba jednak zjem zupę.

Czułam na sobie spojrzenia dziewcząt. Usłyszałam też, jak Dolly szeptała Ivy, podczas gdy ja oddalałam się od stolika.

– Nie masz prawa chodzić i rozpowiadać o tym ludziom tylko dlatego, że to miało miejsce przed twoim przyjazdem. Ta biedaczka widziała, jak ludzie wyskakiwali z płonącego budynku na pewną śmierć! Dziesiątki ludzi. Ona to wszystko widziała!

Odłożyłam tacę, ale się nie zatrzymałam.

Rozdział dwunasty

Moi nauczyciele w szkole pielęgniarstwa wpoili mi, że zajmując się pacjentami chorymi na szkarlatynę, muszę w szczególności zwracać uwagę na trzy rzeczy. Po pierwsze, musiałam zrozumieć związek pomiędzy kontaktem z pacjentem a dbaniem o higienę, by sama nie zarazić się chorobą. Kolejna kwestia dotyczyła powikłań, na które należało uważać, gdyż mogły pojawić się dolegliwości wtórne wynikające z gorączki (jak na przykład zapalenie nerek). Po trzecie, do moich zadań należało także chronienie każdej osoby, która znajdowała się blisko chorego.

Podobne ogólne wskazówki przekazał mi ojciec, choć użył do tego innych słów.

– Miej respekt przed tą chorobą, bo jest naprawdę poważna.

Powiedział mi także, że choroba nie ma żadnych intencji i niczego nie chce. Nie ma złowrogiego zamiaru zabicia. Jeśli mogłaby przemówić, nie powiedziałaby: „Chcę, żebyś zachorował! Chcę, by śmierć zajrzała ci w oczy! Pragnę cię zabić!”. Jedyne, co można by od niej usłyszeć, to: „Sprawiam, że ludzie są chorzy. Sprawiam, że śmierć zagląda im w oczy. Mogę zabić”.

Choroba działa jak maszyna – robi swoje, ale działa bezwiednie. Kiedy maszyna staje, nie ma to dla niej znaczenia. Nie świętuje też, gdy na nowo odzyska sprawność.

Napatrzyłam się już na przypadki szkarlatyny, stąd też wiem, że zarówno dla chorych, jak i członków ich rodzin choroba ta jest potworna, bezlitosna i ma charakter osobisty. Naturalnie rozumiem ich odczucia. Kiedy toczysz bój o własne życie, choroba jest niezaprzeczalnie twoim wrogiem, z którym musisz się rozprawić. Coś stoi po przeciwnej stronie barykady. To coś chce cię pokonać.

Chcesz wierzyć, że to choroba jest twoim nieprzyjacielem. Ani przez chwilę nie godzisz się z myślą, iż jest nim twój własny organizm, ten marny kolektyw tkanek niepotrafiących ustrzec się przed zarazą. Zarówno słabe żdźbło mięśni, kości, jak i duszy nie może się oprzeć mocy płomienia ani przygniatającej ziemi.

Zarówno Andrew, jak i pozostałe osoby podróżujące statkiem dostały typowej szkarłatnej wysypki drugiego dnia. Najpierw pojawiła się na klatkach piersiowych i szyjach, potem szybko doszło do nasilenia się objawów. Wysypki tej nie można porównać do dolegliwości towarzyszących odrze, kiedy to skóra wygląda, jakby ktoś poznał ją kropki zrobionymi ołówkiem. Ta towarzysząca szkarlatynie przypomina raczej smugi różano-czerwonej farby niespodziewanie nałożone na płótno przez dopadniętego szaleńcem twórczym artystę.

Dokuczliwe pęcherze pojawiają się dopiero po trzech dniach, a kiedy już to nastąpi, pozostałe z nich okropne strupy odpadają i łuszczą się, sprawiając, że człowiek ma wrażenie, iż zachorował na trąd. Odchodząca skóra przypomina odpadające łuski ryby, ale z jednego powodu należy się wówczas cieszyć – każda mijająca godzina zwiększa szanse na przeżycie. Jest to jednak nieprzyjemny proces, który czasami zajmuje całe dni. To właśnie z tego powodu ubrania i rzeczy należące do pacjenta zostają spalone, a powstałe w ten sposób konfetti pyłu można przyrównać do sproszkowanej trucizny.

Moim dzisiejszym zadaniem na oddziale miała być obserwacja tego, czy pacjenci gorączkują oraz czy mają spuchnięte gardła. To właśnie te dwa objawy nasilały się drugiego dnia choroby. Chodziłam od łóżka do łóżka, sprawdzając każdego pacjenta, podając im coś do picia lub pomagając korzystać z basenu. Andrew celowo zachowałam sobie na sam koniec.

Kiedy podeszłam do jego łóżka, ledwie zauważył moją obecność. Położyłam mu dłoń na czole, a jego gorąca skóra rozpałała moją rękę niczym rozgrzane żelazo. Andrew pochylił się ku

mojej chłodnej dłoni i lekko jęknął. Pielęgniarka, która opiekowała się nim w nocy, napisała w jego karcie, że gorączka od świtu podskoczyła do ponad czterdziestu stopni. Tylko jedno mogłam dla niego zrobić do pojawienia się doktora Treavera na porannym obchodzie – schłodzić mu czoło zimnym okładem.

Robiłam to setkom pacjentów w różnym wieku, ale przyciskając chłodny kompres do szyi Andrew, jego klatki piersiowej i pleców czułam z

nim dziwną więź. Zupełnie jakbym towarzyszyła mu w walce ze smokiem, pełniąc rolę jego giermka. Gorący smoczy podmuch parzył okład, zupełnie jakby i mnie chciał wciągnąć do tej rozgrywki. Ja jednak wciąż gasiłam ogień, mocząc i wyciskając szmatkę raz za razem. Mój dotyk wywoływał u Andrew dreszcze.

Wyobrażałam sobie, jak zbliżając się do smoka, unosi swój miecz wysoko, naciera na bestię i szuka na jej ciele słabego punktu.

Nagle otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Lily? – wyszeptał.

Po jego skroni spłynęła strużka wody. Starłam ją kompresem.

– To ja, siostra Wood, panie Gwynn.

– Lily?

– Nie, siostra Wood. Pamięta mnie pan?

– Lily, to nie są twoje ubrania.

Nie po raz pierwszy widziałam chorego na szkarlatynę w malignie, ale nigdy wcześniej nie wzięto mnie za czyjaś zmarłą żonę.

– Jest pan w szpitalu na wyspie Ellis, panie Gwynn.

Powiedział coś w języku walijskim, przynajmniej tak mi się wydawało. Zabrzmiało to bardzo smutno, aż serce mi pękało na dźwięk tonu jego głosu. Powtórzył głośniej te słowa i zdawało się, że wpadnie w szal. Uniósł głowę kilka centymetrów nad poduszką.

Odpowiedziałam po francusku, bo kiedy leżałam chora i z gorączką w łóżku, moja matka zwracała się do mnie w tym właśnie języku. Zawsze mnie to uspokajało. Miałam nadzieję, że to pomoże pokonać czar rzucony przez chorobę.

– *Ne t'inquiète pas, mon coeur.*

„Oszczędzaj siły, kochanie”.

Jego nienaturalnie błyszczące oczy rozszerzyły się, ale leżał spokojnie.

– *Fais des beaux rêves de lendemain.*

„Śnij o lepszym jutrze”.

Andrew położył się na poduszce, ale nie spuszczał ze mnie oczu.

– Lily?

– Ciiii.

– Lily?

Poddałam się.

– Co się dzieje, Andrew?

– Nie mam pieniędzy na pierścionek.

- To nic.
- Gdybym tylko miał pierścionek mojej matki...
- Ciiii.
- Polubiłabyś ją, Lily. Tak bym chciał, żebyś ją poznała.
- Tak. Cichutko już. Czas odpocząć.

Zamknął oczy niczym posłuszne dziecko. Pozostawiłam moją rękę i okład pod nią na jego gorącym czole, aż zaczął oddychać wolno i miarowo.

Poczułam za sobą ruch. Podniosłam oczy, pewna, że to doktor Treaver wszedł na salę, ale

kilka metrów za mną stał doktor Randall, zapinając ciasno ochronną pelerynę wokół szyi.

Przypomniałam sobie słowa Nellie z lunchu o tym, że doktor Randall pytał o moje imię.

– Dzień dobry, siostró Wood – powiedział, kiedy podeszłam do niego. Gdy znalazłam się dość blisko, wyrzłam przez drzwi, by upewnić się, czy doktor Treaver także zaraz się nie pojawi.

- Dziś jestem tylko ja. – Mężczyzna się uśmiechnął.
- Ach tak, oczywiście. Dzień dobry, doktorze.
- Jak się dziś sprawy mają?

Podszedł do biurka pielęgniarek, by rzucić okiem na naszą główną kartę, która dotyczyła wszystkich pacjentów na oddziale. Mógł w ten sposób dowiedzieć się, jaki był ich ogólny stan.

- Mamy więc pięć potwierdzonych nowych przypadków? – zapytał.
- Tak. Wysypka pojawiła się dzisiaj rano.
- Nie mamy gorączki powyżej czterdziestu jeden stopni? Żadnych konwulsji? Ani obrzęków?

– Nie. – Spojrzałam w kierunku Andrew. – Pan Gwynn majaczył w gorączce, ale udało mi się ją nieco zbić wilgotnym okładem. Teraz leży już spokojnie.

- Majaczył? Jak to?

Przełknęłam ślinę.

– Myślał, że jestem jego żoną. Ona... Była jednym z pasażerów, którzy zmarli na szkarlatynę na pokładzie Sewilli.

Doktor Randall spojrzał znad karty.

- Co za tragedia. Nie wiedziałem. To bardzo przykre.

Co można było dodać? Odwróciłam się, żeby przygotować sobie kartę, abym mogła asystować mu przy obchodzie. Kiedy już skończyłam ją

czytać, zaczęłam zakładać maseczkę.

Odwróciłam się do doktora twarzą i zobaczyłam, że mnie obserwuje.

– Wie pani, jest w pani coś niezwykle subtelnego, siostró Wood.

Widziałem, jak obeszła się pani z panem Gwynnem.

Moje policzki z miejsca się rozgrzały i byłam szczęśliwa, że nie mógł tego dostrzec.

– Nie byłem w stanie usłyszeć tego, co mówiliście, ale dostrzegłem, że był wzburzony, a pani go uspokoiła tylko za pomocą dotyku i kilku słów. Tego na pewno nie uczą w szkołach dla pielęgniarek, prawda? – Jego uśmiech się rozszerzył.

Zaśmiałam się nerwowo.

– A pana nie uczyli na medycynie, jak zachowywać się przy łóżku chorego, doktorze Randall?

– Nie uczyli nas francuskiego.

Potrąciłam butelkę z alkoholem stojącą na moim wózku, w wyniku czego zaczęła się niebezpiecznie kołysać. Doktor wyciągnął dłoń i w porę ją pochwycił, zanim się przewróciła.

– Bo mówiła pani po francusku, prawda?

Wyciągnęłam butelkę z jego dłoni i sama ją ustawiłam.

– Prawda.

– Ale pan Gwynn jest Walijczykiem.

Wzruszyłam ramionami.

– Moja matka jest Francuzką. Mówiła tak do mnie, kiedy byłam chora. Francuski pięknie brzmi. Koi rany. Miałam nadzieję, że jego rany też ukoi.

– Rzeczywiście, tak się stało. To niezwykle mądre z pani strony, że pani na to wpadła.

Przez chwilę myślałam, że sobie ze mnie szydzi, bo jego uśmiech i sposób bycia sprawiały wrażenie nieco przesadnych. Doktor Randall był jednak szczerzy.

– W tym szpitalu robimy, co możemy, żeby pomóc pacjentom w cierpieniu – odparłam nieprzekonująco, sama krzywiąc się na dźwięk tego, jak to zabrzmiało.

– Nie docenia pani siebie, siostró Wood. A może mógłbym nazywać panią Clarą?

Przysunęłam wózek blisko siebie w obronnym geście.

– Może mnie pan nazywać panną Wood.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Jak sobie pani życzy, panno Wood. To co, jedziemy dalej?

Chodziliśmy od łóżka do łóżka. Wiele minut później, kiedy dotarliśmy do Andrew, jego gorączka już ustąpiła. Mężczyzna kręcił się rozbudzony, a doktor Randall nasłuchiwał jego płuc i serca, badał węzły chłonne przy gardle i przyglądał się, jak rozwija się wysypka. Kiedy lekarz kazał mu otworzyć gardło, Andrew go usłuchał. Zmierzyliśmy mu też temperaturę. Poczułam ulgę, gdy zobaczyłam, że spadła do trzydziestu dziewięciu i pół stopnia, choć byłam pewna, iż stan ten nie utrzyma się długo. Trzeci dzień będzie prawdopodobnie gorszy.

– Jest pan tu w znakomitych rękach, panie Gwynn – stwierdził doktor Randall. – Siostra Wood dobrze się panem opiekuje.

Andrew przeniósł wzrok na mnie, a ja posłałam mu grzeczny uśmiech. Nie wiedziałam, czy pamiętał, że wziął mnie za Lily. Podejrzywałam, że nie.

Przeszliśmy do kolejnego pacjenta, który nie obudził się, gdy doktor Randall go badał.

A ponieważ lekarz nie mógł odezwać się do pacjenta, zwrócił się do mnie.

– Czy lubi pani czytać, panno Wood?

– To zależy od lektury, doktorze.

– Ach tak. Naturalnie. Czy lubi pani filozofię?

Nie byłam pewna, czy pragnę oświecić doktora w kwestii moich czytelniczych upodobań.

Pomyślałam o tomiku poezji należącym do Lily, który znajdował się w moim pokoju. Nie czytałam poezji od lat. Nie sądziłam, by inaczej było z doktorem Randallem.

– Lubię poezję – wypaliłam.

Spojrzał na mnie i zdawało się, że był zadowolony.

– Naprawdę?

Przytaknęłam, nieco zaniepokojona. Wymieniłam kartę pacjenta, którego właśnie badał, i popchnęłam wózek do kolejnego łóżka. Leżący na nim mężczyzna zmagał się z chorobą drugi tydzień. Nie spał już od jakiegoś czasu i popijał właśnie wodę ze szklanki. Jego ręce i szyja były całe białe od łusek skóry i pękniętych pęcherzy.

– Ma pani swojego ulubieńca?

– Ulubieńca?

– Tak, ulubionego poetę.

Nachyliłam się ku mężczyźnie w łóżku.

– Czy mogę postawić pana szklankę na stole obok, panie Gianelli? – zapytałam, delikatnie wyjmując naczynie z jego rąk.

– Na pewno ma pani swojego ulubionego poetę.

– Lubię wszystkich.

Doktor Randall się zaśmiał.

– Nikt nie lubi wszystkich.

Postawiłam szklankę na stoliku przy łóżku. Nigdy wcześniej bardziej nie pragnęłam rozmawiać o spuchniętych trąbkach słuchowych, bólu nerek czy złuszczeniu się skóry. Doktor Randall zabrał się do badania pana Gianelliego, w międzyczasie wydawał polecenia co do tego, by zwiększyć ilość kąpieli szorujących do dwóch dziennie celem usunięcia resztek wysypki.

Ostatni dwaj pacjenci także byli już w pełni rozbudzeni i skłonni do rozmowy. Kiedy

skończyliśmy, skierowałam się do znajdującej się na końcu oddziału umywalki, aby wyszorować ręce. Doktor Randall poszedł ze mną, zdejmując maseczkę oraz pelerynę i wrzucając je do kosza, skąd miały być zabrane do wyjałowienia przed kolejnym użyciem.

Staął obok mnie i także zaczął myć dłonie.

– Nie chcę się narzucać, panno Wood, ale niewiele tu mamy rozrywki po godzinach pracy w trakcie tygodnia. Pomyślałem, że miło byłoby omówić razem jakąś książkę po kolacji w stołówce dla personelu.

Ostatniego wieczoru niemal zanudziłem się na śmierć.

– Nudziło się panu pierwszej nocy?

– To była moja trzecia noc i tak, było mi nudno.

Szorowałam ręce, ale nic nie mówiłam. Jakaś część mnie pragnęła robić wieczorami coś poza czytaniem w gazetach rubryk towarzyskich wraz z Dolly i innymi dziewczętami oraz wysłuchiowaniem ich niekończących się plotek na temat innych ludzi. Ale siedzieć z doktorem Randallem w stołówce i rozmawiać o książce? Wszyscy wokół pomyśleliby sobie, że chcę od niego czegoś więcej. To nie wchodziło w grę, nie miało wręcz prawa bytu w moim świętym pośrednim miejscu, łączącym przeszłość z przyszłością.

Szybko osuszyłam dłonie i odeszłam od umywalki.

– Proszę mi powiedzieć, kto jest pani ulubionym poetą – ciągnął niewzruszony. – A ja powiem pani, czy już go czytałem. Albo ją.

W tamtej chwili na myśl przychodziło mi tylko jedno nazwisko. Tylko to jedno.

– Keats.

Uśmiechnął się.

– Keats. Czytałem jego wiersze. Spotkamy się później wieczorem?

Powiedzmy, po kolacji?

Pokręciłam przecząco głową.

– Dziś nie mogę.

– W takim razie jutro. – Wytarł ręce i zwrócił się do mnie.

– Nie jestem... gotowa.

– Słucham?

– Nie jestem...

Pozostałe słowa rozplynęły się gdzieś w przestrzeni, niewypowiedziane. Z ulgą stwierdziłam, że jeden z pacjentów prosi o podanie mu wody do picia.

– Muszę iść – powiedziałam, uśmiechając się z wysiłkiem. – Miłego dnia, doktorze.

Pospiesznie napełniłam dzbanek wodą, po czym udałam się do łóżka mężczyzny, który jej potrzebował. Kątem oka zauważyłam, jak doktor Randall opuszcza oddział.

Kiedy skończyłam poić pacjenta, usłyszałam kolejną prośbę o wodę. To był Andrew.

Podeszłam do jego łóżka i nalałam mu jej do szklanki. Pił wolno i z wysiłkiem, a ja przez cały czas pomagałam mu trzymać naczynie.

– Też lubię Keatsa – powiedział, kiedy zabrałam szklankę. Z zaskoczeniem przyjął, że słyszał rozmowę przy umywalce. Moje oczy pewnie zrobiły się jak spodki. – Nie zamierzałem podsłuchiwać. Głos doktora niósł się wyraźnie po tej pokrytej kafelkami sali – ciągnął.

Uśmiechnęłam się niemrawo.

– W takim razie muszę uważać na to, o jakich tajemnicach tutaj rozmawiam.

Andrew położył głowę na poduszce.

– Pani głos nie rozchodzi się po pomieszczeniu tak, jak jego.

To tak naprawdę zabrzmiało, jakby chciał powiedzieć: „Pani sekrety są u mnie bezpieczne”.

Wymieniając szklankę przy jego stoliku nocnym, zastanawiałam się, czy wiedział, że Lily

także lubiła Keatsa. Czy wiedział, że wśród bagaży nosiła jego tomik? Biorąc pod uwagę to, co znalazłam w jej walizce, nie sądziłam, by miał tego świadomość.

Rozdział trzynasty

Moi rodzice przybyli do Nowego Jorku trzy dni po pożarze w południe. Wybrali się pociągiem, bez zbędnego bagażu. Zamierzali pomóc mi spakować tych kilka rzeczy, które miałam, a potem cała nasza trójka miała wrócić do Filadelfii pociągiem odjeżdżającym o godzinie szesnastej. Tam zapewne mój ojciec pozostawił swoje auto, dzięki któremu po godzinie znaleźlibyśmy się w domu.

Powinnam była wyjść im na spotkanie na stację, ale nie miałam na to siły. Nie wychodziłam z domu już od trzech dni, od kiedy chłopak rozwożący warzywa mnie do niego przywiózł. Rodzice przyjechali taksówką pod budynek z czerwonobrunatnego piaskowca, gdzie wynajmowałam pokój na górnym piętrze. Pokój był ładny, a budynek utrzymany w dobrym stanie. Jego właścicielką była niezamężna kobieta w podeszłym wieku, panna Hatfield, która uważała, że jej życiową misją była ochrona młodych, samotnych kobiet przed

niebezpieczeństwami czyhającymi na nie w mieście.

Rodzice pojawili się na miejscu kilka minut po południu, a panna Hatfield uparła się, że przygotuje nam lunch, podczas gdy my mieliśmy skorzystać z jej salonu jako miejsca na spotkanie. Było jasne, że nie chciała, abym się wyprowadziła, a wiedziała, tak jak i ja, że rodzice planowali tego dnia zabrać mnie do domu. Zapewne miała nadzieję, że jej gościnność sprawi, iż rodzice zarezerwują mój pokój do czasu mojego powrotu. Pewnym było, że sama nie mogłabym go opłacać, jeśli bym z nimi wyjechała.

Gdy tylko panna Hatfield zostawiła nas, by przygotować posiłek, moja mama utuliła mnie w ramionach. Nie płakałam od czasu pożaru, a teraz zostałam otoczona matczyną opieką.

Poczułam ogromną falę emocji, tak silną, jak przypływ w czasie sztormu. Wiedziałam, że wystarczy naprawdę niewiele, bym straciła nad sobą pełną kontrolę. Odsunęłam się więc nieco od mamy, byśmy obie nie utonęły w potokach łez.

– Wszystko w porządku, naprawdę – powiedziałam, opierając się uściskowi. – Usiądźmy.

Kanarek, zamieszkujący klatkę w kształcie dzwonu, poćwierkiwał cicho, podczas gdy nasza trójka zajmowała miejsca na tapicerowanych krzesłach, których poduszki na podłokietnikach zdobione były koronką.

– Och, kochanie! Nie mogę uwierzyć, że to zdarzyło się tak szybko po twoim

przyjeździe!

Matka nachyliła się ku mnie i poklepała po ramieniu, a ja po raz pierwszy zauważyłam, że miała na sobie chabrowo-niebieską sukienkę i pasujący do niej kapelusz, którego w ogóle nie kojarzyłam. Nagle wydało mi się to dziwne. Nigdy nie widziałam jej w sukience, której wcześniej by nie nosiła. Pomiedzy ukończeniem szkoły a przeprowadzką do Nowego Jorku mieszkałam w domu jedynie przez tydzień, a wcześniej uczyłam się w szkole pielęgniarstwa.

Zdałam sobie sprawę, że jeśli wrócę teraz z rodzicami, zobaczę wszystko w nieco innym świetle

– inny będzie rozmiar jabłek w sadzie, mały chłopiec, który mieszkał w domu po drugiej stronie ulicy, okaże się wyższy, nawet sukienki wiszące w szafie mojej mamy będą różniły się od tych, które zapamiętałam. Wszystko będzie inne, poza mną. Mogłabym wrócić do okresu sprzed poznania Edwarda. Dla mnie ten mały odłamek czasu i miejsca wciąż byłby taki sam. Ale tylko dla mnie. Dla każdej innej osoby i rzeczy świat się zmienił.

Nie mogłam jechać z rodzicami.

Ale wiedziałam też, że nie mogę zostać.

Remonty górnych pięter Asch Building szły pełną parą, a ja otrzymałam informację od

dyrektora poradni lekarskiej, że obiekty działające na piętrach, których nie pochłonęły płomienie, mogą spodziewać się ponownego otwarcia do końca tygodnia. Wśród nich był gabinet lekarza, u którego pracowałam.

Ale ja już nigdy nie będę mogła przestąpić progu Asch Building. Nigdy.

– Dla tych ludzi, którzy nie mogli uciec, to musiało być okropne przeżycie – ciągnęła moja mama. – Tak bardzo współczuję ich rodzinom, zwłaszcza, że my mamy takie szczęście, iż tobie nic...

– To było okropne. To była najokropniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Nauczono mnie, by nigdy nie przerywać, kiedy ktoś mówi, więc moje zachowanie bardzo zaskoczyło matkę. Mnie samą zresztą też.

– Widziałaś? Czy ty... Ty byłaś na ulicy? – zapytał mój ojciec, nie wiedząc, jak ma mówić o tym, czego byłam świadkiem.

– Od kiedy opuściłam budynek, aż do ugaszenia płomieni.

– Cały ten czas? – Oczy mojej matki rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Ogień płonął zaledwie pół godziny.

– Tylu... Tylu ludzi i wszystko to trwało tylko pół godziny?

Zdawało się, że ogarnęła mnie okropna zuchwałość, zupełnie jakbym chciała obwinić kogoś za to, jak się czułam tamtego dnia.

– Tak. Wszyscy ci ludzie zginęli w pół godziny. Nikt z nas stojących na ulicy nie mógł

nic zrobić. Jestem pielęgniarzką i nie mogłam nic zrobić.

Nie chciałam być taka bezpośrednia, a moja matka z pewnością się tego nie spodziewała.

Usiadła z powrotem w swoim krześle, zupełnie jakbym ją uderzyła. Spuściłam oczy na moje stopy i wypowiedziałam słowa przeprosin, które jej się ode mnie należały.

– Przepraszam. To nie wasza wina. Nie wiem, co mnie napadło.

– Już dobrze – wyszeptała mama, jej słowa były pełne zrozumienia.

– Claro, kochanie – powiedział delikatnie ojciec. – Wszystko zostało już przygotowane, byś mogła wrócić z nami do domu. Nie musisz dłużej nad tym rozmyślać.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie. Wyglądało na to, że nie zdawał sobie kompletnie sprawy z tego, iż roztrząsanie tamtych wydarzeń nie było zależne ode mnie. Umysł to skomplikowana maszyna, nad którą człowiekowi nie zawsze udaje się zapanować. Można jedynie mieć nadzieję, że niechciane myśli w pewnym momencie się nami znudzą i odejdą, a nie wyprowadzą nas na manowce. Gdy patrzę teraz na całą sytuację z perspektywy czasu, to wydaje mi, że to był

pierwszy raz, kiedy odczułam potrzebę posiadania swojej własnej przestrzeni poza rzeczywistością, bezpiecznego miejsca, w które mogłabym się udać, w razie gdyby codzienność zaczęła mnie przerastać. Nie mógł to być dom moich rodziców w Pensylwanii ani też Manhattan, gdzie żył Edward. Musiałam znaleźć jakiś obszar pomiędzy przeszłością a przyszłością, gdzie istniałaby możliwość poczekania, aż ciężar w sercu odpuści. Takie miejsce pośrednie.

– Nie wrócę z wami – powiedziałam.

– Słucham? – Mój ojciec uniósł głowę, jakby nie dosłyszał, co powiedziałam.

– Chcesz... Chcesz tutaj zostać? – zapytała matka.

– Nie, nie chcę tutaj zostać.

– Nie rozumiem – odparł ojciec.

Prawda była taka, że i ja tego nie rozumiałam. Wiedziałam jedynie, że siedząc z moimi rodzicami w tym pokoju na Manhattanie, ledwie mogłam oddychać. Zupełnie jakbym dusiła się popiołem. Spadał na mnie niczym styczniowy śnieg i wiedziałam, że jeżeli się nie ruszę, przysypie mnie całkowicie.

Przypomniałam sobie wówczas, że w szkole pielęgniarstwa była bardzo powściągliwa

dziewczyna, która po ukończeniu nauki chciała pracować w szpitalu na wyspie Ellis. Kiedy zapytałam ją dlaczego, odpowiedziała mi, że była to nowa i duża placówka, gdzie nie brakowało specjalistycznego sprzętu, a pielęgniarki nie musiały wstępować do korpusu medycznego, aby tam pracować, jak przykładowo dotyczyło to lekarzy. Powiedziała mi też, że szpital znajdował

się w mieście, chociaż tak naprawdę do niego nie należał, a jej się to podobało, bo nie lubiła presji. Wtedy ja wyraziłam wątpliwość, że pomimo wszystko to i tak pewnie bardzo ruchliwe miejsce, a ona odparła:

– Tak, ale ruchliwe na inny sposób. Nikt nie zagrzewa tam miejsca na długo. Tam czeka się na to, co ma się zaraz wydarzyć. To właśnie Ellis. Nikt tam nie mieszka. To nie jest niczyj dom.

Dziewczyna nie ukończyła szkoły, ale wyjątkowo mocno zapadł mi w pamięć wyraz jej twarzy, gestykulacja w trakcie tamtej rozmowy. Nigdy nie widziałam jej tak ożywionej. Teraz jej słowa rozbrzmiewały w mojej głowie: *To nie jest niczyj dom. Niczyj. To miejsce pośrednie.*

– Chcę dostać posadę w szpitalu na wyspie Ellis – powiedziałam. – Słyszałam, że potrzebują tam pielęgniarek.

Moja matka prychnęła cicho.

– Ellis? Chcesz pracować na Ellis? W publicznej służbie zdrowia? – Mój ojciec mrugnął

kilka razy.

– To takie... Takie... – Matka nie potrafiła nawet skończyć zdania.

– Jakie?

– Nie chcesz tam pracować – powiedział uspokajająco ojciec, jakbym miała dziesięć lat. –

Cholera, tyfus, odra, grypa to ich chleb powszedni. To nie miejsce dla ciebie, Claro.

Matka znów prychnęła, tym razem nieco głośniej. Na wspomnienie tyfusu czy cholery moja reakcja zaczynała być podobna. Mimo wszystko starałam się być nieugięta.

– To miejsce dla pielęgniarki. Całkiem normalna sprawa.

– Claro, co się z tobą stało? – Słowa mojej matki zabrzmiały tak głucho, że ledwo mnie dobiegły. Zanim zdecydowałam, czy się nie przesłyszałam, przemówił mój ojciec.

– Rozumiem, że to, co przeszłaś, było dla ciebie traumą. Jeżeli nie chcesz wracać z nami do domu, nie ma problemu. Ale nie karz siebie za to, że przeżyłaś pożar, przyjmując posadę w miejscu, gdzie szaleją najgroźniejsze choroby tego świata. To nie twoja wina, że nie mogłaś nikogo ocalić.

Na chwilę zaniemówiłam. Karać siebie za to, że przeżyłam pożar? Czy o to mi chodziło?

Odpowiedź przyszła lada chwila. Do tego nie była mi potrzebna wyspa.

– Claro?

– Jeśli chciałabym sama siebie ukarać, papo, mogłabym to zrobić, zostając tutaj. Jeśli chciałabym się ukarać, wróciłabym do tamtego budynku. Albo do domu, razem z wami.

– Nie mówisz chyba poważnie? – spytała matka i widziałam, że była na skraju łez.

– Nie mówię, że dom to okropne miejsce, mamo. Chcę powiedzieć, że to ja znajduję się w okropnym miejscu. I jeśli wrócę z wami do domu, nic się nie zmieni.

– Ależ oczywiście, że się zmieni!

– Nie, nie zmieni się.

Ojciec przełknął to, co stało mu w gardle.

– Teraz tak ci się wydaje, bo byłaś świadkiem tragedii, ale kiedy zabierzemy cię do domu, to wspomnienie zacznie się zacierać, Claro. Uwierz mi.

Zwróciłam się do niego, w oczach dostrzegając siłę i determinację. Był specjalistą od przywracania rzeczy do ich naturalnych ról. Zupełnie tak jak ja. Wydawało mu się, że potrafił

naprawić tę sytuację, tak jak robił to z ludźmi, których rany zszywał, by się zagoiły. Setki razy

widziałam, jak to robił. Ale tu nie chodziło o zszywanie rany. Ani o chorobę, którą można by wyleczyć. Główną kwestią była otchłan, z której trzeba było się wydostać.

– Nie chodzi o to, co widziałam, papo, a o to, co straciłam.

– A co straciłaś? – spytała moja matka, wciąż trzymając mnie kurczowo za rękę.

Chciałam odpowiedzieć: „Kogoś, kogo przeznaczone mi było kochać”, a słowa te wypowiedzieć tak szybko i pewnie jak życzenia bożonarodzeniowe. Uznałam jednak, że nie potrafię wyrazić tego, co miałam na myśli, a poza tym wszystko z pewnością wymagałoby dokładniejszych wyjaśnień, na których udzielanie nie czułam się gotowa.

– Cieszę się, że tu przyjechaliście – powiedziałam jednak. – Wiem, że uważacie, iż powrót do domu załatwiłby całą sprawę, ale tutaj – wskazałam na moje serce – wiem, że to nieprawda.

– Ale czy musisz jechać właśnie tam? – zapytała matka, a w jej oczach bez problemu dostrzegłam strach. Strach o mnie. – Te choroby... Są podstępne i często nieznanne.

– Będę ostrożna.

– Ale tu, na Manhattanie, też są szpitale – ciągnęła. – Dlaczego nie mogłabyś pracować w jednym z nich?

– Obiecuję, że będę ostrożna.

Mama zwróciła się do ojca.

– Tom, powiedz coś!

Już od pewnego czasu tata kompletnie się nie odzywał. Z pewnością rozważał sens moich ostatnich słów.

To, co straciłam.

Widziałam, jak analizował to zdanie w głowie. Badał je, jakby było raną albo chorobą.

Bez problemu dostrzegłam błysk w jego oczach, dzięki któremu wiedziałam dokładnie, w którym momencie uświadomił sobie, że ludziom takim jak on i ja łatwo przychodzi naprawianie.

Odnajdywanie tego, co utracone, nie jest już jednak takie proste, wymaga innego rodzaju umiejętności.

– Clara sama musi sobie z tym poradzić, Helene.

Przez dłuższą chwilę ojciec po prostu mi się przyglądał, by następnie przenieść wzrok na matkę.

– Będzie ostrożna.

– Tom!

Ojciec jednak, nie zważając na jej protesty, zwrócił się do mnie.

– Jak długo chcesz tam pracować?

Pokiwałam głową. Nie wiedziałam.

Tak długo, jak to, co straciłam, odpuści.

Lunch zjedzony z panią Hatfield upłynął w nienaturalnej atmosferze, a ona, biedaczka, szybko się zorientowała, że coś było nie tak. Kiedy serwowała nam po kawałku ciasta czekoladowego, wiedziała już, że traci lokatorkę oraz pieniądze.

Ojciec zapytał mnie, czy chcę jego pomocy w znalezieniu posady na Ellis. Miał

znajomego w publicznej służbie zdrowia, z którym mógł się skontaktować, jeśli bym sobie tego życzyła. Odrzuciłabym tę propozycję, gdyby nie niewidzialny ucisk w klatce piersiowej, który ciążył mi na duszy. Zgodziłam się. Podczas gdy ojciec wyszedł załatwić formalności, moja matka i ja pakowałyśmy w pudełka różne drobiazgi, których miałam nie potrzebować w moim pokoju na Ellis.

Kiedy rodzice wyszli na pociąg, obiecałam im, że będę pisała, uważała na siebie i że gdy tylko nie będę chciała tam dłużej być, z miejsca złożę pisemną rezygnację.

Odjeżdżali taksówką, a ja machałam im ze schodów budynku należącego do panny Hatfield, wdychając niepewnie powietrze. Nie było w nim śladu dymu, popiołu czy śmierci, i tylko łomotanie bijącego we mnie serca mówiło mi, że to już nie było miejsce dla mnie.

Rozdział czternasty

Następnych kilka dni w gorączce było najgorszych, zarówno dla Andrew, jak i innych, którzy zapadli na chorobę po dopłynięciu na wyspę Ellis. W środku tygodnia na oddział do pomocy przy mężczyznach przydzielono mi inną pielęgniarkę, panią Meade. Podzieliłyśmy pokój na dwie części: w dalszej znajdowali się najbardziej chorzy, a w bliższej – ci, którzy czuli się już lepiej. Zaoferowałam, że będę sprawować pieczę nad tą pierwszą, a pani Meade nie oponowała.

Chciałam poświęcić jak najwięcej uwagi każdemu z mężczyzn, ale złapałam się na tym, że nieustannie kręciłam się przy Andrew. Mogłam

przynajmniej pomagać mu w jego fizjologicznych potrzebach, ponieważ od czwartku nie był już w stanie panować nad tymi sprawami. We czwartki na obchód przychodził doktor Treaver, dlatego nie musiałam martwić się, że doktor Randall znów poprosi mnie, abym towarzyszyła mu po dyżurze w stołówce i odpowiadała na pytania o poetę, o którym skłamałam, że lubię jego dzieła.

Kiedy rankiem w piątek przybyłam na oddział, zdawało się, że mężczyźni w końcu sali czuli się nieco lepiej. Gdy podeszłam do łóżka Andrew i położyłam dłoń na jego czole, otworzył

oczy i spojrzał na mnie. W ciągu ostatnich dwóch dni nie zrobił tego ani razu. Niebezpieczna wysypka szpeciła jego ciało niczym ospa. Mogła być dokuczliwa, choć raczej już niegroźna.

– Czy czuje się pan dziś lepiej, panie Gwynn? – zapytałam, na co skinął głową.

Sięgnęłam do miednicy, która stała obok jego łóżka. Kilka minut wcześniej przyniesiono świeżą wodę. Dodałam do niej nieco olejku karbolowego, po czym namoczyłam szmatkę i wycisnęłam ją. Gdy kładłam chłodny okład na jego czole, Andrew zamknął oczy, a z jego ust wydostał się lekki jęk.

– Czy tak lepiej?

Ponownie skinął głową.

– Jaki dziś mamy dzień? – wyszeptał.

– Piątek.

– A wydaje się... Wydaje się, jakby minęło więcej czasu.

Przycisnęłam szmatkę do jego policzka i szyi.

– Myślę, że gorączka spada, panie Gwynn. Niebawem przyjdzie lekarz i będzie w stanie powiedzieć panu więcej.

Kiedy przesuwiałam okład wzdłuż jego klatki piersiowej, mrugał wolno.

– Lily zmarła tego dnia. Piątego dnia.

– Przykro mi z tego powodu.

– Tego dnia już mnie nawet nie poznawała.

Zdawało się, że chciał, abym rozmawiała z nim o jego zmarłej żonie. Było mi to na rękę, pozwalało mi ponownie przeanalizować motywy Lily, o których czytałam w jej liście do męża.

Miałam nadzieję dzięki temu lepiej zrozumieć całą sytuację, gdyż być może pewne wnioski wyciągnęłam zbyt pochopnie i byłam nieco

niesprawiedliwa w swych osądach. Andrew nie wiedział jednak, co mną kierowało, i czułam się, jakbym wtykała nos w nie swoje sprawy.

– Jestem pewna, że opiekował się pan nią najlepiej, jak umiał, panie Gwynn. Nie mogło być inaczej.

Zapadła dłuższa cisza. Moczyłam szmatkę w świeżej wodzie, a potem ponownie kładłam chłodny okład na jego czoło.

– Czy może mi pan powiedzieć, jak ją pan poznał? – zapytałam.

Jego twarz rozpromieniła się, choć był w tym geście jednak jakiś rodzaj melancholii.

Zupełnie jakby potrzebował chwili na zastanowienie, jak to będzie rozmawiać o swojej zmarłej żonie. Kiedy zaczął opowiadać, jego walijski akcent okrywał wypowiedzane zdania niczym polewa karmelowa.

– Poznałem ją w Liverpoolu przy kasie, gdzie sprzedawano bilety na statek. Tego dnia dostałem wiadomość od brata, że właśnie otrzymałem mecenat. Przybyłem więc, aby kupić bilet na następny statek, który miał mnie tu zabrać – mówił spokojnym głosem.

Milczałam, chłonąc jego słowa z uwagą.

– Statek miał odpłynąć dopiero za dwa tygodnie – ciągnął ze wzrokiem utkwionym w dali. – Po zakupie biletu udałem się do małej restauracji przy siedzibie ich sprzedawcy, aby napić się czegoś zimnego. Dzień był upalny. Lily czekała na mnie. Była taka piękna i miła –

powiedział z nieznacznym rozmarzeniem.

Poruszyłam się niespokojnie.

– Miała ciemne włosy i fiołkowe oczy. Powiedziała mi, że jej matka pochodziła z Indii.

Spytała, co sprowadziło mnie do doku w tak gorący dzień, a ja odpowiedziałem, że właśnie kupiłem bilet do Ameryki. Przyniosła mi duże piwo i kanapkę, choć jej nie zamawiałem.

Wydałem ostatni grosz na to piwo. Powiedziałem jej, że przez pomyłkę dała mi czyjaś kanapkę, ale ona uśmiechnęła się tylko i odparła, że to wcale nie pomyłka. I kiedy wyszeptałem, że nie mam pieniędzy, aby zapłacić za jedzenie, stwierdziła, że świętuje w ten sposób dobrą wiadomość, jaką był mój wyjazd za ocean. Kiedy to mówiła, widziałem w jej oczach tak wielkie pragnienie oraz tęsknotę, że aż iskrzyły.

– Czy to tego dnia pan się w niej zakochał? – zapytałam, starając się utrzymać lekki ton.

Nie chciałam, aby się domyślił, że miałam jakiś ukryty motyw.

Nie odpowiedział mi od razu.

– To ona się wtedy we mnie zakochała – powiedział w końcu. – Tak mi powiedziała. Nie wiem, kiedy ja się w niej zakochałem. Chyba nigdy, przynajmniej nie tak do końca. To nie było zakochanie.

Uniosłam okład. Jego słowa mnie zaciekały. Poruszyły we mnie czułą strunę.

– Więc co?

Zamknął oczy – albo w zamyśleniu, albo z wyczerpania.

– To było jak... Jakbym wszedł do jakiegoś pomieszczenia.

– Do pomieszczenia?

– Do nowego pokoju. Takiego, w którym nigdy wcześniej nie byłem. A stało się tak, ponieważ tego chciałem. A nie dlatego, że nie miałem wyboru, jak to zazwyczaj bywa w miłości.

Zatrudniłem się do ładowania skrzyń w porcie, abym mógł poczekać w Liverpoolu na wypłynięcie mojego statku. Moja matka niedawno zmarła, a wynajmujący naszą chatę w Cardiff właśnie nam ją wymówił. Nie było powodu, abym wracał do Walii i odliczał tam dni do wyjazdu.

Dlatego od tamtego dnia Lily i ja widzieliśmy się codziennie. Dwa dni przed moim rejsiem powiedziała mi, że chce płynąć ze mną. Jako moja żona. Wzięliśmy ślub w dzień przed opuszczeniem Europy.

Czas zdawał się spowalniać wraz z kolejnymi słowami jego opowieści. Znałam uczucie, które usiłował opisać. To, co czułam do Otta ze złamanym ramieniem czy pełnego werwy Daniela, nie mogło równać się temu, co pociągało mnie w Edwardzie. Urokowi dwóch pierwszych ulegałam jako nastolatka. Z Edwardem połączyła mnie specyficzna więź, wiedziałam to już w chwili, gdy po raz pierwszy na niego spojrzałam. Zupełnie jakby naszą historię już napisano, ale jej zapis przechowywano gdzieś w boskim miejscu, do którego nie miałam dostępu.

Wieczność wiedziała już, że będziemy parą. Naszym przeznaczeniem było długie, błogie życie

razem tu, na ziemi. Pożar wydarł mi je z rąk w najbardziej okrutny z możliwych sposobów, pozbawiając szczęścia, zanim zdążyłam go w pełni zakosztować.

– Wydawało się panu, jakby ją pan już znał, prawda? Jakby ją pan wcześniej spotkał. –

Czułam, jak łzy zaczęły powoli napływać mi do oczu. Mrugałam więc intensywnie, aby je zatrzymać, mimo to jedna spadła na pierś Andrew. W

mig pochyliłam się nad nim, by zetrzeć ją fartuchem.

Mój dotyk sprawił, że mężczyzna uchylił powoli powieki. Nie mogąc przestać patrzeć mu w oczy, czekałam, aż powie mi, że tak właśnie było z nim i Lily. Za nic nie spodziewałam się więc słów, które wyszły z jego ust.

– Kogo pani straciła w pożarze, siostró Wood?

Nagle poczułam, jakby w moim gardle stanęła wielka, bolesna gęła. Przełknęłam ją, po czym zamknęłam oczy, aby nie pozwolić kolejnym łzom na wypłynięcie.

– Nazywał się Edward – powiedziałam w końcu. – A znałam go jedynie przez dwa tygodnie. – Lekki uśmiech zagościł w kącikach moich ust. – Dokładnie tyle, ile pan znał Lily.

– Kochała go pani?

Skinęłam głową.

– Tak.

– A on panią kochał?

Te cztery słowa zawarte w pytaniu Andrew były główną przyczyną, dla której nie powiedziałam o Edwardzie nikomu oprócz Dolly. Jak mogłam powiedzieć, iż wiedziałam, że Edward mnie kochał? Rozmawialiśmy tylko w windzie. Ale poczucie zrozumienia dla straty Andrew dodało mi w tamtej chwili odwagi. Wiedziałam, że był jedyną osobą na wyspie, a kto wie, może także w moim życiu, która mogła mnie naprawdę, w pełni zrozumieć.

– On miał mnie kochać – odpowiedziałam.

Przez chwilę Andrew zdawał się analizować moje słowa.

– Gdyby przeżył...?

Zatrzymał się w pół zdania, jakby chciał, abym to ja je dokończyła.

– Gdyby przeżył, mnie nie byłoby na tej wyspie. Byłabym z nim.

– Czy to z jego powodu jest pani tutaj?

Nie było to raczej uczciwe, by winą za moje zesłanie obarczać tylko Edwarda.

– Jestem tutaj z mojego powodu.

Usiłowałam lekko się uśmiechnąć.

– Jest pani tutaj, żeby zapomnieć.

Ta dziwna nadzieja w jego głosie sugerowała, że bardzo chciał wiedzieć, czy można puścić w niepamięć uczucie rozpacz. Problem w tym, że ja nie chciałam tego zrobić.

Odłożyłam szmatkę do miednicy.

– Nie chcę zapomnieć o Edwardzie. Myślę, że póki tutaj jestem, nie dojdzie do tego.

– Ale skoro tak, to czy nie zostanie pani tutaj na zawsze?

Minęło już kilka tygodni, odkąd przestałam zadawać sobie pytanie o to, jak długo chcę tak żyć – uwiązana do tej wyspy i niepotrafiąca już postawić stopy na stałym lądzie.

– Chcę umieć pamiętać i jednocześnie nie cierpieć. Myślę, że można wspominać kogoś, kogo się kochało i straciło, a jednak czuć się szczęśliwym, że się go znało, nawet przez krótki czas, i przy tym nie cierpieć. Zgodzi się pan ze mną?

Skinął powoli głową i zamknął oczy. Położyłam dłoń na jego czole, chcąc zorientować się co do jego gorączki. Chciałam, żeby połknął aspirynę, jeśli mimo okładu temperatura nie spadła.

Ale jego skóra w dotyku była już dosyć chłodna.

– Jak długo pani zdaniem to potrwa? – Jego oczy były wciąż zamknięte, a głos brzmiał,

jakby mężczyzna zapadał w sen. Zasnął, nim zdążyłam na spokojnie zastanowić się nad odpowiedzią.

Wstając z łóżka, pomyślałam, że trudno to ustalić. Choroba potrwa tyle, ile ma potrwać.

Andrew miał duże szanse na przeżycie. Wydawało się, iż w ciągu kilku tygodni, a może nawet szybciej, powinien wydobrzeć na tyle, aby opuścić wyspę. Podobnie jak ja, nosił w sercu stratę i prawdopodobnie nie zapomni o niej wraz z wyjściem ze szpitala. Nie zazdrościłam mu ani trochę.

Wciąż nie mogłam postanowić, co począć z listem Lily. Czy powinnam mu go dać i zamienić jego rozpacz w gorzkie zranienie, czy też spalić list i pozwolić, aby żył

w nieświadomości?

W porze lunchu Dolly i ja miałyśmy stolik tylko dla siebie. Powiedziałam jej o tym, co usłyszałam od Andrew o zakochiwaniu się przyrównanym do wchodzenia do jakiegoś pomieszczenia, do którego wejść bardzo się chciało. Wysłuchała mnie i ponownie zaoferowała, że zanieś mu list Lily, abyśmy mogły wreszcie zakończyć całą sprawę i więcej już do niej nie wracać.

– Zasługuje na to, żeby wiedzieć – powiedziała.

– Nikt nie zasługuje na takie wieści, Dolly.

– Nie powiedziałam, że ten człowiek zasłużył sobie na to, co zrobiła mu jego żona, ale że ma prawo znać prawdę.

Trąciłam widelcem leżącą na talerzu rzepe w maśle, wyobrażając sobie widok Andrew czytającego list i uświadamiającego sobie, że z niego zakpiono. Na tę wizję pokręciłam przecząco głową.

– Żałuję, że w ogóle otworzyłam ten kufer.

Dolly z rozmachem odłożyła swój widelec w wyniku czego odbił się on z hukiem od drewnianego stołu.

– Ale ty miałaś otworzyć ten kufer, Claro! Czy pomyślałaś o tym? Co jeżeli to przeznaczenie chciało, byś go otworzyła, bo to jedyny sposób, aby ten biedak dowiedział się prawdy? Nikt nie powinien reszty swojego życia spędzić na oplakiwaniu czegoś, czego nigdy nie miał!

W tej samej chwili do naszego stolika podeszła jakaś osoba. Uniosłam głowę i ujrzałam doktora Randalla wychodzącego ze stołówki z pustą tacą. Konsternacja na jego twarzy zdradzała, że usłyszał ostatnią część wypowiedzi Dolly.

– Och, dzień dobry. – Skinął nam obu głową, po czym zwrócił się do mnie. – Czy myślała pani o rozmowie na temat Keatsa, panno Wood?

– Keatsa? – powtórzyła głucho Dolly, gapiąc się na mnie.

– Ja... Ja nie miałam czasu... – zaczęłam niepewnie, ale Dolly mi przerwała.

– Keatsa? – Tym razem zwróciła się do doktora Randalla.

Uśmiechnął się serdecznie.

– Panna Wood powiedziała, że to jej ulubiony poeta. Mój akurat nie, co nie oznacza, że nie omówiłbym chętnie jego dzieł. To może być dzięki temu nawet bardziej interesujące.

– Chce pan rozmawiać o Keatsie z Clarą? – Dolly zaniósła się lekkim śmiechem.

– Owszem. I z równą chęcią nazywałbym ją Clarą.

Odwzajemnił uśmiech.

– Nie wiem... – wymamrotałam.

– Dlaczego, u licha, miałyby pan chcieć rozprawiać o zmarłym poecie po długim dniu pracy tutaj? – zapytała Dolly, po czym pochyliła się ku doktorowi, wskazując na mnie ruchem głowy. – Czy tylko na tyle pana stać, doktorku?

Doktor Randall roześmiał się.

– Och, ale tak się składa, że ja naprawdę lubię poezję. Mam szczęście, bo panna Wood także.

Dolly uniosła brwi, spoglądając na mnie.

– Czyżby? No cóż, a to ci dopiero traf.

– Wieczorami czegoś tu brakuje – ciągnął doktor Randall.

– Rzeczywiście, doktorze. Dlatego my, pielęgniarki, wyczekujemy weekendów. Ta wyprawa promem w sobotnie popołudnie sprawia, że można jakoś znieść ten długi tydzień.

Doktor Randall ponownie zwrócił się do mnie. Miał uniesioną brew.

– A czy pani będzie na jutrzejszym promie, panno Wood?

– W ten weekend pracuję – odpowiedziałam, zanim Dolly zrobiła to za mnie. I to nawet nie było kłamstwo. Rzeczywiście miałam dyżur.

– Ja także – odparł doktor Randall. – Czy możemy się więc umówić na jutrzejszy wieczór? Będę na panią czekał o siódmej.

Zanim zdążyłam choćby pomyśleć o wymówce, że nie mogę przyjąć jego zaproszenia, on skłonił się nam obu i odszedł. Dolly patrzyła, jak opuszczał pomieszczenie.

– Nellie miała rację. Podobasz mu się.

Sięgnęłam po filiżankę z kawą.

– Jest znudzony i samotny.

Koleżanka spojrzała mi w oczy.

– A cóż byłoby takiego strasznego w tym, gdybyś mu się podobała?

– Ja mu się wcale nie...

– I do tego wszystkiego, na miłość boską, czyżbyś mu powiedziała, że lubisz Keatsa? Nie wzięłabym cię za kogoś, kto... Jak on to ujął? Kto upodobał sobie poezję.

Uśmiech Dolly zrobił się jeszcze szerszy. Moja sytuacja najwyraźniej ją bawiła.

– Dzięki... – Przewróciłam oczyma. – To było jedyne nazwisko, które przyszło mi wtedy do głowy. Nie sądziłam, że jest typem osoby, która „upodobała sobie poezję” – stwierdziłam nieco kpiącym tonem, nawiązując do poprzednich słów Dolly.

Wstałam, aby pozbierać sztucce i zabrać tacę. Moja współlokatorka zrobiła to samo.

– Lepiej módl się, żeby na półkach w biblioteczce znalazły się jakieś dzieła Keatsa, żebyś mogła je dziś przeczytać, bo inaczej będziesz miała naprawdę krótką randkę.

– To żadna randka. I proszę cię, byś nie mówiła nikomu podobnych bzdur.

Oddaliłam się od Dolly.

– Dobrze, już dobrze. – Przyjaciółka przyspieszyła, żeby za mną nadążyć. – Czy chcesz, abym tam wstąpiła i poszukała czegoś dla ciebie?

Najwidoczniej nie przyjrzała się książce należącej do Lily. Nawet jeżeli zamierzałam spotkać się z doktorem Randallem, co nie było zgodne z prawdą, nie musiałam przeszukiwać księgozbiorów, aby znaleźć coś, co napisał Keats. Powiedziałam Dolly, że mam już książkę jego autorstwa, którą mogę przeczytać.

Rozdział piętnasty

W piątek po kolacji napisałam list do Henrietty, umyłam włosy i wypastowałam buty.

Mimo wszystko wieczór bardzo się ciągnął, a ja nie byłam śpiąca. Kiedy więc Dolly zaczęła spokojnie pochrapywać na łóżku tuż obok, sięgnęłam pod poduszkę po książkę Lily.

W szkole czytałam tyle, ile musiałam, a moje przemyślenia nikogo nie porywały.

Znacznie lepiej szło mi z historią i naukami ścisłymi. Jeżeli kiedykolwiek czytałam Keatsa, to treść czegokolwiek, co napisał, już dawno uleciała mi z głowy. Posłużenie się jego nazwiskiem w rozmowie z doktorem Randallem było podyktowane impulsem i nie należało do przejawów rozsądku.

Otworzyłam książkę i wyjęłam z niej dwie złożone kartki – list Lily oraz dokument unieważniający małżeństwo. Następnie przesłam na pierwszą stronę tomiku i zaczęłam czytać.

„Oda do urny greckiej”¹

Oblubienico nietknięta milczenia,

Przybrana córo przetrwania i ciszy,

Kroniko leśna, której kształt przemienia

Pieśń kwiatów słodziej niż się w wierszach słyszy:

Wśród liści jakie legendy zakłętę

Bogów, śmiertelnych, herosów półboskich

Z Tempe cienistej, z arkadyjskich grani?

Kim ci mężowie? Czym tych panien troski?

Czym fletnie, bębny? Czym ekstazy święte?

Za czym tak biegną? Dokąd losem gnani?

*Słodka jest pieśń słyszana, słodsza jeszcze
Ta niepoznana: fletni dźwięk poniosę
Nie ku odczuciom zmysłów, lecz popieszczę
Duszy mej ucho twoim niemym głosem.
Piękny młodzieńcze, nie porzucisz pieśni
Snutej pod drzewem, z drzew nie spadną liście;
Na nic twe skargi, cieniu zalotnika,
Nigdy, przenigdy twój sen się nie prześni,
Nie złapiesz nimfy, zawsze się wymyka,
Lecz wdzięk jej przetrwa, jak miłość, wieczyście!
Szczęsne gałązki! Nigdy w zapomnienie
Wiosna nie pójdzie, zieleń wieczna wszędzie;
Szczęsny pieśniarzu, który niestrudzenie
Ton wiecznie nowy z fletni wydobędziesz;
Szczęsna miłości! Wciąż nowe kochanie!
Ten żar odwieczny, niczym nie stłumiony,
Wieczność uniesień i młodości wieki;
W tych namiętnościach wiecznie pozostanie
Smutek serdeczny, głód nienasycony,
Płonące usta i tęsknoty męki.
Kto ku ołtarzom podąży ofiarnym
Spowitym w zieleń? Jakich to, kapłani,
Bogów misteria uczcić ma byk czarny
O grzbiecie w kwiatów girlandy przybranym?
Z jakiejż to wioski znad morza czy rzeki,
Czy z twierdzy jakiej na groźnych gór szczycie
Świętować wyszli, jak każą bogowie?
Wiosko, ich kroki zamilkły na wieki,
Nie wróci nigdy do twych domów życie,
I jak odeszli, nikt już nie opowie.
Attycka formo! Piękna ideale
Wpisany w taniec kamiennych postaci,
Zdobny wiciami zdeptanymi w szale,
Kształcie milczący, myśl się w tobie traci
Jako w wieczności: Te chłodne idylle!
Choć z wieku tego nie zostanie człowiek,
Ty przetrwasz dumna w przyszłości udreće,*

Nowym przyjazna ludziom, którym powiesz:

Wiersz liczył sobie jeszcze trzy zwrotki. Czytałam go, linijka po linijce. Potem jeszcze raz. Kolejne wersy przedstawiały człowieka opisującego obrazy na urnie; mężczyzn goniących kobiety w lesie. Wokół rozbrzmiewał dźwięk fletni, potem uderzenia bębnow. Czy naprawdę to, co mężczyzna dostrzegł na urnie, było aż takie ważne? Nie rozumiałam tego ani trochę, a szczególnie dwóch ostatnich wersów:

*„Piękno jest prawdą, prawda pięknem” – tyle
Wiedzieć wam dane i nie trzeba więcej.*

Co to właściwie oznacza?

Sięgnęłam po dokument oraz list Lily i włożyłam je pomiędzy kartki książki, którą na koniec zamknęłam. Wsunęłam ją pod poduszkę, a następnie wyłączyłam światło. Nie dane mi było jednak zasnąć jeszcze przez godzinę czy nawet dłużej, kiedy w głowie kotłowały mi się bez ustanku słowa. Jak rozumiała taki wiersz Lily? Albo Andrew? Co widzieli oni, czego nie mogłam dostrzec ja? W końcu usnęłam i tej nocy wcale nie śniłam ani o pożarze, ani o niczym innym.

Kiedy ubierałyśmy się rano, Dolly zapytała mnie, co zamierzam włożyć na wieczorne omawianie poezji z doktorem Randallem.

– Dolly...

– No nie mów mi tylko, że zamierzasz go wystawić do wiatru!

– Nie powiedziałam mu, że się zgadzam. Odszedł od nas, zanim miałam na to szansę.

Dolly położyła dłoń na swoim krągłym biodrze.

– A więc nie zamierzasz tam pójść.

– Oczywiście, że zamierzam. Byłoby niegrzeczne z mojej strony, gdybym zrobiła inaczej.

Po prostu nie planuję zostać.

– Jasne nieba, dlaczego nie?

Założyłam mój pielęgniarzski czepek na głowę, upinając pod nim pukle brązowych loków.

– Myliłam się. Nie lubię poezji. I nie lubię Keatsa. Nie będziemy mieli o czym rozmawiać.

Udałam się do drzwi. Dolly sięgnęła po swoje nakrycie głowy i popędziła za mną.

– Jestem pewna, że można poruszyć wiele tematów oprócz poezji.

Kiedy szłyśmy na śniadanie, nie powiedziałam ani słowa. Pół godziny później dotarłam na oddział. Poprzedniego wieczoru uznano, że pięciu mężczyzn już wyzdrowiało i wszyscy oni przygotowywali się właśnie do opuszczenia szpitala. Kolejną godzinę spędziłam, pomagając pani

Meade przy wypełnianiu dokumentów, zbierając rzeczy należące do pacjentów i wyprowadzając mężczyzn ze szpitala – prosto w ramiona nowego, słonecznego dnia.

Swoje obowiązki wypełniałam rozkojarzona zapamiętanymi urywkami wiersza Keatsa, a wzrokiem wciąż mimowolnie wędrowałam do łóżka Andrew. Odczuwałam dziwną zazdrość o to, że Lily miała z nim coś wspólnego, coś, czego nie dzieliłam z nim ja.

Jego wysypka przechodziła ze szkarłatnej w demonicznie łuskowatą. Lada dzień miało zacząć się złuszczenie, z czym wiązała się konieczność ciągłego szorowania, aby pozbyć się z jego ciała pozostałości trucizny.

Ostatni z wypisanych mężczyzn potrzebował pomocy w wysłaniu telegramu do swoich nowojorskich sponsorów, aby zawiadomić ich, że może już przybyć na ląd. zaproponowałam, że udam się z nim do głównego budynku, gdzie mieściło się biuro imigracyjne, w celu znalezienia tłumacza, który mówił po włosku. Udało mi się to dosyć szybko i cała nasza trójka zmierzała na pocztę, aby nadać telegram. Zapytany o adres swojego mecenasa, Włoch postawił swoją walizkę, otworzył ją i przypuszczalnie zaczął szukać informacji o adresie. Podczas gdy przekładał swoje rzeczy, przed oczami przemknęła mi czerwono-pomarańczowa tkanina. Wiedziałam już, dlaczego nie widziałam szalika Lily w rzeczach Andrew od czasu, kiedy miałam zmianę na innym oddziale.

– Chwileczkę! – Schyliłam się i sięgnęłam po materiał, który skrzył się niczym płomień.

Wyjęłam go z walizki i zwróciłam się do Włocha, który gapił się na mnie z otwartymi ustami.

– Skąd pan to ma? – zapytałam.

Jego oczy zrobiły się szerokie jak spodki, ale nie odezwał się ani słowem. Zwróciłam się do tłumacza.

– Proszę zapytać go, skąd to ma!

Tłumacz spokojnie powiedział coś po włosku, a mężczyzna udzielił mu wyjaśnień.

– Mówi, że to należy do niego.

Moje oburzenie rosło z każdą chwilą.

– Pytam, skąd to ma. Bo mogę ręczyć, że nie należy do niego. To własność innego pacjenta.

Tłumacz zmarszczył czoło i ponownie zwrócił się do Włocha, na co ten odpowiedział

rozzłoszczony. Sięgnął w moją stronę, aby odebrać mi szalik, ale ja odsunęłam się, broniąc mu do niego dostępu.

– Mówi, że to należało do jego matki – odparł tłumacz.

W mojej złości pojawiło się małe ziarenko wątpliwości. Odwróciłam szalik w dłoniach, szukając potwierdzenia moich podejrzeń. Przebiegłam palcami po jego brzegu, szukając oznaczenia wykonawcy. Wewnątrz wyczułam coś twardego, cienkiego, mniej więcej wielkości mojego małego palca. Szybko jednak to ominęłam, pragnąc znaleźć dowód, że w dłoniach trzymałam szal należący do Brytyjki. W końcu znalazłam to, czego szukałam.

Lily.

Uniosłam szal i wskazałam na wyszyte ręcznie imię.

– Wciąż pan utrzymuje, że to należało do jego matki? – spytałam tłumacza. – To własność pacjenta, którego żona, Angielka, zmarła w trakcie podróży na szkarlatynę. To jedyne, co pozostało panu Gwynnowi po jego żonie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Może pan Gwynn mu go dał.

Zmarszczyłam czoło.

– Czy naprawdę myśli pan, że tak właśnie postąpił? – wyraziłam swoje powątpiewanie, a następnie gwałtownie odwróciłam się do włoskiego pacjenta. – Czy mamy pójść i zapytać pana

Gwynna, czy dał panu ten szalik?

Tłumacz powtórzył moje pytanie po włosku. Przez chwilę mężczyzna mierzył mnie wzrokiem. Potem nachylił się i zatrzasnął walizkę po uprzednim wyszarpieniu z niej kartki.

Wyprostował się, spojrzał na tłumacza, po czym wyrzucił z siebie potok słów, nawet na mnie nie patrząc.

– Powiedział, że chce wysłać telegram i opuścić tę wyspę.

Zbliżyłam się do Włocha zdecydowanym krokiem.

– Wstydziłby się pan! – Zbesztalam go, a następnie obróciłam się na pięcie. – Z mojej strony to wszystko! – rzuciłam jeszcze przez ramię tłumaczowi.

Włoch krzyknął coś do mnie, a tłumacz zdążył przełożyć mi jego słowa, zanim wyszłam.

– Mówi, że myślał, iż ten mężczyzna jest umierający.

Opleciony wokół nadgarstka czerwono-pomarańczowy szal Lily zwisał wzdłuż mojego boku, falując przy każdym kroku, kiedy to zignorowałam słowa mężczyzny i, nawet się nie odwróciwszy, opuściłam budynek poczty.

Kiedy kroczyłam z powrotem ku trzeciej wyspie, moją złość zastępowała wdzięczność za to, że to ja, a nie pani Meade, byłam tą, która odprowadzała Włocha. Jej ten skrawek pomarańczowej tkaniny w walizce nie mógłby się z niczym skojarzyć.

Wróciłam na oddział i udałam się prosto do łóżka Andrew, trzymając szalik Lily w rękach. Mężczyzna właśnie popijał herbatę. Gdy tylko na mnie spojrzał, jego oczy z miejsca powędrowały ku przedmiotowi, który trzymałam.

– Jak... Gdzie go pani znalazła? – wyszeptał.

– Przez przypadek wylądował w walizce jednego z pacjentów, który tutaj z panem leżał.

Andrew odstawił filiżankę i powoli sięgnął po szalik, zupełnie jakby bał się, że zbyt szybki ruch sprawi, iż przedmiot zniknie.

– Myślałem, że zabrano go do spalenia – wymamrotał. – Miała go na sobie, kiedy... –

urwał, spoglądając na mnie. – Skąd pani wiedziała, że należał do Lily?

– Ja... Pamiętałam, że miał go pan na szyi, kiedy pan tutaj przybył.

– Pamiętała to pani?

– To naprawdę piękny szalik i do tego damski, a jednak pan go założył, więc...

– Wywnioskowała pani, że to jej własność.

– Tak. A potem zobaczyłam jej imię wyszyte na krawędzi materiału.

Wiedziałam, że ten człowiek go panu zabrał.

Jego twarz rozjaśniła się uśmiechem.

– Matka podarowała go Lily, gdy ta była dziewczynką. Wyszyła na nim jej imię, bo moja żona była zapominalska.

Zamilkł na chwilę, wodząc palcami po jasnej tkaninie.

– Lily okropnie się trzęsła w gorączce. Nie mogłem zrobić nic, by było jej ciepło. Nawet z pomocą tego szalika. Zdjąłem go jej zanim... Zanim ją zabrano. Nie wiem, jak pani dziękować.

– Nie ma za co. Jest mi przede wszystkim przykro, że szalik został skradziony. Bardzo za to przepraszam.

– To nie pani wina.

Andrew delikatnie złożył szalik.

– Czy mogę go zatrzymać? Czy nie zaszkodzi nikomu?

– Jeżeli zostanie odpowiednio wyprany i wysterylizowany, nie ma powodu, dla którego nie mógłby pan go zabrać. Czy chce pan, abym wzięła go do pralni?

– Tak, dziękuję.

Zwrócił mi szalik. Moje palce musnęły jego, kiedy podawaliśmy sobie materiał. Dotyk

był delikatny, a uczucie, które mu towarzyszyło – trudne do sprecyzowania. Andrew zdawał się być tym w pewnym stopniu zaniepokojony. Wprawdzie nic nie powiedział, lecz szybko spuścił

wzrok na swoje, teraz już puste dłonie. Skóra na ich wierzchu była blada i cała w pręgach.

– Wszystkie te łuski znikną, panie Gwynn. Nie będzie ich miał pan do końca życia.

Ledwie zdążyłam skończyć wypowiedź, a pani Meade zawołała mnie, bym przygotowała łóżka dla nowych pacjentów. Podeszłam z szalikiem do biurka pielęgniarek i włożyłam materiał

do czystej poszewki na poduszkę, po czym odłożyłam zawiniątko na bok. Nie miałam w planach zabierania go do pralni, gdyż mocne środki chemiczne i szorstkie dłonie mogłyby z łatwością sprawić, iż z delikatnej tkaniny zostałyby jedynie strzępy. Chciałam go wyprać sama, delikatnie i z szacunkiem, na jaki zasługiwał.

Kiedy pani Meade i ja skończyłyśmy ścielenie łóżek, kobieta udała się pomagać na oddziale dziecięcym, gdzie swoje żniwo zbierała świnka. W porównaniu do tego na moim oddziale było niemalże spokojnie: wydawanie posiłków, przygotowywanie kąpeli i zmiana pościeli – to wszystko, co było do zrobienia.

Jakąś godzinę później nadszedł czas na obchód. Przybył doktor Randall, pachnąc promieniami słonecznymi i morską bryzą.

– Dzień dobry, siostró Wood – rzekł pogodnie, zakładając swoje okrycie. – Mam nadzieję, że była pani dziś rano na zewnątrz.

– Cały poranek spędziłam na oddziale.

Doktor Randall rozejrzał się wokół, spoglądając na pozostałych mężczyzn, siedzących lub leżących na swoich łóżkach. Większość z nich wychodziła na prostą pod względem walki z chorobą, choć znajdowali się na naprawdę różnych etapach zdrowienia.

– Jak tylko tym panom zacznie łuszczyć się skóra, chcę, aby codziennie wychodzili na pół

godziny na słońce. Siedzenie tutaj to jak tkwienie w celi więziennej.

– Wychodzili?

– Niech popatrzą w niebo, poobserwują ptaki. I, co najważniejsze, pooddychają świeżym powietrzem.

Podszedł do biurka, aby spojrzeć na główną tabelę.

– Z tego co widzę, doktor Treaver wypuścił do domu pięciu pacjentów.

Widok pustej sali szpitalnej napawa optymizmem.

– To prawda. Jednak ten stan rzeczy nie utrzyma się długo.

Doktor Randall uśmiechnął się do mnie.

– Ale dzisiaj pięć łóżek stoi pustych. Proszę świętować swój sukces, siostró Wood.

Sięgnęłam po mój wózek, chcąc nadażyć za doktorem.

– To nie do końca mój sukces, doktorze.

– Ależ oczywiście, że tak.

Doktor Randall udał się na koniec sali, aby po kolei przebadąć wszystkich pacjentów.

W pierwszej kolejności zatrzymał się przy łóżku Andrew.

– Co pan na to, panie Gwynn? Czy chciałby pan się troszkę przejść w poniedziałek? Kilka chwil słońca i świeżego powietrza?

Andrew zdawał się być zaskoczony tym, że doktor Randall zapytał go o zdanie.

– Cóż, tak. Bardzo bym chciał – odparł, a wtedy doktor odwrócił się do mnie.

– Widzi pani?

– Nie mogę zostawić wszystkiego, by wyjść na zewnątrz z jednym pacjentem –

oponowałam.

– Dopilnuję, aby popołudniami pomagała pani jeszcze jedna pielęgniarka. To będzie oficjalne rozporządzenie lekarza, a takich się nie kwestionuje.

Doktor zwrócił się ponownie do Andrew, chcąc przyjrzeć się pęcherzom na jego klatce piersiowej, plecach i kończynach.

– Zaczniemy szorowanie już jutro, siostró Wood. Trzy razy dziennie, jak zwykle w takich przypadkach.

Notowałam jego uwagi, podczas gdy osłuchiwał serce i płuca Andrew.

– Dochodzi pan do zdrowia – oznajmił doktor. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyjdzie pan stąd do końca tygodnia.

Po tych słowach nie miałam cienia wątpliwości, że zostało mi niewiele czasu na postanowienie, co zrobić z listem Lily. Kiedy przeliczałam pozostałe dni, doktor Randall zwrócił się do mnie.

– A więc odświeżyłem moją znajomość poezji Keatsa i jestem gotowy omówić z panią jego osiągnięcia, siostró Wood.

Spojrzałam na niego natychmiast.

– Słucham?

– Powiedziałem, że jestem gotów omawiać dzieła Keatsa dziś wieczorem.

Kątem oka zauważyłam, że wzbudziliśmy zainteresowanie Andrew. Nie chciałam, aby usłyszał, że wcale nie byłam wielbicieleką Keatsa.

– Cóż, ja nie miałam czasu odświeżyć swojej wiedzy, przykro mi. Być może nie będziemy mieli o czym rozmawiać.

– W takim razie ograniczymy się do jednego z pani ulubionych wierszy. Który to?

– Ja... Właściwie to nie do końca rozumiem jego poezję.

– I właśnie to jest najlepszy powód do rozmowy o wierszach. Znaczenie pojawia się często podczas dyskusji. Czy pan też tak myśli, panie Gwynn?

Andrew skinął głową, lecz zanim mógł cokolwiek powiedzieć, doktor Randall ciągnął

swoją wypowiedź.

– W takim razie który to?

Potrafiłam podać tylko jeden.

– Cóż, zdaje się, że *Oda do greckiej urny*.

– Doskonale – odparł doktor Randall. – Omówimy zatem *Odę do greckiej urny*.

– To też jeden z moich ulubionych – powiedział cicho Andrew, bardziej kierując swoje słowa do mnie niż do doktora Randalla.

Doktor tymczasem przeszedł do kolejnego łóżka i radośnie powitał leżącego w nim pacjenta. Ja natomiast włożyłam kartę Andrew na miejsce u stóp łóżka, bym mogła podążać śladem Randalla. Andrew jednak przywołał mnie ruchem ręki. Usłuchałam i pochyliłam się ze swego rodzaju nerwową ciekawością.

– *Oda do greckiej urny* opowiada o oczekiwaniach i spełnieniu – szepnął.

– Co... Co to wszystko dla pana znaczy? – odszepnęłam.

– Zdarza się, że oczekiwania są lepsze od ich spełnienia.

Wciąż nic nie rozumiałam.

– Jak? – spytałam cicho. – W jaki sposób wiersz to przekazuje?

– „Słyszane melodie są słodkie, lecz te nieusłyszane jeszcze słodsze”.

Według Keatsa to, o czym marzymy, często jest lepsze od rzeczywistości.

Przez chwilę nie mogłam się ruszyć. Była to zarówno zasługa słów Andrew, jak i jego spojrzenia, którym przesywał mnie na wskroś.

Doktor Randall zawołał mnie, popchnęłam więc wózek, szepcząc słowa podziękowań.

***** J. Keats, *Oda do urny greckiej*, tłum. A. Fulińska, „Literatura na świecie” 2012, nr 9–10, s. 150.

Rozdział szesnasty

Nasza zmiana dobiegła końca, a linia horyzontu nad Nowym Jorkiem po drugiej stronie przybierała barwę kasztanów. Dolly i ja wróciłyśmy do naszego pokoju – ona w celu przyszykowania się do wyjścia na miasto, ja natomiast, by przyglądać się tym przygotowaniom.

W rękach trzymałam złożoną poszwę na poduszkę, w której znajdował się szalik Lily.

Dolly, ja i inne pielęgniarki wołałyśmy same prać naszą bieliznę, niż wysyłać ją do pralni, gdzie wraz z naszymi uniformami zostałyby wyszorowana i wygotowana przez niesubtelne dłonie w jeszcze mniej delikatnych maszynach. Stosowałyśmy środek antyseptyczny o zapachu lawendy, który tworzyłyśmy przez rozpuszczenie fenolu w gorącej wodzie. Miało to zabijać wszelkie pozostałości zarazków na naszych ubraniach. Widok mokrych części naszej garderoby, wiszących w dzielonej przez nas łazience tuż po delikatnym wypraniu w jednej z umywalek, był

czymś powszechnym. Dzisiejszego wieczoru, po powrocie ze stołówki do mojego pustego pokoju, zamierzałam wyprać szalik Lily i pozostawić go do wyschnięcia w sypialni, nie zwracając przy tym niczyjej uwagi.

Cisnąwszy biały pielęgniarzski uniform na łóżko, Dolly stanęła przed swoją szafą. Ja w tym czasie nonszalancko rzuciłam poszewkę na poduszkę w róg pokoju, gdzie znajdował się mój kosz z praniem. Kiedy obróciłam się z powrotem, Dolly usiłowała wcisnąć się w zielono-limonkową sukienkę wieczorową, którą w tym tygodniu otrzymała w przesyłce od bratowej. Sięgnęłam do mojej szafy i wyciągnęłam granatową spódnicę oraz zwykłą szmizjerkę w kolorze kości słoniowej.

– Dobry Boże, wcale się nie dziwię, dlaczego Josephine wysłała mi tę sukienkę! –

wykrzyknęła Dolly. – Mówiła mi, że nie ma szans, by po urodzeniu dziecka udało się jej w nią ponownie wcisnąć, ale założę się, że nigdy nie mogła w to wejść! Claro, pomóż mi z tymi zapięciami.

Położyłam ubrania na moim łóżku i pomaszerowałam w stronę koleżanki. Gorset opinał

mocno plecy Dolly, a między haczykami a uszkami widać było przynajmniej centymetrową przerwę.

– Nie dam rady, Dolly. Przykro mi.

– Spróbuj!

Pociągnęłam za tkaninę, wiedząc, że moje wysiłki są daremne. Sukienki nie starczało na całą Dolly.

– To się nie uda.

– Dobrze, dajmy temu spokój!

Pociągnęła za rękawy i zakryła biodra halką. Po serii wygibasów sukienka opadła na podłogę i Dolly zupełnie ją zdjęła.

– Ty powinnaś założyć ją na twoją dzisiejszą randkę.

– To żadna randka. Zresztą prędzej wybrałabym się na stołówkę w pidżamie niż sukni balowej.

Dolly schyliła się i podniosła sukienkę, która wydała piskliwy dźwięk.

– To właściwie nie jest suknia na bal, a raczej na przyjęcie.

– Ale ja nie wybieram się na przyjęcie.

– Tylko mi nie mów, że zakładasz to! – Machnęła swoją sukienką w kierunku mojego łóżka i spoczywających na nim ubrań. Spojrzałam na wybrane przez siebie spódnicę i bluzkę.

– Naprawdę wątpię, by doktor Randall założył coś innego niż codzienne ubranie. A moje

właśnie do takich się zalicza.

Dolly rzuciła sukienkę na swoje łóżko i obróciła się twarzą do mnie, wciąż w swoim blad różowym gorsecie.

– Czy pozwolisz chociaż, abym ułożyła ci włosy?

– Bo ja wiem...

Moja współlokatorka sięgnęła do swojej toaletki i wyciągnęła emaliowany grzebyk do włosów w odcieniach niebieskiego, fioleto i chabru.

– Zawsze uważałam, że będziesz w nim dobrze wyglądać. Ten kolor zupełnie nie pasuje do moich rudych włosów i zielonych oczu... Co nie wcale nie przeszkadza mi w jego noszeniu –

dodała po chwili, wyraźnie z siebie zadowolona. – Ale w połączeniu z twoimi brązowymi włosami i niebieskimi oczami to będzie strzał w dziesiątkę. Odwróć się.

– Spóźnisz się. Nawet się nie ubrałaś.

– Nie spóźnię się, a dziewczęta nie pozwolą, aby prom odpłynął beze mnie. Usiądź przed lustrem.

Posłuchałam jej. Dolly wyciągała ostrożnie szpilki z mojego koka i odkładała z brzękiem na toaletkę. Włosy opadły mi na ramiona, a przyjaciółka zaczęła je szczotkować.

– Masz najpiękniejsze naturalne loki, jakie widziałam, Claro. Czy wiesz, jaką jesteś szczęściarą?

Przymknęłam oczy, poddając się delikatnemu dotykowi.

– To tylko włosy, Dolly.

– Czyli nie wiesz.

Uśmiechnęłam się, podczas gdy Dolly kontynuowała szczotkowanie.

– Czy obiecasz mi, że postarasz się dziś dobrze bawić?

– Nie wiem, czy ktoś może się postarać o coś takiego – odparłam. – Albo się dobrze bawisz, albo nie.

– Wiesz, co mam na myśli. Obiecaj mi, że zostaniesz tam dłużej niż dziesięć minut.

– Nie potrafię rozmawiać o poezji dłużej niż dziesięć minut.

– Och, na miłość boską, Claro, jest wiele innych rzeczy, o których możesz rozmawiać.

Zapytaj go, skąd pochodzi, co lubi robić w wolnym czasie, jaki jest jego ulubiony kolor.

Po tych słowach przestała czesać, otworzyłam więc oczy, aby przyjrzeć się odbiciu w lustrze. Pasma z boku mojej głowy upięła nad uchem i

wsunęła tam grzebyk, dzięki czemu pozostała część włosów naturalnie opadała mi na ramiona. Efekt był naprawdę wspaniały.

– Rzadko noszę rozpuszczone włosy.

– A powinnaś. Masz piękne włosy. A teraz idź załóż swoje nudne ubrania.

Stałam, zsunęłam z siebie pielęgniarzki uniform, po czym założyłam spódnice i bluzkę.

Od dawna nie umawiałam się z mężczyzną i zapomniałam już, że samo przygotowywanie się do wyjścia stanowiło część frajdy. W dniu pożaru, kiedy jechałam windą na spotkanie z Edwardem, czułam coś podobnego. Jakbym chciała sięgnąć do upięcia moich włosów i je rozpuścić.

Pamiętam, że podczas gdy winda wjeżdżała na górę, szczypałam się w policzki.

Kiedy odwróciłam się do lustra, przemiana, jaką zafundowała mi Dolly dzięki innej fryzurze i pięknemu akcesorium, wprawiła mnie w zachwyt. Nawet moje ubrania wydawały się inne, mniej monotonne z akcentem, jaki nadawał mojemu wyglądowi grzebyk.

– Mogłabym cię znienawidzić – wymamrotała Dolly. – Wyglądasz, jakbyś dopiero co zeszała z rozkładówki „Vanity Fair”.

– Ależ skąd.

– I nawet to ubranko belferki prezentuje się ładnie. Gdybym ja je nałożyła, wzięliby mnie na panią Nesbitt.

– Jeszcze sobie pomyśli, że chcę wyrzucić na nim wrażenie.

Dotknęłam zakręconego pukla moich włosów, który spoczywał na ramieniu.

– Nic takiego sobie nie pomyśli. To on cię zaprosił, nie pamiętasz? To on pragnie ci zaimponować.

Odrzuciłam pukiel za siebie.

– Ale ja nie chcę być pod wrażeniem.

– Nie wierzę ci. Sama sobie nie wierzysz. Pomóż mi wybrać inną sukienkę.

Dolly podążyła do otwartej szafy, odsunęła zwisające na drążku ubrania i wyciągnęła sukienkę z żabotem w kolorze nieba, po czym uniosła ją ku swojej twarzy.

– Czy nie będę wyglądała blado? Nellie mówi, że przypominam w tej sukience

kościotrupa.

– Nie, wcale nie. I wiem, co właśnie robisz. Udajesz, że nie słyszysz, co do ciebie mówię.

Dolly rzuciła wieszak na łóżko i zaczęła zakładać spódnice.

– Niczego nie udaję. Jesteś zakochana we własnym śnie, Claro.

Wcześniej czy później przebudzisz się, a wtedy będziesz zadowolona, że nie głaskałam cię po głowie, kiedy spałaś.

– Edward mi się nie przyśnił.

– Nie mówię o Edwardzie. Mam na myśli powód, dla którego ukrywasz się na wyspie.

Zakochałaś się w czymś, co mogło się zdarzyć. Pomóż mi z tymi haftkami.

Podeszłam do niej i zanim udało mi się połączyć haczyki z uszkami, minęło trochę czasu.

– To by się zdarzyło.

– To mogło się zdarzyć. Mogło. Ledwie znałaś tego faceta.

– Wiedziałam o nim tyle, ile trzeba było! A na wypadek, gdybyś zapomniała, Edward umarł, zanim mogłam go poznać lepiej.

– I wtedy przybyłaś tutaj, i przestałaś się zastanawiać.

– Co masz na myśli?

Dolly założyła buty przeznaczone do tańca.

– Już ci powiedziałam. Z łatwością dowiedziałabyś się o nim czegoś więcej, gdybyś tylko tego chciała. Ale tkwisz tutaj, gdzie nie dowiesz się niczego.

Uciszyło nas pukanie do drzwi. Otworzyłam je i ujrzałam Nellie oraz Ivy. Było jasne, że obie usłyszały za dużo. Jakaż byłam głupia, że dałam się wciągnąć w tę rozmowę, wiedząc, że Dolly szykuje się do wyjścia na prom płynący na Manhattan! Powinnam była zgadnąć, że dziewczyny przyjdą po nią. Głupia!

– Jeszcze chwileczkę! – zawołała Dolly przez ramię.

– Przykro mi, że nie możesz z nami pójść. – Ivy zwróciła się do mnie całkowicie protekcjonalnym tonem.

– Tak, szkoda – dodała Nellie, choć jej głos zabrzmiał niewiele lepiej.

Widziałam to wypisane na ich twarzach. *Kim jest Edward?*

– Może innym razem – odparłam i odsunęłam się, aby mogły wejść i poczekać na Dolly w naszym pokoju. One jednak nie zrobiły kroku.

– Ładnie ci z rozpuszczonymi włosami – powiedziała Nellie.

– Jej włosy są boskie! – Dolly poperfumowała szyję wodą kolońską, po czym chwyciła szal i kapelusz z pióropuszem ze swojej otwartej szafy. Następnie podeszła bliżej, objęła mnie i przytuliła na dobranoc. W ostatniej chwili szepnęła mi na ucho:

– Nie złość się na mnie. I bądź miła dla doktora.

– Nic im nie mów – odparłam równie cicho, zanim Dolly wypuściła mnie z objęć.

Kobieta ruszyła, pozostawiając świeżą woń wody kolońskiej na moich ubraniach i włosach.

– Oczywiście, że nie powiem.

Założyła kapelusz na głowę, chwyciła za torebkę ze swojej toaletki i ruszyła ku drzwiom.

Nellie i Ivy życzyły mi dobrej nocy, ich twarze nosiły jednak taki wyraz, od którego nie mogłam oderwać wzroku. Dolly przejawiała matczyną troskę w połączeniu z zachętą, Nellie patrzyła ze współczuciem, a Ivy miała oczy rozpalone ciekawością. Zamknęłam drzwi i czekałam, aż fala gorąca, spowodowana zażenowaniem, zacznie słabnąć. Idąc do portu, będą wypytywać Dolly o szczegóły. Kim jest Edward? Co się z nim stało? Dlaczego nie żyje? Nie chciałam, żeby przyjaciółka musiała kłamać, ale nie pragnęłam też, żeby mówiła prawdę.

Chciałam, aby powiedziała im, że to nie ich sprawa. Być może tak właśnie zrobi. Ale to nie położy kresu ich ciekawości. W mojej bezpiecznej przystani – miejscu pośrednim – pojawiał się wyłom, którego nie potrafiłam naprawić.

Usiadłam na łóżku, rozmyślając, co pozostało mi do wyboru. Ani imię Edwarda, ani moje uczucia do niego nie były już dla nikogo tajemnicą. Nie mogłam wiecznie odwlekać momentu wyznania Nellie i Ivy prawdy, nie były głupie. Jeśli dziś wieczorem Dolly nie zaspokoi ich ciekawości, prędzej czy później to ja będę musiała to zrobić. Brak odpowiedzi na frapujące je pytania sprawi, że będą spekulować. I to nie tylko pomiędzy sobą, ale też z innymi pielęgniarzkami na wyspie. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że byłoby to znacznie gorsze.

Ludzie zaczęliby gadać, szeptać za moimi plecami. Bo o czym innym można tutaj plotkować? Moja mała, smutna tragedia stanowiła wymarzony temat do takich rozmów. A kiedy wszyscy na wyspie dowiedzą się, jakie wspomnienia ze sobą przywiozłam, Ellis przestanie być miejscem, które oszczędził ogień.

Może Dolly miała jednak trochę racji. Może rzeczywiście zakochałam się jedynie w marzeniu, jak też i mężczyźni, który je rozbudził? Ale ten sen należał do mnie i tu, na wyspie, mógł wciąż trwać. Wydawało mi się, że tylko tutaj mogłam go zachować. Sięgnęłam po tomik Lily, w którym kryła się *Oda do greckiej urny*. Byłam spragniona słów poematu, które mówiły o obrazach na urnie, zajmujących lepsze miejsce niż to, co naprawdę sobą reprezentowały.

Przeczytałam ten fragment dwukrotnie i choć czułam, że znalazłam się bliżej istoty utworu, to nadal daleka byłam od jego pełnego zrozumienia. To tak, jakbym stała w ciemności na wycieraczce tuż przed drzwiami w pełni oświetlonego domu. Stała i czekała, aż ktoś zechce mnie wpuścić do środka. W tej chwili chciałam biec do Andrew, nie do doktora Randalla, aby zapytać go o znaczenie wiersza. Wyobrażałam sobie, jak czytam mu go na głos. On natomiast, linijka po linijce, objaśnia mi poszczególne słowa mówiące o napięciu między tym, co ulega zmianie, a tym, co pozostaje niezmiennym.

Kiedy miałam zejść na dół, do pokoju socjalnego, nie wiedziałam, czy wziąć ze sobą tomik Lily, czy go zostawić. Nie miałam ochoty na pytania, skąd go mam. Ale przecież nie musiałam na nie odpowiadać.

Koniec końców nie zamierzałam przecież zostać.

Rozdział siedemnasty

Doktor Randall siedział w fotelu tuż przy półkach, które dzierżyły skromne zasoby pracowniczej biblioteki. Miał na sobie antracytowe spodnie, kamizelkę o rudobrunatnym odcieniu oraz koszulę maślanego koloru. W dłoniach trzymał otwartą gazetę. Na oparciu takiego samego krzesła tuż obok powiesił swój płaszcz. Kiedy się zbliżyłam, spojrzał w górę, uśmiechnął

się i odłożył gazetę na okrągły stół, który dzielił oba krzesła. Następnie sięgnął po płaszcz, który najwidoczniej odłożył tam po to, by zarezerwować mi miejsce, mimo iż pomieszczenie świeciło pustkami.

– Dobry wieczór, panno Wood! Widzę, że jest pani przygotowana.

Ruchem głowy wskazał na cienki tomik, który trzymałam w dłoni.

– Mam szczęście, że udało mi się znaleźć poezję Keatsa w antologii na półce tutaj.

W innym przypadku z pewnością zawstydziliby mnie pani swoją wiedzą.

– Zapewniam pana, że nie miałby się pan czego obawiać.

Zajęłam miejsce, jednak usiadłam w taki sposób, by w każdej chwili móc wstać i wyjść.

– Och, jest pani zbyt skromna.

Pokręciłam głową.

– Ani trochę, panie doktorze. Jestem winna panu przeprosiny. Skłamałam mówiąc, że lubię Keatsa. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

Uśmiechnął się, z pewnością myśląc, że powiedziałam to, by mu zaimponować.

– Po prostu nieco się droczyłam – dodałam nierozważnie.

Uśmiech doktora pogłębił się i mężczyzna zrobił ruch głową w kierunku książki należącej do Lily.

– A więc nie lubi pani Keatsa, ale ma jego tomik?

– W zasadzie nie jest mój. Należy do... Do kogoś innego.

– Ma więc pani pożyczoną książkę Keatsa, ale go pani nie lubi?

Przetrawiłam w myślach moją odpowiedź, zanim uznałam, że szczerść jest

prawdopodobnie jedyną rzeczą, która mogłaby wybawić mnie od tej nieuniknionej debaty nad *Odą do greckiej urny*.

– Zdaje się, że ta osoba lubi Keatsa.

– Ach, rozumiem. To pani przyjaciel?

Właściwie to książka należała teraz do Andrew, a ja uważałam go niemal za przyjaciela.

– Można tak powiedzieć.

– Ale nie ukochany?

Ostrożność przeplatała się ze słowami doktora. Wiedziałam, że był uczciwym mężczyzną, który nie czyniłby awansów kobiecie będącej związaną z innym.

– Nie – odparłam, a on wyraźnie się rozluźnił.

– Czego więc nie lubi pani u Keatsa?

Doktor Randall usadowił się wygodnie w fotelu, gotów na całowieczną dyskusję.

– Nie sądzę, byśmy mieli o czym ze sobą rozmawiać, doktorze. Oszukałam pana. Nie mogę nawet powiedzieć, że nie lubię Keatsa, bo przeczytałam zaledwie jeden jego wiersz.

– Ale tego jednego przeczytanego pani nie lubi. A to oznacza, że mamy wiele do omówienia. Tak jest nawet lepiej. Gdybyśmy oboje mieli o nim

pozytywne zdanie, o czym mielibyśmy rozmawiać? I proszę mówić mi Ethan.

Długi pukiel włosów opadł mi na twarz. Odgarnęłam te, których nie przytrzymał grzebyk.

– Wydaje mi się, że to nie jest zbyt dobry pomysł. Uczono mnie, że...

– Tak, wiem, czego uczą w szkołach dla pielęgniarek. Jutro, na oddziale, będzie mi pani mogła mówić „doktorze”, jeśli tego pani chce. Ale teraz oboje jesteśmy już po pracy. Na imię mi po prostu Ethan. Czy mogę nazywać panią Clarą?

Przełknęłam gulę w gardle.

– Myślę, że powinien pan nazywać mnie panną Wood.

Uśmiechnął się.

– Dobrze, panno Wood. W takim razie pani być może mogłaby nazywać mnie panem Randallem, a nie „doktorem”. Umowa stoi?

– Być może.

– Proszę mi więc powiedzieć, co nie podobało się pani w *Odzie do greckiej urny*.

Zaczerpnęłam tchu, gotowa wygłosić ułożoną wcześniej wypowiedź, a następnie

przeprześć doktora i wrócić do swojego pokoju. Całość zajęłaby mi nie więcej niż kilka minut.

– Był zbyt trudny, aby go zrozumieć. Mówiłam to panu już dzisiaj na oddziale. Uważam, że jeśli się o czymś pisze, trzeba to robić konkretnie – używać interesujących słów, jeśli sprawiają nam one przyjemność, ale nie ukrywać całkowicie ich znaczenia za zasłoną ładnych określeń, gdzie jest ono nie do odgadnięcia. Nie widzę w tym nic dobrego.

Doktor kiwnął głową z namysłem.

– Właściwie to ma pani tutaj rację, ale śmiem twierdzić, że prawdziwi miłośnicy poezji powiedzieliby, iż te „ładne określenia” to część poetyckiego czaru. Bo trzeba umieć czytać pomiędzy wierszami. – Przy ostatnim zdaniu zaśmiał się lekko.

– Co sprawia, że, jak już powiedziałam, jestem osobą, która świadomie wprowadziła pana w błąd. Nie jestem miłośniczką poezji. Pozwoliłam panu uwierzyć, że tak jest, a to nieprawda.

Proszę mi wybaczyć.

Wstałam z krzesła, chcąc życzyć mu dobrej nocy.

– Panno Wood, pani błędnie zakłada, że ja dbam o takie rzeczy! Proszę nie odchodzić.

Proszę.

W jego oczach i głosie dostrzegłam błaganie, bym ponownie zajęła swoje miejsce.

Zawahałam się, zanim powoli usiadłam w fotelu.

– Ja też nie jestem wielkim zwolennikiem poezji – ciągnął. – Ale kiedy powiedziała pani, że ją lubi, chciałem znaleźć wiersz, o którym moglibyśmy porozmawiać. Dni mijają, a na tej wyspie jest zbyt cicho. Trudno mi pojąć, jak udawało się pani tutaj tak żyć, tydzień po tygodniu.

Słowo daję, będę szczęśliwy, gdy mój staż dobiegnie końca.

Wewnątrz mnie pulsowało dziwaczne poczucie lojalności wobec wyspy.

– Mnie się tutaj podoba.

Zaśmiał się cicho.

– Naprawdę? I nie nudzi się pani?

– Nie.

– Ale wyczekuje pani końca tygodnia, kiedy to może się pani wreszcie oderwać od tego wszystkiego i znów połączyć z prawdziwym światem, prawda? Czy nie pragnie pani czegoś więcej niż to? – Ruchem ręki jakby objął kawałek zapożyczonego gruntu, na którym wybudowano szpital.

Nie chciałam mówić mu, czego łaknęła moja dusza, dlatego po prostu powtórzyłam:

– Podoba mi się tutaj.

Lekko zmarszczył czoło.

– Chce mi pani powiedzieć, że nie wyczekuje pani wieczorów, kiedy może się stąd wymknąć?

– Dokonujemy tutaj dobrych rzeczy. Ludzie przybywają na Ellis pełni nadziei. Ci, którzy są wysyłani do szpitala, mają znacznie większe marzenia, bo tak bardzo zależy im, żeby wyzdrowieć. Kiedy w końcu wsiadają na prom płynący na ląd, ten widok wszystko wynagradza.

– Oczywiście, ma pani rację. Ale nie mówię o nich. Mówię o pani. To godne podziwu, że podoba się pani praca tutaj, to, co robi pani dla innych, ale nie wyobrażam sobie, że nie pragnie pani czegoś poza tym szpitalem. Proszę mi powiedzieć, co pani robi, kiedy wraca na brzeg?

Tej konwersacji nie chciałam prowadzić.

– Jeśli nie będziemy rozmawiać o Keatsie, doktorze, być może lepiej, żebym wróciła do swojego pokoju.

Ponownie podniosłam się z krzesła.

– W takim razie pomówmy o Keatsie! – On także wstał na równe nogi.
– Proszę.

Wykonał ruch ręką, wskazując na moje krzesło. Usiadłam, a on zrobił to samo.

Zmarszczył brwi w zadumie, zapewne przekonany, że jeśli jego kolejne słowa nie będą dotyczyły poety, gotowa jestem rzucić się do ucieczki.

– A może powinienem przeczytać pani ten wiersz na głos? Czy możemy od tego zacząć?

– zapytał.

– Przez ostatnie dwa dni przeczytałam go dziesiątki razy. Więcej nie potrzebuję.

Na te słowa jego twarz rozjaśniła się, musiał bowiem wziąć to za komplement – pewnie wydawało mu się, że przygotowywałam się na nasze spotkanie.

– Cóż, może mógłbym zatem odczytać go dla siebie samego, jeśli nie miałaby pani nic przeciwko?

Wyciągnął ku mnie dłoń.

– Czy mogę?

Wpatrywałam się w niego.

– Ale co pan może?

Błysnął zębami w uśmiechu.

– Pożyczyc pani pożyczoną książkę.

Zawahałam się przez chwilę, po czym otworzyłam tomik Lily na pierwszym z wierszy, a następnie podałam książkę doktorowi. Ethan Randall wygładził dłonią kartkę i odchrząknął, chcąc, by jego głos zabrzmiał jak najczyściej. Zaczął czytać, a ja szybko zanurzyłam się we mgle słów, jednocześnie znanych i obcych. Ich dźwięk kołło moje uszy, kiedy zamknęłam oczy. Wciąż nie potrafiłam odczytać pełnego znaczenia wiersza, ale głos doktora Randalla był silny i krzepki, a ja mogłam niemal zobaczyć urnę i jej pokrytą malowidłem powierzchnię. Zdałam sobie sprawę, że mężczyzna skończył czytać dopiero po chwili czy dwóch. Otworzyłam szeroko oczy i zauważyłam, że patrzył na mnie z wyczekiwaniem.

– I co pani myśli, panno Wood?

Zająknęłam się.

– Co to oznacza pana zdaniem? – spytałam szybko, próbując ukryć swoje zmieszanie.

– Wydaje mi się, że urna należy do podmiotu lirycznego. Wiersz opowiada o pięknym lesie, pannach, mężczyznach, kobziarzach, tancerzach, a także drzewach, które nigdy nie tracą liści, bo na urnie panuje wieczna wiosna. Niezmienna po kres świata.

– Miejsce pośrednie... – wymamrotałam, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że kwestia ta dotyczyła urny.

– Cóż, chyba można by pokusić się o stwierdzenie, że to coś pomiędzy rzeczywistością a fantazją. Obrazy na urnie nie są prawdziwe, ale wciąż pozostają widoczne.

Wyszeptane słowa odbijały się echem w mojej głowie.

– Ktoś mi powiedział, że to wiersz o spełnionych oczekiwaniach, które nie są tak zadowalające, jak marzenie o nich – powiedziałam bardziej do samej siebie niż do siedzącego naprzeciw mnie mężczyzny. – Słyszane melodie nie brzmią tak słodko, jak dźwięki, które sobie wyobrażamy.

Doktor Randall skinął głową.

– No cóż, tak, też dostrzegam to znaczenie. Ktoś to pani powiedział?

Jego pytanie z ledwością do mnie dotarło. Wcześniejsze słowa Andrew dryfowały gdzieś wokół, wyparte bardzo szybko przez obraz Edwarda stojącego obok mnie w windzie. Edward zapraszający mnie do szwalni. Edward z moich snów, proponujący mi przyjście na piętro, gdzie nie powinien być o tej godzinie. Edward, którego przy mnie nie było. Niczym urna rozbita na drobne kawałki po upadku z niebios.

– Czy pan w to wierzy? – powiedziałam w końcu. – Czy wierzy pan, że niespełnione pragnienie jest lepsze, bo to coś, o czym wciąż można śnić?

– Ja... Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób. Kiedy czegoś chciałem, zawsze dążyłem do tego, by to zdobyć. Nie wyobrażam sobie, abym mógł być szczęśliwy, po prostu tego pragnąc. Można by się w końcu zmęczyć takim trwaniem w zawieszeniu, brakiem zmiany.

– To tak jakby powiedzieć, że zmiana zawsze jest dobra. Zmiana z natury nie jest ani dobra, ani zła. Wszystko zależy od tego, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy. Dopiero na podstawie tego można oszacować, czy dany zwrot w naszym życiu będzie miał pozytywne następstwa, czy też nie.

Ethan Randall uśmiechnął się do mnie i nagle przypomniałam sobie, jak wspominał, że lubi prowadzić filozoficzne dyskusje.

– Dobrze powiedziane, panno Wood.

Postukał palcem w gazetę, która leżała między nami.

– *À propos* zmiany, właśnie przeczytałem o okropnym pożarze, który pani przeżyła.

Proces nie zacznie się przed grudniem, ale zaszły już zmiany na lepsze w prawie pracy...

Jego głos brzęczał mi w głowie, lecz moje myśli pofrunęły gdzieś daleko, gdy tylko padło słowo „pożar”. Reszta słów doktora wypływała jak woda z wiadra, ochlapując moje skrzętnie zbudowane schronienie na wyspie. Nie wiedziałam, że miał się odbyć proces karny. Unikałam gazet, a rodzice czy siostra na moją prośbę nigdy nie wspominali w listach o następstwach tragedii, której byłam świadkiem. Tutaj żaden pożar nie wybuchł, ale na ulicach Dolnego Manhattanu, zgodnie z moimi obawami, wciąż unosił się dym. Spojrzałam na moje buty, gotowa ujrzeć wokół nich popiół i krew.

– Panno Wood?

Usłyszałam swoje nazwisko, jakby dochodziło zza murowanej ściany.

– Proces? – wymamrotałam, a mój głos zdawał się tak bardzo odległy, że sama z trudem go rozpoznawałam.

– Tak. Właściciele zostali oskarżeni o nieumyślne spowodowanie śmierci.

Instynktownie uniosłam dłonie do uszu.

– Czy dobrze się pani czuje?

W głosie doktora pobrzmiwała nuta zaniepokojenia.

– Claro?

Wypowiedział moje imię, ale nie dbałam o to. W pokoju było tak ciepło.

– Wyjdźmy na chwilę. Zbladła pani. Potrzebuje pani świeżego powietrza.

Otoczył mnie ramionami, pomagając stanąć na nogi.

– Książka – wymamrotałam.

– Mam ją przy sobie. Chodźmy. Trzymam panią.

Powitał nas późno sierpniowy wieczór.

Rozdział osiemnasty

Otoczona ramieniem Ethana Randalla wreszcie uniosłam się znad mgły i zanim

zdażyliśmy wyjść na zewnątrz, wróciłam już całkowicie do siebie.

– Już w porządku. – Odsunęłam się od niego delikatnie, wdychając nocne wilgotne powietrze.

– Jest pani pewna?

– Tak, tak.

Zwróciłam się do niego zadowolona, że fiołkowe oblicze nocy skrywało moje

zażenowanie.

– Przepraszam.

– Nonsens, to ja przepraszam. Nie powinienem był o tym wspominać.

Proszę mi

wybaczyć – mówiąc to, nachylił się lekko, szukając mojego wzroku. – Jest pani pewna, że wszystko w porządku? Może chciałaby pani usiąść?

Poprowadził mnie do drewnianej ławki, stojącej tuż przy głównym wejściu do szpitala.

To tutaj członkowie rodzin siadali, czekając na odwiedzin u pacjenta, który prawdopodobnie miał nie przeżyć – tylko umierającym pozwalano na przyjmowanie gości.

– Nie miałam pojęcia, że wytoczony zostanie proces karny – powiedziałam. – Byłam po prostu zaskoczona.

Kiedy się nie odezwał, podniosłam głowę. Na jego twarzy dostrzegłam zaskoczenie.

– Jak to możliwe, skoro piszą o tym wszystkie gazety, i to od tygodni?

– Ja... Ja właściwie nie czytuję gazet.

– Ale z pewnością słyszała pani o tym, będąc na lądzie.

Mogłam jedynie pokręcić głową.

– Harris i Blanck zostali oskarżeni o nieumyślne spowodowanie śmierci, panno Wood.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Spojrzałam w dal, w stronę nie Nowego Jorku, a Jersey.

Sformułowanie „nieumyślne zabójstwo” zawsze mnie denerwowało. Zawsze. Siedząc tam, pod tym nocnym niebem i kontrastującymi na jego tle gwiazdami, nienawidziłam go bardziej niż zwykle. Kojarzyło mi się z ubojem.

– Nie wiedziałam.

– Właśnie zdałem sobie sprawę, że... – Doktor Randall urwał w połowie zdania. – Czy pani była na lądzie od tamtego czasu?

I cóż z tego, jeśli będzie znał prawdę? I tak wkrótce by się dowiedział. Wszyscy znajomi z wyspy wiedzieli.

– Nie.

Na chwilę zamilkł.

– Czy pani... Czy to z powodu tego, co pani widziała? Czy to było zbyt straszne? –

zapytał w końcu.

Proste pytanie zadane przez Ethana Randalla nappełniło mnie pewnością.

– To, co widziałam, było niewiarygodnie okropne.

– I naprawdę od tamtej pory nie postawiła pani nogi na Manhattanie?

– Nie.

– Bo tam wciąż o tym mówią? – zapytał.

– Tak, choć to jedynie część prawdy.

– Ale przecież mogłaby pani udać się wszędzie. Mogłaby pani całkiem opuścić Nowy

Jork. Wszędzie potrzebne są pielęgniarki, panno Wood.

– Nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Dobrze mi tutaj.

– Ale tak wiele mogłaby pani osiągnąć. Jest pani taka młoda. Przed panią całe życie.

Wstałam z miejsca.

– No cóż, dziękuję panu za pomoc. Już mi lepiej, ale chyba powinnam udać się do swojego pokoju.

Doktor Randall skoczył na równe nogi.

– Powiedziałem za dużo. Przepraszam. Nie musi pani uciekać.

– Nie uciekam, tylko po prostu wracam do pokoju. Czy może pan mi oddać moją książkę?

Sięgnęłam po tomik Lily, lecz mężczyzna nie chciał mi go oddać.

– Czy nie moglibyśmy wrócić do stołówki i dalej rozmawiać o Keatsie?

– Nie wydaje mi się.

Podał mi tomik.

– Obraziłem panią. Przepraszam. Po prostu nie rozumiem.

– Pan mnie nie obraził.

Wzięłam od niego książkę, pragnąc powiedzieć, że tak, miał rację. Nie rozumiał. Nikt nie rozumiał.

– Dobrej nocy, doktorze Randall. Bardzo przepraszam, jeśli zmarnowałam panu wieczór.

Skierowałam się ku budynkowi, a on podążył moim śladem.

– Niczego mi pani nie zmarnowała.

Wyprzedził mnie, by otworzyć przede mną drzwi.

– Doktor Treaver czasami grywa w karty w jadalni. Być może pan go tam teraz znajdzie –

dodałam.

Stanęliśmy w korytarzu, gdzie nasze drogi miały się rozejść. Doktor spojrział w kierunku jadalni personelu, gdzie być może miał szansę zagrać z kolegą po fachu w remika.

– Dobranoc, doktorze – powiedziałam, na co zwrócił się ku mnie.

– Panno Wood, być może zechciałaby pani rozważyć pozwolenie mi na towarzyszenie pani w wycieczce na brzeg.

– Nie ma takiej potrzeby. Kiedy będę gotowa, to popłynę.

– Ale możliwe, że gdyby miała pani kogoś u swego boku, nie musiałaby panie aż tyle czekać.

Nagle poczułam się w jego obecności jak małe dziecko.

– Mówię poważnie – ciągnął, kiedy nie odpowiedziałam. – To nie musi być takie trudne, jak to się pani wydaje. Czasem strach ma wielkie oczy.

Niczego bardziej nie pragnęłam, niż stamtąd uciec, ale słowa mężczyzny zawisły między nami, oczekując na odpowiedź z mojej strony. Mimo ignorowania swoich potrzeb wiedziałam, że to, co powiedział doktor, miało jak najbardziej sens. Kiedy tylko mężczyzna poruszył temat opuszczenia wyspy, miałam świadomość, że głos rozsądku podpowiadał mi to samo od tygodni, tyle że ja udawałam, iż go nie słyszę.

Doktor Randall się uśmiechnął.

– Wiem, że powiedziałem, iż nie rozumiem, ale chciałbym to zmienić.

Skinęłam głową.

– Dobranoc, doktorze.

Odwróciłam się i podążyłam do swojej sypialni. Musiał patrzeć w ślad za mną, bo dopiero kilka sekund później usłyszałam jego kroki, kiedy zbliżał się do pracowniczego pokoju socjalnego.

Nie widziałam sposobu, jak wytłumaczyć Ethanowi Randallowi, co tak mocno trzymało

mnie na wyspie. Chwilami sama ledwie rozumiałam, dlaczego utrata Edwarda mnie tu sprowadziła i nie chciała puścić wolno. Nie miałam niczego, co mogłabym pokazać doktorowi Randallowi czy komukolwiek innemu. Ani zasuszonej róży, ani liściku, ani nawet wspomnienia dłuższego pocałunku. Nie posiadałam niczego, co stanowiłoby dowód na to, że

straciłam coś wspaniałego z chwilą śmierci Edwarda. Właściwie wszystkim, co miałam, było poczucie winy, bo Edward znalazł się na dziewiątym piętrze, czekając na mnie, a powinien być przecież piętro niżej, skąd mógłby uciec. Nic miałam nic, dzięki czemu mogłabym przekonać samą siebie, że uważał, iż warto było zapłacić tę cenę.

Kiedy tak o tym myślałam, spojrzałam na książkę, którą trzymałam. Przystanęłam. Nie miałam niczego, co należało do Edwarda, a jednak tak łatwo przyszło mi zatrzymanie książki Lily, choć powinna bezzwłocznie trafić w ręce Andrew. Czy naprawdę sądziłam, że mam jakiegokolwiek prawo do tego, by mu jej nie zwracać?

Przywiązałam się do szala Lily, bo uosabiał ten krótki czas, który ona i Andrew spędzili razem. Ten sam, który on, w swojej błogiej nieświadomości, tak bardzo sobie cenił. Ale to nie była jedyna namacalna rzecz, jaka pozostała. Była jeszcze ta książka. A on nie wiedział, że ja ją mam.

Obróciłam się i ruszyłam z powrotem do głównego holu. Na całe szczęście nie natknęłam się po drodze na doktora Randalla. Poszłam więc do budynków izolatki na sam skraj wyspy, świadoma, ale niezrażona faktem, że nie wiedziałam, w jaki sposób wyjaśnię Andrew to, iż weszłam w posiadanie książki jego żony.

Zasługiwał na najbardziej szczerą z możliwych odpowiedzi. Mogłam powiedzieć mu, że otworzyłam kufer Lily przez pomyłkę, książka leżała na wierzchu i pomyślałam, że chciałby ją mieć, kiedy wyzdrowieje. To akurat była prawda. Kiedy ją stamtąd wyjęłam po raz pierwszy, taki miałam cel. Teraz w istocie Andrew zaczynał się lepiej czuć.

Zbliżając się do wejścia, zrozumiałam jednak, że nie potrafię udzielić dobrej odpowiedzi na pytanie, dlaczego przynoszę tomik dopiero teraz, o ósmej wieczorem w sobotni wieczór, kiedy nie mam dyżuru.

Być może jego radość z faktu posiadania książki okaże się tak wielka, że nie będzie sobie zawracał głowy zastanawianiem się nad powodem mojej obecności na oddziale po godzinach pracy.

Kiedy weszłam do budynku, pielęgniarka na nocnej zmianie, siedząca w głównej dyżurce, podniosła głowę. Powiedziałam jej, że zostawiłam coś na oddziale, gdzie leżeli pacjenci ze szkarlatyną. Kobieta wróciła do przeglądania kart chorych, a ja szybko przeszłam obok.

W pokojach panowała ciemność, bo większość ludzi już spała. Tylko kilka lampek nocnych paliło się tu i ówdzie. Kiedy doszłam do oddziału,

zobaczyłam, że ta przy łóżku Andrew wciąż była włączona. Zdawało się jednak, że mężczyzna zasnął, czytając.

Przez kilka chwil zastanawiałam się nad tym, co powinnam zrobić. Wyjść i wrócić z książką jutro? Ale przecież nie przy wszystkich. Zostawić książkę na jego stoliku nocnym?

Będzie się zastanawiał, skąd się wzięła. Chyba że napiszę kartkę.

Wyszłam do dyżurki i wyjęłam papier, a także wieczne pióro. Następnie, najciszej jak potrafiłam, podeszłam do łóżka Andrew. W delikatnym blasku światła lampki jego skóra, mimo przebytej wysypki, która jeszcze do końca nie zniknęła, wyglądała niemal normalnie. Na jego piersi leżała otwarta książka – *Powrót Sherlocka Holmesa*.

Odczekałam chwilę, by upewnić się, czy tylko drzemie, ale kiedy nie otworzył oczu, przysunęłam metalowe krzesło, które stało tuż u stóp jego łóżka, bliżej światła. Kiedy siadałam, krzesło lekko zaskrzypiało.

Położyłam kartkę na tomiku Lily i otworzyłam pióro.

„Drogi panie Gwynn”, zaczęłam. „Znalazłam tę książkę, kiedy...”. Nie potrafiłam pisać

dalej. Nie umiałam znaleźć odpowiednich słów na to, co zrobiłam i dlaczego. Przez kilka dłuższych chwil po prostu wpatrywałam się w kartkę. I wtedy nagle poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że Andrew wpatrywał się we mnie lekko rozespanym wzrokiem.

– Siostra Wood? – powiedział cicho, jakbym była przewidzeniem.

– Przepraszam, że pana zbudziłam.

Po raz trzeci tego wieczoru gorąco zalało moją twarz.

– Prawie pani nie poznałem. Pani... Pani nie ma na sobie uniformu.

Spojrzałam na swoje ubranie i wtedy uzmysłowiłam sobie, że moje włosy opadały luźno na ramiona, a piękny grzebyk Dolly zapewne pobłyskiwał w świetle lampki.

– Ja... musiałam coś panu przynieść.

Wyciągnęłam książkę spod kartki. Kiedy Andrew ją zobaczył, wiedziałam, że coś się nie zgadzało. Myślałam, że zobaczę tę samą radość, która była wypisana na jego twarzy, gdy zwróciłam mu szalik. Jego twarz miała jednak dziwny, niemal zalękniony wyraz.

– Skąd pani to ma? – wyszeptał.

W jego głosie pobrzmiwało oskarżenie. Serce zatopilo mi się w piersi, jakby pod ciężarem wstydu. Nagle poczułam się jak złodziejka.

– Ja... Znalazłam ją w dniu, kiedy chciał pan, żebym poszukała książki z wzorami należącej do pańskiego ojca. Przypadkowo otworzyłam kufer pańskiej żony, myśląc, że należał

do pana, i znalazłam ten mały tomik...

– To niemożliwe.

W jego głosie kolejny raz niewątpliwie pobrzmiwało niedowierzanie.

– Ja... Przysięgam, że nie chciałam zrobić nic złego. Wydawało mi się, że to książka, którą pańska żona lubiła, i pomyślałam, że chciałby pan ją mieć, kiedy będzie pan dochodził do siebie. Najgorsze już za panem, więc pomyślałam, że ją panu przyniosę.

Podalam mu tomik, a on wziął go powoli.

– Nie rozumiem – powiedział. – Zgubiłem go na dzień przed naszym odpłynięciem. Czy znalazła go pani w bagażu Lily?

Teraz to ja byłam zaskoczona.

– Zgubił go pan?

– Należał do mojej matki.

Tembr głosu Andrew był równie czuły, co pełen niedowierzania. Było oczywiste, że książka miała dla niego sentymentalne znaczenie i uważał, że nigdy więcej jej nie ujrzy.

Przez chwilę byłam równie zmieszana, co on, ale potem słowa Lily z jej listu zaczęły odbijać się w mojej głowie jak uderzenie młota: *Od dnia, kiedy Cię poznałam, planowałam pobiec za wynajętą taksówką w poszukiwaniu pozostawionej w niej rękawiczki. Chciałam znaleźć na ulicy kogoś, kto przekaże ci informację, byś zajrzał do mojego kufra, gdzie wiedziałam, że odnajdziesz ten tomik.*

Lily zabrała książkę Andrew dzień przed ich wypłynięciem z Anglii i schowała ją w swoim własnym bagażu wraz z listem oraz aktem unieważnienia małżeństwa. Wiedziała, że kiedy pośpiesznie opłacony przez nią uliczny posłaniec przekaże wiadomość Andrew, ten najpierw przeszuka kufer i, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, znajdzie tomik należący do jego matki. Wyciągnie tę tak ważną dla niego książkę, którą myślał, że utracił już na zawsze, otworzy ją i zobaczy, co Lily zostawiła mu między kartkami. Ukochana książka Andrew była gwarantem, że mężczyzna znajdzie list oraz dokument.

Kiedy Andrew przyglądał się tomikowi, do jego oczu napłynęły łzy.

– Nie rozumiem. Dlaczego miałyby to zrobić? Wiedziała, że wszędzie tego szukałem...

Właściwie nie spodziewał się, że znalazł odpowiedź na jego pytanie, ale w tej okropnej chwili byłam bliska powiedzenia mu wszystkiego. Gdyby nie to, że wciąż odczuwałam bolesne ukłucie po słowach Ethana Randall, który nie wiedział, że dla mnie pożar wciąż się tlił, pewnie bym już to zrobiła. Niewielkie kłamstwo Lily zdawało się tak bardzo zranić Andrew, a jednak wyłom, który pojawił się w jego przestrzeni między przeszłością a przyszłością, wielkością był

porównywalny do mojego. Jego świeżo poślubiona żona zabrała mu książkę, którą przecież tak bardzo sobie cenił, i schowała ją przed nim w swoim bagażu. Teraz jego idealne wspomnienie Lily nosiło na sobie niewielką skazę. Gdybym wręczyła mu te okropne papiery podczas opuszczania przez niego Ellis, nie wywarłoby to na nim tak wielkiego wrażenia, jak dziś wieczorem. Pęknięcie na idealnym obrazie zamaże się w ciągu nadchodzących dni. Oczywiście, że tak będzie. Andrew oddychał ciężko jak ktoś wygłodniały tlenu.

– Gdyby pani błędnie nie otworzyła kufra Lily, książki już by nie było, prawda?

Zostałaby spalona z całą resztą?

– Tak, przynajmniej tak mi się wydaje.

– W takim razie jestem pani bardzo wdzięczny. Dziękuję.

– To nic.

Nie chciałam jego wdzięczności. Nie zasługiwałam na nią. Po raz kolejny bez

zastanowienia powiedziałam kilka słów prawdy.

– Przeczytałam ją. Nie powinnam była. Przepraszam.

Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Czy nie czytała pani *Ody do greckiej urny* wcześniej?

Domyślił się, dlaczego doktor Randall i ja rozmawialiśmy o Keatsie.

– Nie – odparłam. – Gdyby pan mi tego nie wyjaśnił, znaczenie tego wiersza wciąż byłoby dla mnie tajemnicą.

Tym też nie wydawał się zaskoczony.

– Poezja przemawia powoli. Tak powiedziała mi matka. Zazwyczaj za bardzo się spieszymy.

Westchnął na to wspomnienie.

– Ludziom żyjącym w pośpiechu umyka wiele spraw. Widzą tylko to, co jest na samym wierzchu... – Jego głos stawał się powoli coraz bardziej ciężki, ospały.

– Powinnam dać panu odpocząć. – Wstałam z krzesła.

– Dobranoc, panie Gwynn. – Andrew nie odpowiedział. Zdawało się, że wcale mnie nie usłyszał. Jego oczy wciąż spoczywały na tomiku matki, dosłownie błagając go o wyjawienie, w jaki sposób znalazł się w kufrze Lily. Nie mogłam pozostawić go bez uchylenia choćby rąbka tajemnicy, którą przed nim skrywałam.

– Czasami ludzie postępują tak czy inaczej z powodów, których nie potrafią wyjaśnić – powiedziałam.

Odwrócił głowę w moim kierunku i zdawało się, że rozmyśla nad sensem moich słów.

Jego wzrok powędrował do ozdobionego motylami grzebyka wplecionego w moje włosy, następnie mężczyzna po raz kolejny spojrzał mi w oczy.

– Wszystko dzieje się zupełnie inaczej od tego, jak to sobie wyobrażałem – dodał.

– Wiem.

Tylko tyle mogłam powiedzieć. Świadomość tego, jakie wieści miałam mu przynieść w dniu wypisu, sprawiła, że zaschło mi w gardle.

– Dobranoc, panie Gwynn.

– Dziękuję, siostrze.

Zostawiłam go i powróciłam do swojego pokoju, w którym panowała cisza. W dzielonej

z innymi łazience nalałam ciepłej wody do umywalki, trochę płynu do prania i kilka kropel lawendy. Wróciłam do pokoju po szalik, wyjmując go z poszewki, w której spoczywał.

Przyniosłam go z powrotem do łazienki i zamoczyłam w mydlanej mieszance, trąc ze zdecydowaniem na całej długości, by usunąć z jego nici wszelkie resztki okropnej choroby Lily.

Wiedziałam, że nie mogłam zmyć wszystkiego, co zrobiła. Myśl o wręczeniu Andrew jej listu sprawiła, że przeszedł mnie dreszcz, jakby małe okienko otworzyło się pod naporem zimowego wiatru tuż nad moją głową. Tchórz, który we mnie siedział, chciał znaleźć łatwiejsze rozwiązanie... Może mogłabym umieścić list i akt unieważnienia małżeństwa pomiędzy fałdami szalika, kiedy będę go oddawała w dniu wypisu. Andrew weźmie go ode mnie i w pierwszej chwili nie zda sobie sprawy, że coś jest umieszczone wewnątrz. Dopiero kiedy przyjedzie do swojego brata i

rozpakuje się, znajdzie list. Bez problemu domyśli się, że miałam go przez cały ten czas i że z pewnością go przeczytałam, ale przynajmniej nie będę musiała widzieć wyrazu jego twarzy. Zostanę tutaj, na wyspie. Dzielić nas będzie niemal cały świat.

To był najbardziej miłosierny plan, jaki przyszedł mi do głowy. Nie tylko dla Andrew, ale i dla mnie samej. Zawinę szal w chustkę, dobrze go zwiążę i wręcę mu w ostatniej chwili, tuż przed jego odpłynięciem. Podziękuj mi. To będą ostatnie słowa, jakie od niego usłyszę.

Kiedy prałam szalik, moje palce natrafiły na niewielki kawałek metalu, który poczułam już poprzedniego dnia podczas kłótni z Włochem. Początkowo myślałam, że to agrafka lub może nawlekacz do nici, który zagubił się w fałdach materiału i został nieopatrznie wszyty przez krawcową do środka. Sięgnęłam więc do szwów z odwróconego materiału, by pozbyć się płytki.

Przedmiot odbił się o porcelanowy zlew i wtedy zobaczyłam, że to żaden dodatek krawiecki.

Przede mną leżał mały, mosiężny kluczyk. Kiedy go podniosłam, na jego powierzchni zauważyłam niewielkie, ręcznie wygrawerowane słowa. Podniosłam kluczyk do światła i zmarszczyłam oczy, żeby je odczytać: 92 Chambers Street.

Nowojorski adres, wygrawerowany na metalu schludnym pismem.

Przetrzymałam klucz przez kilka chwil, nie wiedząc, co z nim zrobić.

Odłożyłam go na półkę wiszącą nad zlewem i przystąpiłam do wyciskania wody

z szalika. Zbliżywszy tkaninę do nosa, upewniłam się, że zmyłam resztki śladów wody kolońskiej Lily. Jedyne, co wyczułam, to zapach fenolu, lawendy i mydła.

Rozciągnęłam ręcznik na tylnej części wanny i rozłożyłam szal na jego długości. Potem usiadłam na krawędzi i z powrotem przytwierdziłam kluczyk do obrębu szalika.

Prawda zraniłaby Andrew, a on prawdopodobnie by mnie znienawidził za wtykanie nosa w jego prywatne sprawy. Dolly miała jednak słuszość. Z pewnością prawda o Lily byłaby mniej bolesna i trwałaby krócej, niż oplakiwanie czegoś, co było jedynie kłamstwem.

Ktoś, kto miałby więcej odwagi, pomaszerowałby prosto na oddział i oddał Andrew to, co do niego należało.

Ale ja nie byłam tą odważną osobą.

Rozdział dziewiętnasty

Niedzielny poranek był pochmurny i parny, jakby dopiero co wypuszczono go

z zagotowanego imbryka. Jeszcze zanim udałam się na oddział K, wyszłam na zewnątrz –

chciałam zarówno przygotować się na nadchodzący tydzień, jak też i sprawdzić, jaka była pogoda. Zgodnie z pomysłem doktora Randalla miałam bowiem tego dnia zabierać pacjentów na krótkie spacerki. Nie zapowiadało się na deszcz, ale coś wisiało w powietrzu. Zdawało się, że będziemy mieć pochmurny dzień z późnoletnim upałem, ale bez kojącej mżawki.

Kiedy przyszłam na oddział, mężczyźni chorujący na szkarlatynę już nie spali i kończyli właśnie śniadanie. Wśród nich był Andrew, który siedział na brzegu swojego łóżka. Gdy weszłam na salę, uniósł głowę i przywitał mnie skinieniem głowy. W bladym porannym świetle dostrzegłam trzech nowych pacjentów, których nie zauważyłam, przynosząc Andrew książkę.

– Jeden ze statków przyplłynął później, wczoraj wieczorem – powiedziała pielęgniarka ze zmiany nocnej przed oddaleniem się do naszej głównej dyżurki pielęgniarskiej.

Przywitałam się z nowo przybyłymi. Wszystkich ich poddawano kwarantannie z powodu niewysokiej gorączki i podejrzenia kontaktu z osobą zarażoną szkarlatyną. Pozostałych pięciu pacjentów, w tym Andrew, czekało dzisiaj szorowanie i to przynajmniej dwa razy. Dzięki temu można było pozbyć się z ich skóry pozostałości choroby, która wciąż znajdowała się w ich ciałach. Do tego zadania przydzielono nam pomocnika w osobie pana Charlesa, mężczyzny o hebanowej skórze i łagodnym głosie. Jego sposób mówienia po angielsku, z akcentem, przywodził mi na myśl odległe wyspy. Pan Charles miał pomagać pacjentom w kąpieli i towarzyszyć im podczas spacerów. Po szorowaniu mieliśmy jednego po drugim zabierać mężczyzn poza oddział, na świeże powietrze.

Kiedy zabierano tace po śniadaniu, ja napełniałam wanny, stojące w pomieszczeniach do kąpieli, gorącą, rozrobioną z mydłem wodą. Mój wózek wyłożyłam gąbkami i ręcznikami.

Podczas gdy pan Charles pomagał pierwszemu pacjentowi bezpiecznie wejść do wody, ja założyłam rękawice. Następnie rozpoczęłam szorowanie

głowy chorego, jego pleców, szyi i ramion. Nie mówił po angielsku, dlatego trudno dostępne rejony jego ciała szorowałam w ciszy.

Pan Charles zostawił nas, aby zmienić prześcieradła.

W trakcie mojego niemal półrocznego pobytu na wyspie pomagałam przy dziesiątkach takich kąpieeli, taktownie odwracając głowę, gdy mężczyźni w różnym wieku siadali w wannie.

Kilka tygodni zajęło mi przyzwyczajenie się do takiego ich widoku. Ponieważ nie miałam braci ani nie byłam mężatką, moja wiedza na temat męskiego ciała ograniczała się do fotografii w podręcznikach dla pielęgniarek, obchodów w szpitalach na praktykach czy widoku owrzodzonej rany na udzie, którą ujrzałam pierwszego tygodnia po przybyciu do Nowego Jorku.

Na wyspie jednak, gdzie zdawało się, że na każdą chorą imigrantkę przypadało dwóch imigrantów, szybko przestałam się zastanawiać, jak mój dotyk może działać na dorosłego mężczyznę będącego pod moją opieką przez dwa tygodnie i pozbawionego kontaktu z kimkolwiek dla niego ważnym.

Moim celem w tym stadium choroby zawsze było jedno – pozbyć się łusek ze skóry, działając z największą możliwą determinacją. Większość pacjentów przyjmowała szorowanie z ulgą, bo łuski te zazwyczaj swędziały. Jednak pocierając skórę pana Oliveri, miałam bolesną świadomość tego, jak osobista była moja troska. Zanim pan Charles przyprowadził Andrew Gwynna do pomieszczenia, zmieniłam wodę czterokrotnie. Andrew zdawał się zaskoczony moim widokiem i to sprawiło, że poczułam lęk, o którym zdążyłam już zapomnieć po pierwszym

tygodniu na Ellis. Żaden z pozostałych mężczyzn tego poranka zdawał się nie dbać o to, że byłam razem z nimi.

– Jak się pan dziś czuje, panie Gwynn? – spytałam, starając się nadać mojemu głosowi lekkości.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Mężczyzna był grzeczny, ale powściągliwy.

– Pańska kąpiel jest już gotowa. – Uśmiechnęłam się, ale był to uśmiech wymuszony.

– Sam sobie poradzę z kąpielą. – Jego ton był uprzejmy, choć stanowczy.

– Obawiam się, że muszę wyszorować pana tam, gdzie sam pan nie dosięgnie. – Nawet dla mnie mój własny głos zabrzmiał niemrawo. Przełknęłam ślinę. – Ale obiecuję, że odwrócę się, kiedy będzie pan wchodził do wanny. Pan Charles panu pomoże.

Odwróciłam się, zanim Andrew mógł zaprotestować. Usłyszałam chlupnięcie wody, kiedy wchodził do środka. Kiedy ponownie zwróciłam się w jego kierunku, siedział już w wannie z nogami podciągniętymi do piersi i ramionami skrzyżowanymi tuż nad kolanami. Pan Charles przeszedł obok mnie w celu zmienienia mu pościeli.

– Jeśli zrobi się panu słabo lub będzie pan chciał, abym przestała, proszę mi dać koniecznie znać – powiedziałam, sięgając po rękawice i gąbkę. – Będę szorowała pana głowę, plecy i ramiona.

– To duża ulga – odparł, a ja zaśmiałam się nerwowo.

Andrew odchylił głowę, a ja zanurzyłam gąbkę w wodzie, po czym wyjęłam ją,

wyciskając nad jego głową i szyją. Następnie zaczęłam szorować skórę jego głowy tak, jak matka zmywa błoto z ciała małego chłopca, który bawił się w kałuży. Raz po raz oblewałam jego głowę, szyję i ramiona wodą, a także pocierałam naznaczoną chorobą skórę, przez co ukazywały się na niej różowe plamy. Im bardziej tarłam, tym bardziej zdawał się zrelaksowany. Miałam nadzieję, że przymykał oczy pod wpływem uczucia odprężenia, a nie bólu.

– Czy tak dobrze, panie Gwynn? – zapytałam na wszelki wypadek. – Czy sprawiam panu ból?

Dźwięk mojego głosu zdawał się jakby wyrwać go ze snu.

– Jest dobrze. To znaczy, nie sprawia mi pani bólu.

Kontynuowałam, a ruch moich dłoni wydawał podobny dźwięk jak szelest spódnicy na parkiecie. Poza wodą skapującą z ciała Andrew nie było słyhać nic. Przesuwając gąbkę po jego łopatkach, czułam intymność tego aktu w sposób, jakiego nigdy nie doświadczyłam. Wewnątrz mnie mieszało się coś, czego nie pamiętałam od chwili, kiedy spotkałam w windzie Edwarda.

Niemal odebrało mi to dech. Otworzyłam usta, chcąc wyjaśnić Andrew, co właśnie robię, by przypomnieć sobie, że jestem tylko pielęgniarką, która obmywa skórę zniszczoną szkarlatyną.

– Złuszczenie się skóry to ostatni etap choroby. Pod warstwą zniszczonego naskórka jest już nowy. To nie zajmie długo...

Pewnie bym paplała dalej, ale Andrew uniósł rękę, którą trzymał pod kolanem, i przykrył

nią moją, kiedy właśnie myłam skórę poniżej linii jego szczęki.

Znieruchomiałam.

– Myślę, że dalej dam sobie radę.

Andrew delikatnie wyciągnął gąbkę spod mojej ręki.

– Oczywiście. – Zdażyłam powiedzieć, oddalając się od wanny. –

Przepraszam, jeśli pocierałam zbyt mocno.

– Nie było zbyt mocno.

– Tak, ale...

– Zawsze była dla mnie pani bardzo dobra, panno Wood.

Przez chwilę przyglądałam się, jak szoruje swoją zniszczoną skórę, po czym oddaliłam

się, i czekałam przy wejściu na powrót pana Charlesa.

Kiedy mogłam już opuścić pomieszczenie, udałam się do dyżurki pielęgniarek, by zgodnie z moim obowiązkiem zanotować, że poranne kąpiele z szorowaniem się odbyły.

Podniesienie długopisu, by cokolwiek napisać, zajęło mi kilka dobrych chwil.

Strata Andrew tak bardzo mną wstrząsnęła, że nie zauważyłam, jak bardzo działała na mnie jego obecność, jego zachowanie czy nawet głębokie uczucie, jakie żywił wobec zmarłej żony. Za bardzo przywiązałam się do pacjenta, w szkole mnie przed tym przestrzegano.

A łączyło nas nie tylko wspólne poczucie bólu, nie tylko to mnie do niego przyciągnęło.

Pozwoliłam, by moja strata trwale połączyła się ze stratą Andrew, przez co z trudem rozróżniałam, gdzie kończyła się moja, a gdzie zaczynała jego. Powtarzałam sobie trzeźwo, że jego rozpoczęła się na dzień przed rejssem od słów przysięgi wypowiedzianych pod adresem innej kobiety. Początek mojej znajdował się u progu windy, której drzwi otwierały się do piekła.

Pociąg, jaki czułam do Andrew, jedynie utwierdzał mnie w przekonaniu, że można pokochać kogoś, kogo dopiero co się poznało. Po prostu.

Jak tylko Andrew ubrał się w świeżą pidżamę i podszedł do łóżka z pomocą pana Charlesa, udałam się do pomieszczenia z wanną, aby spuścić wodę. Wpatrywałam się, jak strumień zniknął przez odpływ.

Wytarłam wannę do czysta, lecz skupienie się na powierzonym mi zadaniu sprawiało mi trud – miałam postępować zgodnie ze wskazówkami lekarza, aby pacjent został wypisany do domu zdrowy. Czekwały mnie dni pełne spacerów na zewnątrz i kąpeli z szorowaniem.

Niewątpliwie przynajmniej tydzień. Tylko tyle zalecił doktor. Nie powinnam myśleć o tym jako o czymś więcej.

Daj Boże, abym po wypisie nie zobaczyła Andrew już nigdy więcej. Zapewne kiedy odkryje tajemnicę szalika, nie będzie chciał mnie już znać.

Przez kolejną godzinę pan Charles i ja wychodziliśmy na zmianę na podwórko z tymi pacjentami, którzy czuli się na tyle dobrze, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Andrew Gwynnowi towarzyszył przez tych kilka minut pan Charles.

Kiedy wróciłam na oddział z ostatnim pacjentem, doktor Randall rozpoczął obchód.

Wszyscy inni pacjenci albo już leżeli w łóżkach, albo siedzieli na ich brzegach, czekając na swoją kolej, by zostać przebadanym. Doktor Randall przywitał mnie, gdy tylko ja i ostatni pacjent przechodziliśmy przez salę. Kiedy wróciłam do dyżurki, stał pochylony nad notatkami pielęgniarki ze zmiany nocnej.

– Jak minęła pani reszta wieczoru? – zapytał.

– Dobrze. – Nie rozwijałam tej myśli. – A panu? Czy znalazł pan doktora Treavera w jadalni?

– Owszem. Jest lepszym graczem ode mnie. Zaliczył bardzo udany wieczór. Wygrał każde rozdanie.

Uśmiechnęłam się uprzejmie i zebrałam wszystkie przedmioty, jakich potrzebowałam na czas obchodu. Szpatułki lekarskie do języka, czyste ścierki, miska, przyrząd do wziernikowania ucha.

Zaczęliśmy chodzić po sali: doktor Randall badał pacjentów, a ja sumiennie notowałam jego uwagi w protokołach. Na koniec pierwszego rzędu łóżek, kiedy umył dłonie w misce na wózku, który pchałam, nachylił się w moim kierunku.

– Czy da się pani namówić na spacer dziś wieczorem po kolacji?

Podaliśmy mu ręcznik do osuszenia rąk.

– Spacer? – zapytałam, choć usłyszałam go doskonale.

– Tak. Spacer. Przechadzkę – sprostował, po czym wziął ode mnie ręcznik.

– Nie sądzę, aby...

– Nie zalecam się do pani, panno Wood. Chcę jedynie przejść się po kolacji. Chyba że zechce pani udać się ze mną promem jutro. Też ma pani wtedy wolne, prawda? Moglibyśmy przejść się po Central Parku.

Oddał mi ręcznik, a ja zaczęłam go powoli składać.

– Nie.

– To tylko spacer w parku.

– Nie, dziękuję.

Przybliżył się do mnie.

– Wie pani, że chcę jedynie pomóc.

W jego głosie wyczułam szczere współczucie, ale też determinację, jaką mieli dobrzy lekarze, którzy chcieli kogoś wyleczyć. Kiedy jednak spojrzałam w jego oczy, nie byłam w stanie stwierdzić, czy widoczna w nich fascynacja dotyczyła mojego opłakanego stanu, czy mnie jako kobiety, którą uznawał za atrakcyjną.

– Ktoś powinien pani pomóc, panno Wood – wyszeptał cicho, mając na uwadze, za co byłam mu wdzięczna, że niektórzy z pacjentów na sali mówili po angielsku. – Gdyby była pani moją siostrą, przyjaciółką albo ukochaną...

– Dokończmy obchód, dobrze? – Szarpnęłam wózkami, który stał między nami,

i odwróciłam go w przeciwnym kierunku, zarówno, by zakończyć tę rozmowę, jak też i w celu oddalenia się od doktora.

– Proszę się nad tym zastanowić – powiedział mężczyzna, próbując nadażyć za mną, kiedy to kroczyliśmy przez wypolerowaną podłogę ku łóżku Andrew.

– Jak się pan ma dzisiaj, panie Gwynn? – rzekł doktor Randall, sięgając po kartę Andrew leżącą u stóp jego łóżka.

– Dobrze, doktorze. Dziękuję – odparł Andrew.

– Wygląda pan lepiej po dzisiejszej kąpieli z szorowaniem. Czy coś pana boli?

– Nie, doktorze.

Doktor Randall wręczył mi kartę pacjenta, a sam miał właśnie obejrzeć skórę głowy i szyję Andrew. Gdy podchodził do łóżka, zauważyłam, że jego wzrok zatrzymał się na stoliku znajdującym się obok. Tomik poezji leżał blisko podstawki lampy, zupełnie jakby Andrew położył go tam po wieczornej lekturze.

Ethan Randall otworzył usta, by coś powiedzieć, jednak w ostatniej chwili się rozmyślił.

Wstrzymałam oddech. Mężczyzna zwrócił się do mnie z pytaniem w oczach. Odwróciłam wzrok.

– Panie Gwynn. – Usłyszałam, jak mówi. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, jak przyglądał

się skórze pacjenta. Andrew natomiast zdawał się wiedzieć, że między doktorem a mną zaszło właśnie coś dziwnego. Jego spojrzenie powędrowało do tomiku leżącego na szafce nocnej.

Dziwaczna cisza, jaka zapanowała pomiędzy naszą trójką, była niemal fizycznie wyczuwalna. Zająłam się czymś przy wózku, zupełnie jakby książka nie zwróciła uwagi doktora.

Jakby nie było żadnej książki.

Ale kiedy doktor Randall odwrócił się od Andrew, by umyć dłonie przy moim wózku, jego oczy szukały moich. Nie uciekałam już wzrokiem, bo wiedziałam, że nie mogę inaczej.

– Czy zmieniła pani zdanie co do tego spaceru dziś wieczorem?

Nie mogłam odczytać żadnej z emocji kryjących się za prostym pytaniem doktora.

Wiedziałam jedynie, że fakt, iż wczoraj wieczorem miałam w swoim posiadaniu coś, co należało do pacjenta, który pozostawał pod moją opieką, martwił go akurat najmniej. Nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko twierdząco pokiwać głową.

Rozdział dwudziesty

Reszta dnia ciągnęła się niemiłosiernie.

Zanim doktor Randall opuścił oddział, wydał polecenia odnośnie kolejnej kąpieli po kolacji, zanim pacjenci mieli udać się na spoczynek, po mojej zmianie. Nie byłam pewna co do jego pobudek, ale nie dbałam o to. Oznaczało to, że dzisiejszego dnia nie miałam już pomagać przy kąpieli Andrew. Szczerze wątpiłam w to, czy wytrzymałabym kolejną. Andrew za bardzo zaczął przypominać mi Edwarda.

Wczesnym popołudniem przysłano nam kolejnych dwóch nowych pacjentów z głównego budynku – wychudzonego czternastolatka i starszego mężczyznę z wąsami i brodą sięgającą do pasa. Kiedy obaj mężczyźni spoczęli już wygodnie w swoich łóżkach, przystąpiłam do wykonywania swoich codziennych obowiązków: mierzenia temperatury, napełniania dzbanków wodą, podawania aspiryny tym, którzy mieli gorączkę lub dreszcze.

Kiedy podeszłam do łóżka Andrew, aby napełnić jego dzbanek, mężczyzna wskazał na książkę leżącą obok.

– Czy doktor rozpoznał tomik? Przepraszam, ale trudno było nie zauważyć.

Moje policzki zalały się pąsem.

– Myślę, że to możliwe.

– Miała ją pani przy sobie wczorajszego wieczoru, kiedy się pani z nim spotkała?

Skrzywiłam się, bo wiedziałam, jak brzmiały te słowa połączone ze sobą. Mimo to skinęłam głową.

– Czy on myśli, że książka należy do pani i zastanawia się, co robi teraz u mnie?

Wzięłam dzbanek Andrew i zaczęłam do niego nalewać wody z mojego, większego.

– Wie, że to nie moje. Powiedziałam mu, że należy do przyjaciela. Jestem pewna, że doktor Randall nie zastanawia się, dlaczego tomik znajduje się u pana, lecz co robił u mnie.

Kropla wody spadła na mojego wypastowanego buta, rozpryskując się jak strużka deszczu na chodniku.

– Ma więc pani kłopoty?

– Nie wiem. To było niemądre. To nie moja książka i nie miałam pana pozwolenia. Teraz pewnie doktor Randall uważa, że... – zaczęłam mówić, lecz nie dokończyłam, zdając sobie sprawę, że myślałam na głos.

– Co uważa?

Odstawiłam mój dzban na wózek.

– Nic – odparłam szybko, ale kiedy zmieniałam szklanekę Andrew na czystą, spojrzałam na niego. Od razu było widać, że wiedział, co prawdopodobnie myślał sobie doktor Randall.

– Nie zrobiła pani nic złego – powiedział Andrew. – Nie okazała mi pani niczego prócz współczucia.

Niemal wywróciłam szklanekę, odsuwając się zarówno od stołu, jak i od komplementu.

– Proszę tak nie mówić.

– Kiedy to prawda. Nie powinienem był pani prosić, by przyniosła mi pani książkę z wykrojami. Wiedziałem, że proszę o zbyt wiele. Ale pani i tak to zrobiła. A dzięki temu ocaliła pani tomik poezji należący do mojej matki. Znalazła też pani szal Lily i mi go zwróciła. Dbała pani, by spełniano tutaj wszystkie moje potrzeby. Sam powiem to doktorowi, jeśli będzie pani tego chciała.

– Nie ma takiej potrzeby, zapewniam pana. Ale dziękuję. Powinien pan teraz odpoczywać.

Oddaliłam się zarówno od niego, jak i jego wdzięczności, aby zająć się pozostałymi obowiązkami na oddziale i czekać, aż to długie i dziwne popołudnie dobiegnie końca.

Wraz z kolejnymi godzinami tęskniłam za Edwardem boleśniej, niż to miało miejsce przez ostatnie tygodnie. Tęskniłam za tym, jakie byłoby moje życie, gdyby los nas nie rozdzielił.

Być może po tych sześciu ostatnich miesiącach Edward poprosiłby mnie o rękę, a ja właśnie wybierałabym suknię ślubną i planowała wesele. Nie chowałabym się na tym skrawku świata przytłoczona bólem.

Kiedy dzień wreszcie dobiegł końca i rozpoczęła się wieczorna zmiana, opuściłam oddział, nawet nie oglądając się za siebie. Pospieszyłam do jadalni, aby przy narożnym stoliku spożyć posiłek. Tam mogłam rozkoszować się samotnością, w której nie musiałam odpowiadać na niczyje pytania o moje prywatne sprawy.

W pomieszczeniu powietrze było ciężkie od wilgoci, a mi nie dopisywał apetyt. Duszony kurczak był zylasty i pozbawiony smaku. Po kilku kęsach przegotowanych ziemniaków i purée z groszku, skończyłam jeść. Kiedy już miałam wyjść, doktorzy Randall i Treaver weszli z dwoma pielęgniarkami do pomieszczenia. Doktor Randall przeprosił swoich towarzyszy i przysiadł się do mojego stołu, na którym postawił swoją tacę.

– Chyba musimy porozmawiać – powiedział grzecznie, choć z determinacją, siadając naprzeciwko mnie.

– Nie ma o czym, panie doktorze. Pożyczyłam książkę pana Gwynna, a potem ją

oddalam. Proszę go o to zapytać.

– Powiedziała pani, że ta książka należy do przyjaciela.

– Nie, to pan zapytał, czy to własność przyjaciela, a ja powiedziałam, że można tak powiedzieć.

– Czy tym właśnie jest pan Gwynn? Czy jest dla pani kimś więcej niż pacjentem?

Jego słowa brzmiały jak reprimenda, a ja instynktownie odsunęłam się ze swoim krzesłem.

– Posuwa się pan za daleko. Chciałabym panu przypomnieć, że pan Gwynn dopiero co został wdowcem. Jest w żałobie.

Ethan Randall przyglądał mi się przez chwilę. Potem przemówił – spokojnie, ale stanowczo.

– Widziałem, jak pani na niego patrzy, siostrze Wood. Widziałem, jak się pani nim opiekuje. Najpierw uznałem to za godne podziwu. Innych pacjentów nie traktuje pani w ten sposób. Pani go faworyzuje. Wyciągam jedynie takie wnioski, na jakie pozwala mi to, co widzę.

Z początku zabrakło mi słów. Wewnątrz narastało uczucie gniewu. Zacisnęłam wargi w wąską linię, z trudem tłumiąc złość i oburzenie. Nachyliłam się nad stołem, po czym zaczęłam mówić na tyle cicho, aby

nikt w pobliżu nie mógł dosłyszeć moich słów. Chciałam wyglądać na jak najbardziej opanowaną, choć Bóg jeden wiedział, że w żadnym razie taka nie byłam.

– Traktuję tego człowieka inaczej, bo na tym statku umarła jego żona, którą poślubił

przed tygodniem. Przed tygodniem! Ona wydała ostatnie tchnienie niemalże w jego ramionach!

Wyglądało na to, iż moja odpowiedź wywarła na doktorze niemałe wrażenie, ale jedynie przez chwilę.

– Ale co to ma wspólnego z faktem, że miała pani jego książkę?

– Po prostu ją pożyczyłam. Co w tym złego?

– Czy ma pani w zwyczaju pożyczać przedmioty należące do innych pani pacjentów?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego robi pan z tego taką aferę?

– Bo widziałem, jak się pani do niego odnosi. A on do pani.

Insynuacje doktora Randalla były niedorzeczne.

– Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi – wymamrotałam na tyle niskim głosem, na jaki mogłam się zdobyć, a jednocześnie ani trochę niepozobawionym pasji. – Jeśli próbuje pan sugerować, że zakochałam się w panu Gwynnie, bardzo się pan myli. A on nie jest zakochany we mnie. Kochał swoją żonę. A ja... Ja kochałam kogoś innego. To ten ból łączy nas oboje!

Wcześniejsza dezaprobata Ethana Randalla zmieniła się w coś więcej niż zaskoczenie.

– Kochała pani kogoś innego?

Przełknęłam ślinę, chcąc pozbyć się ogromu bólu, jaki mieścił się w tych kilku słowach.

– W pożarze straciłam kogoś, kogo kochałam, jeśli już musi pan wiedzieć. Kogoś, kogo dopiero co poznałam, ale kto wiele dla mnie znaczył.

– Ja... Jest mi niezmiernie przykro to słyszeć.

Wiedziałam, że w moich oczach szalała burza, ale trzymałam uczucia na wodzy, nawet kiedy doktor Randall nagle poskładał elementy układanki w całość. Teraz wszystko było dla niego jasne.

– To dlatego nie wybrała się pani na Manhattan, prawda? – powiedział.

– Nie chodzi o to, co spowodował pożar ogólnie. Tu chodzi o to, co on zrobił pani.

Jego szczerość spowodowała, że zaczęłam wiercić się na krześle.

– Nie wybrałam się na Manhattan, bo nie miałam na to ochoty. –
Zdołałam pohamować ostatnią z przyplływających właśnie łez i wskazałam na jego tacę. – Jedzenie panu wystygnie.

– Jak powiedziałem, jest mi bardzo przykro z powodu pani straty, ale uważam, że nie opuściła pani tej wyspy, bo nie dała pani sobie żadnego powodu.

– Słucham?

– Jest tu pani prawie pół roku, prawda? Nie opuściła pani wyspy ani razu, przez cały ten czas. I wydaje się pani, że ból jest tak świeży, jak ten, który nosi w sercu pan Gwynn? Czy pani tego nie widzi? Koncentruje się pani na swoim bólu, nie na jego. Podtrzymuje go pani przy życiu, nie ruszając się stąd.

Dłuższą chwilę zajęło mi uświadomienie sobie sensu jego słów. Byłam zakochana we własnym bólu. Ellis od początku miała dla mnie szczególne znaczenie. Była położona nie tylko pomiędzy dwoma innymi wyspami, ale również pomiędzy przeszłością a przyszłością. Stanowiła moje własne miejsce pośrednie, do którego uciekałam się w razie kłopotów. Tutaj moja strata nie traciła na świeżości, a pogrążony w smutku człowiek, jak Andrew Gwynn, zdawał się bratnią duszą. Łatwo więc było zapomnieć o prawdziwym życiu i oddać się w ręce cierpienia.

Uniosłam się z krzesła.

– Uważam, że ta rozmowa dobiegła końca.

– A pan Gwynn?

– Co z nim?

– Nie może go pani traktować inaczej, siostró Wood. On jest pacjentem, pani jego pielęgniarką.

– Doskonale znam swoje miejsce! – odparłam żarliwie. – I chce mi pan powiedzieć, że traktuje pan wszystkich swoich pacjentów identycznie, chociaż ich potrzeby tak bardzo się różnią?

– Tak – odparł z dozą uprzejmości porównywalną do gniewu, który mną miotał. – Każdy otrzymuje najlepszą opiekę, jaką jestem mu w stanie zapewnić, bez względu na to, co mu dolega.

Otworzyłam usta, chcąc zaprotestować, i równie prędko je zamknęłam. Pomimo swojej wrodzonej szczerości, doktor Randall miał słuszość. W swojej gorliwości, by uzdrowić i dać nadzieję Andrew Gwynnowi, zaniedbałam w pewien sposób wszystkich innych chorych na oddziale.

– To się więcej nie powtórzy. Dobranoc, doktorze.

Zaczęłam oddalać się od stołu. Doktor Randall chwycił mnie jednak w ostatniej chwili za ramię.

– Proszę, nie chcę rozstawać się w gniewie.

Wyrwałam się z jego uścisku.

– Nie gniewam się na pana.

– Naprawdę chcę pani pomóc.

Zwróciłam wzrok na jego gładko ogoloną twarz, a następnie odważyłam się spojrzeć w niebieskie oczy ukryte za okularami.

– Dlaczego?

– Lubię panią. Czy to takie straszne?

– Chce pan powiedzieć, że zainteresowało pana moje żalosne położenie.

Szczerze powiedziawszy, w tamtej chwili nie wiedziałam, co sądzić.

Myśli w mojej głowie tworzyły chaos, a wyłom w miejscu pośrednim był tak ogromny, że ledwie stałam na nogach. Zupełnie jakby wyspa niknęła pod wodą i ciągnęła mnie na dno wraz ze sobą.

Jedno wiedziałam na pewno – miałam wszystko pod kontrolą do czasu, aż w moim życiu pojawił się Andrew Gwynn. Im szybciej stąd zniknie, tym prędzej ja będę w stanie naprawić to, co uległo zniszczeniu. Rankiem poproszę o przydział na inny oddział. Łatwo załatwię to z panią Crowley. Z pewnością w recepcji znajdzie się pielęgniarka, która będzie mogła zająć moje miejsce na oddziale ze szkarlatyną.

Kiedy Andrew Gwynn będzie miał opuścić szpital, upewnię się, że wszystko, co do niego należy, a co mam u siebie, trafi do niego. Przekonam doktora Randalla, który będzie widywał

Andrew codziennie, aby zwrócił mu książkę z wykrojami oraz szalik. Co prawda na wieść o tym, że przetrzymywałam inne jego przedmioty, będzie nieco przerażony, ale jeśli naprawdę chciał mi pomóc, tak jak to wielokrotnie powtarzał, to spełni moją prośbę.

Rano poproszę go również, aby dał Andrew list ode mnie, w którym wyjaśnię, że przeniesiono mnie na inny oddział. Napiszę, że wszystko, co do niego należy, zostanie mu zwrócone jeszcze przed opuszczeniem wyspy. Będę mu życzyła wszystkiego dobrego, w sercu zaś będę modlić się, żeby zniósł ogrom tego, czego niebawem miał się dowiedzieć. I tak historia dobiegnie końca.

– Panno Wood?

– Nie, nie uważam, że moje położenie jest żalosne.

– Czy w takim razie pozwoli pani sobie pomóc?

– Tak.

Odwróciłam się od jego zaskoczonej, ale jednocześnie zadowolonej twarzy. Wyszłam z jadalni, nie wspominając mu, co uważałam za pomoc. Niebawem się przekona. Pospieszyłam do swojego pokoju, żeby dokończyć to, co miałam zrobić. W kufrze, który przechowywałam u stóp łóżka, znalazłam dłuższy kawałek papieru pakowego i rozłożyłam go na łóżku. Szalik, przewieszony przez oparcie krzesła, był już suchy i pachniał lekko kwiatami. Wyglądał na czysty, wolny od jakichkolwiek bakterii czy wirusów. Kluczyk leżał wtulony w jego brzeg.

Rozłożyłam szal na papierze i sięgnęłam pod moją poduszkę po list i akt unieważnienia małżeństwa. Ułożyłam je na jednym końcu szala i zaczęłam zwijać, aż powstał ścisły prostokąt, nie odsłaniający ani kawałka tego, co kryło się wewnątrz. Następnie owinęłam pakunek papierem i obwiązałam go wstążką. Wyglądał jak prezent.

Usłyszałam głosy dobiegające z za drzwi. Jeden z nich należał do Dolly. Żegnała się z jakąś inną pielęgniarzką. Sięgnęłam po pakunek i wrzuciłam go pod łóżko.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kiedy Dolly wróciła do naszego pokoju, w końcu miałyśmy możliwość porozmawiać na osobności. Musiałam zdać jej szczegółowe sprawozdanie z wieczoru spędzonego z doktorem Randallem, sama natomiast chciałam wiedzieć, jak Nellie i Ivy skomentowały to, co usłyszały przed wejściem na pokład promu.

Przebrałyśmy się w koszule nocne i usiadłyśmy na łóżkach, zajadając się karmelową prażoną kukurydzą, którą Dolly kupiła od ulicznego sprzedawcy przy Central Parku.

Koleżanka przyznała, że powiedziała Nellie i Ivy najszczerzą prawdę – że w pożarze zginął mój bliski przyjaciel, a rozmowa o nim sprawiała mi ból, dlatego miały go nie wspominać.

– I nie chciały wiedzieć niczego więcej? – spytałam.

– A kogo to obchodzi? – Dolly wrzuciła sobie złotą garstkę kukurydzy do ust. – To nie ich sprawa. Powiedziałam, że to będzie nieładnie z ich strony, jeśli będą o tym wspominały.

Lubią plotki, ale nie są okrutne, Claro.

Opowiedziałam jej wszystko, co zdażyło się wydarzyć w ciągu całego weekendu, nie pomijając żadnego szczegółu. Całą historię o zwróconym

szaliku, schowanym kluczyku, tomiku poezji, a także odważnym stwierdzeniu doktora Randalla, że przekroczyłam granice tego, co należało do moich obowiązków wobec Andrew Gwynna, i że był gotów pomóc mi w przezwyciężeniu lęków dotyczących udania się na stały ląd. Przez całą moją opowieść Dolly nie odezwała się słowem, co było dziwne jak na nią. Zazwyczaj wszystko musiała jakoś skomentować. Wytrąciło mnie to równowagi.

– Czemu nic nie mówisz? – spytałam, kiedy skończyłam swoją opowieść stwierdzeniem, że z rana chcę zmienić miejsce dyżuru, by nie trafić na oddział ze szkarlatyną.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – odparła. – A więc mówisz, że czujesz coś do pana Gwynna?

– Nic takiego nie powiedziałam! – warknęłam. – Po prostu mówiłam, że byłoby najlepiej, gdybym nie trafiła więcej na ten oddział. Pojawienie się pana Gwynna bardzo skomplikowało moje sprawy.

Dolly uniosła głowę.

– Skomplikowało?

– Tak, skomplikowało. To, w jaki sposób stracił żonę, a potem, kiedy poprosił, bym zdobyła jego książkę z wykrojami. Ja to zrobiłam i znalazłam ten okropny list...

– Ale z tym listem nie wiąże się nic skomplikowanego. Uważam, że słusznie postępujesz, dając mu go. Od początku uważałam, że powinnaś to zrobić. Chociaż nie widzę sensu, aby odkładać to do czasu, aż opuści oddział.

– Wpierw musi skupić się na tym, żeby wydobrzcć.

Dolly wzruszyła ramionami.

– Cóż, nie sądzę, żeby była jakaś różnica, czy przeczyta list teraz, czy w przyszłym tygodniu. I czy jesteś pewna, że doktor Randall zwróci te rzeczy panu Gwynnowi tak, jak tego chcesz? Nie zgłosi tego, prawda?

– Powiedział, że mnie lubi. I że chce mi pomóc.

– Ale on miał na myśli pomoc w opuszczeniu wyspy. Jak i inne sprawy związane z twoim krwawiącym sercem. Idę o zakład!

Zastanowiła się przez chwilę.

– Zamienię się z tobą oddziałami. Wezmę ten ze szkarlatyną, a ty zajmiesz się maluchami

zamiast mnie. Tym razem to naprawdę urocze stworzenia. Żadnych gryzoni. I przekażę panu Gwynnowi od ciebie jego rzeczy.

– Ale dopiero przy wypisie, prawda?

Dolly mlasnęła językiem.

– Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie.

– Dla mnie ma! Nie chcę natknąć się na niego tutaj, na wyspie, po tym, jak dowie się prawdy. Będzie wiedział, że miałam to przez cały ten czas. I że z pewnością to przeczytałam.

Musisz mi przyrzec.

– Myślę, że robisz z igły widły, kochana.

– Wcale nie. Ten list będzie dla niego większym ciosem niż śmierć Lily. On uważa, że ona go kochała! To niesamowita rzecz – wierzyć, że ktoś cię kocha.

Dolly spojrzała na mnie, z pewnością usłyszawszy w tych słowach echo moich własnych uczuć.

– Rzeczywiście, to prawda – powiedziała w końcu.

– Poczekasz więc, aż będzie wychodził ze szpitala? Przyrzekasz?

– Przyrzekam. Nawet nie będzie podejrzewał, że cokolwiek wiem.

Wręcę mu książkę z wykrojami oraz szalik, kiedy będzie wychodził ze szpitala. I koniec. Wreszcie. Dobrze?

Kiwnęłam twierdząco głową, zamykając oczy.

Tak, to będzie koniec.

– A więc powiesz mu, że zostajesz przeniesiona na inny oddział, prawda? Powiesz mu, że upewnisz się, aby nowa pielęgniarka, czyli ja, dostarczyła mu jego rzeczy?

– A dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

Dolly przyglądała mi się uważnie.

– Czy tak właśnie chcesz to załatwić?

Wzruszyłam ramionami i utkwiałam wzrok w swoich stopach.

– Jestem tylko jego pielęgniarką.

– To, że ci się spodobał, to nic złego, Claro.

Uniosłam gwałtownie głowę.

– Nigdy mi się nie podobał.

– Po prostu mówię, że to żadna zbrodnia, jeśli by tak było. Nie możesz wiecznie płakać po Edwardzie. Wiesz, on by tego nie chciał. Zastanawiałaś się nad tym? Czy naprawdę sądzisz, że cieszyłaby go myśl o tobie tkwiącej na tej wyspie, tak jak ma to miejsce teraz? Nie wydaje mi się. Ani trochę.

– Przestań.

– Wiesz, że mam rację.

– Andrew Gwynn wcale mi się nie podoba. On jest w żałobie, na miłość boską!

– W takim razie wybierz się ze mną i dziewczętami w kolejny weekend na łódź. Tym razem płyniemy do Jersey. Chodź z nami. Będzie fajnie. To Jersey, nie Nowy Jork.

Nie chciałam dłużej ciągnąć tej rozmowy. Nie chciałam już myśleć. Jedyne, czego pragnęłam, to wdrapać się do łóżka pod kołdrę i uciec w sen.

– Nie wiem, Dolly. Może.

– „Może” mogę póki co przyjąć za odpowiedź.

Przyjaciółka zamknęła torebkę z popcornem i wturlała ją pod swój stolik nocny.

– Ale uważam, że jutro powinnaś powiadomić pana Gwynna o zmianie oddziału. Powiedz mu, że może mi zaufać, że bezpiecznie zwrócę mu jego książkę z wykrojami oraz szalik.

Mówisz, że nic do niego nie czujesz. Jeśli jednak odejdziesz bez słowa, będzie to wyglądało, jakby było wprost przeciwnie.

Dolly wstała i kilka kawałków złocistej kukurydzy spadło na podłogę. Patrzałam, jak kobieta sięga po swoją szczoteczkę do zębów i pastę, a potem wychodzi z pokoju. Jeśli miała rację, powinnam o całej sprawie z przynosinami poinformować również doktora Randalla.

Pospieszyłam za nią do łazienki. Spojrzała na mnie, nakładając sobie pastę na szczoteczkę.

– Chciałabym powiadomić doktora Randalla, że zgodziłam się wymienić z tobą

oddziałami, bo potrzebowałam odpoczynku od dzieci – powiedziałam.

– Doktora Randalla?

– On także będzie się zastanawiał, dlaczego przedwcześnie opuściłam oddział. Zobacz u dzieci mnie zamiast ciebie i wyciągnie swoje wnioski. Tak jak ty to zrobiłaś.

Dolly zastanawiała się nad moją prośbą jedynie przez moment.

– Możesz mu powiedzieć.

Włożyła sobie do buzi szczoteczkę, ale po chwili ją wyciągnęła.

– A co, jeśli chodzi o doktora, Claro?

– Słucham?

– No, czy ci się podoba?

– Nie – odparłam szybko.

Za szybko. Dolly z powrotem wsunęła sobie do ust szczoteczkę, ale przez jej twarz przemknął szeroki uśmiech.

Następnego poranka, ubrana w swój uniform, udałam się z Dolly na śniadanie, choć mogłam pospać dłużej, bo miałam tego dnia wolne. Chciałam się jednak upewnić, że pani Crowley pozwoli nam zamienić się oddziałami zaledwie tydzień przed kolejną zmianą przydzielonych nam miejsc pracy. Jeśli by się nam udało, Dolly miała trafić na oddział ze szkarlatyną tego samego ranka, wobec czego osoba pełniąca moje obowiązki musiała zgłosić się na oddział dziecięcy.

Zjadłyśmy prędko i znalazłyśmy panią Crowley w jej niewielkim gabinecie blisko głównej izby przyjęć przygotowującą się na nadchodzący tydzień. Kiedy spytałyśmy o możliwość zamiany, motywując to potrzebą Dolly, która musiała odpocząć od tęskniących za matkami dzieciaków, nasza przełożona po prostu kiwnęła twierdząco głową. W końcu jakie to miało znaczenie dla kogoś, kto nie miał pojęcia, dlaczego tak naprawdę chciałam się zamienić?

Moją przełożoną bardziej interesowało to, dlaczego nosiłam uniform.

– Pani ma dzisiaj wolne, panno Wood. Dlaczego ma to pani na sobie?

– Pomyślałam, że może tak będzie bardziej odpowiednio – rzekłam szybko.

– Proszę iść i natychmiast to z siebie zdjąć, bo inaczej będę musiała przywrócić dziś panią do pracy.

Następnie kazała nam zmykać, z pewnością była zajęta ważniejszymi sprawami. Gdy wychodziłyśmy z powrotem na główny korytarz, Dolly zwróciła się do mnie.

– Zostawiłam kilka moich rzeczy na oddziale u maluchów. Dam ci parę chwil i będziesz mogła powiedzieć co trzeba panu Gwynnowi.

– To nie potrwa długo.

Byłam pewna, że im szybciej się pożegnám, tym szybciej wrócę do normalności.

Rozdzieliłyśmy się i podążyłam na oddział ze szkarlatyną. Jego próg przekroczyłam o wiele wcześniej niż w trakcie typowego dnia pracy. Pielęgniarka nocna wciąż jeszcze pełniła swój dyżur i miałam nadzieję, że nie wyda jej się dziwnym, iż muszę pomówić z jednym z pacjentów.

Jak się okazało, pomagała komuś w łazience, popędziłam więc do łóżka Andrew Gwynna, by wykorzystać tę sposobność. Wydawało się, że dopiero co się zbudził. Siedział na brzegu swojego łóżka, jego pościel była w

nieładzie, a w oczach miał wyraz typowy dla kogoś, kto dopiero przerwał dobry sen. Skóra na jego szyi i policzkach wyglądała lepiej niż w ciągu ostatnich dni. Na mój widok jego oczy rozszerzyły się.

– Siostrze Wood?

– Dzień dobry, panie Gwynn – powiedziałam na tyle cicho, by nikt z pozostałych pacjentów mnie nie usłyszał, ale też, by nie wyglądało to tak, jakbym miała coś do ukrycia. –

Chciałam panu jedynie powiedzieć, że dziś zmieniam oddział, na którym pracuję. Pielęgniarka, która mnie zastąpi, to moja współlokatorka. Ma na imię Dolly i z pewnością przyniesie panu pana książkę z wykrojami oraz szalik, kiedy będzie pan opuszczał szpital. Nie piśnie słowa o żadnym z tych przedmiotów do czasu pana wypisu, a potem wręczy je panu bez problemów.

Czy to panu odpowiada?

Wydawało się, że potrzebował chwili, żeby rozważyć sens moich słów. Spojrzałam w kierunku drzwi, ale nikt się do nich nie zbliżał.

– Przenosi się pani na inny oddział?

– Tak. Pracujemy tutaj w taki sposób, że co jakiś czas dostajemy przydział do innego miejsca. Zostałam przeniesiona na oddział dziecięcy. Nie chciałam, żeby martwił się pan o swoje rzeczy. Wszystko jest z nimi w porządku. Dolly zachowa dyskrecję.

– Ale... Wczoraj nie wspomniała pani o tym ani słowem.

Zmarszczył czoło, a ja czułam, że moje serce zamiera.

– Tak, wiem. To stało się tak nagle. Dolly potrzebuje odpocząć od maluchów. To dla nich trudny czas, nawet bardzo. Większość z nich ogromnie tęskni za matkami. Bardzo się boją.

– Czyli już pani nie zobaczę?

Przez chwilę stałam bez słowa. Byłam zupełnie nieprzygotowana na jego rozczarowanie.

– Ja... Dolly to wspaniała pielęgniarka. I bardzo przyjazna. Świetnie się pan z nią dogada, obiecuję.

Mrugnął, nie odrywając ode mnie wzroku. Widziałam, że intensywnie myślał. Analizował

moje słowa. Jedno po drugim.

– Czy chodzi o tę książkę? Czy to ma związek z lekarzem? – powiedział w końcu, niemal szeptem.

– Och nie, skądże znowu! – zapewniłam go z przekonaniem. – Często zmieniamy

oddziały, właściwie to przez cały czas.

Ale on wyczuł, że czegoś mu nie mówię. Widziałam to w jego zachowaniu.

– Czy powiedziałem coś nie tak? Czy o to chodzi? Czy to z powodu mojej prośby?

Jego uprzejmość, tak podobna do tej Edwarda, była niemalże nie do zniesienia. Czułam, jak łzy zaczęły napływać mi do oczu z miejsca, w którym kryły się od pożaru. Nie można schować łez, które już powstały. Można sprawić, że nie spadną, że będą gromadzić się na brzegu naszych rzęs. Mieniając się niczym srebro. Szczególnie w świetle poranka.

Prawda była taka, że Andrew mi się podobał. Powoli zaczynał wypełniać pustkę, jaką pozostawił po sobie Edward. Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do teraz. To potęgujące się przyciąganie nie mogło mi przynieść niczego dobrego.

– Muszę już iść. – Sięgnęłam po jego dłoń i ścisnęłam ją mocno. – Życzę panu wszystkiego dobrego, panie Gwynn. Naprawdę. Ja... Mam nadzieję, że będzie pan pamiętał te słowa.

Odwrociłam się i wyszłam, zanim zdążył jakkolwiek odpowiedzieć. Przyspieszyłam kroku, gdy usłyszałam, jak w sąsiedniej toalecie spuszczone wodę. Otarłam błakające się w kącikach oczu łzy i udałam się do swojego pokoju. Jak tylko zamknęłam za sobą jego drzwi, ściągnęłam uniform i rzuciłam go na oparcie krzesła stojącego przy toalecie. Musiałam wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć powietrza pozbawionego zapachu szpitala. Sięgnęłam do mojej szafy po płowo-brązową sukienkę, ubrałam się i rzuciłam pielęgniarzski czepek z głowy. Włosy rozsypały

się i opadły mi na ramiona, ale nie dbałam o to. Wyszłam z pokoju.

Był pierwszy dzień września, a wczorajszy upał ulotnił się gdzieś jak nieproszony gość.

Utrzymywał się drażniący chłód. Kiedy otoczyły mnie promienie słońca, zauważyłam, jak moje ciało pokryło się gęsią skórą, reagując w ten sposób na zmianę temperatury. Udałam się w stronę długiego korytarza, który łączył wyspę numer dwa i trzy, minęłam siedzibę przewoźnika i w końcu dostałam się na skrajną stronę Ellis.

Kiedy już tam dotarłam, z zachwytem zapatrzyłam się w horyzont nad Nowym Jorkiem, który zrzucał właśnie swoją poranną pelerynę, zalewając

się słońcem. Przeszył mnie nieznany dotąd ból. Chciałam wrócić do miasta, wpaść w jego ramiona i dać się uwieść czarowi jego zachwycających odcieni. Wrócić do tych czasów, kiedy kojarzyło mi się tylko z czymś wspaniałym. Chciałam cofnąć czas do dnia, kiedy Edward zaprosił mnie na górę, do szwalni.

Chciałam mu powiedzieć: „Wyrwijmy się wcześniej, dobrze? Wyjdźmy, zanim wybije godzina, która powie nam, że dzień pracy dobiegł końca!”.

On uśmiechnąłby się i odparł: „Dokąd pójdziemy?”, a ja na to: „Dokądkolwiek, Edwardzie. Dokądkolwiek, byle daleko stąd”.

I bylibyśmy daleko od Asch Building, kiedy pierwszy głodny ofiary płomyk pochłonąłby suche papiery.

Stałam tam przez dłuższą chwilę, wpatrując się, jak miasto witało nowy dzień. Czulałam, że wzywało mnie znad tej lśniącej zatoki. Sprawdzało moją cierpliwość. Szydło sobie ze mnie.

Stawiało przede mną wyzwanie, bym wróciła gdzieś, gdzie nie wiadomo, co stanie się w następnej sekundzie, gdzie nie ma odwrotu. Czekałam, aż ten głos zamilknie. Po chwili zdawało się, że skupił się na ważniejszych sprawach.

Udałam się więc powoli w drogę powrotną, patrząc jeszcze przez parę minut, jak kolejne nowe osoby udawały się do budynku, a nadzieja i pragnienie rozświetlały im twarze.

Przechodząc przez siedzibę przewoźnika, zauważyłam doktora Randalla w jego

niebieskim, lekarskim uniformie, przygotowującego się do podróży kolejnym promem. On też miał dzisiaj wolne. Kiedy tylko mnie dostrzegł, rzucił się przez tłum w moim kierunku.

– Panno Wood, czy zmieniła pani zdanie?

W jego głosie było słycać nadzieję, ale też powątpiewanie. Wydawał się zaskoczony nie tylko moją obecnością tutaj, ale i wyglądem. Miałam rozpuszczone włosy, nie posiadałam jednak przy sobie żadnej spinki, żeby je jakoś okiełznać. Doktor Randall wyglądał dystyngowanie i atrakcyjnie w swoim wojskowym mundurze, ja natomiast musiałam przypominać dzikuskę wypuszczoną z lasu.

– Nie, jestem tylko na spacerze – odpowiedziałam, zdobywając się na tyle uśmiechu, na ile mnie było stać.

– Czy wszystko w porządku?

Na jego twarzy zagościła troska.

– Po prostu zapomniałam nakrycia głowy. Mam nadzieję, że miło spędzi pan czas na brzegu. Dobrego dnia, doktorze.

Odwróciłam się, by odejść, ale doktor delikatnie chwycił moje ramię.

– Poczekam na kolejny prom, jeśli będzie pani chciała wrócić po kapelusz. Poranek jest naprawdę piękny na Manhattanie, panno Wood.

Spojrzałam ponad jego ramieniem na kuszące i jednocześnie budzące uczucie niepokoju wieże wyłaniające się z miasta. Przyglądałam się im przez chwilę, po czym odrzekłam:

– Tu na wyspie jest równie pięknie.

Ruszyłam przed siebie, nie oglądając się w tył ani razu. Poszłam prosto do swojego pokoju, gdzie planowałam spędzić resztę dnia na pisaniu listów i czytaniu. W głównym korytarzu

zatrzymałam się, aby dowiedzieć się, czy poczta została już doręczona. Spodziewałam się listu od matki lub siostry. Jak się okazało, tym razem napisał do mnie ojciec. Otworzyłam kopertę, udając się do pokoiów pielęgniarek, ale zatrzymałam się w połowie drogi, kiedy tylko zagłębiłam się w lekturę.

Mój ojciec przybywał w tym tygodniu na Manhattan i chciał zjeść ze mną lunch. On, moja matka i Henrietta martwili się o mnie. Mieliśmy się spotkać w południe, w piątek, w restauracji w hotelu Albert na East Tenth Street.

Rozdział dwudziesty drugi

Usiadłam na brzegu łóżka, trzymając w dłoni list od ojca. Przeczytałam go wielokrotnie i wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co było w nim napisane.

Zakładałam, że moi rodzice i siostra tkwili w przekonaniu, iż jestem szczęśliwie pochłonięta pracą w szpitalu na Ellis. Sądziłam, że przekonałam ich w swojej korespondencji co do tego, iż w zupełności odpowiada mi spędzania czasu na wyspie, nawet w dni wolne od pracy.

W listach do rodziców zawsze byłam wesoła. Nie mogłam przywołać na myśl chociaż jednego zdania, które zdradziłoby prawdziwy powód mojego nieprzerwanego pobytu na wyspie od niemal pół roku. Zasmucona dziewczyna, którą rodzice pozostawili na Manhattanie, odnalazła sens życia na Ellis. Ale w listach do Henrietty byłam bardziej bliska prawdy. Próbowałam sobie przypomnieć, co mogłoby zasugerować jej, że tkwiłam w tym miejscu także z powodu innego niż moje poświęcenie pracy.

Nie wspomniałam o Edwardzie, ale napisałam, że wyspa wypełnia we mnie pustkę, którą wypaliły płomienie pożaru. Czy domyśliła się, że kryło się za tym coś więcej? Gdyby się o mnie martwiła, nie wahałaby się poruszyć tej kwestii z rodzicami. Ale dlaczego najpierw nie mogła zapytać mnie, czy coś mi doskwiera? Zapewniłabym ją, że byłam całkiem zadowolona z życia, jakie obecnie prowadziłam. To jednak była najmniej istotna z moich obaw. Nie mogłam wyobrazić sobie siebie wsiadającej na prom w piątek, aby zjeść lunch z ojcem. Samo siedzenie na łóżku i myślenie o tym sprawiało, że serce biło mi szybciej. Nie byłam gotowa.

I nie miałam dnia wolnego. Przez umysł przelatywał mi potok pomysłów na to, jak odrzucić zaproszenie. Mogłabym wysłać telegram do hotelu, w którym zatrzymał się ojciec, wyrażając żal, że muszę pracować. Być może tata będzie się zastanawiał, dlaczego nie poprosiłam o wolne popołudnie, skoro dał mi znać odpowiednio wcześniej. Musiałabym powiedzieć, że próbowałam, ale się nie udało. Musiałabym go okłamać.

Zerwałam się z łóżka, kurczowo trzymając jego list w rękę. Nie miałam w zwyczaju kłamać ojcu w żywe oczy. W zasadzie nigdy tego nie robiłam. Czasami pozwalałam mu tkwić w błędnym przekonaniu, nigdy jednak nie powiedziałam mu, że zrobiłam coś, czego tak naprawdę nie uczyniłam. Myśl o tym teraz sprawiała, że robiło mi się niedobrze.

Być może mogłabym powiedzieć pani Crowley, że ojciec zaprosił mnie na lunch, ale dodałabym, że zdaję sobie sprawę, iż oddział dziecięcy wymaga wiele uwagi i możemy spotkać się innym razem. Mogłabym jej to powiedzieć, kiedy będzie zajęta. Nie musiałaby szukać dla mnie zastępstwa w piątkowe popołudnie. Byłaby zadowolona. A ja nie musiałabym nikogo okłamywać.

Postanowiłam zrobić to od razu. Poniedziałki to zwykle czas, kiedy wiele się dzieje, a pani Crowley zapewne pamiętała, że prosiłam ją już o przysługę tego dnia. Dlatego moje zapewnienie, że nie poproszę o wolny piątek w istocie byłoby jej na rękę.

Wepchnęłam list do kieszeni spódnicy i pospiesznie zaplotłam włosy w warkocz.

Następnie pognałam do głównej izby przyjęć szpitala, aby odnaleźć panią Crowley. Za chwilę miała nadejść pora obiadowa, a w izbie stał niewielki tłum ludzi. Poczekalam, aż sprawy ostatniego z pacjentów zostaną w pełni załatwione, a kiedy pani Crowley wstała i przed udaniem się na stołówkę zaczęła zbierać swoje rzeczy, podeszłam do niej.

– Pani Crowley, właśnie otrzymałam list od mojego ojca. Chce zjeść ze mną lunch na Manhattanie w piątek, jednak w pełni rozumiem, jeśli moja nieobecność w tym czasie byłaby dużym problemem, zwłaszcza, że wyświadczyła mi już pani dziś przysługę, pozwalając Dolly i mnie zamienić się oddziałami.

Powiedziałam to za szybko. Pani Crowley zamrugała kilkakrotnie powiekami.

– Proszę powtórzyć, bo chyba nie rozumiem.

Spełniłam jej prośbę, mając na uwadze to, iż moja rozmówczyni wsłuchiwała się teraz w każde słowo. Miałam nadzieję, że będzie na tyle pochłonięta ważniejszymi sprawami, że po prostu kiwnie twierdząco głową.

– Pani ojciec, tak?

– Tak, ale...

– A kiedy ostatnim razem była pani na brzegu?

Machnęła głową, dając mi znak, bym podążyła jej śladem. Zaczęłyśmy iść.

– Ostatnim razem?

Zwróciła się do mnie.

– Tak. Nie potrafię sobie przypomnieć, by opuszczała pani wyspę, od kiedy tutaj jestem.

A to już jakiś czas.

Ta rozmowa nie przebiegała tak, jak to sobie zaplanowałam.

– Tak – odparłam tylko.

– A więc jak długo to już jest?

– Jakiś czas.

– W takim razie powinna pani popłynąć. Żaden z moich pracowników nie jest tak oddany pracy, jak pani, siostró Wood. Ale nie samą pracą człowiek żyje. Proszę zjeść lunch z ojcem w piątek.

– Jestem jednak pewna, że możemy to przełożyć. Zdaję sobie sprawę, jak wymagający jest oddział dziecięcy.

Machnęła ręką na tę wymówkę, jakby odganiała muchę.

– Wszędzie jest dużo pracy. Proszę iść i cieszyć się, że ma pani ojca, z którym może zjeść lunch. Chcę, żeby pani popłynęła. Nie będę miała z pani żadnego pożytku, jeśli zatyra się pani tutaj na śmierć, siostró Wood.

– Ale mi naprawdę nie przeszkadza to, ile pracuję. Naprawdę.

Pani Crowley zmarszczyła czoło.

– Właśnie o to mi chodzi. Powinno to pani przeszkadzać. Powinna pani chcieć od tego odpocząć. Jak to możliwe, że jest inaczej? Ma pani być na promie w piątek o jedenastej.

Przyspieszyła kroku, dając mi do zrozumienia, że to koniec naszej rozmowy. Ja natomiast zwolniłam tempa, chcąc przyswoić to, co się właśnie stało. Pani Crowley niemal nakazała mi wziąć wolne. Jedyne sposobem, by się od tego wymówić, to teraz udawanie chorej. Trudna sprawa, gdy wszystkie koleżanki wiedziały, kiedy ktoś udaje.

Nie miałam apetytu, ale i tak udałam się do stołówki, szukając Dolly i odrobiny współczucia. Znalazłam ją przy stole z Nellie i Ivy, jednak zanim mogłam wyjść niezauważona, przyjaciółka dostrzegła mnie i gestem zaprosiła do stołu.

– Gdzie twoja taca? – spytała i klepnęła krzesło stojące obok niej.

– Zjem później.

Usiadłam tylko po to, by mogły wrócić do swojej rozmowy sprzed mojego przyjścia, o czymkolwiek ona była.

Nellie i Ivy jednak gapiły się na mnie, choć było jasne, że próbowały tego nie robić. Dolly natychmiast zauważyła, że nie czułam się z tym najlepiej i że coś mnie trapiło.

– Nie miałybyście nic przeciwko przejściu do innego stolika, prawda? Muszę się poradzić Clary w pewnej sprawie.

Nellie i Ivy posłusznie usłuchały, choć na ich twarzach pojawił się wyraz niedowierzania.

Kiedy już się przesiadły, Dolly zwróciła się do mnie.

– Co się stało? Wyglądasz na zaniepokojoną.

Wyciągnęłam z kieszeni list od ojca i podałam jej go. Kobieta przeczytała całość w dosłownie chwilę.

– Wybierasz się, prawda? – zapytała z szeroko otwartymi oczyma.

– Nie widzę sposobu, żeby się wywinąć. Pani Crowley niemal nalega, żebym popłynęła.

Przytoczyłam jej rozmowę z naszą przełożoną.

– Jedyne sposobem na wywiniecie się, to udawać, że mam właśnie okres.

Dolly ścisnęła moje ramię.

– Nie rób tego, Claro. Proszę cię, nie rób tego.

Jej gorące prośby sprawiły, że nieco zeszywniałam.

– Nie widzę powodu, abym musiała płynąć. Dlaczego miałabym to robić? Przecież to tylko lunch.

– Wiesz jednak przecież, że kiedyś będziesz musiała tam popłynąć. Wiesz to, prawda? To równie dobra okazja jak każda inna. Prawda? I nie chodzi jedynie o lunch. Nie tobie. I nie twojemu ojcu. On się o ciebie martwi. Ja także.

Wyciągnęłam rękę po list, a ona podała mi go bez słowa, poluzniając nieco swój uścisk.

– Nic mi nie jest – powiedziałam.

– To nieprawda. Gdyby rzeczywiście wszystko było w porządku, jak zapewniasz, nie wynajdywałabyś powodów, aby tutaj zostać.

Powoli włożyłam kartkę do kieszeni, szukając słów, by się sprzeciwić. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy.

– Chciałabym z tobą popłynąć, Claro. Wątpię jednak, że i mnie pani Crowley da wolne, chyba że wszystko jej opowiemy. Wtedy może się zgodzić.

– Nic jej nie powiem. To nie jej sprawa. – Najeżyłam się.

– Boję się jednak puścić cię samą, Claro. Naprawdę. Tak bardzo chcę, abyś popłynęła, lecz obawiam się, że jeśli nie będzie z tobą nikogo, może stać się coś złego. Powiedzmy jej.

– Nie.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

Nie byłam pewna już niczego, oprócz tego, że zbyt wielu ludzi dostosowywało swoje życie do mojego.

– Myślę, że to się okaże. Prawda?

Te słowa nie przyszły mi łatwo. Dolly przez kilka chwil siedziała w milczeniu, ale jej wzrok spoczywał na mnie. Jej myśli także krążyły wokół mojej osoby.

– W takim razie dobrze – odparła. – Zapytam panią Crowley, czy mogę ci towarzyszyć.

Uzasadnię to byciem twoją przyjaciółką i lepszą znajomością ulic Manhattanu. Być może się zgodzi. Czy mogę to zrobić? Poczekam w kafejce lub gdzieś indziej, kiedy ty spotkasz się z ojcem. Nie będziesz musiała się przejmować tym, że przeszkodzię wam w rozmowie. Zgoda?

Potwierdziłam kiwnięciem głowy. W rzeczywistości wcale nie chciałam płynąć sama.

I nie byłam do końca pewna, czy dam radę to zrobić.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy, aż napięcie między nami gdzieś znikło.

– Ten twój pan Gwynn to bardzo uprzejmy gość – powiedziała Dolly.
– To nie jest mój pan Gwynn.
– Ale i tak jest bardzo uprzejmy. Uważam też, że jest mu smutno, że opuściłaś oddział tak nagle.

– Nie opowiadaj bzdur. On opłakuje swoją żonę.
Po raz kolejny zapadło między nami milczenie.
– Chyba jednak pójdę po tacę.

Wstałam z krzesła, pragnąc udowodnić tak sobie, jak i Dolly, że nie jestem tak krucha, jak się wszystkim wydawało.

Kiedy kolejnego ranka wchodziłam na oddział dziecięcy, dopadł mnie dziwny smutek. To właśnie on utwierdził mnie w przekonaniu, że podjęłam słuszną decyzję, zamieniając się z Dolly miejscem dyżurów. Takim zmianom nie powinien towarzyszyć smutek. Nigdy. Zarówno oddziały, jak i ludzie na nich przebywający niczym się od siebie nie różnili. Wszyscy potrzebowali naszej troskliwej opieki w równym stopniu i wszyscy, prędzej czy później, mieli opuścić wyspę po odzyskaniu zdrowia.

Oddział dziecięcy był pełen maluchów chorych na świnkę. Część dzieci cierpiała na tyfus. Oddzielano je od siebie, aby nie pozarażały się nawzajem. Niektóre były na tyle duże, by rozumieć przyczynę separowania ich od matek. Większość stanowiły jednak małe szkraby, które lgnęły do każdej kobiety, która okazała im odrobinę dobroci.

Byłam psychicznie gotowa na spotkanie z doktorem Randallem, gdyż Dolly uprzedziła mnie, że to on razem z doktorem Treaverem miał pod opieką ten oddział. Mimo to byłam zdenerwowana, gdy pojawił się przed południem. Właśnie trzymałam na kolanach zapłakaną dwulatkę i ocierałam jej łzy. Na jednego pacjenta przypadało tu więcej pielęgniarek niż na oddziale dorosłych mężczyzn, więc doktor Randall dokonywał obchodu od łóżka do łóżka z inną pielęgniarką. Kiedy jednak podszedł, by zbadać małą, która właśnie usnęła mi w ramionach, poprosił towarzyszącą mu pielęgniarkę, aby przyniosła mu z głównej dyżurki otoskop z mniejszym wziernikiem. Gdy tylko kobieta opuściła salę, przygotowałam się na słowną potyczkę.

– Pani współlokatorka, która zajęła pani miejsce na oddziale szkarlatyny, twierdzi, że te maluchy ją wykańczają.

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Mają mnóstwo energii. Nawet kiedy są chore.

Uśmiechnął się.

– To miło z pani strony, że się pani z nią zamieniła.

Było jasne, że nie dał wiary ani jednemu słowu z całej tej historii.

– Bardzo się przyjaźnimy. Zrobiłaby dla mnie to samo.

– Nie wątpię.

Podniosłam się z krzesła i ułożyłam śpiące dziecko na łóżeczku, aby lekarz mógł osłuchać jego serce i płuca.

– Nie miałem zamiaru nikogo informować o tej książce – wyszeptał.

– A niby dlaczego miałby pan o tym mówić? Co tu jest do powiedzenia?

Delikatnie zbadał palcami szyję i brzuch małej.

– Proszę posłuchać. Muszę powiedzieć coś, zanim wróci siostra Pruitt – oznajmił cicho. –

A obawiam się, że wróci za chwilę, więc muszę od razu przejść do rzeczy.

Odebrało mi mowę, więc patrzyłam się na niego bez słowa.

– Siostra McLeod poprosiła panią Crowley o wolne w piątkowe popołudnie, ale ta odmówiła. Nie może popłynąć z panią. Ja mogę. Zdażyłem już poprosić o wolne, a doktor Treaver wyraził zgodę.

Otworzyłam usta z osłupienia, ale nie mogłam wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Wiem, że prawdopodobnie będzie pani na nią zła, iż powiedziała mi o zaproszeniu na lunch od pani ojca. Ona też o tym wie. Ale nie chce, aby wybierała się pani na ład sama. Bardziej niż pani gniewu obawia się o panią.

– Dolly panu powiedziała?

Zalała mnie fala gorącego gniewu, który sprawił, że ciskałam słowami jak rozżarzonym węglem.

– Ona nie chce, aby płynęła pani sama, a ja całkowicie podzielam jej opinię.

– Nie pytałam o zdanie ani pana, ani Dolly!

Podniosłam głos, co zbudziło śpiącą dziewczynkę, która zaczęła płakać i wyciągnęła do mnie rączki.

– Tak czy inaczej, chciałbym pani towarzyszyć, jeśli mogę.

Wzięłam w ramiona krzyczące teraz dziecko.

– Czy jestem dzieckiem, które wymaga aż tyle uwagi? Trudno mi uwierzyć, że

rozmawialiście o mnie tak, jakbym nim była!

– Ona się o panią martwi, siostró Wood. A na wypadek, gdyby pani zapomniała, powiedziała jej pani, że zaoferowałam się popłynąć z panią, kiedy będzie pani po raz pierwszy wybierała się na ląd. Powiedziała jej pani, że obiecałam pomóc w tej sytuacji i pani tę pomoc przyjęła.

Płacz dziecka ucichł i mała wtuliła mokrą twarzyczkę w moją szyję.

– Godząc się, nie to miałam na myśli.

– A ja miałam na myśli właśnie to. I nic się w tej sprawie nie zmieniło.

– Ledwie mnie pan zna.

– Wiem, że zżera to panią od środka, tak jak choroba. Wiem to.

– Dlatego więc chce mi pan pomóc? Bo jest panu mnie żal?

– Nawet gdyby to był jedyny powód i tak byłby dobry. Tak, jest mi pani żal.

Za sobą usłyszałam kroki – pielęgniarka wracała z otoskopem. Nasza rozmowa dobiegła końca. Kiedy pani Pruitt do nas podeszła, doktor Randall przeszedł na stronę łóżeczka, przy której stałam ja z dzieckiem na rękach.

– Przytrzymam jej loczki – powiedziała druga pielęgniarka, a doktor Randall nachylił się, by obejrzeć wewnątrz ucha dziewczynki. – Już dobrze, maleństwo – powiedziała słodko siostra. –

Pan doktor nie zrobi ci nic złego.

Dziecko załkało w moich ramionach, ale spokojny głos pielęgniarki i dotyk mojej dłoni na jego plecach sprawiły, że uwierzyło w każde słowo.

Rozdział dwudziesty trzeci

Nie potrafiłam długo gniewać się na Dolly. W pierwszą noc po tym, jak doktor Randall nalegał, by udać się ze mną na Manhattan, była tak bardzo skruszona, że niemal mnie to denerwowało. I chociaż było jej przykro, że się na nią złościę, nie żałowała, iż powiedziała doktorowi Randallowi o moich piątkowych planach i związanym z tym trudnym położeniem.

Przynajmniej na to nie wyglądało.

– Kto inny mógłby z tobą popłynąć, Claro? – spytała.

Wraz z upływem kolejnych dni stopniowo oswajałam się z myślą, że Ethan Randall będzie mi towarzyszył. Do czwartkowego popołudnia zdążyliśmy obmyślić plan działania. Po porannym obchodzie mieliśmy oboje przebrać się w wizytowe ubrania i spotkać się w siedzibie przewoźnika tuż przed wypłynięciem o jedenastej. Zgodnie z planem dopłynęlibyśmy na brzeg na tyle wcześnie, by spokojnie zdążyć do hotelu Albert. W południe wzięlibyśmy taksówkę do hotelu, tam by mnie zostawił, a o czternastej miał być po mnie z powrotem.

Na wieczór przed wycieczką, Dolly pomogła mi wybrać sukienkę, a potem myślałyśmy nad odpowiednią dla mnie fryzurą. Żadna z tych rzeczy nie miała dla mnie znaczenia, ale obie przyjąłam jako miłe oderwanie od bieżących spraw.

Kiedy siedziałam przed lustrem, a Dolly eksperymentowała z moimi włosami, powiedziała mi, że Andrew Gwynn ma zostać wypisany następnego dnia.

Przeszył mnie dziwny ból. Miłość do Edwarda nauczyła mnie, że czasami spotykamy w życiu ludzi, których mamy tylko przez chwilę. Potem los ich zabiera. Tak było z Edwardem, a teraz tak też miało być z Andrew.

Krótki pobyt Edwarda w moim świecie zmienił mnie na zawsze i wiedziałam, że po opuszczeniu Ellis podobnie może myśleć o mnie Andrew – że zmieniłam jego życie i, co gorsza, możliwe, iż wcale nie na lepsze. Wciąż jednak pozostałabym osobą, która odegrała znaczącą rolę w jego historii, tak jak Edward zaznaczył na zawsze swoją obecność w mojej.

– Claro?

Dolly musiała zadać mi pytanie, a ja najwidoczniej jej nie usłyszałam.

– Słucham?

– Powiedziałam, że zanim pójdziesz dziś spać, może powinnaś wyjąć dla mnie tę książkę z wykrojami i szalik. Jutro mu je oddam. Chyba że zmieniłaś zdanie i sama chcesz to zrobić.

– Nie, nie chcę. I proszę cię, dopilnuj, aby pan Gwynn nie popłynął promem o godzinie jedenastej.

Dolly westchnęła i upięła pukiel moich włosów z tyłu głowy.

– Nie popłynie. On i kilku innych z pokładu Sewilli opuszczają oddział z samego rana.

Już zdążył wysłać telegram do swojego brata z informacją, że właśnie wychodzi ze szpitala.

– To dobrze. To znaczy, to dobrze, że wychodzi.

– Pytał o ciebie – powiedziała Dolly po dłuższej przerwie.

– A konkretnie?

– Pytał, jak się masz.

Dolly upięła szpilką kolejny lok, po czym położyła dłonie na moich ramionach.

– Ufam, że powiedziałaś mu, że u mnie wszystko w porządku.

Spojrzałam na jej odbicie w lustrze. Dolly nie ugięła się, nie odwróciła wzroku.

– Oczywiście – odparła, po czym cofnęła się, aby podziwiać efekty swojej pracy.

– Wygląda naprawdę pięknie. Powinnaś jednak pożyczyć zielony kapelusz Nellie. Będzie

bardzo pasował do zielonych pasków na twojej sukience.

Podniosłam się ze swojego miejsca i stanęłam obok toaletki.

– Nie muszę pożyczać niczyjego kapelusza.

– Przeciwnie. Nie wyjmuj jeszcze z włosów tych spinek. Idę do niej po ten kapelusz.

Poczekaj tutaj.

Dolly otworzyła drzwi i wyszła. Tymczasem sprawdziłam, czy moje najlepsze buty nie są porysowane, i upewniłam się, że w torebce mam pieniądze na taksówkę, dodatkowe spinki, jak też i chusteczkę.

Kiedy wszystko było gotowe, przyklekłam przy łóżku i wyciągnęłam książkę

z wykrojami oraz pokryty papierem pakowym szalik. Obwoluta książka była pokryta kurzem, bo nie ruszałam jej od niemal trzech tygodni.

Sięgnęłam po skarpetę z mojego kosza na bieliznę i wytarłam okładkę.

I wtedy, powodowana po prostu sentymentalnym uczuciem ciekawości, otworzyłam książkę. Strony wypełnione były szkicami garniturów, płaszców, bluzek, spodni. Ładny charakter pisma opisywał w rzędach pomiary. Był tak uroczy, że aż chciałam go dotknąć.

Pomiędzy niektóre ze stron powkładano zwinięte skrawki wzorów – miękkie kawałki cienkiego muslinu, który pachniał skórą, tytoniem i miętą. Uniosłam jeden z nich i przytrzymałam go przy twarzy, chłonąc zapach, który mogłabym opisać po prostu jako silny i zmysłowy. Odłożyłam materiał, obawiając się, że jak tak dalej pójdzie, to pochłonę całą jego duszę.

Przewertowałam kartki, podziwiając maestrię, z jaką je stworzono. Oczami wyobraźni widziałam, jak w pracowni krawieckiej swojego ojca Andrew uczy się fachu. Zupełnie tak jak ja uczyłam się doprowadzać ludzi do zdrowia od mojego papy. Przewróciwszy ostatnią ze stron, zauważyłam, że wewnętrzna część tylnej okładki została podpisana tą samą ręką, która naszkicowała ubrania.

Moi drodzy synowie, Nigelu i Andrew:

Żałuję, że nie miałem przyjemności spotkania Waszej matki, będąc młodszym mężczyzną, bo wówczas nie byłbym tak starym człowiekiem, gdy Bóg pobłogosławił mnie wspaniałymi synami, jakimi jesteście Wy. Żałuję, że nie mieliśmy wielu lat na wspólne życie, a tylko kilka, które naznaczyła moja choroba. Wiedźcie, że jestem z Was ogromnie dumny, w każdym tego słowa znaczeniu. Jestem pewien, że zaopiekujecie się Waszą matką, kiedy przyjdzie mi stanąć przed obliczem Pana, a wiem, że tak się właśnie wkrótce stanie.

Przekazałem Wam całą moją wiedzę, byście byli dobrymi krawcami, mam nadzieję, że równie dobrze nauczyłem Was, jak być porządnymi ludźmi.

Zanim poznałem Waszą matkę, spędziłem wiele lat w samotności, ale gdybym miał

przeżyć życie od nowa, nie zmieniłbym ani chwili. To nie ten, kto dzieli z Wami całe życie, nadaje mu sens. Jest to raczej ten, kto sprawia, że warto było żyć, bez względu na to, ile dane Wam było spędzić wspólnie czasu.

Oby Bóg dał Wam taką miłość – prawdziwą i wszechogarniającą.

Wasz ojciec

Alistair Henry Gwynn

Czerwiec 1902

Niespodziewana łza pojawiła się pod moją powieką, wymknęła się i wylądowała na jednej ze stron. Przestraszona, zaczęłam ścierać ją rękawem, wiedząc, że z pewnością pozostawi ślad. Nierozważnie zamknęłam książkę i przytknęłam ją do piersi, czekając, aż moje

rozwichrzone emocje się uspokoją. Powtarzałam sobie, że nie do mnie skierowano te słowa. To nie do mnie należały.

Spojrzałam na niewielką paczuszkę leżącą na łóżku, w której schowałam list Lily i akt unieważnienia małżeństwa. Po raz kolejny zaczęłam wątpić. Czy słusznie postępuję, dając Andrew to, co spłonęłoby nieprzeczytane, gdybym nie otworzyła nieodpowiedniego kufra? Co pozwoliło mi się wtrącić – ręka boska, czy szatańska?

Kiedy tak siedziałam z książką z wykrojami na kolanach i pakunkiem tuż obok, wróciła Dolly. W rękach trzymała szmaragdowy kapelusz z błyszczącą czarną siateczką przytwierdzoną do runda. Najpierw spojrzała na książkę z wykrojami, następnie na znajdujące się przy mnie zawiniątko.

– Daj mi to.

Rzuciła kapelusz na moje łóżko i wzięła oba przedmioty. Schowała je do swojej szafy i zamknęła drzwi.

– A teraz przymierz ten kapelusz.

Wróciłam na stołek przed lustrem, a Dolly włożyła mi kapelusz na głowę, podnosząc nieco jego rondo i ściągnając woalkę tuż nad moje brwi.

– Idealnie – podsumowała. – Teraz możesz płynąć.

Nie odezwałam się ani słowem, Dolly, nic sobie nie robiąc z mojego nienaturalnego milczenia, wzięła kapelusz i zaczęła wyjmować z moich włosów spinki.

Rano szykowałam się do wyjścia, jakbym była pomiędzy stanem snu a jawy. Dolly odtworzyła fryzurę, którą układała poprzedniego wieczora i ułożyła mój pielęgniarzski czepek tak, by nie naruszyć spinek we włosach. Kiedy udałyśmy się na śniadanie z samego rana, niosła książkę z wykrojami oraz paczkę w torbie na pranie, którą oddała na przechowanie do dyżurki pielęgniarzkiej na oddziale szkarlatyny, jeszcze zanim któryś z mężczyzn się obudził.

W stołówce byliśmy pierwsze. Zjedzenie dwóch tostów pod czujnym okiem przyjaciółki wymagało ode mnie nie lada wysiłku. Nie miałam w ogóle apetytu.

Kiedy już zjawiłam się na oddziale dziecięcym, przyłapałam się na tym, że ciągle spoglądam na zegar wiszący na ścianie. Przede wszystkim dlatego, że Andrew Gwynn opuszczał

wyspę pierwszym promem. Ja natomiast bardzo chciałam, aby nie znalazł ani czasu, ani też ochoty na otwarcie paczki z szalikiem, kiedy będzie czekał na przybycie statku.

Przez cały ranek powtarzałam sobie, że na pewno jej nie otworzy. Wiedział przecież, co było w środku. Szalik Lily, uprany i ładnie złożony, gotowy, by spakować go wraz z innymi przedmiotami. Andrew nie będzie sobie tym zawracał głowy. Chyba że postanowi założyć szalik, opuszczając Ellis, tak jak podczas przyjazdu...

Kiedy na kilka minut przed dziewiątą ujrzałam cień w drzwiach, uniosłam wzrok w obawie, że to Andrew szukał mnie z otwartą paczką w rękach, chcąc wiedzieć, co zrobiłam.

Był to jednak doktor Randall, gotów, aby rozpocząć poranny obchód przed naszym wyjściem.

– W porządku? – zapytał.

– Tak – odparłam pospiesznie i bez przekonania.

Gdy kończyliśmy obchód, mój wzrok utkwiony był w zegarku. O godzinie dziesiątej doktor Randall opuścił oddział, a po pół godzinie ja także wyszłam. Niemal podbiegłam do siedziby przewoźnika, by upewnić się, że poranny prom odpłynął.

Kiedy zobaczyłam, że nie było już po nim nawet śladu, wypełniło mnie uczucie ulgi. Gdy wychodziłam przebrać się w wyjściowe ubranie, ogarnęła mnie również w pewnym stopniu melancholia. Wydawało się, że jakiś rozdział mojego życia właśnie dobiegł końca i nic mi z tego nie zostało.

Wróciłam do swojego pokoju, próbując nie rozmyślać zbyt usilnie nad tym, że w ciągu

mniej niż godziny ja także będę na pokładzie promu płynącego na Manhattan. Świadomie opuszczę przestrzeń, którą gwarantowała mi do tej pory niemal absolutne bezpieczeństwo – moje miejsce pośrednie – żeby postawić stopę na twardym gruncie prawdziwego świata, gdzie czas nie zatrzymał się ani na chwilę.

Rozdział dwudziesty czwarty

Pojawiłam się w siedzibie przewoźnika w mojej zielonej sukience w paski i pożyczonym od Nellie kapeluszu. Zostało tylko pięć minut. Znalazłam doktora Randalla w bramie, chodzącego w tę i we w tę.

– Już miałem przyjść do pani do pokoju szukać pani – powiedział bez tchu.

– To by było wbrew zasadom. Pani Crowley to by się nie spodobało.

Przeszłam przez bramę, aby stanąć z nim w kolejce ludzi czekających na wejście na pokład. Powietrze było zatęchłe i ciepłe. Czułam, jak stróżka potu ścieka mi po plecach.

– Mówię poważnie. Martwiłem się o panią.

– Bez powodu. Już jestem, możemy ruszać..

Dotknęłam szyi, ścierając pot rękawiczką.

– Proszę dać mi dłoń.

Uniosłam wzrok, chcąc powiedzieć, że nie potrzebuję dodatkowego podparcia. Doktor tylko pogarszał sprawę. Zauważyłam jednak, iż on w przeciwieństwie do mnie się nie pocił. Nikt poza mną się nie pocił. Bez słowa ścisnęłam więc oferowane ramię i razem zaczęliśmy posuwać się naprzód.

– Proszę zamknąć oczy, jeśli pani chce. Zadbam, by na nic pani nie wpadła.

– Nie zamknę oczu, na niebiosą.

Już po chwili jednak tak właśnie zrobiłam. Kiedy tylko moja stopa dotknęła kładki, poczułam, jak zaciska mi się gardło. Drugą dłoń przycisnęłam szybko do ust i pozwoliłam doktorowi Randallowi się prowadzić.

– Wszystko jest dobrze. Świetnie pani sobie radzi.

– Proszę nic nie mówić! – wychrypiałam pomiędzy palców.

Nachyliłam się ku niemu, kiedy wyraźnie poczułam, że weszliśmy na chwiejący się pokład.

– Proszę poczekać! – szepnęłam, kiedy lekki ruch pod moją stopą sprawił, iż straciłam równowagę.

– Trzymam panią. Wszystko w porządku.

Pociągnął mnie do przodu. Czułam, że ludzie z tyłu chcieli poruszać się w znacznie szybszym tempie.

– Chyba nie mogę tego zrobić – powiedziałam bardziej do siebie niż do doktora. Moje nogi były jak z waty. Czułam, jakby brakowało mi tlenu.

– Może pani – zapewnił, prowadząc mnie delikatniej. Czułam, jak coś ciężkiego wewnątrz mnie zaczęło się przemieszczać, podczas gdy serce biło jak dzwon, chcąc wydostać się na zewnątrz, wybuchnąć.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Na te słowa otworzyłam oczy. Rozejrzałam się wokół niepewnie, zauważając, że doktor Randall kierował mnie do długiego rzędu czerwonych, obitych tapicerką ławek, które stały z dala od okien i otwartych drzwi. Pociągnął mnie w kąt szerokiego pomieszczenia i zasugerował, bym usiadła, sam zajmując miejsce tuż obok.

– W porządku? – zapytał.

– Nie. Tak. Sama nie wiem. Niedobrze mi. Czuję, jak w głowie mi pulsuje.

– Proszę podać mi dłonie.

Wziął mnie za ręce i ściągnął z nich rękawiczki tak gwałtownie, że otworzyłam szeroko

oczy i w momencie wyrwałam się z jego uścisku.

– Co pan robi?

– Proszę podać mi dłonie – powtórzył prośbę i, nie czekając na odpowiedź z mojej strony, chwycił mnie ponownie za ręce.

W tej samej chwili usłyszeliśmy dźwięk gwizdka, po którym prom zaczął się poruszać.

Wyłynęliśmy z doku. Zacisnęłam mocno dłonie w pięści, kiedy statek nabierał prędkości, a ja czułam, że woda pod nami oddala nas od bezpiecznego miejsca. Oczami wyobraźni widziałam, jak siedziba przewoźnika niknie w dali, z każdą chwilą robiąc się coraz mniejszą...

– Claro! Słuchaj mnie. Zamknij oczy i słuchaj. Słuchaj tylko mnie.

Chciałam wziąć nogi za pas i w pięknym kapeluszu Nellie skoczyć do wody, a następnie popłynąć z powrotem na wyspę. Mój rozbiegany wzrok przyciągnęła balustrada. Zza niej widziałam moją wyspę. Mogłabym przepłynąć taką odległość.

– Zamknij oczy, do diabła! Słuchaj tylko mnie.

Obróciłam głowę w stronę doktora Randalla. Wiedziałam, że muszę teraz w jego oczach wyglądać albo na przestraszone dziecko, albo na lunaticzkę. Ale on po prostu trzymał mnie za ręce i kolejny raz powiedział mi, bym zamknęła oczy. Wiele kosztowało mnie, aby to zrobić.

– Jesteś bezpieczna. Jesteś bezpieczna – mówił, gładząc wierzch moich dłoni, delikatnie i w regularnym rytmie. Potem obrócił moje ręce, rozsunął powoli zaciśnięte w pięści palce, po czym ponownie zaczął masować skórę.

W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że oddycham swobodnie. Ciężar we mnie przestał

się wyrywać i sprawiać mi ból. Nie ustąpił do końca, ale przynajmniej nie uciskał mi już płuc.

Mój puls, który przypominał pociąg towarowy kilka chwil temu, wciąż był nieco przyspieszony, ale nie na tyle, by kręciło mi się w głowie, a w uszach szumiała krew.

Powoli otworzyłam oczy. Doktor Randall patrzył na mnie uważnie ze szczerą troską wypisaną na twarzy. Wyglądał, jakby był gotowy rzucić się za mną, gdybym niespodziewanie postanowiła jednak podbiec do balustrady i skoczyć w morską toń.

– W porządku? – zapytał łagodnie.

– Nazwał mnie pan Clarą – niemal pisnęłam.

Uśmiechnął się i poczułam, jak jego ciało nieco się rozluźniło.

– Nie jesteśmy w szpitalu. Nie nosimy naszych uniformów. Jesteś Clarą, a ja jestem Ethanem. Po prostu.

Rękawiczki, które mi ściągnął, leżały na pokładzie u moich stóp.

– Czy mogę prosić o moje rękawiczki?

Puścił jedną z moich dłoni, schylając się, by je podnieść.

– Nie wyskoczę za burtę – wymamrotałam, sięgając po moją własność oswobodzoną dłonią.

– Wiem.

– Obiecuję.

Ethan powoli mnie puścił, a ja usiadłam wygodniej na ławce.

– Przepraszam za to... Za to wszystko – powiedziałam.

– Nie ma potrzeby. Nie powinnaś za nic przeproszać. Zrobiłaś duży krok naprzód.

Powinnaś być z siebie dumna.

– Chyba tak.

– Nie ma wątpliwości. Tak było.

– Gdzie nauczyłeś się tego... Tej metody z dłońmi?

– Zanim zająłem się medycyną ogólną, studiowałem psychologię. Uczył mnie profesor, który stosował tę technikę na swoich pacjentach. Nie jest to nic nadzwyczajnego. Tak matki

uspokajają wzburzone dzieci. Tak uspokoiłaś tę małą dziewczynkę w dniu, w którym po raz pierwszy zauważyłem cię na oddziale dziecięcym. Dałaś jej poczucie bezpieczeństwa.

Spojrzałam przez okno, które znajdowało się naprzeciw nas. Czułam się jak to dziecko, o którym wspomniał, doktor. Oddałabym wszystko, aby to minęło, tym bardziej iż wiedziałam, że to dopiero początek mojej męczarni.

– Muszę jeszcze zejść z tego statku, kiedy dopłyniemy.

– Dasz radę.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Nigdy wcześniej nie przytrafiło mi się nic podobnego – powiedziałam. – Nigdy.

Mogłam być w gabinecie ojca i patrzeć, jak zszywa niemal odciętą kończynę lub usuwa martwą skórę po strasznym oparzeniu, ale nigdy nie musiałam się odwrócić. Moja matka i siostra uciekały do domu, krztusząc się od wymiotów. Ale nie ja. Ja się nie bałam. – Spojrzałam na moje odsłonięte dłonie spoczywające na kolanach. – Niczego się nie bałam.

Ethan poczekał chwilę, zanim odpowiedział.

– Każdy się czegoś boi, Claro. Tylko strach sprawia, że jesteśmy ludźmi.

Westchnęłam ciężko.

– Nie chcę się już tego bać.

Sięgnął po moją dłoń.

– To już połowa sukcesu.

Tym razem nie uciekłam od jego dotyku i ku mojemu zaskoczeniu, w tej przepelnionej czułością chwili, zaczęłam opowiadać mu, dlaczego skazałam samą siebie na zesłanie na Elliso.

Uważałam, że Ethan zasługiwał na to, aby wiedzieć.

– To przeze mnie Edward zginął w tym pożarze. Poprosił mnie, żebym przysłała do szwalni tuż przed końcem dnia pracy. Gdyby nie ja, nie byłoby go tam. Byłby na dziesiątym piętrze, skąd mógłby uciec. Widziałam, jak skacze. Widziałam, jak jego ciało rozbija się o chodnik.

Po raz pierwszy od czasu tamtych wydarzeń nie czułam się tak, jakbym miała zalać się łzami, opowiadając o tym, co się wtedy stało.

Ethan ścisnął moją dłoń.

– Nie mogłam nic zrobić – ciągnęłam. – Znałam go dopiero od kilku tygodni.

Z pewnością uważasz, że to za krótko, żeby się w kimś zakochać, ale ja go kochałam. I myślę, że on też mnie kochał. My... My po prostu nie mieliśmy szansy, żeby to sobie powiedzieć. Nigdy nie mieliśmy szansy.

– Jest mi naprawdę przykro, Claro. Jestem jednak pewien, że głęboko w sercu wiesz, że nie zginął z twojej winy. Wiesz to, prawda?

– Kiedy ja czuję, że tak było.

– Nie wolno ci słuchać tego głosu w twojej głowie, który mówi ci, że to twoja wina. To nie jest głos prawdy, Claro. A dla twojej wiadomości, istotnie uważam, że ludzie mogą się w sobie zakochać od pierwszego wejrzenia. Tak było z moimi rodzicami. To zdarza się cały czas.

– Naprawdę?

Kiwnął twierdząco głową.

– To dlatego poczułam swojego rodzaju więź z panem Gwynnem. On właśnie stracił

swoją żonę, a byli małżeństwem zaledwie kilka dni. Znali się tylko dwa tygodnie przed ślubem.

Rozumiałam jego stratę i głębię jego miłości do niej. Rozumiałam to lepiej niż ktokolwiek.

Lepiej niż jemu się to wydawało.

– Wiem o tym. I wiem też... Wiem też o liście, który znalazłaś. Dolly mi powiedziała.

Wewnątrz mnie coś zawrzało. Dlaczego Dolly miałaby to zrobić?

– Nie chciała mnie w to wciągać, ale pani Nesbitt nakazała jej pomóc innemu pacjentowi w wysłaniu telegramu dokładnie wtedy, kiedy pan Gwynn miał zostać wypisany. Chciała upewnić się, że dostarczę mu jego rzeczy, które trzymałaś w pokoju. Poprosiła, abym mu je przekazała.

– Czy powiedziała ci wszystko?

– Na tyle dużo, bym wiedział, że chciałaś postąpić właściwie wobec pana Gwynna. To godne podziwu. Ale...

W jego głosie pobrzmiewała jednak dezaprobata.

– Ale co? Nie zgadzasz się, że powinien otrzymać ten list?

– Nie sądzę, byśmy mogli w tej sytuacji zawyrokować, co jest właściwe, a co nie. Nie jestem w stanie ocenić, który wybór byłby bardziej słuszny. Możliwe, że żaden. Wydaje mi się, iż w tej sprawie nie istniało dobre rozwiązanie.

– Przez długi czas nie chciałam, by zobaczył ten list – powiedziałam. – Pan Gwynn uważał, że żona go kochała. Wiem, jakie to wspaniałe uczucie.

Ethan spojrzał w dal, zupełnie, jakbym trafiła w czuły punkt. Kiedy jednak z powrotem na mnie spojrzał, jego wzrok już tego nie zdradzał.

– Masz rację. To niesamowite uczucie. Jest mi niezwykle przykro, że straciłaś ukochaną osobę. Może moglibyśmy dziś po lunchu odwiedzić grób Edwarda. To mogłoby ci pomóc. Kilka lat temu moja babcia zmarła na grypę i kiedy odwiedzam jej grób, jest mi lżej. Wiem, że to nie to samo, ale zawsze warto spróbować.

– Sama nie wiem...

Nie zastanawiałam się nad tym, by znaleźć miejsce pochówku Edwarda. A sam pomysł, że odwiedzenie jego grobu mogłoby mnie pocieszyć, wydał mi się całkiem nietrafiony.

– Nie musimy tego robić. To tylko luźny pomysł.

– No cóż, ja... Nie wiem, gdzie jest pochowany.

Ethan nie wydawał się tym zaskoczony. Ucieszyło mnie to, bo nie chciałam wyjaśniać powodów.

– Jestem pewien, że w gazecie, gdzie ukazał się jego nekrolog, podano nazwę cmentarza.

Jeśli chcesz dowiedzieć się, gdzie spoczywa, to nie będzie problem. Ale nie musisz tego robić.

Przestroga w jego głosie zarówno mnie zaskoczyła, jak i dotknęła.

– Może – odparłam. – Być może mógłbyś poszukać jego nekrologu, kiedy będę z moim ojcem.

– Możemy też zrobić to razem po twoim lunchu. Jeśli oczywiście nadal tego chcesz.

– Dobrze.

Prom zwolnił i kiedy wyjrzałam przez okno, nie widziałam już majaczących na

horyzoncie budynków. Miasto było tuż przede mną. Byliśmy w doku.

Ethan chwycił mnie za obie ręce.

– Chyba znów muszę zamknąć oczy – szepnęłam, kiedy łódź cumowała, a ciężar w klatce piersiowej odezwał się ponownie. Parę sekund później zacisnęłam powieki.

– Dopilnuję, byś bezpiecznie opuściła ten statek, zapewniam cię – powiedział Ethan, stawiając mnie delikatnie na nogi. – Poczekamy, aż inni pasażerowie przejdą, a wtedy będziesz mogła spokojnie wyjść na brzeg.

Czułam ruch ludzi wokół mnie, słyszałam też przyjemną mieszankę języków imigrantów, którzy po raz pierwszy mieli stanąć na amerykańskiej ziemi.

Ktoś wpadł na mnie i mimowolnie uchyliłam powieki. Gdy tylko to zrobiłam, łódź jakby zakołysała się jeszcze bardziej. Potknęłam się i Ethan zmniejszył dzielącą nas odległość, jednocześnie otaczając mnie ramieniem w pasie.

– Nie musisz otwierać oczu, jestem tu cały czas.

W końcu wszystkie głosy wokół nas zlały się w jedno, a następnie zaczęły się oddalać.

Zdałam sobie wtedy sprawę, że wszyscy oprócz nas zeszli już ze statku.

– Powoli. – Ethan zaczął iść, a ja trzymałam się go, podążając za nim krok w krok.

Kiedy weszliśmy na kładkę, poczułam na twarzy promienie słońca i powiew portowego powietrza. Woń tę zastąpił mocny zapach miasta. Uderzył we mnie z nadludzką siłą, w wyniku czego przystanęłam na kładce.

– Świetnie sobie radzisz. Jesteśmy prawie na miejscu.

– Ten... Ten zapach...

Łzy zaczęły napływać mi do oczu.

– To tylko Nowy Jork. To, co w nim dobre i złe. Świetnie sobie radzisz.

Postawiłam pełen napięcia krok, za nim kolejny.

– Oddychaj wolniej, Claro. No dalej, głęboki wdech. I wydech.

Ethan zaczął oddychać w ten sposób tuż obok mnie. Jego żebra rozszerzały się przy moich, a ja starałam się go naśladować, skupiając się

na tej jednej czynności całą sobą. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

I wtedy moja noga stanęła na chodniku, tak twardym jak skała. W miejscu, gdzie całe moje życie uległo zmianie.

Zatrzymałam się na chwilę, aby oswoić się z uczuciem stabilnego gruntu tuż pod moimi stopami, z wonią koni, samochodów, orzechów, gorącej kawy oraz martwych ryb. Zewsząd dobiegał dźwięk silników, głosy ptactwa i inne, ludzkie, wyrażające absolutną radość lub też złość. Smak soli niemalże wyczuwalny na języku, uczucie pary i wrześnieowych poranków.

Pozwoliłam, aby to wszystko mną zawładnęło, aby mnie wypełniło – dopiero wtedy otworzyłam powoli oczy na aroganckie piękno i gwarną naturę Manhattanu.

Rozdział dwudziesty piąty

Taryn

Manhattan

Wrzesień 2011

Najbardziej zaskoczyła mnie cisza. Kiedy było już po wszystkim, grzmot upadającej wieży rozplątał się w powietrzu, a pierwsze krzyki przerażenia umilkły, nie pozostało nic poza nią. Wydawała się niemal odpowiednia, bo żadne słowa nie mogły opisać tamtych chwil.

Spod gruzowiska zaczęły dobiegać wołania o wyswobodzenie, ale nasze usta i płuca wypełniały miliony cząstek tego, co kiedyś było życiem i miało swój sens. Nikt nie potrafił się odezwać i może właśnie to ten brak ludzkich głosów na zatłoczonych ulicach sprawił, że ściana zniszczenia nie miała dźwięku.

W tej martwej ciszy pozbawionej światła kwiaciarz i ja walczyliśmy o przetrwanie jak dwoje dzieci, które nie umiały pływać, walcząc z falami rwącej rzeki. Nie wiem, jak długo próbowaliśmy wyrwać się z tego potoku ludzi, co rusz zataczając się i potykając. Jednego byłam pewna – im dłużej brnęliśmy przed siebie, tym bardziej świadoma stawałam się tego, iż moje ciało piekło, ręce i czoło kleiły się od krwi, a gardło błagało o wodę.

Usłyszałam trzask tłuczonego szkła, kiedy inni ludzie w równie ogromnej niedoli rozbijali okna, by dostać się do budynków. Kilku z nich przepchnęło się, a gdy upadłam do tyłu, kwiaciarz natychmiast pomógł mi wstać. Tłuczono kolejne szyby, podczas gdy mój wybawiciel zabrał nas z dala od tłumu biegnących na oślep ludzi, łaknących schronienia i wody. Wtedy usłyszałam drażniący dźwięk uderzania metalu o metal. Zobaczyłam

błysk kolorów w morzu nicości, a kwiaciarz pchnął mnie w jego kierunku. Uderzyłam kolanami w jakąś półkę i zaczęłam upadać.

Kwiaciarz wyskoczył do przodu, chwycił mnie za tułów i cisnął mną w stronę tęczy pyłków. Umieszczone za nami w szarej ścianie metalowe drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Znajdowaliśmy się w jego wanie, otoczeni kwiatami umieszczonymi w wiadrach z wodą.

Oboje zanurkowaliśmy pomiędzy nie, wyrywając rośliny i bez pardonowo odrzucając je na bok.

Zakrwawionymi dłońmi chwyciłam pierwszy z brzegu pojemnik, przechyliłam go i zaczęłam łapczywie pić, chcąc jak najszybciej zwilżyć piekące gardło. Z pośpiechu zadławiłam się w pewnym momencie i moim ciałem wstrząsnęła fala niepohamowanego kaszlu.

Przez wiele długich minut po prostu klęczeliśmy nad wiadrami i piliśmy. W przerwach pomiędzy braniem kolejnych haustów wody pluliśmy i odkasływaliśmy masę ziemistego gruzu.

Gdy w końcu poczułam, że mam czym oddychać, odwróciłam się do mojego wybawcy. Pokryty popiołem, był biały niczym duch i właśnie wycierał twarz ręcznikami papierowymi.

– Czy jest pani ranna? – spytał.

Spojrzałam na ręce, piekące od kontaktu z wodą. Na jednej z nich miałam wąskie rozcięcie, na drugiej kilka zadrapań. Nie wiedziałam, skąd wzięły się te rany.

– Ma pani krwawiącą ranę na głowie – powiedział mężczyzna, oderwał kawałek ręcznika, złożył go i przycisnął do mojego czoła. Uniosłam mniej bolącą rękę, aby przytrzymać prowizoryczny opatrunek.

– Proszę pokazać dłoń.

Spełniłam polecenie, a kwiaciarz otoczył ranę dwoma kawałkami ręcznika. Sięgnął po

gumową torbę, która leżała za jego plecami, i wyjął rolkę zielonej niczym świąteczna choinka taśmy kwiaciarskiej, po czym owinał nią moją rękę.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak myślę.

Ledwie rozpoznawałam swój głos – był ochryply i wyjątkowo zniekształcony. Po raz kolejny zakasłałam.

– Chyba nie możemy tutaj zostać.

Dopiero w tej chwili dotarło do mnie, że kucaliśmy jak dwie zjawy wśród rozrzuconych kwiatów, podczas gdy na zewnątrz rozgrywał się koszmar.

– Co takiego? – spytałam, chociaż doskonale usłyszałam, co powiedział.

– Powinniśmy poszukać lepszego schronienia. Tu nie jest bezpiecznie. Jak tylko uda nam się stąd wydostać, musimy uciekać.

Byłam otepiała i dziwnie spokojna, niemal popadając w stan szoku, co mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

– Proszę pani? Czy pani mnie słyszy? Jak się pani nazywa?

Moja uwaga skupiała się teraz jednak na porozrzucanych na moich kolanach tulipanach: mokrych i miękkich o barwie róż. Równie pięknych jak te wytkane na mojej sukience, które zniknęły pod warstwą kurzu i brudu.

– Proszę pani, jak ma pani na imię?

Kwiaciarz nachylił się, chwytając moje ramię. Delikatnie, ale stanowczo.

– Taryn – wyszeptałam. Mój głos zabrzmiał tak, jakby docierał z zaświatów.

– Karen?

Milczałam. Nie miałam sił wyprowadzać go z błędu. Palcami gładziłam miękki, piękny pąk tulipana.

– Ja nazywam się Mick. Nie sądzę, byśmy mogli tu zostać. Znajdujemy się zbyt blisko.

Jeśli druga z wież upadnie... – Mężczyzna urwał wypowiedź.

W drugiej wieży pracował Kent.

Uniosłam wzrok na kwiaciarza, podczas gdy ciepłe uczucie otepienia rozchodziło się po całym moim ciele.

– Czy to się dzieje naprawdę?

– Tak.

Znów mówił bez pośpiechu uprzejmym tonem.

– Dlaczego to się dzieje?

– Nie wiem.

W uszach po raz kolejny usłyszałam brzęk, z każdą sekundą coraz intensywniejszy. Ten dźwięk sprawiał, że wracałam do rzeczywistości. Nie chciałam go słyszeć.

– Karen, chyba musimy się stąd zbierać.

– On nie żyje – wypaliłam, brzęk w moich uszach był ostry i skrzypiący.

– Ja... Jest mi naprawdę przykro. – Mick znów sięgnął po moją rękę, dotykając jej tuż nad opatrunkiem, który sam wykonał. – Bardzo przykro.

– Gdyby nie ja, wciąż by żył.

Mick milczał przez chwilę.

– Jestem pewien, że to nieprawda.

Pokręciłam przecząco głową, po czym ciągnęłam swoje wyznanie.

– Zostawiłam mu wiadomość, że chcę spotkać się w restauracji Windows on the World za piętnaście dziewiąta. Chciałam mu powiedzieć, że będziemy mieli dziecko. Tak długo się o nie staraliśmy. Nie byłby tam, gdyby nie ja. Wydostałby się.

Mick chwycił moją rękę ze zdecydowaniem.

– To nie pani wina.

Ja jednak oczami wyobraźni mogłam widzieć jedynie, gdzie byłby Kent, gdybym do niego wówczas nie zadzwoniła. Udałoby mu się opuścić tłący się budynek i popędziłby w jakieś bezpieczne miejsce, jak tysiące innych osób.

– Wydostałby się – powtórzyłam ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni.

– Musimy stąd iść – powiedział stanowczo Mick, odsunął nieznacznie papierowy ręcznik od mojej głowy, po czym przycisnął go do niej ponownie.

Ale ja nie czułam potrzeby, by się spieszyć. Nie czułam niczego poza rozzwierającym ciężarem dokonanych przeze mnie wyborów.

– Powinnam była do niego zadzwonić, kiedy tylko się dowiedziałam – wymamrotałam. –

Gdybym tylko zadzwoniła i powiedziała mu od razu. Gdybym tylko...

Mick pochylił się, by wyrzeć przez przednią szybę i ocenić stan ulic, którymi mieliśmy uciekać. Potem przykucnął tak, by znaleźć się na linii mojego wzroku.

– Nie dam rady pojechać vanem. Będziemy musieli się stąd wydostać pieszo. Czy da pani radę? Czy może pani biec?

Nie byłam w stanie zrozumieć tego, co do mnie mówił. Zgrzyt między tym, co się właśnie stało, co było oczywiste, a tym, co miało wypełnić naszą walkę o przetrwanie, czego nikt nie mógł przewidzieć, odbierał mi mowę.

– Proszę się nie obwiniać, naprawdę – powiedział pewnym siebie głosem kwiaciarz. – Nie zrobiła pani nic złego. To ludzie kierowani nienawiścią odpowiadają za cały ten bałagan, nie pani. – W jego oczach pojawiły się łzy. – To terroryści zabili wszystkich tych ludzi.

Moje oczy łaknęły jego spojrzenia, a surowe i nieprzenikliwe uczucia wróciły do mnie, gdy po policzkach popłynęły mi świeże łzy.

– Ci ludzie skakali.

Te trzy słowa wyrwały się z moich ust, ostre niczym nóż.

– Tak, niektórzy z nich.

– Czy to bolało?

Mick mrugnął, a szklista wilgotność zbierająca się w jego oczach wymknęła się. Dwie łzy popłynęły po jego policzkach.

– Nie.

Ścisnęłam jego ramię.

– Skąd pan wie? Skąd pan wie, że to nie bolało?

– Bo to zdarzyło się zbyt szybko! Zbyt szybko. Musimy iść.

Urwał dwa długie kawałki ręcznika i wpakował je do wiader. Po wyciśnięciu nadmiaru wody, podał mi jeden z nich.

– Proszę zakryć nos i usta, a drugą ręką przytrzymywać kawałek ręcznika na czole.

– Jest pan pewien, że to nie trwało długo?

Musiałam usłyszeć jeszcze raz, że pomimo tego, co zrobiłam, Kent nie umierał w agonii.

– Tak, jestem pewien.

Przed wyruszeniem na to pole bitwy, gdzie bój toczyły ze sobą śmierć i przetrwanie, przypadek i przeznaczenie, potrzebowałam ostatniego zapewnienia, że zasługiwałam na to, żeby żyć.

– Mieliśmy się tam spotkać z Kentem. Spóźniłam się.

Mick położył obie dłonie na moich ramionach, patrząc mi prosto w oczy. Jego ręce były mokre od wody z wiadra.

– W takim razie jestem pewien, że umarł szczęśliwy, iż się pani spóźniła. Gdybym był na

jego miejscu, taka byłaby moja ostatnia myśl. Cieszyłbym się, że jest pani bezpieczna.

Z tą nową myślą, która miała napęłnić mnie siłą, osłoniłam twarz, a Mick otworzył drzwi.

Rzeczywistość na zewnątrz wana przypominała nuklearną zimę. Zamieć z żółtego pyłu i pokruszonego betonu wciąż kłębiła się wokół, a gryzący zapach unosił się z księżycowego krajobrazu, po którym stąpaliśmy. Słabe, perłowe światło na skraju zdeformowanego horyzontu zdradzało, że gdzieś za nami wciąż świeciło słońce. Przytłumiony jęk mnóstwa syren i alarmów robił wszystko, by zostać usłyszanym.

Nie miałam pojęcia, gdzie się znajdowaliśmy. Mick chwycił moje ramię i pospieszyliśmy przed siebie. Mijaliśmy mnóstwo samochodów, toteż stwierdziłam, iż prawdopodobnie biegliśmy ulicą. Tyle że otaczająca nas przestrzeń ani trochę jej nie przypominała. Pomimo mokrego ręcznika, który trzymałam przy twarzy, powietrze paliło moje oczy i płuca. We mgle widziałam kilka innych poruszających się kształtów, które kroczyły powoli w kierunku widocznego w oddali kręgu słabego światła.

Mick zatrzymał się przed czymś, co przypominało skrzyżowanie. Ledwie rozpoznawałam znaki drogowe. Byliśmy pomiędzy Maiden Lane a William Street. Mężczyzna odwrócił się do mnie i nachylił tak, iż nasze twarze dzieliło kilka centymetrów.

– Myślę, że powinienem zabrać panią do szpitala, aby ktoś mógł opatrzyć pani dłoń i ranę na głowie.

Nie oponowałam. Po prostu skinęłam głową, a on znów wziął mnie za rękę. Ruszyliśmy w kierunku północnym do oddalonego o trzy bloki stąd szpitala NYU. Im bardziej się do niego zbliżaliśmy, tym większe tłumy tych, którzy przetrwali, spotykaliśmy. Ludzie uciekali, byle jak najdalej od dopiero co przeżytego koszmaru.

Za sobą usłyszeliśmy ogłuszający trzask. Instynktownie odwróciliśmy się w stronę, z której dobiegał. Nie dostrzeżliśmy jego źródła, lecz dźwięk ten miał taki sam ton i tembr, jaki wydawała upadająca południowa wieża: przypominał głęboki, gardłowy ryk.

– Druga wieża upada!

Mężczyzna noszący kamizelkę ratunkową całą w bieli przebiegł obok nas.

– Nie zatrzymujcie się!

– Chodźmy! – krzyknął Mick i pociągnął mnie, popychając w mgliste półświatło.

Chwiejnym krokiem udaliśmy się do budynku, w którym mieścił się szpital. Pracownicy placówki, niektórzy ubrani w codzienną odzież,

kierowali ewakuantów do powstałego wewnątrz prowizorycznego centrum. Podali nam wodę i mokre ścierki, którymi mogliśmy wytrzeć twarze.

Nie byłam w pełni świadoma, że Mick mówił pielęgniarce o rozcięciu na mojej dłoni i ranie na głowie. Chwilę później posadzono mnie na krześle. Jakaś kobieta przetarła moją dłoń i twarz środkiem odkażającym, po czym posmarowała rany maścią i przyłożyła do nich gazę. Mick tymczasem przykucnął tuż przy mnie.

– Czy mam dla pani do kogoś zadzwonić? – zapytał. – Moja komórka nie działa, ale jest tam kilka automatów na monety, z których mógłbym zatelefonować. Jeśli jest ktoś, kogo mogę dla pani zawiadomić, chętnie poczekam w kolejce i to zrobię.

Nie odpowiedziałam od razu, więc odezwała się pielęgniarka.

– Nikt się tutaj do niej nie dostanie – powiedziała, pospiesznie owijając moją rękę bandażem. – Przepuszczane są tylko karetki. Tunele i mosty też zamknięto. No i metro. Możecie się stąd wydostać tylko pieszo.

– Ale ona... Czy mogę zamienić z panią słowo? – Mick i pielęgniarka odeszli ode mnie, a ja zauważyłam, że cisza, która wcześniej panowała, została zaburzona przez kakofonię przeraźliwych i dzikich ludzkich dźwięków. Zakryłam uszy dłońmi, by ich nie słyszeć.

Mick wrócił i ponownie przykucnął.

– Karen, zajmą się panią tutaj, dobrze?

Ręce opadły mi na kolana. Po paru sekundach pielęgniarka także znalazła się u mego boku.

– Znajdę lekarza, proszę się stąd nie ruszać – powiedziała, po czym udała się w stronę wyjścia, znikając z mojego pola widzenia.

– Czy da pani sobie radę? – zapytał Mick.

– Nie chcę tu zostawać.

Nie chciałam siedzieć w tym oszalałym miejscu, gdzie nikt nie potrafił zrozumieć tego, co zostało z pięknego poranka. Moją jedyną nadzieją było to, że Kent mógł opuścić restaurację, kiedy ja się spóźniałam. Może zdecydował się wyjść mi na spotkanie w holu, żeby wjechać ze mną na górę. A może coś go zatrzymało, tak jak mnie. Może próbował się do mnie dodzwonić, by powiedzieć mi, że to on się spóźni. Kiedy moja komórka nie odpowiadała, pewnie zaczął

dzwonić na nasz telefon domowy.

Musiałam się dostać do domu.

Mick ścisnął moją rękę.

– Zaopiekują się panią.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nie wypowiedziałam na głos imienia Micka. To on wyciągnął mnie z piekła na ziemi i przekonał, bym z niego wpełzała. To on uświadomił mi, że jeżeli przypadkowy telefon sprawił, że się spóźniłam, to samo mogło przytrafić się Kentowi.

Kent mógł właśnie zmierzać do domu; w tej samej chwili, w której ja powinnam to robić.

I to właśnie ten człowiek wydobył mnie z koszmaru, bym mogła oprzytomnieć i sobie to uzmysłwić.

Wysunęłam rękę spod dłoni Micka i dotknęłam jego imienia wyszytego na niegdyś zielonym fartuchu, który teraz kolorem przypominał wypłowiałą, wątrobową żółć.

– Dziękuję – powiedziałam.

W jego postawie jasne było to, że wziął na siebie ciężar odpowiedzialności za mnie.

Kiedy mu podziękowałam nieco odpuścił. Myślę, że wiedział, iż robiąc to, miałam na myśli znacznie więcej, niż tylko wyprowadzenie mnie z tego piekła.

Mick po raz ostatni ścisnął moją dłoń – nie po to, by biec ku schronieniu czy w geście pocieszenia, ale na pożegnanie. Oboje wiedzieliśmy, że najpewniej nigdy więcej się już nie zobaczymy.

– Czy da pani sobie radę? – zapytał jeszcze raz. Chciał zapewnienia, że może mnie opuścić. Do tej chwili nie pomyślałam nawet, że on również mógł martwić się o kogoś, kto był

w jednej z wież czy też chciał jak najszybciej zadzwonić się do swoich bliskich, by uspokoić ich, że wszystko z nim w porządku.

Przytaknęłam. Mick zwlekał przez chwilę, ale w końcu wstał i, puściwszy moją dłoń, skierował się ku wyjściu. Odwrócił się raz, a nasze spojrzenia się spotkały. Krzątający się ludzie zasłonili na moment sylwetkę Micka, a kiedy się nieco rozeszli, jego już nie było.

Nie miałam zamiaru czekać, aż pielęgniarka wróci. Szybko wstałam i opuściłam budynek.

Z łatwością wmieszałam się w spanikowany tłum, który podążał ku znajdującemu się kilka budynków dalej Mostowi Brooklińskiemu.

Pasy, którymi zawsze przejeżdżały samochody, teraz stanowiły drogę dla tysięcy pieszych, uciekających w stronę centrum miasta. Wielu zatrzymywało się, by oglądać się za siebie i patrzeć na zadymiony,

zniekształcony krajobraz Dolnego Manhattanu. Ja nie. Wśród skłębionej masy ludzi wypatrywałam Kenta i tylko z tego powodu co jakiś czas spoglądałam przez ramię w tył.

Z drugiej strony cieśniny East River witał nas, ewakuantów, tłum pełnych współczucia

ludzi, którzy oferowali nam wodę do picia lub podwiezienie do domu. Przyjęłam propozycję od srebrnowłosego pastora, który pięcioro takich osób zabrał do swojego kościelnego vana.

Kiedy dotarłam do domu, nie potrafiłam doczekać się przestąpienia progu. Wbiegając na klatkę piątego piętra, wołałam imię Kenta, zdziwiona, że wciąż mam ze sobą swoją torebkę, a w niej klucze, dzięki którym będę mogła otworzyć drzwi bez problemu.

Wpadłam do środka jak burza, ale mieszkanie ziało pustką. Kenta w nim nie było.

Pobiegłam do naszego telefonu stacjonarnego stojącego w kuchni. Okazało się, iż na parapecie przy oknie leżała moja komórka. Położyłam ją tam, chcąc rozprawić się z oknem, które nie chciało się zamknąć wcześniej rano. Aparat telefonu stacjonarnego sygnalizował osiem wiadomości, a na komórce miałam siedem nieodebranych połączeń i sześć sms-ów.

Trzy połączenia od Kenta na mojej komórce. Jedno od niego pozostawione na aparacie stacjonarnym. Dwa sms-y, również od niego.

Trzęsącymi się dłońmi nacisnęłam przycisk, by odsłuchać jego wiadomości głosowe.

Pierwszy telefon wykonał o ósmej czterdzieści osiem i zaledwie przez chwilę myślałam, że dzwonił z biura, a nie z restauracji.

– Taryn, doszło do eksplozji. Nie wsiadaj do windy. Jeśli wyszłaś już z domu, proszę, nie zbliżaj się do budynku. Coś się wydarzyło. Oddzwoń, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość.

Druga wiadomość, trzy minuty później, zabiła naiwną nadzieję, która narodziła się we mnie w szpitalu.

– To samolot. Samolot wbił się w piętra pod nami. Jest tu mnóstwo dymu. Boże, mam nadzieję, że nie było cię w windzie. Oddzwoń, proszę. Na wszelki wypadek zadzwonię też na domowy.

Trzecią wiadomość nagrał o dziewiątej.

– Nie możemy... Nie możemy zejść schodami. Boję się, że nie odpowiadasz, bo... Coraz trudniej oddychać. Muszę dać zadzwonić jednej z kelnerek do jej rodziny. Proszę, daj mi znać, że jesteś bezpieczna.

Złamana, upadłam na podłogę. Wiadomości wysłał mi siedem minut po dziewiątej, o dziewiątej czternaście i dziewiątej dwadzieścia siedem.

„Czy udało ci się wydostać? Napisz!”

„Nie wydam się na dach. Zbyt gorąco. Wybijają okna. Czy jesteś bezpieczna?”

„Została jedyna droga ucieczki. Kocham Cię, Taryn. Skaczę”.

Nie wiem, jak długo leżałam na podłodze z komórką ściśniętą w dłoni. Kiedy pochłania cię rozpacz, tracisz poczucie czasu.

W pewnej chwili telefon zadzwonił i jakimś cudem zdołałam unieść go do ucha. Pełen ulgi płacz mojej matki niczym ostrze wbijał się w otchłań mojej rozpacz.

– A czy z Kentem też wszystko w porządku? – spytała.

– Nie. Nie.

Potem byłam rada, że nie musiałam mówić nic więcej. Mama, dzięki Bogu, nie zadawała mi dziesiątek pytań. Zadała tylko jedno.

– Och, Taryn! Czy jesteś pewna?

Moi rodzice zadzwonili do rodziny Kenta, wybawiając mnie od tego okropnego

obowiązku. Zatelefonowali również do Celine, która była w Paryżu, i kilku innych bliskich przyjaciół w Stanach. Kiedy wciąż siedziałam otepią z bólu w swoim mieszkaniu, brat Celine i jego żona przyjechali zabrać mnie do siebie, bym nie musiała spędzać pierwszej nocy bez Kenta sama.

Moim rodzicom przybycie do Nowego Jorku z Wisconsin zabrało trzy dni. Rodzice Kenta łatwiej dostali się na miejsce, przyjeżdżając pociągiem z Connecticut po dwóch dniach.

Poza tym nie pamiętałam zbyt wiele z tych kilku pierwszych dni mojego nowego życia jako wdowy. Wiem, iż powiedziałam moim rodzicom i teściom, że spodziewam się dziecka i że kiedy to zrobiłam, ogromny ciężar żałoby nieco stracił na sile. Przynajmniej na krótką chwilę.

Gdy Celine w końcu wróciła z Paryża, przypomniałam sobie, że w dniu śmierci Kenta trzymałam szalik. Bardzo stary i piękny, który, choć do mnie nie należał, ocalił mi życie. Nie miałam pojęcia, co się z nim stało.

To, co najlepiej pamiętałam i co wciąż pamiętam z tych pierwszych dni, to poczucie winy. Kent myślał, że nie żyłam, bo nie odpowiadałam na jego telefony i wiadomości. Czy to, że zapomniałam wziąć z domu komórkę było kolejnym nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności?

A może świadomym zamysłem Boga?

Zdjęcie w czasopiśmie, pytanie w oczach Kendal, zbliżająca się nieuchronnie dziesiąta rocznica, telefony od reporterów i producentów, pełne współczucia spojrzenia klientów oraz sąsiadów, którzy rozpoznali mnie na fotografii – wszystko to miało mi przypominać, że po dziś dzień nie znałam odpowiedzi na te pytania.

Mogłam odciąć się przed nimi umysłem i sercem, lecz nie gdy wychodziły z ust Kendal.

Moja córka chciała wiedzieć, dlaczego nigdy jej nie powiedziałam, że byłam na ulicy przed World Trade Center, kiedy upadły wieże i zginął jej ojciec.

Celine z pewnością z nią o tym rozmawiała, bo dziewczynka już nigdy więcej nie wspominała o tym przy mnie. Mimo to sprawa nadal pozostawała nie do końca rozwiązana, co niezmiernie ciążyło mi na sercu. Wiedziałam, że Kendal ma pytania. Słodki Jezu, po tych wszystkich latach ja także je miałam.

Trzy dni po publikacji zdjęcia, rankiem 9 września, Kendal zapytała mnie, czy wybiorę się z nią i rodzicami Kenta na ceremonię upamiętnienia. Było jasne, że bardzo chciała, abym poszła. Mogłam jej jedynie powiedzieć, że wciąż się nad tym zastanawiam.

Tego samego poranka, kiedy Kendal wyszła do szkoły, a w sklepie ucichło pomiędzy godzinami porannymi a popołudniowymi, zadzwonił telefon. Celine i Leslie obsługiwały klientów, więc podniosłam słuchawkę.

– Heirloom Yard. Taryn przy telefonie. W czym mogę pomóc?

– Taryn Michaels? – Zmarszczyłam brwi, nie rozpoznając głosu.

Czyżby kolejny reporter?

– Tak. W czym mogę pomóc?

Mężczyzna zawahał się, zanim odpowiedział.

– Mick Demetriou przy telefonie.

Nie skojarzyłam jego nazwiska. Nie od razu.

– Przepraszam, kto?

– Ze zdjęcia z najnowszego wydania tygodnika „People”.

Po raz drugi w tym tygodniu musiałam podeprzeć się na stole do cięcia materiału, by ustać na nogach.

– Kwiaciarz?

– Tak. Tak się cieszę, że w końcu panią znalazłem. Mam pani szalik.

Rozdział dwudziesty szósty

Clara
Manhattan
Wrzesień 1911

Pomost tętnił życiem. Tak bardzo, że przemieszczanie się przez tłum i kluczenie pomiędzy budynkami odciągało moją uwagę od faktu, że nie byłam już w moim miejscu pośrednim, ale wróciłam tam, gdzie życie przypominało szaloną karuzelę.

Mocny uścisk Ethana wokół mojej talii i moja przygarbiona sylwetka przyciągnęły ciekawskie spojrzenia. Ludzie nie potrafili się na mnie nie gapić. Zupełnie jakbym była świeżo pojmanym uciekinierem czy osobą chorą, która miała zaraz zwymiotować. Albo pacjentem szpitala psychiatrycznego ścigających przechodniów z siekierą w ręku. Te wszystkie spojrzenia zakłócały mój spokój i sprawiały, iż czułam się niekomfortowo.

Kiedy w końcu stanęliśmy na ulicy w Battery Park, Ethan nalegał, byśmy wzięli taksówkę. Pomógł mi wejść do środka, po czym zamknął drzwi, oddzielając mnie od ulicznych hałasów i gwaru miasta. Oparłam się na skrzypiącej pod moim ciężarem skórce, a pojazd ruszył.

Ethan po raz kolejny wziął moją dłoń, trzymając ją tak, by dać mi do zrozumienia, iż nie byłam z tym wszystkim sama.

– Do hotelu Albert. I proszę jechać przez Broadway – powiedział kierowcy, po czym zwrócił się do mnie. – Głębokie oddechy, Claro.

– Wszystko w porządku – szepnęłam.

– Jesteś blada. Oddychaj głęboko.

Usłuchałam. Tymczasem kierowca skręcił w Broadway. Zmierzaliśmy na północ,

w kierunku Greenwich Village i hotelu, w którym zatrzymał się mój ojciec. Nigdy wcześniej tam nie byłam. Prawdę mówiąc, przez dwa tygodnie, kiedy to mieszkałam na Manhattanie, nie poznałam zbyt wielu miejsc. Jednak po kilku minutach jazdy taksówką, kiedy to starałam się nie oddychać zbyt szybko i zamiast tego postanowiłam skupić się na uczucia dłoni Ethana w swojej, widok za oknem stawał się coraz bardziej znajomy. Zbyt znajomy.

Nachyliłam się do przodu i zaczęłam wpatrywać się intensywnie w zmieniający się za oknem krajobraz.

– Dokąd jedziemy?

– Już dobrze, Claro. Nie będziemy mijać Placu Waszyngtona. Omijamy go. Jeśli chcesz, po prostu zamknij oczy. Otworzysz je, kiedy będziemy na miejscu.

Wiedziałam, gdzie się znajdowaliśmy. Byliśmy blisko. Nagle coś spadło za oknem i na ten widok odsunęłam się, lądując na piersi Ethana.

– To tylko kawałek gazety niesionej wiatrem, nic więcej.

Racjonalna część mnie to wiedziała, lecz wyobraźnia rządziła się własnymi prawami.

Skrawek papieru wyglądał dla mnie jak popiół, a Ethan doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Dzielą nas od tego miejsca trzy bloki. Stąd go nie dostrzeżesz.

Kiwnęłam głową, starając się zignorować ciężar w piersi. Pragnąc pozbyć się go za wszelką cenę.

– Dlaczego tak musi być? – wyszeptałam.

– Tak będzie tylko dzisiaj. Następnym razem wszystko wyda się prostsze. Z każdym kolejnym będzie ci łatwiej.

Uwierzyłam mu i poprawiłam się na swoim miejscu, mając nadzieję, że panika, która miała mnie już chwilę temu zjeść, wkrótce minie. Kilka minut później taksówka skręciła w lewo w Dziesiątą Ulicę, której nie znałam. Potem zaczęliśmy mknąć wzdłuż krawężnika, a nad nami wyrósł budynek hotelu Albert – dwanaście pięter cegły i granitu.

Ethan podał kierowcy pieniądze, zanim w ogóle zdołałam pomyśleć, by sięgnąć do torebki. Potem wysiadł z samochodu i obszedł go, by otworzyć przede mną drzwi. Podał mi swoją dłoń, a ja wysiadłam powoli, oddychając według jego wcześniejszych wskazówek. Kiedy już pewnie stałam na chodniku, utkwiałam wzrok w hotelu. Bardzo przypominał Asch Building.

– Wszystkie wyglądają tak samo – wyszeptałam.

– Ale są inne.

Ethan zamknął drzwi taksówki i samochód odjechał.

– Czy chcesz, bym zaprowadził cię do środka?

Pokiwałam przecząco głową.

– Dam sobie radę.

Gdy tylko to powiedziałam, dotarło do mnie, jak wiele Ethan zrobił dla mnie tego ranka.

Wiedziałam, że nie stałabym tutaj, gdyby nie on.

– Jestem ci tak bardzo wdzięczna za twoją pomoc. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Właśnie to zrobiłaś.

Uśmiechnął się do mnie i unióśł dłoń, zawahał się, po czym znów ją unióśł i założył mi swobodny kosmyk włosów pod kapelusz. Dotyk Ethana jedynie na chwilę wytrącił mnie z równowagi, bo w sekundę zdałam sobie sprawę, że kulenie się ze strachu i napięcie z pewnością odbiły się na moim wyglądzie.

– O Boże! Pewnie wyglądam jak strach na wróble!

Sięgnęłam do torebki po lusterko, ale nie mogłam go znaleźć.

– Wyglądasz ślicznie.

– Zapomniałam lusterka!

– Claro, wyglądasz dobrze – zapewnił mnie Ethan, a kiedy uszczypnęłam się w policzki i oblizalam usta, po raz kolejny się do mnie uśmiechnął. – Wróć do ciebie o drugiej. Spotkamy się w holu.

– Dokąd pójdziesz?

– To Manhattan. Znajdę sobie jakieś miejsce na te dwie godziny.

Nagle ogarnął mnie smutek, że musieliśmy się rozstać, wiedziałam też jednak, że na spotkanie z ojcem chcę pójść sama.

Ethan unióśł rondo kapelusza i zaczął odchodzić, ale odwrócił się i wiedziałam, że czekał, aż wejde do hotelu i dopełnię mojej podróży. Zrobiłam więc krok w kierunku wejścia do budynku, a portier w uniformie otworzył mi drzwi i grzecznie przywitał.

Byłam na miejscu.

Nie zastanawiałam się za dużo nad tym, co powiem ojcu lub co on może powiedzieć mnie. Od czasu, kiedy otrzymałam jego list w poniedziałek, skupiałam się tylko i wyłącznie na tym, by dotrzeć do hotelu. Teraz, przemierzając hol, uświadomiłam sobie, że powód, dla którego pozostawałam na wyspie, otrzymał wymowny cios. Zbliżałam się do drzwi jadalni. Byłam poza Ellis, na Manhattanie. Od miejsca, gdzie piekło uchyliło przede mną swoje wrota, dzieliły mnie trzy budynki. A ja byłam w stanie iść dalej. Gdzieś wewnątrz mnie zdawało się narastać niecodziennie uczucie pewności siebie.

Ojciec siedział przy oknie i podniósł się, kiedy kelner, spotkany przy wejściu do

pomieszczenia, przyprowadził mnie do niego. Wyglądał dokładnie tak, jak sześć miesięcy temu, kiedy on i matka przybyli zabrać mnie do domu po pożarze, a ich misja poniosła klęskę.

Zastanawiałam się, czy i ja nic się dla niego nie zmieniłam.

– Claro!

Wziął mnie w ramiona i ucałował w policzek. Wyczuwałam od niego zarówno wiejskie powietrze, jak i zapach tytoniu, a nawet nieco wodę kolońską matki, pozostawioną zapewne na jego ubraniu po uścisku na pożegnanie.

– Witaj, papo.

Odsunął się ode mnie, choć jego dłonie pozostały na moich ramionach.

– Jesteś!

– Ty... Ty mnie zaprosiłeś.

– Ale nie byłem pewien, czy przybędziesz. Henrietta uważała, że możesz nie przyjechać.

Uśmiechnęłam się nerwowo.

– Ale jestem. Usiądziemy?

– Ależ tak, oczywiście.

Kelner, który stał beczynnie, patrząc, jak witam się z ojcem, odsunął teraz moje krzesło.

Kiedy siadałam, przygotowywałam się w duchu na to, co jeszcze mogła powiedzieć ojcu Henrietta.

– Co u reszty? – zapytałam. Kelner podał mi menu, a ja skinęłam głową w podziękowaniu. – Z mamą wszystko w porządku?

– Wszyscy mają się dobrze. Zastanawialiśmy się, jak ty się czujesz. Właściwie to się martwiliśmy. Chyba wspominałem ci o tym w liście.

Upiłam łyk wody z kryształowej szklanki stojącej tuż przede mną. Wewnątrz pobłyskiwał

niewielki kawałek cytryny w kształcie spirali.

– Tak, wiem. Jak widzisz, mam się dobrze.

Tata splótł ze sobą dłonie i spojrzał na mnie, uważnie obserwując i analizując w sposób, w jaki widywałam go rozważającego niejasny objaw jakiejś choroby.

– Wyglądasz oczywiście wspaniale, ale... Henrietta wspominała, że wyczuwała

melancholię w twoich listach. I że właśnie z tego powodu nie opuszczałaś wyspy, od kiedy na nią przybyłaś. Ani razu.

Ostrożnie odstawiłam szklankę.

– Henrietta nic nie pisała mi o tych wątpliwościach.

– Ale dziś jesteś poza wyspą po raz pierwszy. Czy to prawda?

W jego oczach dostrzegłam troskę. Wiedziałam, że nie chciał na mnie niepotrzebnie naciskać ani tym bardziej naskakiwać, ale musiał koniec końców być moim ojcem i musiał

upewnić się, że mną wszystko w porządku.

– Tak. A mimo to jestem tu dzisiaj.

– Jednak wiele cię to musiało kosztować, mam rację? Widzę, że tak.

Jedną z zalet bliskiej współpracy z kimś przez wiele lat jest to, że umiemy wyczuwać niewypowiedziane myśli i potrafimy odczytywać mowę jego ciała. Ojciec odczytał historię mojej męki równie łatwo, jak menu leżące pod jego łokciem.

– Tak, było nieco trudno. Ale poradziłam sobie, papo. Przyjechał ze mną przyjaciel, aby upewnić się, że dotrę na miejsce.

Ojciec po raz kolejny poddał moją twarz analizie, poszukując tropu wiodącego do tego, czego mu nie mówiłam. Wyczuł, że na rzeczy musiało być coś więcej.

Kiedy ja z kolei wpatrywałam się w niego, wiedziałam, że prawdopodobnie mogę mu zaufać i opowiedzieć ze szczegółami o wpływie Edwarda na moje życie. W tej jednej chwili

uświadomiłam sobie ważną rzecz. O mojej stracie powiedziałam różnym ludziom – Dolly, Ethanowi, a nawet Andrew Gwynnowi. Żadne z nich nie uważało mnie za głupią tylko dlatego, że zakochałam się w mężczyźnie, którego ledwie znałam. Nikt też nie wykpił tego, w jaki sposób opłakiwałam jego śmierć.

Z drugiej strony zdawało się, że ilekroć opowiadałam komuś o Edwardzie, jego wpływ na mnie nieco się zmniejszał. A ja nie chciałam, aby zniknął z mojego życia. Już zaraz po jego śmierci pozostało mi po nim niewiele, co dopiero teraz i w przyszłości.

– Przechodziłam przez trudny okres, przyznaję. A koszmar płomieni pochłonał... Zabrał

mi sporo sił, bym nauczyła się z tym żyć. Ale nie jestem już tą samą osobą, którą pamiętasz z naszego ostatniego spotkania.

– W takim razie dopuszczasz już do siebie myśl o przeprowadzce? Może chcesz poszukać nowej pracy?

Powierciłam się na krześle.

– Nie, nie szukam kolejnej pracy. Podoba mi się ta na Ellis.

– Zdaje się jednak, Claro, że to miejsce nie pozwoliło ci ruszyć dalej. Przynajmniej my tak to widzimy.

– My?

– Twoja matka i ja. I Henrietta. Wszyscy możemy to odczytać z twoich listów.

Szczególnie Henrietta. Owszem, zgodzę się, że nie jesteś tą samą dziewczyną, którą widzieliśmy tuż po pożarze, ale nie jesteś też tą, która opuściła dom, przenosząc się do szkoły pielęgniarstwa.

Zmieniłaś się, Claro.

– Wszyscy się zmieniają.

Ojciec przytaknął.

– Ależ oczywiście. Ale nie zawsze zmiana wychodzi na dobre.

Kiedy tylko słowa te opuściły jego usta, usłyszałam echo moich własnych, które wypowiedziałam do Ethana przed kilkoma dniami.

– Wydajesz się smutna – ciągnął tata. – A to sprawia, że i my się smucimy. Uważam, że powinnaś opuścić Nowy Jork. Wszyscy tak uważamy.

Przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Kiedy już to zrobiłam, zaskoczyłam samą siebie.

– Jestem dorosłą kobietą, papo. Podejmuję własne decyzje o tym, gdzie mieszkam i pracuję. Tak jak ty, od kiedy stałeś się dorosły.

Nigdy wcześniej nie mówiłam do ojca takim tonem. Na końcu języka miałam słowa przeprosin, lecz tata odezwał się, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

– Masz całkowitą słuszość. Nie mówię ci, co masz robić. Podsuwam ci jednak pewną myśl, Claro, bo kocham cię i postrzegam twoje życie z perspektywy tobie niedostępnej. Byłaś świadkiem czegoś... strasznego. Straszniejszego, niż dałaś mi to odczuć. Uważam, że pozostając w Nowym Jorku, na Ellis, wymagasz od siebie samej zbyt wiele.

– Ale ja chcę być w Nowym Jorku!

– Chciałaś tu być. Nie sądzę, że to wciąż jest miejsce, o którym kiedyś śniłaś. Już nie.

Wówczas zjawił się kelner, ale zauważył, że prowadzimy ożywioną dyskusję i pomknął dalej.

Spojrzałam ojcu w oczy.

– Nie wrócę do Pensylwanii.

– Wcale cię do tego nie namawiam.

Między nami zapadła chwila ciszy.

– Nie?

– Nie. Wiem, że uwielbiasz miasto, i zdaję sobie sprawę, że spokojne mieszkanie na wsi nie jest tym, czego pragniesz. Ale istnieje też życie poza Nowym Jorkiem, Claro.

Przyjechał tutaj z propozycją. Teraz to było dla mnie jasne.

– Co sugerujesz?

– Mój przyjaciel, profesor w szkole medycznej, wybiera się w roczną podróż do Edynburga w związku z projektem badawczym na tamtejszym uniwersytecie. Jego żona nie cieszy się dobrym zdrowiem i wymaga stałej opieki. Chce zatrudnić pielęgniarkę, która wybrałaby się z nimi do Szkocji. Co drugi weekend miałybyś wolne. Mogłabyś też podróżować z nimi i zwiedzić pozostałe brytyjskie wyspy, jak też i kontynent. Powiedziałem mu, że zapytam cię o to. Jeśli tylko zechcesz, ta posada jest twoja.

– Edynburg?

W tym jednym słowie zawarłam dziesiątki pytań. Ojciec zdawał się dostrzegać wszystkie.

– Wiem, że chciałaś zobaczyć Europę równie mocno, jak ciągnęło cię do Nowego Jorku.

Właśnie nadarza się ku temu okazja. To tylko rok. Kiedy wrócą do Stanów, będziesz mogła postanowić co dalej. To mili ludzie. Szczególnie ona, pomimo problemów ze zdrowiem –

stwierdził ojciec z niewielkim uśmiechem. – Twojej matce i mnie będzie smutno mieć cię tak daleko od siebie, ale dzięki temu opuścisz przynajmniej wyspę.

Myśl o opuszczeniu Ellis na zawsze był zarówno ożywiająca i przerażająca. Niemalże zapało mi dech w piersiach.

– Obiecasz mi, że się nad tym zastanowisz? Nie musisz odpowiadać teraz, masz na to około tygodnia. Wyruszają początkiem października.

– Obiecuję.

Uśmiechnął się, sięgnął dłonią przez stół i przykrył nią moją.

– Tak się cieszę, że to mówisz. I że przyjechałaś tutaj dzisiaj. Jestem pewien, że był to dla ciebie znacznie większy wysiłek, niż to okazujesz.

Odwzajemniłam jego uśmiech, nie chcąc ani potwierdzać, ani zaprzeczać. Ojciec puścił

moją dłoń i oboje sięgnęliśmy po nasze karty z menu.

Rozdział dwudziesty siódmy

O godzinie czternastej mój ojciec był umówiony na śródmieściu z kolegą z pracy, za co przeprosił, ja jednak z zadowoleniem pocałowałam go na pożegnanie piętnaście minut wcześniej.

Chciałam chwili tylko dla siebie, żeby pozbierać myśli, i zatopić się w tym skrawku samotności i rozważyć przed powrotem Ethana propozycję dotyczącą wyjazdu z Nowego Jorku.

Powiedziałam ojcu, że wyślę mu telegram do połowy miesiąca, potwierdzając lub odrzucając ofertę.

Po jego wyjściu usadowiłam się na krzesłach w holu, skąd miałam widok na przednie drzwi. Kiedy oczami wyobraźni widziałam siebie spędzającą rok w Szkocji, podróżującą po Europie i zajmującą się tylko jedną słabą kobietą, poczułam dziwny, ale przyjemny ból powodowany strachem przed utratą mojej wyspy. To był ból utraty czegoś, co było wygodne tylko dlatego, że było znane, a nie drogie memu sercu. Po raz pierwszy od czasu, gdy wyspa stała się moim domem, mogłam wyobrazić sobie, jak pakuję dobytek i ją opuszczam.

Jeśli naprawdę miałam zapomnieć o Edwardzie, nie mogłam zrobić tego na pół gwizdka.

Mimo wszystko myśl o tym nappełniła mnie takim samym lękiem, jakiego doświadczyłam dzisiaj rano podczas opuszczania Ellis.

Wspomnienie Edwarda czyniło moje życie pełniejszym, ale i wprowadzało do niego smutek. Rozmyślanie nad dalszą drogą pozbawioną tych uczuć tak bardzo mnie pochłoneło, że nawet nie zauważyłam, kiedy Ethan wszedł do hotelu. Dopiero po chwili zorientowałam się, że stał tuż przede mną, trzymając kapelusz w dłoni.

– Czy stało się coś złego? – zapytał uprzejmie, kiedy nasze spojrzenia się spotkały.

Wstałam szybko.

– Od jak dawna tu stoisz?

– Niezbyt długo. Czy coś się stało? – powtórzył pytanie.

– Tak, to znaczy, nie. Wszystko dobrze.

– To wspaniale. – Uniósł brew w niedowierzaniu. – Czy tak zazwyczaj reagujesz, kiedy coś idzie po twojej myśli?

– Jestem po prostu zaskoczona. Myślałam, że ojciec będzie próbował przekonać mnie do powrotu do domu w Pensylwanii. Ale nie zrobił tego.

Ethan wziął mnie pod ramię i zaczęliśmy zmierzać w kierunku drzwi.

– W takim razie to musiała być miła wizyta.

Na zewnątrz powitały nas promienie słoneczne typowe dla wczesnego popołudnia.

– Ojciec uważa, że powinnam opuścić Nowy Jork.

Ethan uniósł dłoń, chcąc zatrzymać taksówkę, lecz usłyszawszy moje słowa, opuścił ją.

– Przez to, co tutaj przeszłaś.

– Tak.

– A czy ty też uważasz, że tak właśnie powinnaś postąpić?

Pokręciłam głową.

– Nie wiem. Znalazł mi posadę u starszej pary, która przeprowadza się na rok do Szkocji.

Mężczyzna będzie pracował nad projektem badawczym na uniwersytecie. Jego żona jest słaba i potrzebuje stałej opieki.

– Do Szkocji? – spytał Ethan takim tonem, jakby nie do pomyslenia była możliwość, że się zgodzę.

– Zawsze chciałam zobaczyć Europę. I wiem, że nie mogę pozostać na Ellis do śmierci.

Zawsze to wiedziałam.

– Tak, ale jedyne, co trzyma cię na tej wyspie, to ty sama, Claro. Możesz opuścić ją w każdej chwili. I nie musisz od razu wyjeżdżać aż do Szkocji.

Słowa Ethana kryły ziarno prawdy i, mówiąc szczerze, była to prawda, którą znałam już od dawna. To ja przykułam się łańcuchami Ellis. Jeżeli miałabym opuścić ją i udać się do Szkocji czy gdziekolwiek indziej, to musiałam wprawdzie załatwić kilka rzeczy. Jeśli będę czekać, być może stracę odwagę, szczególnie jeśli wrócę na wyspę i pozwolę jej się uspić i ponownie zniewolić.

Wiedziałam jednak, że z Ethanem u mojego boku dam sobie z wszystkim radę.

– Chcę przejechać obok Asch Building – powiedziałam.

Mężczyzna wpatrywał się we mnie w lekkim osłupieniu.

– Słucham?

– Chcę przejechać obok tego budynku.

– Masz świadomość, że dwie godziny temu, kiedy myślałaś, że go mijamy, niemal...

– Tak, wiem. Ale chcę spróbować. To co innego, kiedy sama o tym decyduję. Czy tego nie widzisz? Kiedy myślałam, że mijamy ten budynek, i

o tym nie wiedziałam, czułam się bezsilna. Ale jeżeli poproszę, by obok niego przejechało, to ja decyduję.

Ethan nadal jednak wydawał się mocno wątpić, czy aby na pewno zdawałam sobie sprawę z tego, co chciałam zrobić, z wszystkich za i przeciw.

– Dobrze – odparł w końcu powoli.

– Muszę pogodzić się z tym, co wydarzyło się między Edwardem a mną. Muszę

przejechać obok miejsca, w którym widziałam, jak umierał. I chcę odnaleźć cmentarz, na którym go pochowano. Tak jak zasugerowałeś. Chcę to zrobić.

Pewność w moim głosie zaskoczyła nas oboje.

– W takim razie tak właśnie zrobimy.

Ethan wziął mnie pod ramię i drugą ręką zatrzymał przejeżdżający powóz, a kiedy już wsiedliśmy, powiedział kierowcy, aby przewiózł nas ulicą przy Asch Building. Mężczyzna jednak oznajmił z prostotą:

– Jeśli chcecie zobaczyć pozostałości po pożarze, to nie macie się na co nastawiać. Nie został po nim ślad. Powtarzam to turystom od jakiegoś czasu.

– Po prostu proszę przejechać obok, dobrze? Tylko, proszę, powoli – powiedział Ethan uprzejmie.

Kierowca wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem. Ruszyliśmy i w ciągu kilku minut widzieliśmy już Plac Waszyngtona, a także wysoki, ceglany budynek – świadka mojej niedoli. Podświadomie sięgnęłam po dłoń Ethana.

– Powiedz mu, żeby skręcił w Greene Street. – W moim głosie słychać było napięcie.

Ethan powtórzył moje słowa.

Z każdą chwilą budynek stawał się coraz większy, aż w końcu całkowicie wypełnił mi pole widzenia. Ogromny ciężar, tkwiący w mojej piersi przez cały dzień, z nagłą rozkwitł niczym róża w oranżerii. Ledwie słyszałam głos Ethana, powtarzający, że jestem bezpieczna.

Bezpieczna. Bezpieczna.

Kierowca prowadził powoli, tak jak go o to poprosiliśmy, kiedy jednak skręcaliśmy w Greene Street, kątem oka dostrzegłam, że od czasu do czasu posyłał mi ukradkowe spojrzenia.

– Proszę się zatrzymać! – Mój głos był ochrypły i przywoływał na myśl atakowany przez wiatr stary, zniszczony kawałek metalu, który ktoś porzucił na dworze.

– O co chodzi? – zapytał Ethan.

– Powiedz mu, żeby się zatrzymał – powtórzyłam głośniejszym głosem, a kierowca ściągnął cugle.

Podczas gdy Ethan dopytywał się, czy na pewno tego chcę, wyszłam z powozu. Tym

samym stanęłam tuż przed warzywniakiem, a intensywne zapachy ubrudzonych ziemią warzyw i niezapomnianego dymu natychmiast mnie dopadły. Ethan wyskoczył za mną i słyszałam, jak mówi kierowcy, by na nas zaczekał. Ja jednak byłam ledwie świadoma jego obecności obok.

Ruszyłam przed siebie z zamiarem przejścia na drugą stronę ulicy. Szłam z determinacją, niezrażona dźwiękiem klaksonów pojazdów i brzęczących dzwonekóww rowerzystów. Gdy wchodziłam na chodnik, gdzie upadały ciała ofiar pożaru, zdawało się, że jakaś zewnętrzna siła tchnęła we mnie moc. Chodnik ten został wymyty do czysta ze śladów ludzkiej tragedii.

Wszystkie czerwone plamy odeszły w zapomnienie, a ludzie przechodzący obok zdawali się zupełnie nieświadomi, gdzie tak naprawdę stawiali stopy. Ukucnęłam przy płycie chodnika i przycisnęłam dłoń do ciepłego kamienia.

– Przepraszam – szepnęłam. – Przepraszam.

Ethan ukląkł tuż przy mnie, zapewne po to, by w razie potrzeby mnie podtrzymać, pochwycić w swe ramiona, gdyby obezwładniła mnie rozpacz. Ale ja nie czułam rozpaczycy tu, na tym z pozoru zwyczajnym chodniku w sercu Manhattanu. Czułam jedynie żal z powodu tego, że my, ludzie, jesteśmy tak krusi.

Nasze ciała są słabe. Mimo to potrafimy odczuwać emocje ponad ich miarę, tak silne, że gdyby ciało w istocie mogło dorównać mocy ukrytej w naszych sercach, mogłabym bez problemu znaleźć się u boku Edwarda, kiedy stał w płonącym oknie, i sprowadzić go na ziemię.

Albo on mógłby znaleźć się przy mnie.

Jednak siła tego, co miałam w środku, nie równała się tej z zewnątrz.

– Nie mogłam go ocalić – powiedziałam na głos.

Po kilku chwilach poczułam na ramionach ręce Ethana. Mężczyzna pomógł mi wstać i poprowadził w kierunku dorożki. Wróciliśmy do niej w

ciszy. Ethan pomógł mi wejść do środka i zamknął drzwi, a wtedy kierowca spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczyma. Kiedy Ethan usiadł obok mnie, od razu zwrócił się w moją stronę i chwycił moją dłoń.

– Czy wciąż chcesz wiedzieć, gdzie został pochowany?

Przytaknęłam. Ethan zwrócił się do kierowcy.

– Proszę do głównej siedziby gazety „The New York Times”.

Kierowca, ruszając wolno z miejsca, nie odezwał się ani słowem.

– Czy wszystko w porządku?

Dłuższą chwilę zajęło mi udzielenie Ethanowi odpowiedzi, ale, co dziwne, czułam się dobrze. Wciąż odczuwałam ogromny smutek z powodu mojej straty, ale te chwile, kiedy klęczałam na chodniku, gdzie zmarł Edward, przypomniały mi, że mężczyzna, którego kochałam, był prawdziwy. Iskra naszego romansu była prawdziwa. Była na tyle słodka, bym mogła się nią cieszyć, i trwała na tyle długo, bym mogła ją opłakiwać.

– Było warto – powiedziałam w końcu. – Nie żałuję, że go poznałam. I cieszę się, że mogę to powiedzieć.

Ethan dotknął grzbietu mojej dłoni w niemym potwierdzeniu.

Mówienie, że kochanie kogoś i bycie kochanym jest warte każdej ceny, zawsze powinno dawać nam szczęście. Po raz pierwszy od czasu otwarcia listu od ojca poczułam się odprężona.

Dzwoniący ciężar w mojej piersi zmniejszył się do niewielkiej wagi niedokończonych sprawy, nieobciążonej żadnym lękiem.

Edward powiedział mi, że jego rodzice mieszkali w Nowym Jorku od chwili, gdy zeszli z promu. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że tutaj pochowali swojego syna. Tylko tak mogłam się z nim pożegnać, podziękować mu za to, że mnie kochał, powiedzieć mu, jak przykro mi było, że czekał na mnie na dziewiątym piętrze w chwili wybuchu pożaru, i że nigdy nie zapomnę, jak wspaniałomyślnie zaoferował swoją dłoń tej młodej kobiecie, kiedy oboje skoczyli

w przestworza niebios.

Jechaliśmy w ciszy, ale nasze dłonie były złączone. Cieszyłam się, że Ethan wiedział, iż nie potrzebowałam w tych chwilach żadnych słów. Powoli zbliżaliśmy się do centrum miasta.

Wysiedliśmy na Broadwayu i Ethan wziął mnie pod ramię, kiedy wchodziliśmy do budynku gazety. Zapytał uśmiechniętą kobietę przy recepcji, gdzie mogłabym poszukać nekrologu ofiary pożaru fabryki Triangle Shirtwaist. Zaprowadziła nas do pokoju, gdzie można było

obejrzeć poszczególne numery gazety. W drewnianej ramie na kijkach zwisały najnowsze wydania, lecz to, którego potrzebowałam, było wcześniejsze. Recepcjonistka wróciła kilka minut później z gazetami w dłoniach. Kiedy mi je wręczyła, poinformowała mnie, że nie pobiorą za nie opłaty. Musiała sama wywnioskować, że poszukuję nekrologu kogoś, kto był mi drogi i kto zginął w pożarze, o którym wciąż mówiło to miasto.

Zajęłam miejsce przy drewnianym stole i rozłożyłam gazety. Były datowane na

poniedziałek, wtorek i środę po dniu pożaru.

– Czy mam zostawić cię samą? – zapytał Ethan.

– Nie. Możesz zostać. – Spojrzałam na niego. Zdawał się o mnie niepokoić. – To znaczy... Chcę, żebyś został.

Ethan zajął krzesło tuż obok mnie, a ja tymczasem wzięłam do ręki pierwszą z gazet, rozłożyłam ją i natychmiast poczułam, jak gorące łzy napływają mi do oczu. Nagłówki artykułów, nawet na trzeci dzień po pożarze, aż krzyczały o ciągnącym się horrorze, który miał

miejsce w minione sobotnie popołudnie.

Szybko przestudiowałam indeks, szukając numeru strony poświęconej nekrologom, co pozwoliłoby mi ominąć pełne rozpacz pierwsze strony. Niestety, wśród krótkich notek dotyczących śmierci co biedniejszych ofiar brakowało jakiegokolwiek informacji na temat Edwarda.

Odłożyłam gazetę na bok i sięgnęłam po drugą, po raz kolejny odwracając wzrok od nagłówek na pierwszej stronie, na szczęście nie tak wielkich już jak te z wtorkowego wydania po pożarze. Szybko znalazłam dział z nekrologami, a kiedy przerzuciłam stronę na tę właściwą, powietrze zastygło mi w płucach.

Edward wpatrywał się we mnie. Jego uśmiechnięte zdjęcie przyciągało moje spojrzenie.

Być może czekał cały ten czas na to, bym go znalazła.

– Jest – szepnęłam, choć chyba zbyt cicho, by usłyszał to Ethan.

Przez chwilę siedziałam tam i wpatrywałam się w czarno-białą twarz Edwarda, kształt jego nosa i czoła, ustawienie oczu, loki wypadające zza runda kapelusza. Chłonełam ten obraz łapczywie, jak pustynny wędrowiec pije napotkaną wodę. Nie zdawałam sobie sprawy, że płacząc, póki łza nie wymknie mi się spod powieki. Spłynęła na papier, czym mnie spłoszyła. Starłam ją i nagle zobaczyłam leżącą przede mną chusteczkę. Odwróciłam się do Ethana i zauważyłam, że trzymał ją w dłoni. Jego twarz była smutna.

Podziękowałam i przytknęłam materiał do oczu, wyczuwając leśny zapach płynu po goleniu, którego używał Ethan. Następnie zaczęłam czytać.

Pochodzący z Brooklynu mężczyzna ginie w tragicznym pożarze

Edward Brim, jedyny syn pochodzących z Brooklynu Josepha Brima i jego żony, zginął

w tragicznym pożarze minionego sobotniego popołudnia w miejscu swojego zatrudnienia na Manhattanie, w którym pracował jako księgowy.

Jego ciało zostało przetransportowane do domu rodziców, gdzie w poniedziałek miał

miejsce pogrzeb. Pochowano go na cmentarzu Green-Wood na Brooklynie.

Uprzejmość i łagodność, jakie cechowały Edwarda, zjednały mu sobie wielu przyjaciół.

Był on kochającym synem i troskliwym bratem. W ceremonii pogrzebowej uczestniczyła znacząca liczba przyjaciół i krewnych, którzy chcieli oddać mu ostatni hołd w trakcie uroczystości pochówku.

Poza rodzicami, zmarły pozostawił w żalu siostrę, Margaret Brim, kilka ciotek i wujów, wielu kuzynów, a także swoją narzeczoną, Savinę Mayfield.

Chusteczka, którą trzymałam w dłoni, spadła na podłogę.

Rozdział dwudziesty ósmy

Ethan siedział cicho tuż obok mnie. Nie pytał, co się stało ani co przeczytałam. Nie odzywał się ani słowem.

To dało mi nieco do myślenia i ostatecznie stwierdziłam, że mężczyzna musiał już wiedzieć, iż Edward był zaręczony. Wciąż jednak czekałam, aż skomentuje mój rozpaczliwy stan, wyrwie mi gazetę i przeczyta te druzgocące słowa na głos. Kiedy tak się nie stało, sama prześledziłam je ponownie wzrokiem, na koniec zatrzymując się przy czterech ostatnich słowach.

Wpatrywałam się w nie intensywnie, aż w końcu usłyszałam swój własny szept:

– To niemożliwe.

Jakim cudem? To nie do pomyślenia, że Edward zachowywałby się tak w stosunku do mnie, gdyby był już po słowie. Nie mogłam uwierzyć, że mógł być tak pozbawiony serca, by zalecać się do mnie, patrzeć na mnie w ten sposób i być jednocześnie zaręczonym z inną...

Chyba że... Chyba że w mojej naiwności pomyliłam szarmanckość z fizycznym

pociągiem. Czy o to chodziło? Czy Edward najzwyczajniej w świecie okazywał uczucie nowo przybyłej na Manhattan dziewczynie, zapraszał ją do rozmowy czy umawiał się z nią w szwalni tylko z grzeczności?

Nie.

Nie miałam wątpliwości co do jego zainteresowania mną, pożądaną w jego spojrzeniu.

Nie mogłam się co do tego pomylić.

Poczułam ukłucie bólu, którego siła rosła, im bardziej zdawałam sobie sprawę z prawdy.

Edward nie dbał o mnie tak, jak ja o niego. Bo jak by mógł? Miał się ożenić z inną.

Byłam głupia, ale nie należałam do tych, które zwykłą uprzejmość biorą zza miłosne umizgi. Byłam niemądrą dziewczyną, która uznała, że ten, którego pokochała, odwzajemniał jej uczucie. Świadomość tego wywoływała nieopisany ból.

To było tak okrutne, tak demoralizujące, że do oczu nie napłynęła mi ani jedna łza.

W mojej żałobie, łzy stanowiły gotową deskę ratunku w obliczu bólu straty. Ale to? To nie była strata. To było coś mroczniejszego, co dawało poczucie osamotnienia.

Ethan poruszył się na krześle obok, przypominając mi o swojej obecności. Zwróciłam się do niego bez łez w oczach, mimo to nie potrafiłam spojrzeć mu prosto w twarz.

– Wiedziałaś.

– Dolly mi powiedziała.

Ton jego głosu zdradził, że mężczyzna był raczej niechętnym uczestnikiem procesu dochodzenia przeze mnie do prawdy. Poza tym on chyba też na mnie nie patrzył.

– Przeczytała jego nekrolog jakiś czas temu.

– Kiedy ci o tym powiedziała?

– Wczoraj.

W głowie zobaczyłam obraz ich dwojga, z pewnością na oddziale szkarlatyny,

zaangażowanych w rozmowę o biednej, nic niepodejrzewającej Clarze – oszukanej i umierającej z rozpacz po zaledwie wspomnieniu o zaręczonym mężczyźnie.

– Nie potrafiła się przemóc, żeby ci powiedzieć – ciągnął Ethan. – Miała nadzieję, że w końcu pojedziesz do miasta i sama się o tym dowiesz.

– Sama się dowiem – powtórzyłam tępo.

– Mówiła, że próbowała cię nakłonić do tego, byś poszukała czegoś więcej na temat Edwarda, ale minęło sześć miesięcy i, cóż, nie sądziła, że kiedykolwiek podejmiesz w tym

kierunku jakieś kroki.

– Wiem, ile czasu minęło – oznajmiłam dziwnie beznamiętnym tonem.

– Claro, ona się o ciebie martwi! Uważała, że zasługujesz na prawdę.

Nawet na tę najgorszą.

– Prawdę? To nazywasz prawdą?! – warknęłam.

Prawda jest czymś szlachetnym, niemalże świętym. Zachowanie Edwarda takim nie było.

Ethan milczał.

– W takim razie zgodziłeś się z nią, że powinnam się o tym dowiedzieć – wróciłam do poprzedniego wątku.

Przez chwilę nic nie mówił. Wtedy, przez tych kilka sekund ciszy, przypomniałam sobie, że kiedy Ethan podsunął mi myśl, bym znalazła miejsce pochówku Edwarda Brima, wielokrotnie stwarzał mi również możliwość pozostawienia tej sprawy samej sobie. Z pewnością to Dolly go do tego namówiła.

– Dolly i ja martwiliśmy się, że jeśli nie poznasz prawdy, nigdy nie opuścisz tej wyspy –

powiedział w końcu. Jego głos nie tylko dotknął mnie do żywego, ale też sprawił, że mój gniew sięgnął zenitu.

– Nie zamierzałam zostać na tej wyspie przez resztę życia! Czy naprawdę tak właśnie myśleliście? Że zestarzeję się tam, nie stawiając już nigdy więcej stopy na stałym lądzie?

Naprawdę tak myśleliście?

Ethan zamilkł jedynie na moment.

– Nie.

– A mimo to oboje pozwoliliście, bym weszła do tego budynku, wiedząc, co tutaj przeczytam.

Emocje, które kilka chwil wcześniej mnie opuściły, teraz tchnęły we mnie nowe życie.

Wystrzeliłam jak z procy z mojego krzesła, które zaskrzypiało przy przesunięciu po marmurowej podłodze. Dźwięk ten spłoszył nas oboje.

Sięgnęłam po torebkę i pobiegłam do wyjścia, z dala od Ethana i od tej leżącej pomiędzy nami gazety, otwartej na nekrologu Edwarda.

Minęłam kobietę, która przyniosła mi starsze wydania. Siedziała przy swoim biurku, a na jej twarzy malowało się zdziwienie. Za sobą słyszałam, jak Ethan dziękował w naszym imieniu, starając się za mną nadażyć.

Wystrzeliłam przez podwójne drzwi wejściowe, zderzając się z promieniami popołudniowego słońca oraz codziennym rytmem miasta, który nadawały tramwaje, powozy konne, rowery, mężczyźni w garniturach, żebracy, kwiaciarki, kobiety z parasolami, kupcy uliczni i chłopcy roznośzący gazety. Krajobraz tej ulicy był tak intensywnie żywy i tak bardzo poza mną, że stanęłam jak wryta. Ethan niemal na mnie wpadł.

– Claro.

Zignorowałam go, uniosłam rękę, chcąc złapać mijający nas powóz, a potem następny, gdy tamten się nie zatrzyma. Tym razem pojazd stanął. Wsiadłam do środka bez pomocy Ethana, mimo iż zaoferował mi swoją dłoń. On wskoczył do pojazdu tuż obok mnie.

– Proszę nad molo przy Battery Park – nakazałam kierowcy, a chwilę później pojazd ruszył.

– Claro.

Ethan sięgnął po moje ramię. Byliśmy teraz zbyt blisko siebie, abym mogła uniknąć jego dotyku.

– Przepraszam! Uważałem, że tak trzeba.

– Wewnątrz biurowca na Manhattanie, z tobą siedzącym tuż obok mnie? Naprawdę uważasz, że właśnie tak powinieneś być postąpić?

Jego podniesiony głos nagle pasował do mojego wzburzonego tonu.

– A jaki sposób byłby lepszy? Powiedz mi! Czasami prawda boli, Claro. Ale to nie zmienia faktu, że to wciąż prawda.

Och tak, tak było – prawda bolała. Byłam głupia. Dolly o tym wiedziała. I Ethan też.

Teraz wiedziałam też ja. I nie omieszkałam wypowiedzieć tego na głos.

– Nie byłaś głupia – odparł Ethan. – Nie ma nic głupiego w kochaniu. To Edward Brim był głupcem. A nawet gorzej. Nie zrobiłaś niczego, czego mogłabyś się wstydzić, Claro.

Ale dokładnie w tamtej chwili, kiedy Ethan zapewniał mnie, że nie powinnam niczego żałować, dotarła do mnie kolejna prawda: odesłałam Andrew Gwynna z Ellis tego samego dnia z identycznym dowodem oszustwa, jak zrobił to w moim przypadku Ethan. Andrew Gwynn był

teraz gdzieś tutaj, na Manhattanie, z listem Lily, tym samym, który zostałyby spalony i nieprzeczytany, gdyby nie moja interwencja.

Jeszcze dzisiaj, jutro, w przyszłym tygodniu, a może miesiącu, Andrew znajdzie ten list i przeczyta go. Będzie się czuł tak, jak ja teraz, a nawet gorzej. Bo ja kochałam Edwarda, ale nie byłam jego żoną. Niczego mu nie przysięgałam, nie dzieliłam z nim łóżka czy ciała, nie nosiłam jego nazwiska. Nie poślubiłam kogoś, kto był już żonaty.

Kiedy dowiedziałam się o tym, że Edward był już zaręczony, orzeźwiający chłód żaloby ustąpił we mnie miejsca karcącemu i gorącemu poczuciu zdrady. Pragnęłam odzyskać swoją rozpacz i jej otepiający chłód. Wiedziałam, że Andrew Gwynn również wkrótce tego zapagnie.

O ile już tego nie chciał.

– Nie musimy jeszcze wracać – powiedział Ethan. Wymamrotałam, że owszem, ja muszę, na co mężczyzna westchnął, bliski złości. – Na Boga, Claro! Nie zaszywaj się na powrót na tej wyspie! On nie jest tego wart!

Tak jakby sprawa dotyczyła tylko i wyłącznie mojej własnej tragedii. Niczego więcej, tylko mnie.

Moja ręka powędrowała do krawędzi powozu, choć wciąż znajdowaliśmy się w ruchu, a na horyzoncie nie było portu. Chciałam opuścić pojazd. Opuścić Manhattan. Być jak najdalej stąd.

– Słyszysz mnie? – Ethan podniósł głos. – On nie jest tego wart.

Zamknęłam na chwilę oczy, chcąc zebrać w sobie siły, by go nie uderzyć.

– Nie praw mi tu kazań na temat wartości czegokolwiek – powiedziałam w końcu.

Starłam się zachować spokój, lecz słowa i tak padały z moich ust niczym odłamki roztrzaskanego szkła.

– Będę o tym mówił – wypalił w odpowiedzi. – Ktoś musi!

Moje oczy pragnęły wody, portu, promu, zdystansowania się do całej tej sprawy. Wyspy.

Dlaczego jeszcze nie dotarliśmy na pomost?

– Nie możesz uciec z powrotem na Ellis i na niej zniknąć. – Tembr głosu Ethana zrobił

się spokojniejszy, pełen czegoś w rodzaju ogromnego rozczarowania. – Nie możesz.

– A co cię obchodzi mój los?

– Naprawdę nie wiesz?

Nie potrafiłam właściwie skupić się na tyle, by wywnioskować, dlaczego Ethan był

w ogóle zainteresowany moją osobą. Nie pragnęłam niczego prócz aury ciszy i samotności, które pozwoliłyby mi odnaleźć sposób na to, by żyć z tym, co mi zrobiono i co zrobiłam ja.

Nareszcie dostrzegłam prom. Kiedy tylko powóz się zatrzymał, wypadłam z niego, jakbym wyskakiwała z ognia.

Powrót różnił się ogromnie od porannej podróży. Nie trzymałam się kurczowo Ethana, z zamkniętymi oczami i głową przywartą do jego piersi. Już nie chciałam wyskoczyć za burtę ani też nie chwiałam się półprzytomna. Siedziałam bez ruchu, na tej samej kanapie, którą zajmowałam godziny wcześniej. Ethan nie położył swojej dłoni na mojej, również jego spojrzenie nie było już skupione na mojej twarzy, zamiast tego utkwione było w Ellis.

Manhattan został w tyle, a każda chwila zbliżała nas do wyspy. W moim sercu jednak zamiast radości pojawiał się stopniowo niepokój, czułam się coraz bardziej nieswojo. Jak gdyby Ellis zapomniała, kim jestem albo, co gorsza, zamknęła przede mną swe bramy w chwili, gdy ją opuściłam.

Miałam złe przeczucia. Zupełnie jak ktoś, kto postawił wszystko na jedną kartę, a intuicja podpowiadała mu, że to nie jego dzień. Przybliżaliśmy się do doku, uniosłam więc głowę, by spojrzeć na wyspę. Byłam zmęczona trudami dnia i miałam nadzieję, że moje miejsce pośrednie zaraz mnie przywita. Świadomość, że skrzywdziłam dobrego człowieka wisiała nade mną, kiedy łódź dotarła na miejsce, a pasażerowie wstali, gotowi opuścić pokład.

Ethana zaskoczyło, że nie poszłam za ich przykładem. Stał obok mnie, czekając, i jasne było, że nie był pewien, co znaczyło moje wahanie. W końcu kilka minut wcześniej wpadłam na prom zupełnie, jakbym nie mogła doczekać się powrotu na Ellis.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział mężczyzna, choć z pewnością wiedział, że miałam świadomość, iż łódź zatrzymała się i niemal każdy pasażer zdołał już zejść z pokładu.

Mężczyzna podał mi swoje ramię, a ja je przyjąłam. Wstałam i zaczęłam iść, szybko jednak przystanęłam.

– O co chodzi, Claro?

– Wszystko jest inaczej – wyszeptałam, bardziej do samej siebie niż do zmieszanego Ethana.

Nie odpowiedział, a ja byłam rada, że nie wypchnął mnie z promu tak, jak pociągnął mnie na jego pokład rano. Chwilę później zdobyłam się na to, by stawić czoła wyspie. Przechodząc przez kładkę, wiedziałam już, że moje miejsce pośrednie przestało istnieć. Przeszłość, która uległa deformacji podczas mojego pobytu na Manhattanie, zderzyła się brutalnie z przyszłością.

Wczoraj i jutro zlały się w jedno, a ja zostałam z niczym.

Cienka mgła opadła. Kiedy tylko moja stopa stanęła na gościnnym brzegu Ellis, dotarła do mnie szokująca świadomość, że wyspa nie zmieniała się w ciągu tych godzin, kiedy mnie na niej nie było. To ja się zmieniłam.

Trzymałam ramię Ethana, a kiedy mijaliśmy poszczególne grupki ludzi, wyczułam, że mężczyzna nie wiedział, co ze mną począć. Zaproponować, że usiądzie ze mną, zaprowadzić mnie z powrotem do pokoju czy zostawić w siedzibie przewoźnika?

Szczerze? Ja sama nie byłam do końca pewna, co ze sobą zrobić. Nie miałam już swojego świętego miejsca, w którym mogłabym się zaszyć, uciekając tym samym od wszelkich niepożądanych myśli i uczuć.

– Nie wiem, dokąd pójść – przyznałam z prostotą.

– Może kawy? – zaproponował niemal natychmiast Ethan.

To krótkie zaproszenie na filiżankę kawy brzmiało uprzejmie, acz było w nim wahanie, tak jakby mężczyzna chciał być sam. A przynajmniej z dala ode mnie. W jakiś sposób go rozczarowałam.

Kiwnęłam głową i skierowaliśmy się na trzecią z wysp. Przechodząc przez przedsionek głównego budynku, przypomniałam sobie, że to właśnie tutaj po raz pierwszy zobaczyłam Andrew Gwynna, z szalem Lily owiniętym wokół szyi. Poczulałam przeszywający smutek.

Pani Crowley stała przy biurku na izbie przyjęć, trzymając rejestr w rękę i rozmawiając z inną pielęgniarką.

– Już pani wróciła? – Uniosła pytająco brew, zaskoczona obecnością Ethana u mojego boku.

Skinęłam głową w potwierdzeniu.

– Dałam pani wolne na cały dzisiejszy dzień, siostró Wood. Czy nie powiedziała pani tego swojemu ojcu?

– Miał umówione spotkanie po naszym lunchu.

Nie przestawałam iść dalej, nie chcąc wdawać się w dłuższą rozprawę na temat przyczyny mojego wczesnego powrotu.

– Proszę zaczekać – zawołała pani Crowley. – Mam coś dla pani.

Odwróciłam się do niej, nie bez wysiłku. Moje myśli krążyły z dala od moich

obowiązków podlegającej jej pielęgniarce.

– Ten pan Gwynn z oddziału szkarlatyny, którego wypisano dzisiaj...

Szukał pani przed odpłynięciem.

Serce zamarło mi w piersi.

– Naprawdę?

Pani Crowley nachyliła się ku otwartej szufladzie biurka.

– Nalegał, bym to pani przekazała, choć, muszę przyznać, siostró Wood, że nie pochwalam wymiany osobistych liścików z pacjentami. Ani prezentów.

– Prezentów? – wyszeptałam.

Pani Crowley wyprostowała się, wyjmując coś z szuflady. W jej dłoniach spoczywał

owinięty papierem pakowym i przewiązany wstęgą pakunek skrywający zarówno szal Lily, jak i bolesne tajemnice.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Przez parę minut jedyne, co mogłam robić, to wpatrywać się w paczkę trzymaną przez panią Crowley – zupełnie jakbym obawiała się, że jeśli po nią sięgnę, zbudzę się z jakiegoś snu.

Ethan przysunął się do mnie i chwilę później usłyszałam jego ciężki oddech tuż przy uchu. On także zdał sobie sprawę z tego, co trzymała w rękach pani Crowley.

– Może to pani wziąć – powiedziała starsza kobieta nieco zirytowanym tonem. – Nie mogę mu przecież teraz powiedzieć, że pani tego nie przyjmie. Już odpłynął.

Z wolna wyciągnęłam rękę, a pani Crowley rzuciła mi pakunek wraz ze złożoną kartką umieszczoną pod wstążką.

– Nie powinnam na to pozwalać, siostró Wood, ale wydawało się, że bardzo chciał okazać pani swoją wdzięczność. Jeśli to panią krępuje, nie musi pani tego przyjmować.

Przycisnęłam prezent do ciała.

– Dziękuję, pani Crowley.

Obróciłam się na pięcie i co sił pognałam przed siebie. Ethan ruszył moim śladem.

– Claro! – wołał, biegnąc za mną, lecz ja nie zwalniałam. Dopiero gdy skręciłam w korytarz i znalazłam się z dala od pani Crowley oraz jej bacznego spojrzenia, oparłam się o ścianę. Ethan stanął przede mną, a w jego oczach dostrzegłam obawę.

Trzęsącymi się rękami badałam zawartość paczki. Szukałam dowodów na to, że otwarto ją i zawiązano ponownie. Nie byłam pewna. Nie wydawało mi się, żeby ktoś ją otwierał.

Wyjęłam liścik zza wstęgi i przez sekundę lub dwie po prostu trzymałam go w dłoni.

– Czy chcesz zostać sama? – Mężczyzna zdawał się już rozumieć moją reakcję

w powozie. Niemal uczyniłam Andrew to samo, co Ethan zrobił mnie, tylko w o wiele bardziej bolesny sposób.

Nie chciałam jednak, by odchodził. Jego bliskość dodawała mi sił przez cały dzień.

Nawet wtedy, gdy chciałam go uderzyć podczas drogi powrotnej, w jego obecności było coś krzepiącego. Teraz również to czułam, Ethan swoją osobą dodawał mi otuchy.

– Nie musisz odchodzić.

To nie było to samo, co stwierdzenie, że chcę, by został. Ethan zawahał się nieco – nie ruszył się z miejsca, w którym stał, ale widać było, że czuł się trochę nieswojo. Odwróciwszy od niego wzrok, otworzyłam liścik.

Droga siostrze Wood,

Dziękuję pani, że na czas mojej choroby przechowała pani książkę z wykrojami mojego ojca. Moje obawy były bezpodstawne, gdyż dzisiejszego ranka otrzymałem swój kufer, a jego zawartość była całkowicie nietknięta. Z pewnością wiedziała Pani, że nic się stanie, a mimo to spełniła moją prośbę, chociaż nie należało to do Pani obowiązków. Teraz rozumiem, że mogło to narobić Pani wiele kłopotów natury zawodowej, czego nigdy bym sobie nie darował.

Przepraszam, że postawiłem Panią w takiej sytuacji, podczas gdy jedyne, czego Pani zawsze chciała, to ulżyć mi w cierpieniu.

Nikomiu nie życzę tego, czego doświadczyłem w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Mimo to jestem wdzięczny losowi, że mogłem spędzić ten czas na Ellis, bo dzięki temu nauczyłem się z odwagą przyjmować to, co zaplanował

dla mnie Bóg. Gdybym nie trafił na tę wyspę jako chory wdowiec, byłbym zgorzkniałym wdowcem. Uważam, że należą się Pani podziękowania za przypomnienie mi, iż te obrazki na urnie, choć piękne, nie są prawdziwe. To życie jest rzeczywistością, nawet to najbardziej skomplikowane. I chociaż potrafi być ono boleśnie trudne,

jest też nieopisanie piękne. Na zawsze będę wdzięczny za to, że ocaliła Pani tomik mojej matki od spalenia, gdzie trafił kufer mojej żony.

Chcę, aby zachowała Pani szal Lily jako dowód mojej wdzięczności. Powiedziała mi Pani, że wpadł Pani w oko już pierwszego dnia, gdy go Pani zobaczyła i że się Pani spodobał.

Wiem, że, tak jak ja, wiele Pani przeszła. Ufam, że ten szal rozjaśni ciemności w Pani duszy, tak jak to było w moim przypadku.

Z wyrazami najszczerzej wdzięczności

Andrew Gwynn

Poczułam łzy napływające do oczu. Kątem oka zauważyłam, jak Ethan przetrząsał swoje kieszenie, najprawdopodobniej w poszukiwaniu chusteczki, którą już raz mi pożyczył w ciągu dzisiejszego dnia.

– Zostawiłam twoją chusteczkę w biurze gazety. – Mój drżący głos przypominał głos dziecka.

– Czy chodzi o list napisany przez jego żonę? Przeczytał go? Jest na ciebie zły, że go przechowywałaś?

Pokręciłam głową i podałam Ethanowi list. Przeczytał go w pośpiechu. Po skończonej lekturze spojrzął na mnie i wydawało się, że odczuł ulgę z powodu tego, iż nie musiałam zmagać się ze złością Andrew. Był też jednak smutny, a może raczej zawiedziony faktem, że prawda przegrała. Andrew Gwynn nigdy nie dowie się, co zrobiła jego żona. Opuścił wyspę oszukany, ale pełen nadziei.

Przez wiele dni rozmyślałam, co począć z listem Lily. Czułam na sobie ciężące brzemie przymusu podjęcia decyzji, z którą w swojej mądrości mógłby się chyba tylko zmierzyć sam Salomon. Mimo wszystko dokonałam wyboru. Weszłam z butami w sprawy Andrew i to dwukrotnie – najpierw ocaliłam list od spalenia, wyjmując go z kufra, a potem zawiązałam go w szal, który trzymałam teraz przed sobą. Przewrotność natomiast wkroczyła i zainterweniowała, uwalniając mnie od wszelkich wyobrażeń, że mogę decydować o czyimkolwiek losie oprócz własnego.

– Chyba nie było mu przeznaczone dowiedzieć się – odezwał się w końcu Ethan.

– Nie, nie było.

– Czy Dolly i ja popełniliśmy błąd? W twoim przypadku?

Mężczyzna szukał mojego spojrzenia, w jego oczach dostrzegłam już pierwsze załamki wyrzutów sumienia.

Od kilku godzin miałam świadomość tego, że tak naprawdę nie wiedziałam o miłości nic.

Nic ponad to, że była najbardziej niszczącą, najbardziej imponującą i najmocniej pożądaną siłą na Ziemi. Była zbyt wszechmocna, by pozostać w uśpieniu w jakimkolwiek miejscu pośrednim.

To, co zrobili Dolly i Ethan, jedynie przyspieszyło nieuniknione – i tak w końcu opuściłabym wyspę, głodna dawania i brania miłości, nawet jeśli rzucałaby mnie ona na kolana raz po razie. To, co zrobiłam dla Andrew, uczyniłam w imię tej samej nieugiętej siły. On zasługiwał na to, by wierzyć, że miłość była warta zrównującego z ziemią bólu rozpacz. To miłość była najśłodszym i najbardziej cierpkim smakiem, który czynił życie prawdziwym.

Ethan czekał na moją odpowiedź.

– Przyjmę posadę w Szkocji.

Słowa te wyszły z moich ust tak, jakby od rozmowy z ojcem osiadły mi na języku i tylko czekały na wypowiedzenie ich na głos.

Ethan zamrugał w zaskoczeniu.

– Co powiedziałaś?

Sama ledwie wierzyłam w to, co się właśnie działo. Czułam, jak z każdą chwilą głos rozsądku staje się coraz mocniejszy, jak toruje sobie drogę z ciemnej głębi wewnątrz mnie i sunie ku powierzchni, stopniowo przejmując dowodzenie. Samo wypowiedzenie tego zdania uchylało jakieś drzwi, które od dawna czekały już na otwarcie, lecz do tej pory uważałam je za ścianę.

– Przyjmę posadę w Szkocji. Opuszczam wyspę.

Ethanowi zajęło kilka minut przekonanie mnie, abym zaczekała chwilę i wyjaśniła, co mam na myśli. Po jego naleganiach zgodziłam się na kawę. Przeszliśmy przez korytarz do pomieszczenia, gdzie jadali pracownicy, napełniliśmy nasze filiżanki i zajęliśmy miejsca.

Wewnątrz nie było nikogo oprócz kilku osób jedzących kolację przed rozpoczęciem nocnej zmiany.

– A więc tak po prostu odchodzisz?

– Sam mówiłeś, że powinnam opuścić wyspę.

Upiłam łyk kawy.

– Kiedyś musisz to zrobić. Nie miałem na myśli, że to ma być już jutro.
– To nie będzie jutro, a w przyszłym miesiącu.
– I nie mówiłem, że masz opuszczać kraj. To zupełnie jakbyś... To po prostu kolejna ucieczka, nieprawdaż?

– Ani trochę.

Nie zdawałam sobie sprawy, że z boku mogło to wyglądać tak, jakbym zamieniała jedną wyspę na drugą. Rozważając tę kwestię, pokręciłam przecząco głową.

– Robię krok naprzód. Tak, jak mówiłeś.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

– To przeze mnie i Dolly, prawda? Przeczytałaś ten list od Andrew Gwynna i uważasz, że popełniliśmy błąd. Że ja go popełniłem.

Ja również zmarszczyłam brwi, przyjmując obronną postawę.

– Trochę za późno, by zastanawiać się, czy to, co zrobiliście, było błędem. Wiem, że chcieliście dobrze. Teraz wiem, że Edward był zaręczony, i co z tego?

Ethan przyglądał mi się przez chwilę.

– Czy gdybym nie zabrał cię dziś do biura gazety, zdecydowałabyś się mimo to na przyjęcie posady w Szkocji?

Kiedy rozważałam moje kolejne słowa, zapanowała między nami chwilowa cisza. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Któż z nas ma pewność, co by zrobił w innych okolicznościach, gdybyśmy mogli postąpić inaczej? – odparłam w końcu. – Powiem szczerze, że nie wiem.

Odstawiłam moją filiżankę z kawą i już miałam wstać, gdy do pomieszczenia wbiegła Dolly, pędząc do naszego stolika.

– Dobry Boże, Claro! Pani Crowley powiedziała, że już wróciłaś. Nie uwierzyłam jej.

Osunęła się na krzesło obok mnie.

– Czy wszystko poszło dobrze? Czy popłynęliście na brzeg? Czy widziałaś się z ojcem?

– Widziałam wszystko, Dolly.

– Wszystko?

– Tak. Wszystko.

Dolly spoglądała to na mnie, to na Ethana.

– Zabrałem ją do biura gazety. Widziała nekrolog – powiedział mężczyzna.

Dolly spojrzała na mnie po raz kolejny. W jej głosie słycać było zdecydowanie.

– Musiałaś wiedzieć, Claro. Nawet jeśli się już do mnie nie odezwiesz, będę to powtarzała do końca moich dni. Musiałaś wiedzieć.

– W takim razie już wiem. – Cynizm w moim głosie zadziwił nawet mnie samą.

– Nie żałuję, że dzięki mnie poznałaś intencje Edwarda Brima – stwierdziła Dolly, po czym z impetem odwróciła się do Ethana. – I pan też nie powinien, doktorze.

– Nie żałuję – odparł Ethan, choć niezbyt przekonująco.

– To dobrze – powiedziała Dolly pewnym siebie głosem.

– Clara wyjeżdża do Szkocji.

Przyjaciółka zaśmiała się, rechocząc nieco, po czym zwróciła się do Ethana. On wcale się nie śmiał. Oczywiście mnie też nie było do śmiechu. Dolly odwróciła się z powrotem, chcąc spojrzeć mi w twarz.

– O co chodzi?

– Przyjaciel mojego ojca poszukuje prywatnej pielęgniarki dla swojej żony na czas ich rocznego pobytu w Szkocji. Zamierzam przyjąć tę posadę.

Kobieta otworzyła szeroko usta.

– Naprawdę? – zapytała po chwili ciszy.

– Tak.

– Claro, to... To wspaniale! Naprawdę przenosisz się do Szkocji?

Westchnęłam, odczuwając zmęczenie, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłam.

Mogłabym spać przez tydzień. Mimo to odpowiedziałam uprzejmie.

– Tak.

Co dziwne, szeroki uśmiech Dolly zadziałał na mnie kojąco.

– W takim razie dzięki najwyższemu! Clara opuszcza tę cholerną wyspę. To naprawdę wspaniale. Gdybym miała szampana, wzniosłabym za ciebie toast. To naprawdę wspaniale.

Kiedy?

Moja głowa domagała się poduszki i miękkiego łóżka, abym mogła zostać sama z moimi myślami. Nie dbałam o to, że było zbyt późno, abym się zdrzemnęła bez przykrych konsekwencji dla jakości snu.

– W przyszłym miesiącu. Słuchaj, Dolly, opowiem ci o tym później, dobrze? Jestem...

Jestem naprawdę bardzo zmęczona. Idę się położyć.

Przyjaciółka przytaknęła.

– Oczywiście.

Podnosząc się z miejsca, wzięłam z kolan paczkę z liścikiem. Dolly wyciągnęła ramię, żeby mnie zatrzymać.

– Dobry Boże, Claro, czy to jest to, co myślę?

– Tak.

– Ale, ale... – Kobieta zwróciła się do Ethana. – Czy pan mu tego nie przekazał?

Ethan zaczął mówić, ale mu przerwałam.

– Doktor Randall zrobił dokładnie to, o co go poprosiłaś. Andrew Gwynn bez zagładania do środka pozostawił to dla mnie na izbie przyjęć jako prezent w podzięcie. Wiedział, że ten szalik mi się podobał.

– Na miłość boską... Czyli nie przeczytał listu?!

– Nie.

Dolly pokręciła głową.

– Poddaję się. Poddaję. – Wskazała na trzymany przez mnie pakunek. – Na twoim miejscu wybiegłabym na zewnątrz i wrzuciła go do rzeki, pozbyła się go. Od kiedy pojawił się ten Walijczyk, miałaś z tym same kłopoty.

Zwróciłam się do Ethana. Pomimo wcześniejszych wydarzeń wciąż żywiłam do niego wdzięczność za to, że pomógł mi pojednać się z Manhattanem. Musiałam jednak uporać się

z moją nowo poszarpaną raną po stracie Edwarda. Do tego dochodził ujmujący podziw Ethana dla mojej osoby, a ja potrzebowałam oddzielić te dwie kwestie.

– Dziękuję ci, że zabrałeś mnie dziś na Manhattan. Przykro mi, że musiałeś wykorzystać jeden ze swoich dni wolnych.

– Claro, proszę...

– To był bardzo długi dzień i potrzebuję chwili samotności – przerwałam Ethanowi i cokolwiek chodziło mężczyźnie po głowie, pozostało niewypowiedziane. Zamiast niego za to odezwała się Dolly.

– No proszę! Musimy to uczcić, Claro! Popłynij ze mną i dziewczętami jutro do Jersey!

Będziemy pić szampana i jeść orzechy w czekoladzie. I tańczyć! Zgódź się, Claro. Powiedz, że popłyniesz!

– Dobrze, popłynę.

Jedyne, o czym marzyłam, to położyć się do łóżka.

Dolly wrzeszczała z radości, a ja zwróciłam się do siedzącego obok Ethana, którego oczy sugerowały, że nasza rozmowa wcale nie została zakończona.

– Mówiłam szczerze. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna za dzisiaj – powiedziałam.

Ethan spuścił głowę. Kiedy wychodziłam z pomieszczenia, czułam na plecach jego spojrzenie.

Rozdział trzydziesty

Spałam aż do świtu następnego dnia i nic mi się nie śniło. Nie słyszałam, jak Dolly przyszła do pokoju po kolacji ani jak przygotowywała się do snu. Nie słyszałam nic od czasu, kiedy w ubraniu położyłam się do łóżka i zamknęłam oczy. Rozbudził mnie dopiero wschód słońca.

Czułam, jakbym uwolniła się z uroku, który w zamierzeniu miał trwać wieczność.

W naszej łazience wygładziłam pogniecione ubrania i wykapałam się, przesiadując w wodzie i rozmyślając o przyszłości. Doskwierał mi brak czarującego mnie wspomnienia Edwarda. Kiedy się wytarłam i wróciłam do pokoju, Dolly już nie spała. Mimo to bez skrepowania opuściłam ręcznik i zaczęłam spokojnie dobierać bieliznę. Na twarzy przyjaciółki odmalowało się zdumienie.

– No proszę, dziś nie brakuje ci pewności siebie! Rany, Claro! Powinnaś dosiąść konia i dumnie przemierzyć na nim wyspę.

Dłuższą chwilę zajęło mi uświadomienie sobie, że takie obnoszenie się z nagością zupełnie do mnie nie pasowało.

– Och, przepraszam.

Sięgnęłam po szlafrok, który leżał na krześle tuż za mną.

– Teraz bardziej przypominasz siebie.

Dolly wyprostowała się i wyślizgnęła z łóżka.

– Nie rób od razu zbyt wielu rzeczy, których nigdy wcześniej nie robiłaś. Gotowi zgarnąć cię na oddział psychiatryczny.

Wyciągnęłam mój uniform z szafy i zgarnęłam nieproszoną nitkę z kołnierzyka.

Wszystko, co wiązało się z wyspą – mój pokój, uniform, nawet Dolly – zdawało się ode mnie oddalać. Tak jakbym już nie była częścią tego miejsca.

Ubrałam się i wyjęłam kartkę papeterii z biurka, które współdzieliłam z Dolly. Napisałam krótki list do ojca, w którym informowałam o przyjęciu

posady u zaprzyjaźnionego profesora.

Pod wpływem impulsu dodałam też, że zwrócę się z prośbą o kilka dni wolnego, aby przyjechać do domu i pożegnać się z mamą i Henriettą.

Zdziwiło mnie to, jak szybko potrafiłam napisać list, który otwierał dla mnie nowy rozdział w życiu. Kiedy skończyłam, odczytałam wiadomość na głos, żeby usłyszeć unoszące się w powietrzu słowa, które mówiły, że zmieniam pracę, rezygnuję z tej na wyspie, wracam do domu, płynę do Szkocji.

Nagle to wszystko zabrzmiało tak, jakbym uciekała. W głowie odbił mi się echem głos Ethana, niemalże oskarżającego mnie o zbyt pochopne podejmowanie decyzji.

– To wcale nie tak – mruknęłam pod nosem.

– To znaczy jak? – Dolly wróciła z toalety.

– Nic, nic. Pospiesz się. Jestem głodna.

– To dlatego, że nie jadłaś kolacji. Trzy razy wczoraj sprawdzałam, czy oddychasz. Nigdy nie widziałam, aby ktoś, kto nie był pijany, spał tak twardo.

– Byłam zmęczona.

– Najwyraźniej.

Włożyłam list do koperty, a tę do kieszeni uniformu z zamiarem późniejszego udania się na pocztę. Kiedy odwróciłam się, żeby zdjąć kapelusz z komody, Dolly wpatrywała się we mnie.

– Tak się cieszę, że mnie nie nienawidzisz.

– Wiesz, nie chcę już rozmawiać. Chce mi się jeść. Pospiesz się i przygotuj.

Kobieta nawet nie drgnęła.

– I bardzo się cieszę, że przyjmujesz tę posadę w Szkocji. Naprawdę się cieszę. Choć będę za tobą tęsknić. Ale nie ma potrzeby, byś nadal tutaj tkwiła. – Jej ciepłe słowa mnie speszyły.

– To miejsce jest dobre dla ciebie – powiedziałam. – I dla Nellie, i Ivy. I dla doktora Treavera.

– I doktora Randalla – wtrąciła Dolly, a ja skinęłam głową.

– Dla niego też.

– To miejsce świetnie nadaje się na miejsce pracy. Ale dla ciebie to było coś więcej niż tylko praca. Teraz już nie jest. I bardzo się cieszę, że w końcu wyszłaś na prostą.

Potrzebne mi było jej wsparcie. W jednej chwili stało się dla mnie jasne, że Dolly była dla mnie przez tych kilka ostatnich miesięcy jak rodzona siostra.

– Naprawdę?

– Tak.

– Ethan, to znaczy doktor Randall, mówi, że szukam kolejnej wyspy, na którą mogłabym uciec. Tyle że większej.

– Raczej dalej położonej.

– Tak.

Dolly włożyła na siebie swój uniform i zaczęła zapinać guziki.

– Ethan Randall cię lubi, Claro. Być może dlatego nie chce, żebyś odeszła. Lubi cię. Od pierwszego dnia.

– Nie wiem dlaczego.

Dolly chwyciła z komody czepek i założyła go na głowę.

– To dlatego, że masz duży biust.

– Nie mam dużego biustu! – oburzyłam się natychmiast.

Przyjaciółka odwzajemniła mój uśmiech, wkładając buty.

– W takim razie po prostu cię lubi.

Nie chciałam już rozmawiać o Ethanie Randallu. Nie miałam ochoty rozprawiać

o pociągu fizycznym, miłości, pożądaniu czy o czymkolwiek, co dotyczyło płci przeciwnej.

– Gotowa? Jeśli zaraz czegoś nie zjem, to zemdleję.

Dolly wstała szybko i w końcu udałyśmy się do stołówki.

– Dziś rano powiadomię o moim odejściu panią Crowley.

– To brzmi rozsądnie.

– Poproszę też o przeniesienie do działu, gdzie sprawdzani są nowo przybyli.

Dolly obróciła się, by spojrzeć mi w twarz, mimo to nie przestawała iść.

– Nie spodoba ci się tam.

– Wydaje mi się, że łatwiej będzie odejść, jeżeli nie będę pracowała na oddziałach wraz z zakończeniem miesiąca.

Przyjaciółka zamyśliła się na chwilę.

– Nie musisz go całkiem spławiać tylko dlatego, że wyjeżdżasz do Europy. Wiesz, zawsze możesz do niego pisać.

Ja jednak nie chciałam sobie nawet wyobrazić, że mogłabym zakochać się w Ethanie Randallu, czy że już się w nim zakochiwałam, kiedy

wiedziała, iż niebawem się rozstaniemy.

Wciąż nosiłam w sercu uczucie do Edwarda, którego obraz, jaki wykreowałam sobie w głowie, ani trochę nie pokrywał się z rzeczywistością. Nie potrafiłam też przestać myśleć o Andrew Gwynnie, co mnie niepokoiło.

– Uważam, że... Chyba potrzebuję odpocząć od tego wszystkiego.

– Ha! – Zaśmiała się Dolly. – Kochaniutki, tylko umarli mogą odpocząć od „tego wszystkiego”. A prawda jest taka, że jedynie „to wszystko” ma sens.

Nie miałam czasu powiadomić pani Crowley o moich planach przed rozpoczęciem

zmiany, która, miałam nadzieję, miała być jednym z moich ostatnich dni na oddziałach.

Przygotowałam się do przybycia Ethana na obchód, ale to doktor Treaver pojawił się w drzwiach trzydzieści minut po godzinie dziesiątej. Miałam jednak świadomość, że prędzej czy później wpadnę jeszcze tutaj na Ethana. Spotkam go w stołówce, na korytarzu, a może nawet w siedzibie przewoźnika, jeżeli zdecyduję się na więcej wypadów na brzeg. Ale nie będę już dla niego siostrą Wood, podążającą za nim z wózkiem i umywalką. Teraz byłam tylko Clarą, a on tylko Ethanem.

Ja odchodziłam, on zostawał.

Na kilka minut przed lunchem opuściłam oddział, chcąc przekazać wiadomość pani Crowley. Mój wyjazd wyraźnie ją uraził, ale była zadowolona, że zamierzałam pracować na Ellis jeszcze do końca miesiąca. Kiedy powiedziałam jej, że chciałabym przepracować pozostały czas na wyspie w punkcie inspekcji, niemal mnie wyściskała. Nikt nie lubił tam pracować.

Skorzystałam z tego wybuchu radości, żeby postarać się o trochę wolnego – chciałam pożegnać się z rodziną. Pani Crowley niechętnie odparła, że może mi dać maksymalnie pięć kolejnych dni.

Potem jednak miałam być do jej dyspozycji do czasu opuszczenia wyspy na dobre.

W czasie lunchu poinformowałam Dolly, że najbliższych kilka dni spędzę w domu i że w związku z tym muszę wycofać się z danej jej obietnicy. Nie dałabym rady popłynąć z nią i dziewczętami do Jersey. Przyjaciółka wymusiła jednak na mnie przyrzeczenie, że ostatni sobotni

wieczór spędzę z nią, Nellie i Ivy w Nowym Jorku, bawiąc się tak, jak to ona zaplanuje.

Przed końcem przerwy obiadowej pospieszyłam nadać telegram do ojca, w którym pisałam, że wracam do domu, wybierając z listu umieszczonego w kieszeni, którego i tak postanowiłam nie wysłać, najważniejsze wersy. Następnie zatrzymałam się w siedzibie przewoźnika, chcąc kupić bilet na poranny rejs, by zdążyć na wczesny pociąg do Filadelfii i być po południu w domu. Towarzyszyła mi błoga świadomość, jak to jest kupować bilet na prom i wiedzieć, że prawdopodobnie nie będę się wahać, czy wyskoczyć za burtę i popłynąć w panice ku wyspie, jak tylko statek oddali się nieco od doku.

Żałowałam, że trochę niezamierzenie umniejszałam w tym zasługę Ethana. Tak bardzo chciałam się na nim odegrać za jego w całej sprawie, której ostateczny finał rozegrał się w biurze gazety, że nie doceniłam w pełni faktu, iż mężczyzna zwrócił mi moje życie. To było nowe życie i różne od tego, które wiodłam przed przybyciem na wyspę czy przed przyjazdem do Nowego Jorku, wciąż jednak pozostawało ono życiem – prawdziwym, o niebo lepszym od tego na Ellis, które bardziej przypominało sen. Ethanowi należały się stosowniejsze podziękowania, nie wiedziałam tylko, jak powinnam je wyrazić, od czego zacząć.

Gdy z kresem dnia końca dobiegła też moja zmiana i pożegnałam się z dziećmi z oddziału dla najmłodszych, spotkałam Ethana opuszczającego oddział chorych na tyfus. On także zakończył pracę na dziś i z pewnością wieczorem zamierzał popłynąć na Manhattan.

Zaczęliśmy iść razem.

– Dolly powiedziała mi, że wybierasz się do Pensylwanii na kilka dni.

– Tak, jutro rano wyjeżdżam. Nie byłam w domu od niemal roku. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo się za wszystkimi stęskniłam do czasu, aż dzisiaj wykupiłam bilet na prom.

Przytaknął.

– Życzę ci wspaniałego pobytu.

Pod wpływem impulsu chwyciłam go za ramię, zatrzymując na środku korytarza.

– Wiem, że wczoraj byłam niemila i...

– Nic podobnego.

– Ależ tak właśnie było. Mam teraz trochę na głowie i jestem nieco skołowana... Co do wielu spraw. Jedno wiem jednak na pewno: gdyby nie

ty, nie mogłabym wsiąść na jutrzejszy prom. I za to jestem naprawdę wdzięczna.

Spodziewałam się, że Ethan machnie ręką i powie, że to nic takiego, że cała przyjemność po jego stronie, on jednak wpatrywał się we mnie tak, jakbym zadała mu pytanie, na które nie znał odpowiedzi. Z lekkim zdenerwowaniem ciągnęłam więc swoją wypowiedź.

– Chciałam, abyś to wiedział, ponieważ... Ponieważ po powrocie z Pensylwanii zostanę przeniesiona na główną wyspę. Będę pracowała w punkcie przyjęć. Aż do chwili opuszczenia Ellis. Biorąc to pod uwagę, mogę więcej nie mieć sposobności, żeby powiedzieć ci, jak bardzo doceniam to, co dla mnie zrobiłeś.

Przez kolejną długą chwilę Ethan milczał. To nie tylko mnie zaskoczyło, ale, co dziwne, także zabolalo. Nie spodziewałam się, że moja wdzięczność zostanie potraktowana z taką obojętnością.

Wtedy, zupełnie niespodziewania, mężczyzna chwycił mnie za rękę, tak jak wtedy, na promie, gdy strach niemal odebrał mi zmysły.

– Chcę cię przeprosić za to, co zdarzyło się w biurze gazety. I za to, co powiedziałem, kiedy wracaliśmy na prom. Ubiegłej nocy, myśląc o tym, nie zmrużyłem oka.

– Naprawdę?

– Jeszcze w powozie powinienem był sobie uświadomić, że myślisz o liście Lily Gwynn, a nie tylko o tym nekrologu. Przepraszam. A teraz resztę czasu na Ellis spędzisz na głównej wyspie. To moja wina. Za to też przepraszam.

Zabrakło mi słów. Spojrzałam na swoje ręce w jego dłoniach i wówczas on je puścił.

– Po prostu chciałem, żebyś o tym wiedziała.

– Ja... Dziękuję ci – wyjąkałam.

Na kilka sekund zapadła między nami cisza.

– Czy jutro dasz sobie radę sama? – spytał w końcu. – To znaczy, czy jesteś w stanie popłynąć?

– Myślę, że tak. Dziękuję.

– Dzisiaj wieczorem spotykam się z bratem w centrum miasta...

– Och! Oczywiście.

Moje policzki zalały się szkarłatem. Zrobiłam krok do tyłu, nie chcąc blokować mężczyźnie drogi.

– Chciałem jedynie powiedzieć, że jeśli bym nie spotykał się z bratem dziś wieczorem, popłynąłbym z tobą jutro rano, tak na wszelki wypadek. Policzki spąsowiały mi jeszcze bardziej.
– Myślę, że dam sobie radę, i to właśnie dzięki tobie.
Uśmiechnął się.
– Nie zapominaj o głębokich oddechach.
Zaśmiałam się nerwowo.
– Postaram się.
Zaczęliśmy iść, spokojnie i bez pośpiechu.
– Obiecasz mi, że pożegnasz się ze mną przed wyjazdem do Szkocji? – zapytał.

Obiecałam.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy obudziłam się następnego ranka, przedjesienny chłód otulił wyspę niczym szal. Za moim niewielkim oknem widziałam tylko mgłę. Spakowałam się poprzedniego wieczoru i byłam gotowa do wyjazdu na długo przed otwarciem siedziby przewoźnika. Ślęczałam nad śniadaniem, wyobrażając sobie dziesiątki razy, jak wchodzę sama na pokład statku.

Wydawało się, że wracam do punktu startowego, do mojego domu rodzinnego, gdzie rozpoczęła się cała moja historia. Ta myśl mnie pocieszała, gdy w końcu udałam się do siedziby przewoźnika na kilka minut przed godziną dziewiątą. Odkryłam, że najbardziej na świecie pragnęłam uwolnić się od rozżarzonych pozostałości po pożarze i beznadziejnego obrazu ukochanego mężczyzny spadającego na ziemię. A ponieważ tak wiele spraw dotyczących Edwarda było teraz powiązanych z Andrew Gwynnem i naszym bratnim cierpieniem, miałam się uwolnić również i od niego. Przed wyjazdem do Szkocji zamierzałam spalić list Lily i poprosić Dolly, aby przekazała szal jakiejś biedniejszej kobiecie na oddziale.

Wreszcie miały się zakończyć moje dylematy i rozterki wewnętrzne. Wszystko.

Zarówno moja determinacja, jak i silna poranna mgła pozwoliły mi postawić stopę na kładce promu z tylko niewielkim poczuciem obawy. Siadając tuż przy oknie, nie widziałam zbyt dobrze horyzontu Nowego Jorku. To miasto, które w ciągu ostatnich sześciu miesięcy stało się dla mnie jak widmo, wciąż otulała kotara, a może to samo widmo stało się kotarą, zwiewną i cienką.

Gdy dwadzieścia minut później dopłynęliśmy do Battery Park, pojechałam na dworzec tramwajem i w ciągu godziny byłam już w drodze do Pensylwanii. Do domu.

Czas spędzony w szkole pielęgniarstwa to jedyny dłuższy okres niż tydzień czy dwa, który spędziłam z dala od rodziny. Dom odwiedzałam w okresie świąt i przerw semestralnych.

Przedtem podróżowałam jedynie do Nowego Jorku, Bostonu i, oczywiście, Filadelfii.

Moja banicja na Ellis trwała dłużej niż jakikolwiek etap w moim życiu. Im bardziej pociąg zbliżał się do domu, tym bardziej uświadamiałam sobie, jak bardzo brakowało mi otoczenia kochających mnie ludzi.

Chciałam samodzielnie odbyć podróż z owianej mgłą wyspy do ukochanego domu,

dlatego celowo nie wspominałam, którym pociągiem przyjadę. Kiedy dotarliśmy do stacji na Newton Square, zgodnie z moimi nadziejami dostrzegłam pewną osobę zmierzającą w tym samym kierunku, co ja. Moje niespodziewane przybycie sprawiło, że mama popłakała się z radości.

Tego wieczoru w domu na powitanie zebrali się Henrietta, jej mąż i ich maluchy.

Zjedliśmy posiłek i powspominaliśmy dawne czasy. Nikt nie poruszał tematu pożaru ani tego dotyczącego długich miesięcy, które spędziłam na wyspie. Zupełnie jakby wszyscy zostali ostrzeżeni, by o tym nie mówić. Mama zapytała mnie o to jednak, gdy zostałyśmy same, a ja pomagałam jej przy myciu talerzy do deserów..

– To było coś osobistego, prawda? Ten pożar?

Musiałam przyznać, że trochę zaskoczyła mnie naturą swojego pytania. Podczas gdy milczałam przez chwilę, mama wrzuciła porcelanowy talerzyk do pełnej mydlin wody, a następnie odwróciła się do mnie. Jej twarz okalały pukle bujnych włosów i po raz pierwszy pomyślałam, jak bardzo ją przypominam.

– Tak – odpowiedziałam.

– Czasami żałuję, że wyjechałaś na Manhattan – przyznała mama. – Właściwie to żałuję bardzo często.

Odpowiedź na jej komentarz zajęła mi trochę czasu. Nie myślałam o tym wcześniej, ale w tej chwili zdałam sobie sprawę, że ja nie żałowałam

tego wyjazdu, pomimo wszystkich tych wydarzeń, które miały miejsce zarówno w przeszłości, jak i teraz.

Zakochałam się w Edwardzie, widziałam jego śmierć, poznałam Andrew Gwynna,

znalazłam list jego żony, przeczytałam wiersz, poznałam Ethana – moje życie zdawało się teraz wielowymiarowe z powodu dokonanych przeze mnie wyborów, tych świadomych, jak i tych wynikających z ignorancji.

Nie żałowałam, że wyjechałam do Nowego Jorku, chciałam jednak uwolnić się od tego mrocznego wpływu, jaki wywierało na mnie to miasto. Pragnęłam pogrzebać to, co we mnie umarło, i uporać się z tym, bym pewnego dnia mogła wrócić i z czystym sercem powiedzieć, że naprawdę ruszyłam naprzód, a po tragicznej przeszłości zostało jedynie odległe wspomnienie, niemające już najmniejszego wpływu na moje dalsze życie.

– Poradzę sobie – odparłam w końcu.

Matka dotknęła mojej twarzy mokrą dłonią. Ta pieszczota była niemal jak oczyszczenie.

– Wiem o tym.

Rano dołączyłam do ojca w jego praktyce, chociaż próbował przekonać mnie, bym nie garnęła się do pracy już pierwszego dnia po przyjeździe. Prędko chyba jednak zrozumiał, że w ten sposób nawiązuję więź z tą częścią mojego życia, która nie opuściła domu.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, przechodziłam od pomieszczenia do pomieszczenia, wdychając uczucie nowości, bo tym właśnie charakteryzuje się gabinet lekarski – każdego dnia jest w nim coś nowego. Tak być musi. Nie mogą pozostać w nim resztki choroby czy rozkładu z dnia poprzedniego.

Czas minął szybko i niezwykle miło. Napisałam do przyjaciela ojca, profesora Bartletta i jego żony, Beatrice, oficjalnie przyjmując posadę jej prywatnej pielęgniarki. Podałam im mój adres na Ellis i poinformowałam, że jestem gotowa wypłynąć w przyszłym miesiącu w każdej chwili.

Ostatniego wieczoru ojciec zapytał mnie, czy nie chcę przeczytać doniesień prasowych o pożarze. Zachował dla mnie gazety, gdyż uważał, że któregoś dnia będę chciała je przejrzeć.

Z miejsca wróciłam pamięcią do chwili, kiedy przeczytałam nekrolog Edwarda, a ciężar wypełnił

moją pierś. Odmówiłam. Tata więcej o nich nie wspominał. Skończyłam już z tym.

Kiedy rodzice odwieźli mnie do Filadelfii, skąd miałam pociąg powrotny do Nowego Jorku, nie brakowało łez. Chcieli jechać ze mną, lecz ja nie widziałam sensu, by odwlekać nasze pożegnanie. Przytulając ich, podziękowałam ojcu za znalezienie mi pracy i powiedziałam mu, że miesiące szybko miną, jak to często ma miejsce z czasem. Obiecałam, że jak tylko dotrę do Edynburga i będę mieć stały adres, napiszę do nich.

Wróciłam do Nowego Jorku, kiedy dzień chylił się już ku końcowi, a miasto spowijało bursztynowe słońce. Godzinę później wchodziłam na pokład promu, mającego zabrać mnie na wyspę, na której nie czułam się już jak u siebie.

W pierwszym tygodniu po powrocie do szpitala czułam się niemal jak te tłumy

imigrantów, którzy dzień po dniu stali w kolejce, gdzie sprawdzano ich stan zdrowia. Teraz tam pracowałam. Mieli w sobie zarówno lęk, jak i nadzieję, zupełnie tak jak ja. Od nowego początku dzieliło ich kilka kroków. Początek ten miał być sprawdzeniem ich determinacji. Tak też było ze mną. Ci ludzie nie znali świata, który na nich czekał, ledwie posługiwali się językiem, w którym mówiono w ich nowym otoczeniu. W wielu aspektach ja także miałam, niczym cudzoziemiec, postawić stopę na obcym lądzie.

Widywałam Ethana to w stołówce, to na korytarzu. Unikałam jednak bycia blisko niego,

bo potrzebowałam zachować zdrowy dystans od tych, których usiłowałam pozostawić w przeszłości: Edwarda Brima, Andrew Gwynna, Ethana Randalla. Nie mogłam pozwolić sobie na to, by moje ponowne narodziny, kiedy to byłam jeszcze krucha i nieporadna niczym prawdziwe dziecko, miały zostać wystawione na szwank poprzez rozmyślanie o przyszłości z Ethanem. Dystans, który zachowywałam, zdawał się go wprawiać w konsternację. Dolly uważała, że moje zachowanie było pozbawione sensu.

– Zawsze się o ciebie troszczył, Claro. Nie zasługuje na takie traktowanie – powiedziała kiedyś w naszej sypialni. – Nie dajesz mu nawet najmniejszej szansy.

– Szansy na co? Wyjeżdżam z kraju.

– To nic nie znaczy. Przecież nie opuszczasz planety, na miłość boską!

– Ale opuszczam wyspę – ucięłam dyskusję i wyszłam do łazienki.

Dolly przestała się na mnie aż tak bardzo złościć, kiedy w sobotę wieczorem udałam się z nią oraz Nellie i Ivy na Manhattan. Jednak nawet wówczas nie zdołałam pozwolić sobie na całkowite odprężenie i bez troskę. Liczyłam w milczeniu godziny do naszego powrotu, czego Dolly nie była świadoma. Ona uznała, że świetnie się bawiłam, a ja pozwoliłam, żeby w to wierzyła.

W poniedziałek rano byłam gotowa rozpocząć ostatni tydzień pracy na Ellis. W sobotę miałam pożegnać się ze wszystkimi, w tym również z Ethanem Randallem. Tak jak mu to obiecałam. Spakuję swój niewielki dobytek, we łzach przytulę Dolly, która będzie udawała, że cieszy się z mojego wyjazdu, bo wreszcie będzie mogła spać przy oknie. Następnie przekażę jej szal Lily i poproszę, żeby znalazła jakąś imigrantkę na oddziale, której przyda się coś pięknego.

List i akt unieważnienia małżeństwa oddam do spalenia, a ich treść pozostanie tylko w mojej pamięci.

I będę wolna.

Kiedy rozpoczynał się ostatni tydzień, często odtwarzałam w głowie kolejne etapy pożegnania. Staralam się skupić na obowiązkach, które akurat miałam wypełniać, lecz czasem łapałam się na tym, że odpływałam myślami.

We wtorek wieczorem wysłano mnie do pomieszczenia, gdzie sprawdzano stan zdrowia, bym znalazła tłumacza. Udałam się do głównego korytarza, który był jak zawsze pełen życia.

Pani Meade, pielęgniarka, która pomagała mi na oddziale szkarlatyny, także tutaj była, stojąc obok jednego z punktów informacyjnych. Rozmawiała z jakimś mężczyzną, ale nie wyglądał mi na imigranta. W rękę trzymał skórzaną aktówkę na papiery, nie ubrania, a jego strój wskazywał, że podróżował pierwszą klasą. Rzadko widywaliśmy takich ludzi w szpitalu.

Gdy tylko pani Meade mnie zobaczyła, pomachała dłonią na znak, bym do niej podeszła.

– Siostró Wood, być może mogłaby pani pomóc temu panu – powiedziała, kiedy się zbliżyłam.

Zwróciłam się do mężczyzny. Uśmiechnął się uprzejmie.

– Dzień dobry. Nazywam się Chester Hartwell.

Brytyjczyk.

– Panna Wood. Jak mogę panu pomóc?

– Ten pan szuka jednego z pacjentów, którym się pani opiekowała – powiedziała pani Meade. – Pana Andrew Gwynna?

Poczułam, jak mój puls zaczyna galopować. Czyżby coś złego spotkało Andrew po wypisie? Czy jego brat, Nigel, nie przybył po niego?

– Jestem prywatnym detektywem, panno Wood.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni na piersi i wręczył mi wizytówkę z londyńskim adresem.

Gapiłam się na jego tytuł. W mojej głowie kołatały się myśli o tym, czego mężczyzna w dobrym

garniturze chce od Andrew. Nic dobrego nie przychodziło mi na myśl. Oddałam mu jego wizytówkę.

– Przykro mi, że nie potrafię panu pomóc. Pan Gwynn został wypisany.

– Tak, wiem. – Pewność w jego głosie ujawniła, że Chester Hartwell wiedział już dosyć sporo. – Miałem nadzieję, że będzie mi pani mogła powiedzieć, gdzie udał się po wypisie.

Choć nosił drogie ubrania i miał wypastowane buty, nie ufałam mu. Pod skórą czułam, że jest on zagrożeniem dla Andrew. Na moim czole pojawiła się stróżka potu.

– Przykro mi, panie Hartwell, ale...

– Muszę znaleźć pana Gwynna.

– Jak już powiedziałam, został wypisany jakiś czas temu. – Mój głos brzmiał słabo nawet w moich własnych uszach.

Chester Hartwell przekrzywił nieco głowę, a następnie skinął nią w kierunku pani Meade.

– Pani koleżanka powiedziała mi, że podczas pobytu pana Gwynna w szpitalu to pani była jego główną pielęgniarką. Być może wspominał coś o swoim planowanym miejscu zamieszkania po opuszczeniu Ellis?

– Nie tylko ja opiekowałam się panem Gwynnem. Nie czuję się też upoważniona, aby rozmawiać o osobistych sprawach pacjenta.

– Ależ oczywiście. Oczywiście, że nie jest pani do tego upoważniona. Chester Hartwell zwrócił się do pani Meade.

– Dziękuję za pomoc, siostrze.

Jego głos był grzeczny, ale lekceważący. Pani Meade zawahała się na chwilę, nim zostawiła nas samych. Chester Hartwell wziął mnie pod ramię, jakby prowadził mnie na parkiet.

Zatrzymał się w spokojniejszym miejscu kilka metrów dalej. Natychmiast wyswobodziłam się z jego uścisku.

– Mojemu mocodawcy niezwykle zależy na znalezieniu pana Gwynna, panno Wood.

Pieniądze nie odgrywają tu żadnej roli. To dosyć ważna sprawa.

Na czole poczułam kolejną stróżkę potu. W głowie zapaliła mi się ostrzegawcza lampka.

– Pana mocodawca.

– Tak. Angus Ravenhouse.

Przełknęłam ciężko ślinę, co nie uszło uwagi Hartwella. Uniósł głowę, odnotowując moją niewypowiedzianą reakcję na wspomniane nazwisko.

– Muszę go znaleźć, to bardzo ważne.

– W takim razie nie zatrzymuję pana, by mógł pan kontynuować swoje poszukiwania. Pan Gwynn nie jest już naszym pacjentem.

Mężczyzna wpatrywał się we mnie z bystrą przenikliwością niczym świadomy kłamstwa swojego dziecka ojciec. Zupełnie jakby umiał czytać mi w myślach, jakby wiedział, że Andrew Gwynn był dla mnie kimś więcej, niż tylko kolejnym pacjentem.

– Pani nie wie, co zrobił pan Gwynn, prawda? A może jednak?

– Muszę wracać do swoich obowiązków. Życzę dobrego dnia, panie Hartwell –

warknęłam ledwie zdolna wypowiedzieć te słowa. Zaczęłam iść, ale on wyciągnął ramię i powstrzymał mnie.

– Pan Gwynn i Lily Ravenhouse działali w porozumieniu. Lily była żoną pana

Ravenhouse’a. Czy wiedziała pani, że była zameżna, poślubiając pana Gwynna? Czy pani o tym wiedziała? – Odepchnęłam jego ramię, ale on chwycił mnie za łokieć. – Ich działanie było niezgodne z prawem. Jeżeli pani go chroni, jest pani równie winna, panno Wood. Mężczyzna, który zrobił coś takiego jak pan Gwynn, nie jest wart tego, by iść za niego za kratki. Nie jest tego wart.

Nie jest tego wart.

– On prawdopodobnie zamordował Lily.

Nie jest tego wart.

Te słowa rozbrzmiewały echem w mojej głowie. Czułam, że mnie mdli, pociałam się, a pokój zaczął wirować.

– Wiem, że pani nie mówi mi prawdy, panno Wood, ale zapewniam panią, że to nie jest człowiek, któremu można zaufać. Nie ma wątpliwości,

że ją zabił. Panią również prawdopodobnie zabije, kiedy przestanie mu być pani potrzebna.

– Proszę mnie zostawić. – Uwolniłam ramię z uścisku. – Nie wiem, o czym pan mówi.

Ojcowska postawa gdzieś zniknęła i nagle zastąpiła ją ostra niczym brzytwa determinacja.

Zimne spojrzenie Hartwella niemal mnie raniło.

– Andrew Gwynn nie tylko ukradł cudzą żonę, ale również i naszyjnik wart pięćdziesiąt tysięcy funtów, który rodzina Ravenhouse'ów miała od wieku. Pan Ravenhouse chce go odzyskać.

Nie wierzyłam mu. Ani przez chwilę. Jeśli zaginął naszyjnik, musiała go wziąć Lily.

A jeśli miała go ze sobą, przepływając przez Atlantyk, został on zutylizowany z całą resztą jej rzeczy. Na samą myśl o tym przeszedł mnie dreszcz. To także nie umknęło uwadze Hartwella.

– Nie wspomniał o naszyjniku, prawda?

– Nie ma żadnego naszyjnika. – Pożałowałam tych słów już w chwili, gdy je

wypowiedziałam. Zabrzmiały, jakbym potwierdzała, że wiedziałam o wiele więcej, niż dawałam temu wyraz.

Hartwell uśmiechnął się – nie był to uśmiech wyszczerzonego krokodyla, ale człowieka, który podjął ryzyko i mu się ono opłaciło.

– Ależ jest, panno Wood.

– Lily Ravenhouse zmarła na pokładzie statku na szkarlatynę, zaś jej rzeczy, w tym wszystko, co wzięła ze sobą z Anglii, zostały zutylizowane.

Znów poczułam, że powiedziałam za dużo. Jego uśmiech poszerzył się, a ojcowski ton powrócił.

– Panno Wood, muszę panią ostrzec, że mężczyźni pokroju Andrew Gwynna, którzy porywają bogate mężatki po kilku dniach znajomości, mają tylko jeden cel. Jeżeli wie pani, gdzie udał się Andrew Gwynn po wypisie ze szpitala, musi pani pomyśleć o kolejnej bezbronnej kobiecie, która na niego trafi. I musi pani pomyśleć o sobie. Im więcej pani wie, tym bardziej jest pani współwinna.

Mój umysł zaczął pracować na pełnych obrotach. Musiałam uciec. Musiałam

porozmawiać z Andrew, zanim ten detektyw go znajdzie. Jeśli Chester Hartwell był zdolny odkryć, z kim Lily Ravenhouse podróżowała do

Ameryki, jak wiele czasu mogło mu zająć ustalenie, że Andrew Gwynn to krawiec, który udał się na Manhattan, by pracować w sklepie swojego brata? Hartwell będzie rozmawiał z Andrew tak, jak ze mną, a Andrew dowie się wtedy w najgorszy z możliwych sposobów, co zrobiła mu Lily.

– Panno Wood, bardzo proszę, by rozważyła pani kwestię własnego bezpieczeństwa.

Nagle dotarła do mnie kolejna rzecz. Lily nigdy nie sądziła, że zobaczy swój kufer ponownie. Nie włożyłaby naszyjnika wartego pięćdziesiąt tysięcy funtów do walizki, którą planowała zostawić Andrew po swoim zniknięciu. W ogóle nie chciała, by naszyjnik trafił na statek. Jeżeli pragnęła mieć go na użytek ucieczki, musiała jakoś zadbać o to, by czekał na nią w Nowym Jorku.

Wszystkie elementy układanki powskakiwały na właściwe miejsca, a ja doznałam olśnienia. Czy to możliwe, że już wiedziałam, gdzie znajdował się naszyjnik? Czy to możliwe, że

Lily wyryła adres jego miejsca pobytu na kluczyku, który ukryła w rąbku ukochanego szalika?

Musiałam wrócić na Manhattan i udać się na 92 Chambers Street, by to sprawdzić.

Musiałam też odnaleźć sklep krawiecki przed Hartwellem. Potrzebowałam jednak czasu.

Hartwell potrzebował fałszywej nadziei, że jednak wyciągnie ze mnie interesujące go informacje.

Tylko w ten sposób jego śledztwo mogło ulec nieznacznemu spowolnieniu.

– Ja... Nie wiem, jak panu pomóc, panie Hartwell. Ale chciałabym zastanowić się nad tym, co mi pan powiedział. Czy może mi jednak pan dać swoją wizytówkę?

Przyglądał mi się przez chwilę, zanim wręczył mi kartkę. Zdecydowanie nie wydawał się do końca przekonany co do mojej nagłej zmiany zdania.

– Zdarza się, że przypominam sobie coś, co powiedział pacjent, na długo po fakcie – powiedziałam.

– Oczywiście. Zatrzymałem się na czas dalszych poszukiwań w Waldorfie, siostrze Wood.

– W Waldorfie? – zapytałam uprzejmie, choć doskonale wiedziałam, gdzie znajdował się wspomniany hotel. Zdecydowanie zbyt blisko sklepu krawieckiego, w którym miałam nadzieję odnaleźć Andrew.

– Skrzyżowanie Piątej Alei i Trzydziestej Trzeciej – ciągnął. – Proszę tam o mnie pytać.

– Oczywiście. – Wrzuciłam wizytówkę do kieszeni fartucha. – Przepraszam, ale muszę wracać do pracy, panie Hartwell.

Jego usta wygięły się w sympatycznym uśmiechu, ale spojrzenie świdrowało mnie na wskroś.

– Proszę się za długo nie zastanawiać, panno Wood. Znajdę go. Z pani pomocą czy też bez niej.

Odwróciłam się od niego, zmuszając się, by nie zacząć biec, co kosztowało mnie naprawdę wiele wysiłku. Kiedy tylko opuściłam główny korytarz, dałam nura do damskiej toalety. Wyszłam tylnymi drzwiami, by opuścić szpital, nie zwracając niczyjej uwagi. Musiałam dotrzeć na Manhattan najszybciej, jak to było tylko możliwe.

Rozdział trzydziesty drugi

Opuszczając główną wyspę i spiesząc ku siedzibie przewoźnika, ukradkiem rozglądałam się za Chesterem Hartwellem. Nie widziałam, aby mnie śledził, byłam jednak przekonana, że nadal będzie szukał na wyspie kogoś, kto za odpowiednią opłatą powie mu to, czego ja nie zamierzałam. Spodziewałam się, że nie cofnie się przed niczym i będzie próbował omotać każdego – bagażowego, pracownika biura telegraficznego, pomoc szpitalną, a nawet innych imigrantów – wszystko, byle tylko dowiedzieć się, gdzie obecnie przebywał Andrew Gwynn.

Nigdzie nie dostrzegłam Hartwella, dlatego też przyspieszyłam kroku, zapominając całkowicie o tłumaczu, którego miałam znaleźć. Wracając do mojego pokoju na trzeciej wyspie, czułam, że w głowie kłębią mi się tysiące myśli.

Jedynie przez chwilę chciałam wziąć list Lily, znaleźć Chestera Hartwella i pokazać mu, że Andrew nie miał pojęcia, co zrobiła jego żona. Wiedziałam jednak, że z pewnością nie zadowoliliby go to w wystarczającym stopniu, szybko porzuciłam więc ten pomysł.

Angus Ravenhouse pragnął odzyskać swój skradziony naszyjnik. Wpadnięcie listu w ręce pana Hartwella jedynie przyspieszyłby jego decyzję, by odnaleźć sklep krawca, gdzie rzuciłby to okropne pismo przed oczy Andrew i zapytał go, co zrobił z biżuterią.

Myśl o tym, że Andrew przeczytałby list w takich okolicznościach, zwałała mnie z nóg.

Jeśli w końcu miał zapoznać się z jego okropną treścią, to ja chciałam mu go dać. Chciałam przygotować go na nieuniknione przybycie Hartwella.

Przyspieszyłam kroku, by dotrzeć do pokoju, odnaleźć pakunek z listem oraz szalem, wziąć torebkę i wsiąść na następny prom.

Przebranie się z uniformu w ubrania codzienne i przejście do głównego budynku zajęło mi mniej niż dziesięć minut. Musiałam powiadomić panią Crowley, że miała miejsce wyjątkowa sytuacja, w związku z czym zamierzam urwać się z pracy na resztę dnia. Będzie zła, ale cóż innego może zrobić? W ciągu tygodnia miałam opuścić wyspę.

Pognałam w kierunku izby przyjęć, ale zatrzymałam się prędko, kiedy usłyszałam, jak pani Crowley rozmawia z kimś, kogo nie mogłam zobaczyć. Wtedy usłyszałam, jak osoba ta przedstawia się nazwiskiem Chestera Hartwella, prywatnego detektywa zajmującego się sprawą mężczyzny, który niedawno był pacjentem szpitala.

Wiedziałam, że Hartwell prawdopodobnie nie dowie się niczego od pani Crowley i że niebawem wyruszy w dalszą drogę. Nie chciałam jednak, aby nastąpiło to zbyt szybko.

Pragnęłam, by mężczyzna zajął się dalszym węszeniem, podczas gdy ja mogłabym uciec. W jak sposób miałam go jednak zatrzymać?

Odwrociłam się i wróciłam tą samą drogą, którą przyszedłam, szukając pierwszych lepszych drzwi prowadzących na zewnątrz. Zdążyłam zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy drzwi do pokoju lekarskiego otworzyły się i wyszli z niego Ethan oraz inny doktor.

Oczy Ethana rozszerzyły się, kiedy przyglądał się mojemu strojowi – wyjściowym ubraniom w ciągu dnia pracy – oraz przepełnionemu paniką spojrzeniu.

– Claro, o co chodzi? Co się stało?

Drugi z lekarzy przeprosił nas i odszedł, a ja odczekałam zaledwie kilka sekund, nim przyciągnęłam Ethana bliżej siebie i w szybkich, niepełnych zdaniach opowiedziałam, co się wydarzyło.

– Nie rozumiem. Co zamierzasz zrobić? – zapytał.

– Muszę odnaleźć sklep krawiecki, zanim zrobi to ten prywatny detektyw. Muszę oddać

Andrew list i akt unieważnienia małżeństwa. To jedyny dowód na to, że nie wiedział o oszustwie Lily i że cokolwiek ona zrobiła, było działaniem

na własną rękę.

– Nie musisz nic robić.

– Oczywiście, że muszę! To wszystko moja wina! Gdybym nie wetknęła nosa w nie swoje sprawy...

– Claro, gdybyś nie znalazła tego listu, już by go nie było, a sytuacja Andrew Gwynna wcale nie byłaby lepsza. Ten detektyw tak czy inaczej by przybył. Jeżeli znajdzie Andrew Gwynna, skutek będzie taki sam. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Ale miało. To miało związek ze mną.

– Proszę, wyświadczyć mi przysługę. Pójdź na izbę przyjęć i zajmij go czymś – błagałam. –

Nie chcę, aby zobaczył, jak idę do siedziby przewoźnika. Zrobisz to dla mnie?

– Claro, ja...

– Proszę, Ethanie! Nie rób tego dla niego, zrób to dla mnie. Proszę.

Nigdy wcześniej nie wymówiłam głośno jego imienia. Ani w jego obecności, ani w niczyjej innej. Zaskoczyło mnie, jak łatwo zagościło ono na moich ustach. On także zdawał się zauważyć, że wymówiłam jego imię w sposób, w jaki on do tej pory wymawiał moje. Bez wysiłku.

– Nie chcę, byś płynęła sama.

– Ale ja się nie boję.

Przez chwilę mężczyzna nic nie mówił. Widziałam, jak rozważał moją prośbę. Chciał mi pomóc, ale nie podobał mu się mój plan.

– Nie wiesz, gdzie rozpocząć poszukiwania – powiedział w końcu.

– Powiedział mi, że sklep jego brata znajduje się w Greenwich Village. Jak wiele sklepów krawieckich człowieka o nazwisku Nigel Gwynn może tam być?

Zapadła chwila ciszy.

– Udaj się do biurowca gazety – odparł. – Poproś kobietę, która nam wtedy pomogła, aby przeszukała dla ciebie adresy przedsiębiorstw. Jeżeli Nigel i jego brat mają telefon, znajdziesz tam ich sklep.

Ścisnęłam jego ramię w geście podziękowania.

– Dziękuję ci! Wrócę jeszcze dziś wieczorem, obiecuję.

– Nawet jeśli nie zdołasz go dziś znaleźć? – Przytaknęłam. – I spróbujesz ponownie jutro, jak przypuszczam?

– Muszę, Ethanie. Tak należy postąpić. Zrobiłabym to samo dla ciebie, gdyby spotkało cię to, co Andrew.

Kiedy to powiedziałam, uświadomiłam sobie, że tak właśnie było. Zrobiłabym to dla Ethana.

Mężczyzna kiwnął głową, a coś w sposobie, w jaki na mnie patrzył, zmieniło się. Tak jakby w tej chwili w pełni pojął, że potrzebowałam zrobić dla Andrew to, czego nikt nie zdołał

zrobić dla mnie – uratować coś cennego przed zbrukaniem. I już wiedziałam na pewno, że Ethan mi pomoże.

Dotknął mnie, chwycił delikatnie za podbródek i zbliżył do siebie. Jego pocałunek złożony na moim czole był miękki, a jednocześnie nagłący.

– Proszę, uważaj na siebie.

– Będę. Obiecuję.

Bezszelestnie przenieśliśmy się na koniec korytarza, skąd dostrzegliśmy panią Crowley oraz plecy Hartwella stojącego przodem do lady w izbie przyjęć.

Najwyraźniej mężczyzna nie wycisnął niczego z mojej przełożonej, bo właśnie mówił jej,

że Andrew Gwynn był zamieszany w kradzież i że policja miała prawdopodobnie zostać powiadomiona. Ethan ścisnął moje ramię i ruszył w stronę detektywa. Kilka sekund później słyszałam, jak pytał Hartwella, czy może mu w czymś pomóc. Mężczyzna po raz kolejny zaczął

swoją historię od samego początku, a ja tymczasem pospieszyłam w głąb korytarza. Wyszłam bocznymi drzwiami i, uniósłszy spódnicę, przebiegłam przez długi korytarz łączący z siedzibą przewoźnika, przyciągając swoją osobą ciekawskie spojrzenia mijanych ludzi.

Przy kasie dowiedziałam się, że następny prom miał wypłynąć nie wcześniej niż za dwadzieścia minut. Zakupiłam bilet i przesunęłam się do przodu, pragnąc wmieszać się w coraz większy tłum ludzi oczekujących na kolejny statek. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że Chester Hartwell był wciąż w szpitalu i opowiadał swoją historijkę Ethanowi.

Usiadłam na ławce i położywszy pakunek z szalem na kolanach, otworzyłam go,

umieszczając list oraz dokument bezpiecznie w mojej torebce. Otuliłam szyję szalem i spuściłam głowę. W końcu pasażerom przekazano, by wsiadali na pokład i po raz kolejny poruszałam się najszybciej, jak tylko mogłam, aby wmieszać się w tłum, w napięciu obserwując, czy mnie nie wypatrzono.

Podróż promem zdawała się trwać zbyt długo i tylko to stanowiło moją jedyną obawę.

Kiedy w końcu przeszłam przez bramę, weszłam na krawężnik ku rzędom powozów stojących wzdłuż niego. Wsiadłam do jednego z nich i wyciągnęłam z szala mosiężny kluczyk. Kierowca odwrócił się do mnie.

– Proszę na 92 Chambers Street – powiedziałam, po czym ruszyliśmy.

Rozdział trzydziesty trzeci

Nie wiedziałam, w której części Manhattanu znajduje się Chambers Street, i zdziwiłam się, kiedy po zaledwie kilku minutach kierowca zatrzymał się przed pensjonatem, nie różniącym się zbytnio od tego, w którym sama mieszkałam przez te dwa tygodnie, nim doszło do pożaru.

Kiedy wchodziłam do środka, nie miałam też pojęcia, czego oczekiwać i jak długo zajmie mi załatwienie całej sprawy. Nie chciałam jednak odprawiać pojazdu. Sprawdziłam w torebce, czy starczy mi na to, by zatrzymać kierowcę.

– Czy jeżeli panu zapłacę, poczeka pan na zewnątrz przez moment?

– A ile? – zapytał szybko.

Przywiózł mnie tu za pięćdziesiąt centów. Dałam mu tyle samo oraz dodatkowego dolara i poprosiłam, aby poczekał piętnaście minut. Zgodził się.

Poprawiłam węzeł szala Lily zdobiącego moją szyję i wyszłam z pojazdu. Budynek przede mną był w dobrym stanie, ale nie przesadnie. Przed otoczonym pożółkłą koronkową zasłoną oknem siedział kot. Weranda była czysta, lecz pajęczyny ozdabiały doniczkę ze spragnionymi wody pelargoniami. Kilka metrów dalej żebraczka kiwnęła do mnie głową i zaczęła się zbliżać, jednak kiedy zadzwoniłam do drzwi, oddaliła się w kierunku krawężnika.

Drzwi otworzyła tęga kobieta, wycierająca dłonie ścierką do naczyń.

– Nie mam już miejsc, panienko – powiedziała, mierząc mnie wzrokiem. – Może

z końcem miesiąca coś się zmieni. Bardzo proszę wtedy pytać.

– Właściwie to nie szukam pokoju. Jestem tutaj, ponieważ... – Z moich ust wymysknęło się kłamstwo, zanim zdołałam dokładnie przemyśleć sytuację. – Moja kuzynka, Lily, eee... –

Zawahałam się chwilę, zanim postanowiłam użyć jej panińskiego nazwiska. – Lily Broadman, kontaktowała się z panią w sprawie...

– A tę gdzie, do licha, wcięło! – wykrzyknęła kobieta, nie tylko skonsternowana, ale i zaniepokojona. – Miała tu być niemal miesiąc temu. Czemu do mnie nie napisała? Czy w ogóle wzięła pod uwagę to, co sobie pomyśle, jeśli się nie zjawi?

Nie wiedziałam, do którego pytania najpierw się odnieść.

– Bardzo panią za to przeprasza. Zatrzymały ją ważne sprawy.

Kobieta zmarszczyła czoło, ale tylko na chwilę.

– Cóż, ale wróci? Czy przyszła pani po jej kufer? Ludzie pytają mnie o ten pokój. Wie pani, zapłacono tylko do końca tego miesiąca.

Jej kufer.

– Ja... Właściwie to przyszłam po jej kufer. Tak mi przykro. Sprawy potoczyły się inaczej, niż sądziłyśmy.

Jedno kłamstwo pociągało za sobą kolejne, zaczęło robić mi się gorąco. Kobieta jednak otworzyła szeroko drzwi i odsunęła się.

– Cóż, w takim razie proszę wejść. Nie zamierzałam oddawać nikomu pokoju, skoro opłacono go do końca miesiąca. Ale co miałam później niby zrobić z tym kufrem? Nie posiadałam żadnego adresu, pod który mogłabym go odesłać, nic. Nie takie mam zasady. Nie lubię przyjmować lokatorów korespondencyjnie i oto powód. To nie ma znaczenia, że zapłaciła mi więcej.

– Tak, przepraszam za to – wymamrotałam. – Nic nie można było na to poradzić.

Przestąpiłyśmy próg, przechodząc przez wąskie wejście z zamkniętymi drzwiami z obu stron. Kobieta otworzyła szufladę z przodu drzwiczek wąskiego stolika na telefon i sięgnęła po

pek kluczy. Następnie poprowadziła mnie do końca korytarza w kierunku schodów.

– Cóż, tak jak mówię: zazwyczaj nie wynajmuję pokoju komuś, kogo nie poznałam osobiście. Współczułam jej, kiedy napisała mi, że jej rodzice zmarli. Mam nadzieję, że cokolwiek panie zatrzymało, było ważne.

– Byłam... Byłam chora. Powinnam była wysłać pani telegram. Przepraszam.

Kobieta obróciła się, by zmierzyć mnie wzrokiem, stawiając nogę na pierwszym stopniu.

– Nie brzmi pani jak Angielka.

Wiedziałam, że im mniej kłamstw, tym lepiej. Nie miałam zielonego pojęcia, czy moje postępowanie było zgodne z prawem, moralne czy też po

prostu głupie. Bardzo prawdopodobne, iż nosiło wszystkie trzy wymienione znamiona.

– Urodziłam się tutaj, w Stanach.

– Nie zwrócę pieniędzy za miesięczny czynsz. Może pani przebywać w jej pokoju do końca tego miesiąca. Jeżeli postanowi się pani zatrzymać w nim na dłużej, dam pani pierwszeństwo. Jeśli nie, będzie pani musiała go opuścić ostatniego dnia miesiąca.

– Nie jestem... Nie jestem jeszcze pewna co do swoich planów – powiedziałam, wcale nie kłamiąc.

Kobieta kiwnęła głową i odwróciła się.

– Moje pomieszczenia mieszkalne mieszczą się za pierwszymi drzwiami po lewej, zaraz po wejściu do budynku. Nie lubię, by przeszkadzano mi przed siódmą rano, i nie ma przyzwolenia na przychodzenie ani opuszczanie domu po godzinie dwudziestej drugiej. Żadnych mężczyzn. W cenie pokoju ma pani śniadanie. Podaję je o wpół do ósmej w jadalni, pierwsze drzwi po prawej. Inne posiłki może pani zjeść w kawiarence po drugiej stronie ulicy. Żadnego jedzenia w pokoju. Nie chcę myszy.

Na szczycie schodów skręciłyśmy w prawo i przeszłyśmy przez kolejną klatkę schodową.

Zatrzymałyśmy się dopiero przy wejściu do trzeciego pokoju.

– Pani klucz znajduje się na toalecie – powiedziała gospodyni, otwierając drzwi.

Chciałam jej podziękować imiennie, ale nie mogłam, a ona najwyraźniej założyła, że znałam jej godność, więc powiedziałam po prostu „dziękuję”. Kobieta odchrząknęła i przeszła obok mnie, udając się w kierunku schodów.

Pokój zarezerwowany przez Lily był urządzone w prosty sposób. Łóżko, toaletka, krzesło i biurko. Meble były czyste, ale z pewnością lata świetności miały już za sobą. Na okrągłym chodniczku stał oblepiony stemplami nadawczymi kufer podróżny z mosiężnym zamkiem. Na wierzchu leżało kilka listów zaadresowanych na 92 Chambers Street na nazwisko Lily Broadman. Wszystkie adresy zwrotne pochodziły ze sklepów jubilerskich na Manhattanie.

Odłożyłam koperty na łóżko i uklękłam przed kufrem.

Data na stemplu nadawczym pochodziła z późnego czerwca. Lily wysłała bagaż

z Londynu na dwa miesiące przed poznaniem Andrew w Liverpoolu. W ręce trzymałam mosiężny kluczyk, rozgrzany od mojego dotyku. Włożyłam go w zamek i przekręciłam. Moje podejrzenia okazały się słuszne. Wiedziałam też, że wszystkie rzeczy poza sukienkami, dodatkowymi parami butów, grzebieniami do włosów i nakryciami wierzchnimi znajdę w kufrze.

Na dnie leżał prosty, czerwony, aksamitny kuferek na biżuterię. W środku zaś był

błyszczący naszyjnik, wysadzany rubinami i szafirami – rażąco jasny i z pewnością wart więcej, niż można to sobie wyobrazić. Nigdy nie widziałam czegoś równie cennego. Dziesiątki promieni słonecznych wpadających przez okno sięgały po niego niczym chciwe dłonie. Dotknęłam palcem jednego z klejnotów. Był twardy i zimny.

Nie pobiegłam schodami w dół, choć straciłam poczucie czasu. Nie wiedziałam, czy od pozostawienia powozu minęło dziesięć minut, czy może pół godziny. A jednak z okna

znajdującego się przy drzwiach wejściowych dostrzegłam, że kierowca wciąż stał przy krawężniku, chyba nawet uciął sobie drzemkę. Położyłam dłoń na drzwiach, gotowa ruszyć do biura gazety, kiedy moje oczy spoczęły na stoliku z telefonem, spod którego gospodyni wyciągnęła klucze. Pod aparatem leżała oprawiona książka z cienkimi kartkami. Sięgnęłam po podstawę telefonu i obróciłam ją tak, by odczytać tytuł widniejący na okładce tomu. Była to książka telefoniczna ze spisem manhattańskich przedsiębiorstw.

Sięgnęłam po nią i otworzyłam na stronie z literą K. Palcem prześledziłam sklepy należące do krawców. Zajęło mi to zaledwie chwilę, co zarówno mnie uradowało, jak i zaniepokoiło. Sklep krawiecki w Greenwich City, właściciel: Nigel Gwynn, róg Siódmej i Morton, Nowy Jork, stan Nowy Jork. Odłożyłam książkę na jej miejsce i otworzyłam drzwi wejściowe.

Pospieszyłam do pojazdu i weszłam do środka. Kierowca obrócił głowę.

– Dokąd teraz, kochanieńka?

– Siódma i Morton.

Kiedy jechaliśmy, przyszło mi do głowy, że Lily wzięła od Angusa jedynie to, co on wcześniej zabrał jej. W liście napisała, że pograżył finansowo jej ojca. I nie tylko, bo mężczyzna odebrał Lily to, co odziedziczyła, kiedy zmuszono ją do ślubu z nim. Angus Ravenhouse nie

zasługiwał na odzyskanie naszyjnika. Powinien odpowiedzieć za to, jak jego działania doprowadziły Lily do okropnych wyborów, których dokonała.

Niemal czułam przy sobie obecność Ethana, powtarzającego mi, że dzięki pstryknięciu palców nie naprawię całego zła tego świata. Staralam się postąpić słusznie wobec Andrew Gwynna. Istotnie, zrobiłam wszystko, by miłość w jego oczach wciąż była słodkim uczuciem, tak samo, jak miałam nadzieję, że taką pozostanie w moich.

Zbliżając się do Siódmej Alei, w myślach modliłam się, żeby Andrew nie znienawidził

mnie za jawne i nieproszone wtargnięcie w jego osobiste sprawy. Przynajmniej miał się dowiedzieć prawdy od kogoś, kto dbał o niego i o cnotę, jaką jest miłość, na tyle, by chcieć chronić oboje.

Kiedy powóz zatrzymał się, zapłaciłam kierowcy i wysiadłam, starając się znaleźć w sobie wystarczającą ilość odwagi, abym była w stanie zrobić to, co zamierzałam; energia otaczającego mnie miasta dodawała mi sił. Sklep krawiecki w Greenwich City stanowił jeden z kilku mniejszych przedsiębiorstw, znajdujących się w budynkach ustawionych w rzędach niczym zabawki dziecka. Farba, którą pomalowano ramy okien i drzwi, była popękana i odpadała, lecz szyby nosiły ślady czystości, zupełnie jakby ktoś całkiem niedawno je umył.

W głębi sklepu zauważyłam dwa manekiny krawieckie, na jednym z nich wisiał ukończony płaszcz. Była też długa, drewniana lada, a za nią siedział mężczyzna obrócony tyłem do wejścia.

Z pewnością to Andrew nachylał się nad maszyną do szycia.

W końcu po paru minutach zebrałam się w sobie i podążyłam ku drzwiom. Jeszcze zanim je otworzyłam, poczułam zapach wełny, gabardyny i lnu. Brzęknięcie dzwonka znajdującego się tuż przy wejściu spłoszyło mnie. Chciałam go uciszyć, by mócostać tam jeszcze przez chwilę niezauważona; zdecydowanie nie byłam gotowa na czekającą mnie rozmowę. Moja obecność została już jednak zdradzona i Andrew odwrócił się do mnie twarzą. Wszelkie pokłady odwagi, którą udało mi się zebrać podczas wchodzenia do sklepu, wyparowały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wraz z gasnącymi dźwiękami dzwonka.

Andrew zbliżył się, a ja sięgnęłam do torebki, by dotknąć listu i przypomnieć sobie, po co się tu zjawiłam. Nim zdążyłam się odezwać, Andrew spytał:

– W czym mogę pomóc?

Przez krótką chwilę uwierzyłam, że to tylko sen, że wciąż mamy marzec, a ja dopiero co

przybyłam na Manhattan. I nikomu z nas nie przydarzyło się nic złego. Andrew mnie nie znał, a ja nie znałam jego. Dlatego mnie nie rozpoznał. To wszystko to był tylko sen.

Ale wtedy, otworzywszy usta, uświadomiłam sobie, że mężczyzna stojący przede mną to nie Andrew, a ktoś, kto wyglądał niemal jak on. Jego brat.

– W czym mogę pomóc, panienko? – powtórzył.

– Nigel.

Wymówiłam jego imię, zapamiętane z rozmów z Andrew, kiedy ten leżał zmożony

gorączką i stratą, jakiej doznał, a ja kładłam kojący okład na jego czoło.

– Zgadza się. Czy my się znamy?

– Jestem... Jestem pielęgniarzką i pracuję na Ellis. Mam wieści dla pana brata, Andrew.

Opiekowałam się nim, kiedy leżał u nas w szpitalu.

– Ach, tak. Niestety, nie ma go w tej chwili.

Już miałam zapytać, jak długo go nie będzie, lecz w tej chwili dzwonek oznajmił, że ktoś inny przekroczył właśnie próg sklepu. Odwróciłam się z nadzieją, iż ujrzę Andrew, ale to nie on stanął w drzwiach.

– Dzień dobry, panno Wood.

Chester Hartwell uchylił kapelusza i uśmiechnął się do mnie, tak uprzejmie i elegancko, jakby witał mnie u siebie.

Rozdział trzydziesty czwarty

Już po spotkaniu Chestera Hartwella w głównym holu powinnam była zgadnąć, że zamierzał mnie śledzić. Nie przyszedł do szpitala wypytywać panią Crowley, jego celem od samego początku byłam ja. Czekał więc gdzieś na izbie przyjęć tyle czasu, ile potrzebuje kobieta jak ja, by się przebrać i dostać do siedziby przewoźnika. Zakończył swoje przepełnione nadzieją przepytywanie w szpitalu, nie ulega wątpliwości, iż podziękował pani Crowley i Ethanowi, a następnie udał się do siedziby przewoźnika, by zobaczyć, czy znajdowałam się wśród osób oczekujących na kolejny prom.

Znalazł mnie zapewne bez problemu, nie zwracając przy tym mojej uwagi. Zobaczył, jak wsiadałam do powozu, i sam wziął następny. Podążył za mną na Chambers Street, ujrzał, że płacę kierowcy, by na mnie czekał.

Toteż czekał i on. A kiedy wyszłam sama jakieś piętnaście minut później i wsiadłam z powrotem do pojazdu, poinstruował swojego kierowcę, aby znów mnie śledził. Aż do samego sklepu krawieckiego.

Z ulicy obserwował, jak weszłam do środka. Przez okno zobaczył, że zaczęłam

rozmawiać z mężczyzną, który oczywiście odpowiadał opisowi Andrew Gwynna, który mu podano. I wtedy również przekroczył próg sklepu, gotów przyłapać nas na gorącym uczynku.

Poczułam, jak ogarnia mnie mocne i zimne uczucie ogromnej porażki.

– Wydaje mi się, że chyba nie rozumiem, o co tutaj chodzi – powiedział Nigel.

– Proszę pozwolić, że wyjaśnię, panie Gwynn. Bo tak się pan nazywa, prawda?

– Tak, ale kim pan jest?

Głos uwiązał mi w gardle i za nic nie mogłam wydobyć z siebie choćby słowa.

– Nazywam się Chester Hartwell. Jestem prywatnym detektywem.

Wyjął wizytówkę i wręczył ją Nigelowi. A ja wciąż nie potrafiłam się odezwać.

– Czy mogę coś dla pana zrobić, panie Hartwell? – odrzekł uprzejmie Nigel. Jego akcent był identyczny jak ten Andrew. Miękki i melodyjny. Mój własny głos zdawał się oddalony ode mnie o lata świetlne.

– Tak się składa, że może pan. Działam z upoważnienia Angusa Ravenhouse’a.

Z pewnością pan o nim słyszał. – Zaskoczone spojrzenie Nigela rozśmieszyło Hartwella. – Nie bawmy się w żadne gierki, panie Gwynn. Na nie już naprawdę za późno.

– Przykro mi, ale wydaje mi się, że nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Grzeczny ton, z jakim mówił Nigel, tak bardzo przypominał sposób mówienia Andrew.

To dało mi siłę, by wtrącić się w rozmowę. Wiedziałam, że kiedy już to zrobię, zmienię jej tor.

– Rozmawia pan z niewłaściwym człowiekiem! – krzyknęłam. – To Nigel Gwynn, a nie Andrew.

Pan Hartwell potrzebował jedynie chwili, aby przetworzyć tę informację.

– W takim razie muszę porozmawiać z właściwym człowiekiem.

– Co tu się dzieje? – powiedział Nigel, a uprzejmość w jego głosie zamieniała się w niepokój. – Chciałbym wiedzieć. Szczególnie jeżeli to dotyczy mojego brata.

– Tak, panno Wood. Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć. Myślę, że policja także.

Uśmiech przyszedł Hartwellowi bez wysiłku, jakby groźenie wezwaniem gliniarzy było dla niego równie łatwe, jak przedstawianie się własnym nazwiskiem.

Z każdą sekundą narastał we mnie intensywnie strach. Prawda to prawda, jak powiedział

Ethan, lecz czasem prawda bywa okropna. Sama w sobie nie jest ani piękna, ani ohydna. W swej neutralności przypomina zmianę. I nie mogłam zrobić nic, by to, co Lily uczyniła Andrew, stało

się piękne, dobre, czy chociażby słuszne. Nie mogłam tego zrobić z czynami Angusa wobec Lily ani krzywdą, jaką wyrządził mi ogień.

Spojrzałam na szal, który miałam zawiązany na szyi. Kiedy mój wzrok natrafił na postrzępiony materiał w miejscu, z którego wydobyłam klucz, pomyślałam o liście znajdującym się w mojej torebce. Liście, w którym Lily przyznawała się do swoich czynów, lecz mówiła też o swoim cierpieniu.

I wtedy zdałam sobie sprawę, że choć nie nadam urody temu, co okropne, to mogę przykryć to płaszczem miłosierdzia. Bo ostatecznie czemu służy miłosierdzie, jeżeli nie łagodzeniu okrucieństwa?

Mogłam to zrobić. Wszystko, co dotąd się wydarzyło, prowadziło do tej właśnie chwili.

Zwróciłam się do Nigela.

– Kiedy ma wrócić Andrew?

– Niebawem. O co w tym wszystkim chodzi?

– Czy zamknąłby pan sklep na kilka minut? Proszę. To ważne.

Kątem oka dostrzegłam, jak Chester Hartwell uniósł brew. Nie oczekiwał, że to ja przejmę ster tej historii. Zaskakiwałam go na każdym kroku. Nie podobało mu się to.

– Powiedziałbym, że to więcej niż tylko ważne... – zaczął, ale przerwałam mu. Nie zamierzałam pozwolić mu przejąć pałeczki ani na chwilę.

– Proszę być cicho, panie Hartwell. – Odwróciłam się do Nigela. – Czy zgodzi się pan zamknąć sklep, panie Gwynn?

Nigel podszedł do wejścia, zamknął drzwi na klucz i spuścił roletę. Kiedy wrócił do nas, wskazał nam krzesła, na których zwykle czekali klienci. Usiedliśmy.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał.

Wzięłam głęboki oddech. Od czego zacząć?

– Chodzi o to, że pana brat poślubił zamężną już kobietę i ukradł naszyjnik mojemu mocodawcy – powiedział pewny siebie Hartwell.

Słowa te zabrzmiały tak niedorzecznie, że napawało mnie zdumieniem, iż wywołały wcześniej mój strach.

– Jest pan w ogromnym błędzie, panie Hartwell. I chciałabym panu przypomnieć, że to ja posiadam informacje, których pan szuka. Wiem wszystko, czego pan potrzebuje, toteż proszę by lepiej być cicho.

– Panno Wood, proszę mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – Usilnie prosił mnie Nigel.

Wskazałam na Hartwella.

– Ten mężczyzna powie panu, że zaledwie na kilka dni przed wypłynięciem z portu, pana brat sfingował ożenek z zamężną już kobietą. I że razem, w zмовie, ukradli naszyjnik należący do męża tej kobiety, a także że Andrew miał coś wspólnego z jej śmiercią na statku, którym tu przyплыли. Nic z tego nie jest prawdą. Mam na to dowód.

Hartwell siedział obok mnie, nie odzywając się ani słowem. Tymczasem wyjęłam z torebki list i akt unieważnienia ślubu. Otworzyłam dokument i pokazałam go im obu.

– Andrew nie miał pojęcia, że Lily była już zamężna. Chciała mu o tym powiedzieć, przysyłając list w dniu, w którym mieli przybyć do pana sklepu. Miała go przy sobie, ponieważ nigdy nie dopłynęła do Ameryki. Zachorowała na szkarlatynę i zmarła, zanim statek zacumował w Nowym Jorku.

Wzięłam głęboki wdech, starając się nie mówić za szybko. Nigel Gwynn i Chester Hartwell wpatrywali się we mnie z uwagą.

– Kiedy pana brat został przyjęty do szpitala, szalał z rozpaczony po śmierci żony –

kontynuowałam. – Ponieważ całkiem niedawno ja także kogoś straciłam, byłam szczególnie świadoma tego, jak trudny był to dla niego okres. Gdy zapytałam, czy mogę coś dla niego zrobić, poprosił mnie, abym zdobyła książkę z wykrojami waszego ojca, która znajdowała się w kufrze

Andrew. Zamierzałam mu powiedzieć, że to niemożliwe, jednak tak bardzo mu współczułam, iż obiecałam spróbować.

Wraz z kolejnymi słowami, wracałam w myślach do opowiadanych wydarzeń.

Różnorakie uczucia kłębiły się w moim sercu, ja jednak nie dawałam się im zanadto porwać, uparcie trzymając się rzeczywistości.

– Kiedy w bagażowni znalazłam kufry pańskiego brata i jego żony, uznałam, że ten mniejszy należy do niego. Myliłam się. To była własność Lily. Przekonałam się o tym dopiero, kiedy go otworzyłam. Miałam już zamknąć wieko, ale zobaczyłam tomik poezji Keatsa wewnątrz. A ponieważ wyglądał mi na bardzo ukochany przez właściciela, nie bacząc na zasady dotyczące bagaży chorych, zdecydowałam się przynieść go Andrew.

Zrobiłam krótką pauzę, przypominając sobie z jaką łatwością przyszło mi wtedy wzięcie tomiku. Zupełnie się nad tym nie zastanawiałam, to był czysty odruch, akt empatii wobec człowieka, który przeżył tragedię.

Potrząsnęłam głową i zaczęłam mówić dalej:

– Uznałam, że posiadanie jakiegoś należącego do żony przedmiotu ulży pańskiemu bratu w cierpieniu. Nie wiedziałam, że tomik należał do waszej matki. Ani też że Lily zabrała go z kufra Andrew i umieściła w swoim. Ona zamierzała zniknąć zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku, wiedziała, że Andrew otworzy jej kufer. Wtedy prawda miała wyjść na jaw.

Zamilkłam na moment, otwierając list.

– Nie chciałam go przeczytać. Wypadł z tomiku wraz z aktem unieważnienia małżeństwa.

Jednak kiedy zapoznałam się z treścią dokumentu, przyznaję, że nie mogłam się powstrzymać i zajrzałam również do listu.

Odchrząknęłam i zaczęłam czytać wiadomość Lily na głos, linijka po linijce. Kiedy skończyłam, żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem.

– Andrew wciąż nie wie o tym liście, panie Gwynn – ciągnęłam. – Nie miałam serca, żeby mu o nim powiedzieć. Bardzo często zdarzały się takie chwile, kiedy miałam słowa na końcu języka. Chwile, kiedy uważałam, że powinnam wyjawić prawdę. W dniu, w którym pański brat opuścił Ellis, myślałam, że mi się udało – mówiąc to, dotknęłam materiału otulającego moją szyję. – Ten szal należał do Lily – wyjaśniłam ze smutnym uśmiechem. – Zaproponowałam, że go dla niego wypiorę, by tym samym zdezynfekować materiał.

Przełknęłam ślinę, chcąc zwilżyć nadwyrężone gardło, po czym zrobiłam głęboki wdech.

Nagle mój nos wychwycił ledwie wyczuwalną nutę lawendy, która wcześniej w ogóle nie zwróciła mojej uwagi. A może wcale jej tutaj było. Może stanowiła jedynie wytwór mojej wyobraźni.

Zamrugałam szybko oczami, skupiając się ponownie na siedzących przy mnie mężczyznach.

– W dniu, w którym pański brat miał zostać wypisany, włożyłam ten list i dokument w szal i zapakowałam w papier, chcąc oddać Andrew. On wiedział, że w środku był szalik, nie otwierał więc paczki. Zostawił ją u mojej przełożonej jako prezent dla mnie w podziękowaniu za wszystko, co dla niego zrobiłam. Liścik, który do niej dołączył, uświadomił mi, że rzeczywiście lepiej, żeby nigdy się nie dowiedział o tym, co zrobiła Lily. On wciąż wierzy w święte piękno miłości, panie Gwynn, i spośród wszystkich rzeczy, które zepsułam, tego w żadnym razie zepsuć nie chcę.

– A naszyjnik? – zapytał Hartwell.

– Wiem, gdzie Lily go schowała. Zdaję sobie również sprawę z tego, iż tylko o niego pan dba. Dam go więc panu, ale tylko za zgodą pana Gwynna. Nigel pokiwał przecząco głową.

– Pojęcia nie mam, jak to wszystko przetworzyć. Jeżeli mówi pani prawdę...

– Tylko prawdę – zapewniłam go.

– W takim wypadku ani ja, ani mój brat nie możemy rościć sobie praw do tego naszyjnika.

– Uprzedzam jednak pana, panie Hartwell – ciągnęłam. – Opuści pan Nowy Jork, a pan i pana mocodawca nie będziecie już nigdy nękać rodziny Gwynnów. Nie wspomni pan o tym ani słowem Andrew – ani teraz, ani nigdy. A jeśli jednak pan albo pan Ravenhouse to zrobicie, ten list dostanie się w ręce policji w Wielkiej Brytanii. Lily oskarża w nim pana Ravenhouse'a o oszustwo wobec jej ojca, co z pewnością ich zaciekawi. Czy zrozumieliśmy się?

Chester Hartwell kiwnął raz głową na potwierdzenie.

– Gdzie on jest?

Odwiązałam szalik Lily, ukazując tym samym oczom zebranych naszyjnik zdobiący moją szyję.

Zanim Nigel pozwolił Hartwellowi odejść, wymógł na nim podpisanie oświadczenia o otrzymaniu poszukiwanego naszyjnika. Detektyw nie od razu się zgodził, ale w końcu zrobił

tak, jak chciał Nigel. Podpisałam dokument jako świadek, tak samo brat Andrew, który następnie zwinął kawałek papieru i wsunął go sobie do kieszeni spodni.

Hartwell uniósł rondo kapelusza i opuścił sklep bez słowa. Widzieliśmy, jak wsiadł do tramwaju i odjechał nim Siódmą Aleją. Kiedy już go nie było, zwróciłam się do Nigela i zaproponowałam, że dam mu zarówno list, jak i akt unieważnienia małżeństwa.

– Nie wiem, co mam z tym zrobić. Wciąż się zastanawiam, ale nie wiem.

Wpatrywał się w oba przedmioty przez chwilę.

– Dlaczego nie odłożyła ich pani na miejsce do kufra, tam, gdzie je pani znalazła?

– Usiłowałam to zrobić, ale kiedy wróciłam do bagażowni, kufer Lily zabrano już do spalenia. Takie są procedury odnośnie bagaży chorych.

– Mogła je pani dać Andrew.

– Mogłam? A pan by mógł? Czy potrafiłby pan mu to zrobić, widząc go chorego, pogrążonego w rozpacz, z dala od wszystkiego, co miało dla niego jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

Nigel nie odpowiedział i przez chwilę trwaliśmy w milczeniu.

– Dlaczego postąpiła pani w ten sposób? Dlaczego pani w ogóle zajęła się tą sprawą? –

spytał w końcu.

Znałam odpowiedź. Szybko pojawiła się na moich ustach.

– Zrobiłam to z miłości.

Oczy Nigela otwarły się szerzej.

– Czy pani kocha... mojego brata?

Przez chwilę chciałam wierzyć, że mogłabym kochać Andrew Gwynna miłością czystą i bezpretensjonalną, a on mógłby pokochać mnie, ale to, niestety, nie było możliwe. Bo przecież jak mogłabym w pełni pokochać człowieka, który nie znałby każdej cząstki mojej duszy? Nigdy nie mogłabym podzielić się z nim tym, co wiedziałam na temat Lily, i do końca życia musiałabym zatajać to, jak wielką w istocie rolę odegrałam w jego historii.

Instynktownie sięgnęłam dłonią do mojej szyi. Po znajdującym się tam wcześniej naszyjniku pozostało jedynie odległe wspomnienie, nadal jednak miałam na sobie szal w nagietki. Oczyszczenie się z siły ognia, Edwarda, z wyspy, musiało nastąpić w ten sposób:

należało usunąć Andrew Gwynna z tej części mnie, która chciała go ratować i mieć blisko.

– Zrobiłam to w imię miłości – powiedziałam w końcu. – Pewnego dnia uzna pan być może, że Andrew powinien zobaczyć ten list. Ale modłę się, by taki dzień nigdy nie nadszedł.

Naprawdę. Miłosierdzie uchroni Andrew przed wiedzą o tym, czego zmienić nie może i co nie zmieniliby już nic. Kiedy pana brata opuszczał wyspę, widziałam w jego oczach nadzieję, panie Gwynn. On wciąż wierzy w miłość. Pomimo tego, jak wiele go kosztowała.

Nigel wpatrywał się w dokumenty w mojej ręce.

– Gdyby Andrew nie poprosił o książkę z wykrojami, dziś byłoby popiołem, prawda?

– Tak.

Znów spojrział na dokumenty, rozważając zapewne, co powinien z nimi uczynić.

– Ja także widzę nadzieję w jego oczach – powiedział w końcu. – Z każdym dniem coraz więcej.

Mężczyzna wziął papiery, a następnie sięgnął za ladę i wyjął nożyce.

Opuściłam sklep krawiecki kilka minut później. Nigel zapytał mnie, czy zechciałabym pozostawić swój adres na wypadek, gdyby Andrew chciałby się ze mną skontaktować lub też gdyby Chester Hartwell postanowił jednak zjawić się z kolejną wizytą. Pokiwałam przecząco głową. Chester Hartwell nie wróci. Ja również.

– Czy jest pani tego pewna? – naciskał Nigel. Wiedział, że przywiązałam się do jego brata i że teraz ta więź miała osłabnąć.

– Tak, jestem pewna.

Mężczyzna uprzejmie zaoferował, że wezwie dla mnie powóz, ale odmówiłam i samotnie wyszłam na ruchliwą ulicę. Przez chwilę stałam i przyglądałam się z bliska życiu, które mknęło obok mnie w całym swoim okrucieństwie i wspaniałości. Niczym wąż zrzucałam skórę, stawałam się całkiem nową osobą. Wszystko, co trzymało mnie uwiązaną do wyspy, odpływało z każdym odważnym stawianym przeze mnie krokiem.

Przyjmując moje ponowne narodziny, wiedziałam, że została jedna rzecz, którą musiałam jeszcze zrobić. Którą zrobić pragnęłam.

Wsiadłam w kolejny tramwaj, zmierzając w kierunku Chambers Street. Minęliśmy może ze dwa budynki, kiedy zobaczyłam Andrew Gwynna idącego Siódmą Aleją, na jego ramieniu spoczywała bela materiału. Nasze oczy na chwilę się spotkały, kiedy tramwaj zwolnił z powodu korku. Instynktownie uniosłam dłoń do dzielącej nas szyby. Początkowo spojrzenie mężczyzny było obce, widać było, że mnie nie rozpoznał. Chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że oto nagle zderzyły się jego dwa światy – smutne życie na Ellis ze mną i to pełne nadziei, które budował z pomocą swojego brata tutaj.

W jego oczach coś błysnęło, już wiedział, kim jestem. Wtedy tramwaj zaczął

przyspieszać, a Andrew zdawał się rozdarty, zupełnie jakby chciał rzucić trzymany materiał i za mną pobiec. Opuszkami palców dotknęłam szyby i uśmiechnęłam się do niego, czując łzy płynące ciurkiem po policzkach i lądujące na szaliku Lily.

Wtedy on uniosł dłoń, machnął nią raz i opuścił powoli. Nie pobiegł za mną. Odwróciłam się, by wyrzec przez tylną szybę. Stał bez ruchu, wpatrując się w tramwaj z dłońmi na beli materiału. Z każdą chwilą jednak jego sylwetka coraz bardziej się rozplýwała, aż w końcu zniknęła w dali.

Rozdział trzydziesty piąty

Taryn

Manhattan

Wrzesień 2011

Zawsze sądziłam, że w tym całym zamęcie podczas mojej ucieczki w dniu 11 września zgubiłam szalik pani Stauer. Jedyne, na co miałam nadzieję, to to, że co najwyżej odnajdę najlepiej pasujący do niego materiał. Nie przyszło mi do głowy, że kwiaciarz mógł go mieć przez cały ten czas. Nie pomyślałam o tym, by spróbować do niego dotrzeć, zresztą nawet gdybym się na to zdecydowała, nie miałam zbyt dużego pola manewru. Przed pojawieniem się zdjęcia, nie znałam nawet nazwiska Micka. Nie potrafiłam też sobie przypomnieć, w której kwiaciarni pracował.

Stałam ze słuchawką przyłożoną do ucha, a słowa: „Mam pani szalik” odbijały się echem w mojej głowie. Nie mogłam uwierzyć, że szalik się odnalazł. Przez te wszystkie lata, które spędziłam na szukaniu jego odpowiednika, ani razu nie rozważałam tego, jak poczuje się w chwili jego

znalezienia. Teraz miałam nie jakiś odpowiednik a oryginał – bezpieczny w rękach tej samej osoby, która użyła go, by wydostać mnie z odmetów piekła.

Pospieszyłam do pomieszczenia na tyłach i zamknęłam drzwi, bym mogła porozmawiać z Mickiem na osobności. Jeszcze zanim zdjęcie zostało opublikowane, Celine wiedziała, że przed upadkiem wieży uchronił mnie kwiaciarz, nie miała jednak pojęcia o wszystkim, co zrobił dla mnie Mick Demetriou w tej jednej godzinie, która określiła naszą relację. O tym nie wiedział

nikt.

– Co pan powiedział? – zapytałam, kiedy już znalazłam się z dala od Celine i Leslie.

– Powiedziałem, że mam pani szalik.

Głos Micka brzmiał nieco inaczej, niż go zapamiętałam. Był głębszy. Delikatniejszy. Nie rozpoznałabym go, gdyby mężczyzna się nie przedstawił.

– Znalazłem go w moim vanie dostawczym – ciągnął Mick, nie otrzymawszy ode mnie żadnej odpowiedzi. – Wróciłem po samochód, kiedy drogi znów były przejezdne. Pani szalik leżał na podłodze przy wiadrach, przy których my... Przy których czekaliśmy. Niemal go nie poznałem, bo był cały pokryty pyłem.

– Och.

Odganiałam od siebie w myślach obrazy wspomnianych przez Micka chwil. Wiadra.

Woda. Kwiaty. Rozdzierający ból w piersiach. Przypominająca ducha postać, która obok mnie łaknęła wody niczym wędrowiec na pustyni.

– Przez lata próbowałem panią znaleźć. Myślałem, że nazywa się pani Karen. Nie mogłem znaleźć pani na żadnej z list członków rodzin, którzy przeżyli. Szukałem osoby o imieniu Karen.

– Och. Tak. Przepraszam za to – wymamrotałam, pamiętając bardzo dobrze chwilę, kiedy zapytał mnie o moje imię.

– Nie, to moja wina – odpowiedział. – Źle panią usłyszałem.

– Wiele się działo.

Zamilkł na chwilę.

– Tak. Tak, to prawda.

Kolejna chwila ciszy.

– Reporterka powiedziała mi, że panią zidentyfikowano. Bardzo chciałbym oddać pani szalik – powiedział.

– Pewnie powinnam panu powiedzieć, że nawet nie należy do mnie – zwierzyłam się.

– Słucham?

– Miałam dobrać do niego odpowiedni materiał dla jednej z moich klientek. Tego ranka go odebrałam. To dlatego się spóźniłam.

Między nami po raz trzeci zapadło milczenie.

– Ale chce go pani z powrotem, prawda? – spytał w końcu Mick.

W jego głosie usłyszałam wyraźną nadzieję, zupełnie jakby potrzebował tego, abym chciała odzyskać szalik. Po tych wszystkich latach, kiedy próbował mnie znaleźć, zależało mu, bym go miała. Zastanawiając się nad całą sytuacją, odniosłam niejasne wrażenie, że Mick miał

w tej chwili wspomniany materiał przy sobie. Być może nawet trzymał go w dłoniach. Pytanie mężczyzny zaś wisiało między nami bez odpowiedzi.

To nie było właściwe pytanie. To, czego chciałam, nie miało znaczenia. Nigdy. To, co się zdarzyło, nijak się miało do moich pragnień.

– Czy pani wciąż tam jest?

– Tak, jestem.

– Czy pani go nie chce? – Ton jego głosu zdradzał smutek. Mężczyzna szacował, jak wielkim w istocie ciężarem była dla mnie jego prośba.

Dla kogoś z boku pytanie to wydałoby się dziecinnie proste: czy chcę z powrotem zgubiony szalik, czy też nie? Ale Mick nie był kimś przypadkowym. Odpowiedziałam mu więc pytaniem, które dręczyło mnie od dziesięciu lat.

– Czy myśli pan, że wszystko dzieje się z jakiejś przyczyny?

– Słucham?

Jakieś drzwi wewnątrz mnie otwierały się, a rozważania liczące sobie ponad trzy tysiące dni umykały przez tworzącą się szczelinę.

– Czy wierzy pan, że to po prostu szczęśliwy traf, że fotografka odnalazła tę kartę pamięci, a na niej było nasze zdjęcie? Czy zwykłym przypadkiem było to, że przechowywał pan mój szalik bezpiecznie przez te wszystkie lata, kiedy pan mnie szukał? Czy wierzy pan, że to jedynie czysty zbieg okoliczności?

– Cóż, ja... Nie, nie sędzę.

Byłam pod wrażeniem jego silnej wiary w opatrność.

– Czyli uważa pan, że fotografka miała znaleźć to zdjęcie? – naciskałam. – Że miało ono zostać opublikowane? A pan miał przechowywać ten szal, by móc mi go oddać?

Nie odpowiadał przez sekundę czy dwie.

– Mogę tylko powiedzieć, że szukałem pani przez dziesięć lat. Podczas każdego wydarzenia upamiętniającego 11 września, na każdej stacji metra, w twarzy każdej kobiety przechodzącej chodnikiem, która przypominała mi panią. I tak, prosiłem Boga, aby pomógł mi panią znaleźć.

– Żeby oddać mi ten szalik.

– Cóż, tak. Ale nie chodzi tylko o niego.

Miał rację. Tu chodziło o coś więcej. O to, jak miałam z tym wszystkim dalej żyć. Jeżeli to przeznaczenie dwukrotnie zaplanowało scenariusz, zgodnie z którym nic nieznaczący element ubioru znów pojawiał się w moim życiu, z pewnością nie był to koniec niemożliwych do ogarnięcia ludzkim umysłem wypadków, choć oczywiście o wiele łatwiej było mi wierzyć, że to

tylko przypadek wpływał na moje decyzje.

Nie chciałam dalej bawić się w gierki przeznaczenia.

Nie chciałam odzyskać szalika.

– Powiedziałam już, że nie należy do mnie – rzekłam. – Nigdy nie był mój.

– Tak, ale...

– Sprawdzę, czy jestem w stanie skontaktować się z jego właścicielką. Nie jestem pewna, czy ona wciąż żyje, ale dowiem się tego.

– Ale...

– Proszę zrozumieć, nie mogę już dalej grać w te gierki.

– Gierki? Jakie gierki?

Nadszedł czas, aby zakończyć tę rozmowę.

– Zawsze będę panu wdzięczna za to, co pan dla mnie zrobił.

Naprawdę. Muszę kończyć.

Skontaktuję się z panem, jeżeli znajdę właścicielkę szalika.

– Proszę poczekać. To nie wszystko...

– Nie, to wszystko. Ja już nie mogę tak dalej.

– Taryn, proszę, nie rozłączaj się!

– Żegnaj, Mick. Dziękuję raz jeszcze. Za wszystko. Proszę, nie dzwoń więcej.

Nacisnęłam klawisz, by zakończyć połączenie i przycisnęłam słuchawkę do piersi, w której czułam ciężar złożony ze złości, bólu i lęku. Z pewnością dokonałam właściwego wyboru. Rozsądnego wyboru.

Zostałam w pomieszczeniu na tyle sklepu do czasu, aż całkowicie zdusiłam w sobie cień wątpliwości, jaki rozdzierał mnie od środka.

Rodzice Kenta zjawili się następnego dnia, by wziąć udział w niedzielnych

uroczystościach upamiętniających. Chcąc sprawić Kendal przyjemność, pozwoliłam jej zostać z nimi w hotelu Marriott w centrum miasta, skąd krótkim spacerem można było dostać się na teren niedawno otwartego miejsca poświęcony pamięci ofiar. W ostatniej chwili zdecydowałam się uczestniczyć w uroczystościach razem z nimi, choć przybyłam w momencie ich rozpoczęcia i wyszłam na kilka chwil przed zakończeniem. Byłam tam na tyle długo, by osiągnąć swego rodzaju spokój.

Kendal i ja znalazłyśmy nazwisko Kenta na lśniącym od kropel deszczu pomniku i przejechałyśmy palcami po literach wybitych w granicie. Stałyśmy przez chwilę w cieniu wysokiej, samotnej gruszy i dziwiłyśmy się, że dzięki trosce udało się uleczyć drzewo i z powrotem je zasadzić.

Ten teren był dla mnie święty, ale też i prywatny. Wiedziałam, że to z mojej strony egoistyczne, ale nie byłam zadowolona z faktu, iż Kent dzielił ostatnie miejsce spoczynku z tak wieloma ludźmi, bo to oznaczało, że i ja musiałam się nim dzielić.

A jednak wiedziałam, że dla Kendal to było ważne. Chciałam więc mieć wspomnienie tego wydarzenia, by było ono naszym wspólnym, nawet jeśli jego niezwykle publiczna natura mnie przytłaczała. Nie chciałam, aby rozpoznano mnie jako kobietę ze zdjęcia, ani też natknąć się na Micka, choć przybyła oczywiście cała masa ludzi, więc z wmieszczeniem się w tłum nie było problemu.

To była wzruszająca ceremonia – nawet jeśli przeżywana z emocjonalnym dystansem –

i cieszyłam się, że na nią poszłam. Mimo wszystko nie byłam do końca pewna, czy będę kiedykolwiek w stanie upamiętniać ten dzień bez żałowania, że nie mogę zasnąć przed północą każdego 10 września i obudzić się dwunastego.

Kiedy Kendal i ja wróciłyśmy później do mieszkania, byłam wyczerpana. Rodzice Kenta zostali do czwartku, co było dla mnie miłą odmianą. Kiedy wyjechali, miasto zdążyło już

powrócić do swojego codziennego rytmu. Ja starałam się wrócić do mojego. Okazało się jednak, że nie potrafiłam.

Byłam nerwowa i markotna, nie potrafiłam się na niczym skupić. W głowie wciąż odtwarzałam przebieg rozmowy telefonicznej z Mickiem. Ta nadzieja w jego głosie, kiedy powiedział, że pragnąłby oddać mi szalik, i rozczarowanie, gdy odparłam, że go nie chcę, prześladowały mnie na okrągło. Tak jakby i on próbował pojąć sens naszych historii, które w pewnym momencie się ze sobą skrzyżowały, jakby próbował nadać kształt naszym porozrywanym niczym bliźniacze wieże życiorysom, mając nadzieję, że to ja będę jego kluczem do poukładania sobie tego wszystkiego w głowie.

Najgorsze było to, że wciąż musiałam powiedzieć Kendal prawdę. Tak jak inni myślała do tej pory, że 11 września byłam w Heirloom Yardzie – zasługiwała na to, żeby wiedzieć, co zamiast tego robiłam na ulicy.

Każdej nocy, tuż przed zaśnięciem, leżałam w łóżku i chciałam po prostu myśleć, że wszystko, co miało miejsce w dniu śmierci Kenta, było czystym przypadkiem. Ale każdego ranka budziłam się, pragnąc dla mojej córki i dla siebie samej czegoś więcej niż życie oparte na przypadku.

Kiedy miesiąc zmierzał ku powitaniu jesieni, a pierwsze liście zaczęły mienić się lekkimi odcieniami kolorów, wiedziałam już, że okłamywałam samą siebie. Stały rytm wyznaczany przez pory roku dowodził, że wciąż wierzyłam w boski porządek rządzący moim światem. Mimo to pozwalałam, by dni mijały jeden po drugim, zamiast usiąść i porozmawiać z Kendal, czy dowiedzieć się czegoś o Rosalynn Stauer.

Myślałam o tym, by powiedzieć córce prawdę. Myślałam o odnalezieniu pani Stauer.

Myślałam o szaliku. Dni jednak mijały, a ja nie robiłam nic.

Ostatniego dnia lata pomagałam klientce wybrać materiał na pikowaną kołdrę. I wtedy stała się najbardziej niezwykła rzecz. Kobieta trzymała w dłoni wzór kołdry zwany Tangled Irish Chain, jeden z moich ulubionych, i nie mogła się zdecydować, czy wybrać niebieski czy zielony spośród palety barw. Były tam odcienie obu kolorów, które jej się podobały, jak i też takie, na które ledwie rzuciła okiem. Sytuacja tego typu nie stanowiła dla mnie żadnej nowości, wielokrotnie natykałam się na ludzi, którzy nie byli do końca pewni, czego tak naprawdę chcieli.

Kiedy tak stałam w milczeniu, przyglądając się, jak kobieta główkowała nad tym, który wzór powinna wybrać, nagle wszystko stało się dla mnie

jasne. Odpowiedź, której tak szukałam, była tuż obok przez cały czas. Posiadałam siłę dokonania wyboru, dokładnie tak jak ta kobieta.

Mogłam wierzyć, że to przeznaczenie zadecydowało, iż fotografka odnalazła kartę pamięci, Mick Demetriou trafił na mój trop po dziesięciu latach, a zaledwie telefon dzielił mnie od pojednania się z szalikiem. Mogłam spokojnie w to wierzyć i nic nie robić. Na tym właśnie polegało piękno i okropność wyboru.

Wybrałam miłość do Kenta. Była to moja największa radość. Nie rozumiałam w pełni piękna wolności kochania do chwili, w której pojęłam, że na przeciwległym biegunie znajduje się wolność odczuwania nienawiści.

To właśnie miał na myśli Mick, kiedy powiedział mi, dławiąc się i kaszląc

w samochodzie dostawczym, że to nie z mojej winy Kent był na jednym z górnych pięter północnej wieży w chwili uderzenia pierwszego samolotu. Moje wybory tego okropnego poranka były podyktowane miłością. To inni zadecydowali, że postąpią motywowani nienawiścią. Skutki naszych decyzji nałożyły się na siebie. Tak działo się od wieków.

To właśnie dlatego szalik pojawił się na mojej drodze – na przestrzeni tej naszej wolności wyboru. Po to, by Kendal mogła przyjść na świat i bym mogła wciąż mieć nadzieję, że miłość zwycięży.

Następnego dnia, pierwszego dnia jesieni, powiedziałam Celine, że mężczyzna ze zdjęcia posiada szalik Rosalyn Stauer, a ja potrzebuję pomocy, by ją odnaleźć. Dziesięć lat wcześniej pani Stauer szybko wybaczyła mi zgubienie jej szalika, wiedząc jakie towarzyszyły temu okoliczności, nie widziałyśmy jej jednak w sklepie już przez dłuższy czas. Celine, którą początkowo zaskoczyło, że nie wspomniałam o telefonie Micka wcześniej, uznała, że wciąż mam szansę znaleźć panią Stauer, jeśli oczywiście nadal żyła.

Przyjaciółka dosyć szybko zrozumiała, że potrzebowałam czasu, aby oswoić się z ponownym pojawieniem się szalika w moim życiu, podobnie sprawa miała się z Mickiem.

Wciąż byłam w trakcie tego procesu, kiedy jej o tym powiedziałam. Jeżeli to przeznaczenie zadecydowało, że odzyskam szalik, musiałam dowiedzieć się dlaczego. Być może nie mogłam pojąć przyczyny, bo był zbyt ważna, zupełnie jak za pierwszym razem. A może nie chodziło o mnie, a o panią Stauer. Ten szalik był dla niej bardzo drogi. Być może powrócił z odmętów przeszłości z jej powodu, a nie mojego.

Przed zwróceniem go jego prawowitej właścicielce, chciałam go pokazać Kendal. To dzięki niemu jej życie zostało uratowane. Szalik stanowił kluczowy element historii, którą byłam jej winna, jedyną piękną jej częścią. Jeśli mogłaby go zobaczyć i dotknąć, być może osłodziłoby jej to gorycz reszty opowieści.

Mick z pewnością przyniósłby mi szalik, gdybym go o to poprosiła, chciałam jednak sama po niego pójść, tak jak miało to miejsce pierwszego ranka, kiedy go zobaczyłam. Kilka minut po godzinie dziesiątej wybrałam więc odpowiedni numer telefonu w mojej komórce.

Odezwał się męski głos.

– Kwiaciarnia Atena.

– Mick?

– Przy telefonie.

– Tu Taryn.

Poprosiłam Celine, żeby odebrała Kendal ze szkoły. Przed wyjściem na stację metra i udaniem się do Greenwich Village poszłam na górę do mieszkania. Poczulałam nagłą i zaskakującą potrzebę, by ładnie wyglądać. Przebrałam się w bluzkę w miodowym odcieniu i lniane spodnie capri, do tego założyłam brązowe czółenka. Rozwiązałam włosy spięte wcześniej w koński ogon i wsunęłam w nie złotą spinkę.

Było piątkowe popołudnie, a na chodnikach roiło się już od ludzi zaczynających weekend. Wciąż zdawało się, że jest lato. Wsiadłam do pociągu numer jeden do Greenwich Village i dwadzieścia minut później znajdowałam się już na Christopher Street, zaledwie budynek od miejsca, w którym miałam się zjawić. Szłam powoli, przygotowując moje serce i umysł na ponowny widok szalika. Na ponowne spotkanie z Mickiem.

Najpierw zobaczyłam niebieskie markizy, a potem stylowo zaprojektowaną ozdobę przy chodniku, złożoną z kwiecistych roślin w doniczkach. Sklep Micka przypominał wielkością mój

– również był niewielki – ale tryskał kolorami jak żaden inny w całym budynku. Bicie małego, wietrznego dzwonka przy kłamce obwieściło moje przyjście. W jednej chwili uderzyły we mnie zapachy dziesiątek różnych kwiatów.

Mick stał przy kasie oddalonej zaledwie o kilka metrów od powitalnej wycieraczki, gdzie obsługiwał kupującego coś właśnie klienta. Gdy widziałam go ostatnim razem, był cały pokryty pyłem. Poza tym jednak

zbyttno się nie zmienił. Nawet jego fartuch wyglądał tak samo. Ślad siwizny, wcześniej nieobecny, oprószył czarne włosy na jego skroniach.

Kiedy weszłam, uniósł głowę, a na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. Ciemnowłosa kobieta, która bardzo przypominała Micka, choć była o wiele starsza, zaczęła się do mnie zbliżać.

Mick tymczasem skończył obsługiwać klienta i również podążył w moim kierunku.

– Zrobione, mam – powiedział do kobiety. – Czy mogłabyś zastąpić mnie przy kasie?

Kobieta uśmiechnęła się do mnie i zajęła miejsce Micka. Ja natomiast nie ruszyłam się z miejsca, które zajmowałam po wejściu do sklepu. Mick podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

Zbliżyłam się do niego i niepewnie podałam mu dłoń. On przyciągnął mnie delikatnie do siebie i ucałował w policzek.

– Jak to dobrze w końcu cię znów widzieć – powiedział.

Przytaknęłam oteplą, a moje oczy napełniły się łzami, choć zupełnie nie wiedziałam dlaczego.

– Tędy, chodźmy na tyły sklepu.

Mick poprowadził mnie przez wykonane z kutego żelaza wystawy przedstawiające sępolie, bambusy w doniczkach i cyklameny perskie, a dalej przez drzwi z lśniącoymi szybami, gdzie kwiaty każdego koloru zachowywały swą świeżość. Weszliśmy do pomieszczenia, w którym wykonywano kompozycje kwiatowe. Młoda kobieta, wyglądająca na studentkę, pracowała przy głównej dekoracji, ale gdy tylko nas zauważyła, przeprosiła nas i wyszła. Mick podziękował jej – z pewnością uprzedził ją, że będzie potrzebował tego pomieszczenia i przyda się nieco prywatności. Wskazał na róg, gdzie na półkach stały wazy i ceramiczne doniczki, szpule wstążki oraz siatki, a także opakowania z drutem i taśmą kwiaciarską, po czym odsunął

dla mnie krzesło.

– Dziękuję – powiedziałam.

Mick usiadł na stołku obok mnie.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Wyglądasz... Wyglądasz wspaniale.

– Ty... Ty także.

– Tak się cieszę, że oddzwoniłaś.

– Ja także. Jest mi bardzo przykro, że byłam taka niemiła, kiedy zadzwoniłeś po raz pierwszy. Musiałam... Musiałam przemyśleć kilka rzeczy.

– Nie musisz mi niczego wyjaśniać.

Pochyliłam się nieco do przodu.

– Nie, muszę. Zanim opublikowano to zdjęcie, nie zdawałam sobie sprawy, że

psychicznie nie czuję się najlepiej. Znajdowałam się w... Znajdowałam się w dziwnym pośrednim miejscu, w którym nie byłam pewna, w co tak naprawdę wierzę. Do pewnego momentu nawet nie zdawałam sobie sprawy, że tam utknęłam. A potem ty zadzwoniłeś tak nagle i powiedziałeś, że masz ten szalik.

Zrobiłam krótką pauzę, chcąc zebrać wszystkie siły, których potrzebowałam do przeprowadzenia tej rozmowy. Wtedy Mick sięgnął ponad stołem i ścisnął moją rękę.

– Doskonale wiem, co masz na myśli – powiedział. – Po tamtym dniu też nie byłem już tym samym człowiekiem. A straty, jakie poniosłem, nijak się miały do twoich. Ja też przez długi czas znajdowałem się w dziwnym miejscu.

Przez chwilę po prostu siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na siebie i wspominając to, co nas połączyło wtedy i co nas łączyło teraz. W pewnym momencie Mick puścił moją rękę i wstał.

Podszedł do biurka w odległym rogu pracowni, otworzył szufladę i wyciągnął tkaninę piękną niczym słońce. Szalik.

Wrócił na miejsce, a na mojej twarzy zagościł uśmiech, na który nic nie mogłam poradzić. Mick wręczył mi tkaninę i czułam się, jakby był to co najmniej bukiet. Nagietki niemal krzyczały do mnie na powitanie. Szalik był równie piękny, jakim go pamiętałam.

– Nie nosi żadnych śladów tego, co się wydarzyło – powiedziałam, przeczesując palcami jasne nici.

Mick usiadł z powrotem na swoim miejscu i zaśmiał się.

– Potrzebował do tego kilku prań. Moja żona, cóż, teraz już była żona, mówiła, że nigdy go nie dopiorę. Ale ja się uparłem. Nagietki przekonywały, bym się nie poddawał. Wiesz, to bardzo wytrzymałe kwiaty. I nieustępliwe.

Ja także zaśmiałam się lekko. Było naprawdę miło.

– Doprawdy?

– Och, tak. Nie mają tak intensywnej woni jak róże czy pachnący groszek, ale potrafią przewyciężyć problemy, którym bardziej delikatne kwiaty nie dają rady.

– No kto by pomyślał...

Skinął głową.

– Potrafią kwitnąć jesienią, nawet po przymrozkach. Nawet kiedy inne kwiaty się poddają.

– W takim razie to dlatego nie mogłam przestać o nich myśleć – powiedziałam, próbując zabrzmieć nonszalancko, choć moje słowa musiały dotknąć czułego miejsca w sercu Micka.

Mężczyzna przez chwilę nie mówił zupełnie nic.

– Próbowałem cię znaleźć, na Boga, naprawdę. – W jego głosie czuło się skrucę.

Brzmiał, jakby prosił mnie o przebaczenie. – Moja... Moja była żona mówiła, że powinienem się go pozbyć, skończyć z tym wszystkim. Mówiła, że kurczowe czepianie się nadziei jest głupie, skoro niemalże nie istniała szansa na to, bym cię odnalazł.

– Była żona? – spytałam w końcu.

Mick westchnął.

– Już wcześniej mieliśmy pewne problemy, a ja... A ja bardzo przeżywałem to, co zdarzyło się tamtego dnia. Kuzyn, który był strażakiem i z którym byłem bardzo zżyty, zginął w północnej wieży...

– Bardzo mi przykro – wtrąciłam.

– No i na domiar złego nie mogłem cię znaleźć. Cały czas myślałem tylko o tym, że nie powinienem cię wtedy zostawiać.

W jego słowach pobrzmiwało coraz więcej wyrzutów sumienia. Nie miałam pojęcia dlaczego.

– Ocaliłeś mi życie, Mick. Jestem pewna, że zginęłabym na tej ulicy, gdyby nie ty. Nie było powodu, byś ze mną zostawał.

On jednak pokręcił przecząco głową.

– Mylisz się. Źle postąpiłem. Intuicja podpowiadała mi, bym nie opuszczał szpitala, powinienem być jej posłuchać. Gdybym został, wiedziałbym, że nie nazywasz się Karen.

Prawdopodobnie poznałbym nawet twoje nazwisko. Mógłbym znaleźć cię znacznie wcześniej.

Nie potrafiłam pojąć głębi jego żalu. Intuicyjnie wyczuwałam też, że jego bezowocne poszukiwania mojej osoby mogły przelać czarę goryczy w jego już rozpadającym się małżeństwie. Teraz ja musiałam sięgnąć przez stół i ścisnąć jego dłoń.

– Nic więcej nie mogłeś dla mnie zrobić.

– Ależ przeciwnie, Taryn. To nie tylko z powodu szalika nie mogłem przestać cię szukać.

– Co masz na myśli?

Mick spojrział na nasze złączone dłonie.

– Wiadomość tekstowa wysłana na mój telefon doszła z opóźnieniem z powodu

przeciążenia sieci. Otrzymałem ją dopiero jakiś czas później tego samego dnia.

Wciąż nie miałam pojęcia, o co mu chodziło.

– I?

Uniósł głowę, by spojrzeć mi prosto w oczy.

– To była odpowiedź na wiadomość, którą wysłałem wcześniej. Do twojego męża.

Pokój, w którym się znajdowaliśmy, nagle zaczął się kurczyć, a ja poczułam na barkach ciężar gęstniejącego z każdą chwilą powietrza.

– Co?

– Twój mąż otrzymał wiadomość, którą mu od ciebie wysłałem. Odpisał o dziewiątej dwadzieścia osiem.

– Och, Boże wszechmogący! – szepnęłam, a oczy wypełniły mi się łzami ulgi

i zaskoczenia jednocześnie. Ledwie pamiętałam, o napisanie jakich słów prosiłam Micka dziesięć lat temu. Musiałam się chwilę zastanowić.

Proszę napisać, że jestem bezpieczna.

Proszę napisać, że go kocham.

Proszę mu napisać, że zostanie ojcem.

Ostatnia wiadomość Kenta dotarła na komórkę, której zapomniałam, została wysłana o dziewiątej dwadzieścia siedem, kiedy mój mąż myślał, że już nie żyłam, i wiedział, że sam też zaraz zginie. Kent otrzymał mojego sms-a, wysłanego z telefonu Micka, minutę później.

Dowiedział się tego, o czym tak bardzo chciałam mu powiedzieć.

Miałam już odpowiedź na pytanie Kendal, które ta zadawała mi, od kiedy skończyła cztery lata.

Czy on wiedział, że tutaj jestem?

– Co napisał? – wyszeptałam.

– „Proszę jej powiedzieć: *Bądź szczęśliwa*”.

Przycisnęłam szal do twarzy, a moje łzy spłynęły na niego, wsiąkając w strukturę nici po raz drugi w moim życiu. Ten szalik odnalazł drogę powrotu nie do pani Stauer, ani nawet nie do Micka. On wrócił do mnie.

Rozdział trzydziesty szósty

Clara

Manhattan

Wrzesień 1911

Kiedy wyczerpana wróciłam do wynajętego przez Lily pokoju, dzień chylił się już ku końcowi. Zbyt mało czasu zostało, abym mogła zrealizować ostatnie zadanie przed wyjazdem do Szkocji.

Kiedy położyłam się na łóżku wiedziałam już dokładnie, co zrobię. Nie musiałam spieszyć się na wyspę Ellis kolejnym promem. Miałam zapewniony nocleg, a nawet ubrania, w które mogłam się przebrać na wypadek, gdyby coś przykrego przydarzyło się mojej sukience.

Wiedziałam jednak, że niektóre osoby będą się o mnie martwić, jeżeli nie wrócę na kolację na Ellis. Ethan będzie się martwił.

Ethan.

Choć pozbywałam się brzmienia przeszłości, to w głębi duszy byłam świadoma, że wszystko, co tyczyło się Ethana, pozostawało aktualne. Jakaś część mnie czuła ekscytację, ale inna, większa, kurczyła się pod wpływem wahania. Moje serce zdążyło niemal wyjść zwycięsko z trudnej próby i niedługo miałam je odzyskać – tak nagie, niewinne i bezbronne jak u noworodka. Wiedziałam, iż niebawem znów będę mogła je komuś ofiarować, nie potrafiłam sobie jednak wyobrazić, by mogło to nastąpić tak prędko. Zwłaszcza jeżeli nie dopełniłam jeszcze jednego, maleńkiego szczegółu.

Zapadłam w sen i obudził mnie dopiero dźwięk syreny wozu strażackiego, kiedy to wieczorne cienie zakradały się przez okno. Zdezorientowana podniosłam się z łóżka – byłam głodna jak wilk i spragniona. Minęło niemal dwanaście godzin, odkąd miałam coś w ustach.

Spojrzałam w lustro wiszące nad sekretarzykiem, szczypiąc się w policzki, by przywrócić im kolory. Wygładziłam niesforne kosmyki włosów, które wypadły z mojego koka, kiedy spałam. Szal Lily wciąż otaczał moją szyję. Ściągnęłam go i położyłam na łóżku.

Pierwszą czynnością, jaką musiałam wykonać przed znalezieniem jakiejś przekąski, było wykonanie telefonu. Musiałam zadzwonić na wyspę i powiadomić panią Crowley o miejscu mojego pobytu, bo ona z kolei mogła powiedzieć o tym Dolly i Ethanowi.

Sprawdziłam w torebce, ile gotówki mi pozostało. Część z tego trzeba było odłożyć na prom powrotny płynący na Ellis, musiałam również wziąć pod uwagę fakt, iż kolejnego dnia zamierzałam poruszać się po mieście transportem publicznym. Do tego dochodziło jedzenie.

Miałam mniej niż pięć dolarów. Nie byłam przekonana, czy tyle mi wystarczy. Byłam niemal pewna, że gospodyni nie pozwalała swoim lokatorom korzystać z telefonu – no, chyba że odpłatnie.

Uklękałam przy kufrze Lily i przetrząsnęłam go w poszukiwaniu czegoś cennego, co mogłabym oddać gospodyni w zamian za skorzystanie z aparatu telefonicznego.

Natknęłam się na drewniane pudełko wielkości kostki masła. Wewnątrz leżało kilka brytyjskich banknotów, sznur pereł, srebrny pierścionek z pojedynczym rubinem i kilka ślicznych bransoletek. Żaden z tych przedmiotów nie wydawał się niebywale drogi, ale nie był to też jakiś chłam. Wybrałam jeden z nich, zamknęłam wieko i wstałam. Kilka minut później stuknęłam do

drzwi gospodyni. Przywitała mnie miną z pogranicza irytacji i znudzenia, a ja zaczynałam powoli podejrzewać, iż był to jej naturalny wyraz twarzy.

– Przepraszam, że niepokoję, ale chciałabym wykonać telefon, jeśli to nie problem.

Jej czoło zmarszczyło się jeszcze bardziej.

– Za używanie telefonu biorę dodatkowego dolara w skali miesiąca.

Pokazałam jej bransoletkę.

– Mam troszkę kłopotów z gotówką, a ten telefon jest naprawdę ważny. Czy mogłabym go wykonać w zamian za tę bransoletkę? Bardzo proszę.

Kobieta zawahała się, po czym sięgnęła po błyskotkę i włożyła mi ją w dłoń.

– Niech pani nie pozbywa się tego, co dla pani drogie – powiedziała nieco łagodniejszym tonem. – Proszę nie rozmawiać zbyt długo – dodała jeszcze, już bardziej surowo, po czym zniknęła za drzwiami.

Podniosłam telefon ze stolika, przyłożyłam słuchawkę do ucha i uniosłam mikrofon do ust. Kiedy odezwała się operatorka, poprosiłam o

połączenie mnie z wyspą Ellis, podając oznaczenie tamtejszej centrali telefonicznej. Kilka chwil później dyktowałam wolno treść wiadomości operatorce na Ellis, by mogła ją zapisać i przekazać pani Crowley, kiedy ją znajdzie.

– Od Clary Wood: zostaję na noc na Manhattanie. Nic nie dało się na to poradzić.

Przepraszam. Proszę o przekazanie siostrze McLeod i doktorowi Randallowi, że wszystko w porządku i wrócę jutro.

Gdy kolejnego poranka wracałam do biura gazety, miałam nadzieję, że przy recepcji będzie pracowała inna kobieta. Ale była tam ta sama, która pomogła mi, kiedy przywiózł mnie tu Ethan. Troska odmalowała się na jej twarzy, gdy tylko mnie rozpoznała. Widząc to, zdecydowałam, że w rozmowie z nią najbardziej pomoże mi postawienie na szczerość.

Recepcjonistka na pewno wykaże się współczuciem na wieść o mojej rozpacz. Powiedziałam jej więc, że przeżyłam pożar w Triangle Shirtwaist, lecz straciłam w nim dobrego przyjaciela.

Przeprosiłam też, że zniknęłam tak szybko, kiedy byłam tu po raz ostatni.

– Nie ma za co. Nic się nie stało.

Wtedy oznajmiłam, że chcę przeczytać wszystkie artykuły prasowe z dni po pożarze.

Skinęła głową, wiedząc bez mojego wyjaśnienia, że dokonuję swego rodzaju rytuału oczyszczającego, który już dawno powinien nastąpić.

Zaprowadziła mnie do czytelnicy, gdzie byłam już wcześniej, i wskazała mi miejsce.

Opuściła pomieszczenie, ale wróciła po kilku minutach ze stosem archiwalnych wydań. Przy wychodzeniu ścisnęła moje ramię i zamknęła drzwi, dając mi poczucie prywatności, którego nie wiedziałam, że potrzebowałam, póki nie znalazłam się w pokoju sama.

Rozłożyłam gazety, które wręczyła mi w porządku chronologicznym, i przygotowałam się, by spojrzeć na potworny nagłówek wydania z 26 marca, kiedy to żniwa zebrane przez śmierć nie były jeszcze kompletne:

141 mężczyzn i dziewcząt ginie w pożarze manufaktury krawieckiej. Uwięzieni wysoko w budynku Washington Place. Ulice usłane ciałami. Stosy ofiar wewnątrz.

Wydałam z siebie cichy, pojedynczy szloch, niczym drobny fragment hymnu. Uniosłam wzrok znad tekstu, czekając, aż wrócą mi siły, po czym

dalej czytałam opis dnia, który zmienił
mnie na zawsze.

Na trzech kondygnacjach dziesięciopiętrowego budynku na rogu Greene Street i Washington Place doszło wczoraj do pożaru. Podczas gdy ogień się rozprzestrzeniał, 141 młodych ludzi, z czego 125 z nich stanowiły dziewczęta, odniosło śmiertelne poparzenia lub zginęło, skacząc na płytę chodnika przy budynku.

Budowla była odporna na działanie ognia, próżno więc szukać w niej śladów tragedii, jaka miała tam miejsce. Ściany, podobnie jak podłogi, mają się dobrze. Nie ucierpiało nic prócz mebli. I 141 z 600 mężczyzn i kobiet zatrudnionych na trzech wyższych piętrach.

Większość ofiar udusiła się dymem lub spłonęła wewnątrz budynku. Ci, którym udało się dostać do okna i wyskoczyć, mogli spojrzeć śmierci w oczy równie pewnie, choć może prędzej, na chodniku.. .

Otwierałam kolejno gazety z ostatniego tygodnia marca i czytałam je wnikliwie, zatrzymując się często, by wytrzeć łzy, które powinnam uronić już dawno temu. Każdy nagłówek był najpierw jak cios prosto w serce, potem przywodził na myśl umarłych, a na sam koniec zamieniał się w kamień rzucony w wody oceanu mojej pamięci.

Skończywszy lekturę i zwinawszy gazety, wstałam z krzesła i otworzyłam drzwi.

Kobieta, która mi wcześniej pomogła, z uprzejmym i pełnym zrozumienia uśmiechem na twarzy obserwowała, jak wyłaniam się ze środka.

– Bardzo pani dziękuję, że pozwoliła mi pani przeczytać te gazety – powiedziałam, ale obie wiedziałyśmy, że dziękowałam jej za coś znacznie więcej.

– Czy mogłabym jeszcze pani pomóc w jakiś sposób? – spytała.

Tak, mogłaby.

– Mój zmarły przyjaciel nazywał się Edward Brim. On był jednym z tych, którzy wyskakiwali przez okno. Ja natomiast... Byłam tego świadkiem.

– Wielkie nieba – szepnęła kobieta, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– On... Wziął za rękę młodą szwaczkę, która bała się skoczyć sama. – Mój głos łamał się, kiedy o tym mówiłam. – Wziął ją za rękę. Skoczyli razem. Skoczyli razem – powtórzyłam ciszej.

Nie byłam w stanie mówić dalej, Tak samo jak znajdująca się obok mnie kobieta nie potrafiła już dłużej powstrzymać łez.

– Tak bardzo pani współczuję – zdołała w końcu z siebie wydusić.

– Bardzo zależy mi na tym, żebym mogła powiedzieć jego rodzicom, jak i narzeczonej, że umarł jako bohater.

– Och, oczywiście.

– Moja wiedza ogranicza się jedynie do tego, że jego rodzice mieszkali na Manhattanie.

Miałam nadzieję, że mogłaby pani poszukać dla mnie adresu. A gdzie obecnie przebywa jego narzeczona, nie mam bladego pojęcia.

– Och.

Na jej twarzy na chwilę zagościł dziwny wyraz. Zastanawiałam się, czy nie stwierdziła, że proszę o zbyt wiele.

– Cóż – ciągnęła. – Mogę pani dać adres Brimów, lecz wydaje mi się, że kobieta, z którą był zaręczony, zdążyła już wyjść za mąż i mieszka w Chicago. Czy może w Minneapolis.

Musiałabym to sprawdzić. Ogłoszenie o zaślubinach ukazało się miesiąc temu.

– Słucham?

Nie potrafiłam zrozumieć słów „wyszła za mąż”.

– Tak, jestem niemal całkowicie pewna, że to właśnie to nazwisko widziałam

w ogłoszeniach z ostatniego miesiąca. Savina Mayfield?

Mogłam jedynie skinąć głową.

– To było nietypowe imię. Zapamiętałam je z nekrologu pana Brima. Dlatego też wpadło mi w oko w zeszłym miesiącu.

– Wyszła za kogoś innego?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Czasami tak się zdarza.

Słowa zawiodły mnie. Ja dopiero co zdołałam zebrać się na oswojenie z myślą o śmierci Edwarda, a w tym samym czasie Savina Mayfield wyszła już za mąż za kogoś innego?

Gdy tak stałam bez ruchu, próbując pojąć ten koncept, kobieta poprosiła mnie, żebym chwilę poczekała. Wróciła niebawem i wręczyła mi kartkę papieru z zapisanym adresem rodziców Edwarda.

Kiedy jechałam pociągiem w kierunku Brooklynu, mój umysł wypełniało kłębowisko myśli. Rozsądek podpowiadał mi, bym

koncentrowała się na tym, co jest mi znane, a nie na tym, czego nie wiem. Powody, dla których Savina Mayfield tak szybko wyszła za mąż po śmierci Edwarda, były jej sprawą. Nie musiała mi niczego wyjaśniać, zamiast więc gdybać i ją osądzać, skupiłam się na tym, co powiem rodzicom Edwarda.

Z pociągu wyszłam siedem budynków od miejsca, gdzie na Fulton Street mieszkali Brimowie. Kontroler biletów na stacji metra był na tyle uprzejmy, by powiedzieć mi, w którym kierunku powinnam się udać. Aby oczyścić umysł i zaoszczędzić pieniędzy, zdecydowałam się na spacer. Wciąż musiałam dostać się do Battery Park, skąd odpływały promy na Ellis.

Gdy dotarłam do domu z czerwono-brunatnego piaskowca, jednego z dwudziestu takich samych na tej ulicy, bolały mnie nogi. Ból fizyczny skutecznie jednak odwrócił nieco moją uwagę od tego, co działo się w mojej głowie i sercu. Chciałam wiedzieć, co stało się z Saviną.

Naprawdę chciałam. Wewnątrz czułam, że miałam prawo to wiedzieć. Z pewnością Brimowie znali odpowiedź.

Zastanawiając się, jak w uprzejmy sposób mogłabym wydobyć od nich te informacje, stanęłam na progu ich drzwi i zapukałam stanowczo, by nagle nie zmienić zdania i nie uciec.

Nikt jednak nie odpowiedział.

Pukałam nadal, mimo iż doskonale zdawałam sobie sprawę, iż nikogo nie było w domu.

Chciałam odpowiedzi. Potrzebowałam jej.

Nagle poczułam się niesamowicie wyczerpana i początkowo nawet nie usłyszałam głosu dobiegającego zza pleców. Kiedy już do mnie dotarł, zdałam sobie sprawę, że kobieta, która do mnie mówiła, zadała już swoje pytanie dwukrotnie.

– Czy mogę w czymś pomóc, panienko?

Zakłopotana, obróciłam się w jej stronę. Stała na progu naprzeciwko mnie, trzymając w ramionach małego pieska, który szczekał na mnie ostrzegawczo.

– Ja... Ja tylko... Chciałam porozmawiać z państwem Brim.

– Och, wyjechali na kilka dni z miasta. Czy spodziewali się pani przyjazdu, kochana?

– Nie, nie spodziewali się mnie.

– Może pani wrócić w poniedziałek. Wtedy będą już w domu.

Pokręciłam przecząco głową. Zdawała się ciężarem na moich ramionach.

– Wtedy nie będę mogła przyjść.

Kobieta skinęła głową.

– Czy chce pani, abym przekazała im jakąś wiadomość? Pilnuję ich mieszkania podczas ich nieobecności. To ich pies.

Byłoby łatwo powiedzieć jej, że nie, nie ma żadnej wiadomości, i odejść. Chciałam jednak, żeby Brimowie wiedzieli, co Edward zrobił dla młodej, przerażonej dziewczyny, z którą stał na płonącym gzymsie. Być może mieli pytania, tak jak ja. Może zastanawiali się każdej nocy, dlaczego był na dziewiątym piętrze, a nie na dziesiątym, gdzie znajdowało się jego biuro.

– Czy ma pani czystą kartkę? – zapytałam.

– Proszę wejść.

Kobieta przedstawiła mi się jako wieloletnia sąsiadka i przyjaciółka Brimów. Przez cały

ten czas pies przypominał mi nieustająco, że moja obecność go nie cieszyła.

Gospodyni posadziła mnie przy niewielkim biurku i wręczyła pióro oraz kartkę lawendowej papeterii.

Wyglądziłam papier dłonią i napisałam słowa, którymi zapamiętałam Edwarda:

Nazywam się Clara Wood. Pracowałam jako pielęgniarka w Asch Building i byłam tam w dniu pożaru. Poznałam Edwarda w windzie dwa tygodnie wcześniej. Dopiero co przybyłam na Manhattan, a on był dla mnie bardzo miły. W dniu tragedii zaoferował, iż pokaże mi szwalnię. To dlatego był na dziewiątym piętrze. Udało mi się wydostać bezpiecznie na ulicę, kiedy ludzie uwięzieni w budynku zaczęli wyskakiwać z okien. Widziałam Edwarda stojącego na gzymsie.

Obok niego stanęła młoda dziewczyna, która bała się skoczyć. Edward wziął ją za rękę i wyskoczyli razem. Chciałam, żeby Państwo o tym wiedzieli. Jego ostatni czyn był oznaką dobroci. Jest mi ogromnie przykro z powodu Państwa straty.

Clara Wood

Dmuchnęłam na atrament, aby się nie rozmazał. Gospodyni podała mi kopertę. Wsunęłam kartkę do środka, ale nie zapieczętowałam listu. Nie

dbałam o to, czy kobieta go przeczyta, a przyjrząwszy się jej dokładnie, wywnioskowałam, że raczej to zrobi.

– Znała więc pani Edwarda? – spytałam, adresując kopertę.

– Och, tak. Biedak. Słyszała pani, co się stało?

– Istotnie, słyszałam.

– Taka tragedia. Taka bezsensowna śmierć.

Skinęłam głową.

– A on miał się ożenić – wtrąciłam niby nonszalancko.

Kobieta prychnęła.

– Cóż, tak. Ale trudno powiedzieć, czy ślub na pewno by się odbył. Nikt z nas jej nie lubił. Wydaje mi się, że w pewnym momencie Edward też zaczął powoli dostrzegać, że z tego wszystkiego nie wynikłoby wcale nic dobrego. Za tą piękną buźką i słodkim szczebiotaniem kryły się same kłopoty. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Edward odwołał ślub. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że to zrobi. Zwierzył się swojej matce, że poznał kogoś i miał wątpliwości.

Ale potem... Potem nastąpił ten okropny pożar.

Jej słowa, które były jak balsam na moją duszę, ukoiliły ból, choć pozostałość po ranie wciąż dawała o sobie znać w nieprzyjemny sposób.

– Nie kochał panny Mayfield? – zapytałam.

Kobieta uznała to za dziwne pytanie.

– Cóż, tego nie wiem. Może na początku ją kochał. Bóg jeden wie dlaczego. Ale myślę, że potem już nie. A ona zdecydowanie nie marnowała czasu na żalobę, szybko znalazła sobie kogoś na jego miejsce. Wie pani, że już wyszła za mąż, prawda? Współczuję temu człowiekowi.

Naprawdę.

Przez chwilę po prostu siedziałam w milczeniu, rozkoszując się słodyczą otaczającego mnie powietrza. Bolejące serce wciąż mogło wierzyć w miłość. I ja także.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajduje się cmentarz Greenwood? – spytałam.

Pół godziny później, po trzymilowej wyprawie taksówką i po przejściu kilku rzędów nagrobków, odnalazłam miejsce spoczynku Edwarda. Trawa tam była bujna i gęsta, a na zaokrąglonej górnej części nagrobka leżały jeszcze świeże kwiaty.

Nachyliłam się, by prześledzić palcami kształty wyrytych liter.

Edward Allen Brim.

Miał dwadzieścia cztery lata.

Kiedy tak siedziałam nieznacznie skulona, zdołałam wyszeptać jedynie dwa słowa.

Przechodnie pewnie wpatrywaliby się na mnie w osłupieniu, bo coś takiego nieczęsto słyszy się na cmentarzu. Ale byłam tam sama, a to zdawało się jedyną rzeczą, jaką chciałam, jaką potrzebowałam, powiedzieć Edwardowi.

– Dziękuję ci.

Zostałam jeszcze chwilę, posłałam całusa w kierunku nagrobka, po czym skierowałam się z powrotem do czekającej na mnie taksówki.

Rozdział trzydziesty siódmy

Do pokoju Lily wróciłam z tylko jednym zamiarem – chciałam wymazać z powierzchni ziemi pozostałości po jej oszustwie. Szarpiąc więc jej kufer, zniosłam go schodami pensjonatu na dół i wypchnęłam na ulicę. Żebraczka poznana dzień wcześniej siedziała teraz o blok dalej, ale wciąż mogłam ją dostrzec z miejsca, w którym stałam. Dziś było z nią odziane w szmaty małe dziecko. Poczekałam może z pięć minut, zanim zatrzymałam nadjeżdżający powóz. Z pomocą kierowcy załadowaliśmy kufer do pojazdu.

– Proszę zawieźć to do tej pani tam – powiedziałam, wskazując na kobietę.

– Której pani?

– Tamtej – odparłam, wskazując ponownie na stojącą przy latarni kobietę.

W wyciągniętej przed siebie ręce trzymała blaszany pojemnik na monety, obok stało dziecko uczone jej spódnicy.

Kierowca wzruszył ramionami, ale się nie odezwał. Chwilę później staliśmy przy krawężniku. Wyciągnęliśmy wspólnie kufer, resztę chciałam zrobić sama. Postawiłam skrzynię przed kobietą, otworzyłam ją, wyjęłam opakowanie z biżuterią i podałam je żebraczce.

Dziewczynka stojąca obok niej uśmiechnęła się, jednak cofnęła się ode mnie o krok, wyraźnie zawstydzona.

– Czy może pani też wziąć ten kufer? Są w nim ubrania, które mogą być na panią dobre.

Czy ma pani kogoś, kto pomoże pani zawieźć to do domu?

Jej uśmiech, chociaż pojawił się nie od razu, był szeroki i pozbawiony kilku zębów.

– Tak, panienko. Mogę wziąć ten kufer! Mogę go zabrać.

Odwzajemniłam jej uśmiech. Wyciągnęłam z kufra szal Lily i już miałam nim przewiązać szyję dziewczynki, lecz w ostatniej chwili się powstrzymałam. Szal ten wydawał się zbyt ciężki, by założyć go na ramiona niewinnego dziecka. Nie bez znaczenia pozostawał fakt, iż wciąż byłam do niego w jakimś stopniu przywiązana, tak jak pierwszego dnia, gdy zobaczyłam go na szyi Andrew. Nie byłam gotowa się z nim rozstać. Jeszcze nie.

Zarzuciłam sobie materiał na ramiona i udałam się w stronę powozu. Weszłam do środka i zatrzasnęłam drzwi.

– Dziękuję, panienko! Dziękuję! – wołała za mną kobieta, a jej oczy wręcz przepelniała radość.

Na Ellis udałam się promem jedynie czterokrotnie. Po raz pierwszy kiedy pożar zesłał

mnie tam złamaną i rozbitą. Za drugim razem po tym, jak dowiedziałam się, że Edward był

zaręczony. Trzecim razem wracałam z domu, do którego pojechałam, aby pożegnać się z rodziną i pogrzebać w końcu na zawsze to, co mi się przytrafiło. Teraz płynęłam tam, gdyż to, co postanowiłam zostawić za sobą, koniec końców do mnie wróciło.

Kiedy prom zbliżał się do wyspy, poczułam, że nie było mnie tu ponad dobę. Miałam wrażenie lekkości, jak gdyby list Lily i akt unieważnienia małżeństwa były zrobione z żelaza i wraz z pozbyciem się ich, zdjęto z moich barków jakiś ciężar. Nieopisana ulga, która narastała we mnie, im bliżej brzegu byliśmy, sprawiała, że oczy zachodziły mi mgłą. Już dawno łzy szczęścia nie spływały po moich policzkach.

Minęły minuty. Prom dobił do portu i opuszczono kładkę, a ja pospieszyłam z innymi pasażerami do wyjścia. Chciałam opowiedzieć wyspie o wszystkim, co się stało, opowiedzieć Dolly. I Ethanowi.

Było późne popołudnie, a siedzibę przewoźnika przepelniali imigranci czekający na

prom, z którego ja właśnie schodziłam. Kiedy przekroczyłam bramę, powitała mnie mieszanka obcych języków.

– Claro!

Ten język znałam jednak doskonale. Głos, który przez tak krótki czas stał mi się niewyobrażalnie drogi, wołał moje imię, a ja obracałam się wokół własnej osi, doszukując się jego źródła.

– Claro! Tutaj!

Wtedy dojrzałam zmierzającego w moją stronę Ethana. Pognałam do niego, zaskoczona nagłością uczuć, jakie we mnie zawrzały. Tak wiele chciałam mu powiedzieć.

Kiedy udało mu się w końcu do mnie przepchnąć, przycisnął mnie do piersi, jakby nie było mnie od tygodni.

– Czy wszystko w porządku? Co się stało?

– W porządku! Wszystko dobrze.

Odsunął się, chcąc przyjrzeć się mojej twarzy.

– Dlaczego zostałaś? Znalazłaś go?

– Tak, znalazłam go.

Ludzie przechodzili obok jakby nigdy nic, a my wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu.

Ja miałam mu setki rzeczy do opowiedzenia, on pewnie setki pytań do zadania. Wtedy poczucie głębokiej straty pojawiło się w jego oczach i znikły wszelkie pytania, a ja w momencie zdałam sobie sprawę dlaczego.

Ethan myślał, że nie tylko znalazłam Andrew, ale też że z nim zostałam. Że spędziłam z nim noc.

Udręka, która pojawiła w oczach Ethana była mi dobrze znana. Czułam ją, myśląc, że Edward kochał inną kobietę. Pragnęłam oszczędzić jej Andrew, przez co doznałam całej gamy najróżniejszych emocji – zarówno tych dobrych, jak i tych złych.

Mężczyzna stojący przede mną mógł się tak czuć tylko z jednego powodu i teraz miałam już co do tego pewność.

Ethan Randall był we mnie zakochany.

Tak jak ja byłam zakochana w Edwardzie.

Jak Andrew kochał Lily.

I wręcz nie do pojęcia był fakt, iż miłość ta rozkwitła w ciągu zaledwie trzech tygodni.

W głębi serca wiedziałam, że nie kochałam jeszcze Ethana tak, jak on kochał mnie.

Towarzyszyło mi jednak przeświadczenie, że z czasem będę w stanie w pełni odwzajemnić tę miłość. Chciałam tego ponad wszystko inne. Sama myśl o poddaniu się temu uczuciu wprawiała mnie w drżenie. Potrzebowałam czasu, aby odzyskać siłę potrzebną do udźwignięcia ciężaru odpowiedzialności kochania drugiego człowieka. Wewnątrz czułam się

bowiem krucha. Kawałki mojego stłuczonego życia zostały na powrót złożone, lecz musiałam jeszcze poczekać na dokładne wyschnięcie kleju.

Przypomniało mi się, co powiedział Andrew, kiedy wyjaśniał mi znaczenie wiersza Keatsa. „To, o czym śnimy, często jest słodsze niż rzeczywistość...” Chciałam śnić o ponownym stanie zakochania, zanim zdam sobie sprawę z ryzyka, jakie ze sobą pociągał, ale i ze wszystkich wiążących się nim cudowności.

Uniosłam rękę i położyłam ją na policzku Ethana, co było najbardziej pocieszającym gestem, jaki przyszedł mi na myśl. Mężczyzna wtulił się w moją dłoń, lecz w jego oczach wciąż widać było uczucie zranienia.

– Nie kocham Andrew Gwynna – powiedziałam. – Nie zostałam u niego ubiegłej nocy.

Nawet z nim nie rozmawiałam.

Usta Ethana rozchyliły się w wyrazie zaskoczenia, na twarzy pojawiło się wahanie, które starała się przepędzić nadzieja.

– Kochałam Edwarda. Ale jego już nie ma.

Ethan przykrył moją dłoń własną.

– Claro, co to oznacza? Dla mnie? Dla nas?

– To oznacza, że chcę znów kochać, Ethanie. Pewnego dnia.

Na chwilę zapadła między nami cisza.

– Nie pływaj do Szkocji – powiedział w końcu. W kąciku jego oka zaśniła szklana łza.

– To jedyna rzecz, na której mogę teraz polegać, Ethanie – odparłam, a wtedy on delikatnie przyłożył moją dłoń do ust i ucałował ją.

– Możesz polegać na mnie. Możesz mi zaufać.

Nachylił swoją twarz ku mojej i pocałował mnie, miękko i wolno, w środku siedziby przewoźnika, gdzie słowa wypowiedane w setkach obcych języków kłębiły się wokół niczym chmury i, muskając delikatnie nasze uszy, osiadały cicho na ziemi na wzór śnieżnego puchu.

Świat zdawał się kręcić z coraz większą prędkością, odsunęłam się więc od Ethana, zanim całkowicie zatraciłabym się w pocałunku. Nie mogłam sobie jeszcze na razie pozwolić na to, aby udać się w to pełne wątpliwości i niewiadomych miejsce, w którym Ethan już przebywał. Po tym, co przeszłam, potrzebowałam czegoś pewniejszego, stabilniejszego. Miłość była całkowitym zaprzeczeniem tych pojęć.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Na razie chciałabym, abyś to ty zaufał mnie – wyszeptałam. – Proszę, Ethanie.

Potrzebuję trochę czasu, by moje serce odpoczęło.

Jeśli naprawdę mnie kocha, na pewno się na to zgodzi.

Przez chwilę przyglądał się uważnie mojej twarzy, aż w końcu skinął głową.

– Dobrze – powiedział. – Będziesz pisała?

– Przyrzekam. – Wsunęłam moje ramię pod jego. – Pójdiesz teraz ze mną? Pragnę opowiedzieć ci, co się wydarzyło z listem, naszym panem Hartwellem. To niesamowita historia.

Wyszliśmy z siedziby przewoźnika, a w ślad za nami podążała jesienna bryza. Frywolnie i z wdziękiem co rusz zaczepiała nagietki zdobiące moją szyję, zupełnie jakby chciała je zdmuchnąć z szalika i obsypać nimi niebiosa. Wolną dłonią delikatnie wygładziłam materiał i z uśmiechem na twarzy przycisnęłam nagietki do serca.

Rozdział trzydziesty ósmy

Taryn

Manhattan

Wrzesień 2011

Gdybym nie otrzymała od Kendal wiadomości, w której prosiła mnie o zgodę na

przenocowanie u koleżanki, być może odrzuciłabym zaproszenie Micka na kolację. Skoro jednak Kendal była pod opieką, nie miałam powodu nie iść. Zaskoczyło mnie, jak chętnie się zgodziłam.

Między mną a Mickiem pojawiła się niespodziewana więź, której nie czułam z nikim od czasu związku z Kentem. Trauma tego, co Mick i ja przeszliśmy razem, wyjaśniała w pewnym stopniu naszą relację, ale było w tym wszystkim coś więcej, niż tylko współdzielenie z nim najgorszej godziny mojego życia. Zarówno Mick, jak i ja ostatnich dziesięć lat spędziliśmy na poszukiwaniach. W chwili, w której ich wyniki się na siebie nałożyły, dane nam było się znów spotkać.

Udaliśmy się do latynoskiego *fusion bistro*, znajdującego się blisko sklepu Micka, i usiedliśmy przy wystawionym na zewnątrz stoliku. Najpierw coś zjedliśmy, a później zaczęliśmy rozmawiać.

Miałam rację co do tego, że kruche już małżeństwo Micka ucierpiało w następstwie katastrofy, którą oboje przeżyliśmy. Była żona mężczyzny, Denise, nie znalazła w sobie wystarczających pokładów empatii i za nic nie

potrafiła zrozumieć, dlaczego Mick był tak zdeterminowany, żeby mnie znaleźć. Nie chciała zrozumieć, że jego wnętrze ucierpiało. To samo było ze mną, choć to, co wypaliło Micka od środka, znacznie różniło się mojej własnej tragedii.

Denise znalazła w końcu pocieszenie w ramionach innego i po dwóch latach rozwiodła się z Mickiem.

Mężczyzna nadal pracował w kwiaciarni, przejmując w pełni rodzinny biznes kilka lat temu, kiedy jego ojciec przeszedł poważny udar. Przez te wszystkie lata nie ustawał

w poszukiwaniu mnie, nawet gdy czasami wydawało się, że być może tak naprawdę nigdy nie istniałam.

Pokazałam Mickowi zdjęcia Kendal i Heirloom Yardu, jakie miałam w swoim telefonie.

Mówiłam mu, jak wspaniale jest być matką i jak bardzo lubiłam swoją pracę. Wspomniałam, jak zaskoczona i zszokowana byłam, kiedy nasze zdjęcie zostało opublikowane w gazecie.

Powiedziałam mu również o tym, co w końcu odkryłam dzień wcześniej, pomagając klientce wybrać między zielonym a niebieskim materiałem: że przez cały ten czas tkwiłam w zawieszeniu pomiędzy dniem wczorajszym a jutrzejszym – pomiędzy dziesiątym września a dwunastym.

Trwałam w uśpieniu, tak długo prowadząc marną namiastkę egzystencji, iż nie zdawałam sobie w ogóle sprawy z tego, jak wiele zarówno pięknych, jak i okrutnych rzeczy mnie omijało –

omijało mnie życie w całej swej okazałości. Aż w końcu pojawiło się zdjęcie. A potem szalik.

Wtedy się przebudziłam.

– Co teraz zamierzasz? – spytał Mick, kiedy siedzieliśmy nad kawą i kremem

budyniowym polanym karmelem.

– Masz na myśli szalik?

– Mam na myśli wszystko.

W jego oczach można było dostrzec istotę tego pytania. Teraz, kiedy znów się spotkaliśmy, czy w moim nowo rozpoczętym życiu było miejsce na jego przyjaźń?

– Cóż, dołożę starań, aby odnaleźć Rosalynn Stauer. W końcu to jej szalik. Potem muszę powiedzieć Kendal, dlaczego byłam tamtego dnia na ulicy. Nie wiem, czy spyta mnie, co się stałoby z Kentem, gdyby nie moja

wiadomość, ale myślę, że może to zrobić. Właśnie dlatego nigdy jej o tym nie powiedziałam.

Mick sięgnął po swoją filiżankę z kawą.

– Ale znasz odpowiedź, prawda? – Upił łyk napoju, a ja uśmiechnęłam się nieśmiało.

– Moje serce wie.

Mick odstawił filiżankę na miejsce i sięgnął przez stół po moją rękę.

– Serce zawsze pragnie widzieć wszystko w jak najlepszym świetle. Bez względu na to, o jaką sprawę chodzi. Za nic nie chciałbym, aby było inaczej. Ale to nie ono decyduje o naszych losach.

Z trudem powstrzymywałam łzy.

– Wiem o tym.

Mężczyzna ścisnął moją dłoń.

– Jeden Bóg wie, co by się zdarzyło, gdybyś nie wysłała tej wiadomości, Taryn. To odpowiedź, której udzielisz swojej córce. Bo taka jest prawda.

Uśmiechnęłam się do niego, obawiając się zaufać własnemu głosowi. Wiedziałam, że Mick miał rację.

– I mogę jej powiedzieć, że Kent wiedział o niej, zanim zginął. To taka ulga – wyznałam w końcu. – Myślę, że ułatwi jej to wysłuchanie tej straszniejszej części historii. Nawet nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że mnie znalazłeś.

– Więc jest nas dwoje – powiedział Mick, na co oboje się zaśmialiśmy.

– Co byś zrobił, gdybym nie oddzwoniła? To znaczy wiem, że prosiłam cię, byś więcej nie dzwonił, ale czy pozwoliłbyś mi przez resztę życia wierzyć, że Kent umarł, nie wiedząc, że byłam w ciąży?

Uśmiechając się, Mick sięgnął do kieszeni swojej koszuli i wyciągnął z niej kopertę, po czym położył ją na stole. Była zaadresowana do mnie.

– Chciałem poczekać do 1 października, potem miałem wysłać ci to wraz z szalikiem.

Podniosłam kopertę.

– Czy mogę?

– Ależ oczywiście.

Otworzyłam ją i wyciągnęłam ze środka pojedynczą kartkę kremowej papeterii opatrzoną zielonym znaczkiem z logo kwiaciarni Atena.

Droga Pani Michaels,

Proszę mi wybaczyć, jeżeli pisząc do Pani i zwracając szalik, popełniam błąd. Szukałem pani dziesięć lat, chcąc Pani powiedzieć, że Pani mąż odpowiedział na wiadomość, którą wysłałem w Pani imieniu. Przyszła do mnie dopiero po kilku godzinach, po tym, jak opuściłem szpital, choć wysłał ją o dziewiątej dwadzieścia osiem. Treść wiadomości brzmiała: „Proszę jej powiedzieć: Bądź szczęśliwa”.

Mam nadzieję, że mimo wszystko udało się Pani zachować radość w sercu.

Lub że od tej pory tak właśnie będzie.

Pani przyjaciel

Mick Demetriou

Zamówiliśmy jeszcze jedno *cappuccino* i rozmawialiśmy przez kolejną godzinę, planując spotkanie w przyszłym tygodniu. Potem Mick odprowadził mnie do metra i zanim zeszłam schodami w dół, pocałował w policzek.

Dobrze było wrócić do pustego mieszkania, bo dzięki temu mogłam pobyć chwilę sam na sam ze swoimi myślami. A także z szalikiem.

Celine zadzwoniła kilka minut po dziewiątej, by zapytać mnie, jak poszło spotkanie z Mickiem, oraz poinformować, że odnalazła Rosalynn Stauer, teraz już wdowę mieszkającą z synem i jego żoną w New Jersey.

– Czy powiedziałaś jej o szaliku?

– Tak. Czy to źle? Jej syn nie chciał mi zdradzić miejsca jej pobytu, póki nie powiedziałam mu, po co dzwonię. Przepraszam, jeżeli zepsułam ci planowaną niespodziankę.

– W porządku – odparłam. – Czy chce, żebym jej go przesłała pocztą? – Miałam nadzieję, że Celine odpowie twierdząco. Dzięki temu Kendal i ja zyskałybyśmy kilka dni.

– Tego nie powiedziała, Taryn. Tylko tyle, że będzie z tobą w kontakcie. Najwidoczniej wciąż robi sobie wycieczki na Manhattan. Może jej się nie spieszy.

Przyjaciółka wyczuła, że niechętnie rozstanę się tak prędko z szalikiem.

– Dobrze.

– A więc mam rozumieć, że miło spędziłaś czas w towarzystwie Micka Demetriou?

– Owszem, miło.

Przez kolejne dwadzieścia minut opowiadałam Celine o przebiegu spotkania. Kiedy się rozłączyłyśmy, zaczęłam przygotować się do snu.

Wtedy usłyszałam wibracje telefonu.

Wiadomość tekstowa od Micka.

„Świetnie się dziś bawiłem. Śpij dobrze”.

Udrapowałam szalik wzdłuż stolika nocnego, tak by to widok nagietków w świetle księżycy był ostatnim przed zamknięciem przez mnie oczu.

Następnego ranka obudziłam się dość późno. Pospiesznie zjadłam więc śniadanie, by dotrzeć na dół przed otwarciem sklepu. Jesienne soboty należały do okresów, kiedy do sklepu przychodziło wielu ludzi, gdyż zapowiedź zbliżającej się zimy motywowała naszą klientelę do zakupów na nadchodzące chłodne dni.

Minęła pierwsza godzina po otwarciu. Miałam jedynie chwilę, by napisać do Kendal z pytaniem, kiedy mam ją odebrać. Odpisała mi, że wychodzą na późne śniadanie połączone z obiadem, a rodzice Melissy przywiozą ją do domu przed południem.

Kilka minut po godzinie jedenastej, kiedy kończyłam realizować zamówienie przy stole krawieckim, moje serce zamarło na dźwięk znajomego głosu na przedzie sklepu.

Rosalynn Stauer dopiero co weszła do Heirloom Yardu i serdecznie witała się z Celine.

Czas nie mógł bardziej działać na moją niekorzyść. Kendal nie było nawet jeszcze w domu, a ja tak bardzo chciałam, aby zobaczyła szalik, zanim pani Stauer go zabierze.

Wątpiłam, by kobieta pozwoliła mi go zatrzymać na kolejnych kilka dni, skoro już zadała sobie trud zjawienia się na Manhattanie. Mimo wszystko zamierzałam ją o to zapytać.

Kiedy zbliżała się do mnie, słyszałam, jak mówiła Celine, że tęskniła za wizytami w naszym sklepie, ale nie mogła już szyć z powodu zaawansowanego artretyzmu. Gdyby nie jej charakterystyczny głos, nie poznałabym jej. Pani Stauer znacząco się postarzała. Włosy miała teraz w odcieniu naturalnej siwizny, a wykończona biżuterią laska do chodzenia zdradzała, że kobieta miała prawdopodobnie trudności z chodzeniem. Była już wdową. Wiedziałam z własnego doświadczenia, jak strata męża potrafi dodać lat.

Gdy podeszła do mojego stołu, nachyliła się, by otoczyć mnie jednym ramieniem i uścisnąć. Poczulałam, jak laska obija się o moje kolano. Celine uśmiechnęła się współczująco

i zostawiła nas, oddalając się do innych klientów.

– Droga Taryn! A więc szalik w końcu się znalazł!

– Tak – odparłam. – W końcu.

Kobieta wypuściła mnie z objęć.

– Nie spodziewałam się go jeszcze zobaczyć.

– Przepraszam, że trwało to tak długo.

– Nie ma o czym mówić. To nie pani wina.

– Czy zechciałaby pani udać się ze mną do pomieszczenia na tyłach sklepu? – zapytałam.

– Pani szalik tam jest, tym razem całkiem bezpieczny.

Pani Stauer rozchyliła usta w szerszym uśmiechu.

– Bardzo bym chciała.

Poprowadziłam ją na zaplecze i zaproponowałam, by usiadła, mając nadzieję, że się zgodzi. Musiałam jej wyjaśnić, dlaczego chciałam jeszcze zatrzymać szalik, a ona pewnie nie mogła zbyt długo stać.

– Och, dziękuję bardzo, kochanie. – Zajęła jedno z krzeseł i oparła swoją łaskę na ścianie za sobą. – Wciąż radzę sobie całkiem nieźle, choć muszę przyznać, że schody stanowią już dla mnie nie lada wyzwanie. Z tego powodu podróżowanie metrem jest teraz znacznie trudniejsze.

Ale wciąż lubię odwiedzać Macy's. Na Penn Station wsiadam w taksówkę i mogę udać się niemal wszędzie. Czasami towarzyszą mi synowa albo syn, bo martwią się o mnie. Ale nie chciałam, by przyjeżdżali ze mną dzisiaj.

Słuchałam z połowicznym zainteresowaniem, wyjmując szalik z szuflady. Kiedy go dotknęłam, poczułam słabą woń kwiatowego zapachu.

– Na niebiosy! Proszę tylko na to spojrzeć! – Pani Stauer uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła rękę.

Podaliśmy jej szalik i usiadłam na krześle z drugiej strony małego stolika.

– Wygląda identycznie jak w dniu, kiedy widziałam go po raz ostatni.

Nie do wiary! –

wykrzyknęła.

– Osoba, która go znalazła, bardzo się starała, by usunąć z niego cały kurz i pył. Dobrze się nim zajął.

Pani Stauer rozłożyła szalik na całą jego długość i przejechała palcami po wyszytych literach, które układały się w imię Lily.

– Och, Lily – wyszeptała staruszka, po czym przyłożyła sobie szalik do nosa i wzięła głęboki wdech. – Pachnie różami. Czy to nie zabawne?

Nagietki pachną jak róże!

– Tak. Hmm... Pani Stauer, tak się zastanawiałam, czy pozwoliłaby mi pani zachować ten szalik na jeszcze kilka dni? – zapytałam, a serce waliło mi jak młot. – Bardzo chciałabym pokazać go mojej córce, zanim go pani oddam. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale ten szalik uratował jej życie. Tylko że... Ona nie zna tej historii... A ja... Chciałabym, żeby go zobaczyła, kiedy jej ją opowiem. – Pani Stauer spojrzała na mnie bez słowa i widziałam tylko jej śmiejące się oczy, gdyż resztę twarzy zasłaniał pomarańczowo-czerwony materiał. – Już dawno temu powinnam była jej powiedzieć, co wydarzyło się tamtego dnia, ale do tej pory nie potrafiłam znaleźć w sobie na tyle odwagi – ciągnęłam. – Nie wiem, czy widziała pani zdjęcie w czasopiśmie „People” przed kilkoma tygodniami, ale...

– Och tak. – Pani Stauer odsunęła szalik od swojej twarzy, lecz wciąż się uśmiechała. –

Widziałam je.

Moje policzki płonęły.

– Tak bardzo przepraszam. Szukałam w torebce chusteczki, ale żadnej nie miałam.

Miałam tylko ten szalik. Chyba dlatego go zgubiłam. Nie było go w mojej torebce, kiedy

pierwsza wieża... Kiedy musiałam uciekać.

Pani Stauer odłożyła szalik na stolik i stuknęła w niego palcem.

– To przez ten szalik się pani spóźniła, prawda? Tak mi pani powiedziała tamtego poranka. Miała się pani z kimś spotkać, ale z mojego powodu nie dotarła tam pani na czas.

– Tak. Z moim mężem.

– I dlatego szalik uratował życie pani córki. Pani była w ciąży?

Mogłam jedynie skinąć głową, bo pod powiekami poczułam aż nazbyt znajome łzy.

Szybkim ruchem przetarłam oczy.

– To było wasze pierwsze dziecko?

– Jedyne.

Pani Stauer zawahała się, lecz już po chwili mówiła dalej.

– Myślę, że wiem co nieco o tym, przez co pani przeszła, Taryn. Nie zdawałam sobie sprawy, jak można za kimś tęsknić, dopóki nie zmarł Roger. Pomyśli pani, że powinnam się cieszyć, bo żyliśmy ze sobą tak długo i szczęśliwie. Ale właśnie dlatego jeszcze bardziej za nim tęsknię.

Moje oczy wypełniły się łzami po brzegi. Pani Stauer sięgnęła do kieszeni swojej kurtki i podała mi chusteczkę.

– Nie przyszedłam dziś, aby wziąć szalik ze sobą.

Na chwilę przestałam przecierać oczy, pewna, że źle ją usłyszałam.

– Słucham?

– Chciałam go tylko zobaczyć. Ale nie zamierzam go zabierać. Chcę, by pani go miała.

Wpatrywałam się w nią bez słowa, gdyż nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

– Mam tylko syna i jego żonę, nikogo więcej – ciągnęła staruszka. – Dla nich ten szalik nie ma żadnego znaczenia. Dla pani owszem. Proszę go zatrzymać.

– Och, pani Stauer...

– Będę niezmiernie szczęśliwa, jeśli go pani weźmie.

Zaśmiałam się przez łzy.

– Będę niezmiernie szczęśliwa, mogąc go zatrzymać – odparłam, a twarz pani Stauer rozpromieniła się uśmiechem.

– W takim razie umowa stoi! – stwierdziła ze zdecydowaniem kobieta i przesunęła szalik w moją stronę.

Podniosłam go ze stołu i przytuliłam do serca.

– Dziękuję.

– Cóż, w takim razie... – powiedziała pani Stauer, najwidoczniej zadowolona z obrotu spraw i gotowa do wyjścia. – Czy będzie pani na tyle miła, żeby zamówić taksówkę dla starej kobiety?

– Oczywiście.

Odprowadziłam panią Stauer do przedniej części sklepu. Szalik miałam zawieszony na przedramieniu.

– Czy Kendal i ja mogłybyśmy kiedyś panią odwiedzić? – zapytałam.

– To byłoby naprawdę cudownie, kochana. Po prostu cudownie. Proszę dzwonić, kiedy tylko będzie pani chciała.

Sięgnęłam po jedną z wizytówek, które miałam w kieszeni fartucha, i wręczyłam ją starszej kobiecie.

– Jeżeli będę mogła kiedykolwiek coś dla pani zrobić, proszę dać mi znać. To numer mojej komórki.

Podziękowała mi, a ja otworzyłam jej drzwi. Zatrzymała się, wkładając wizytówkę do torebki.

– Och! Byłabym zapomniała. – Pani Stauer wyjęła z torebki zwykłe plastikowe

opakowanie na kanapki. W środku dostrzegłam pożątkłą kopertę, wypłowiałą na skutek czasu, który upłynął. Kobieta otworzyła pudełko i wręczyła mi kopertę.

– Co to jest? – spytałam, kiedy wychodziłyśmy na zewnątrz. Na wierzchu przesyłki pięknym charakterem pisma wykaligrafowano imię Eleanor.

– Moja kuzynka, Corrine, ta, która chciała mieć duplikat szalika, zmarła w zeszłym roku i przesłano mi niektóre z jej rzeczy, w tym kuferek na klejnoty, który należał do naszej ciotki Eleanor. Ten list był w środku.

– Och?

– Ciotka dostała go jeszcze przed swoim wyjazdem do Szkocji. Napisała go do niej pewna kobieta, która była właścicielką szalika, zanim trafił do mojej ciotki. Pomyślałam, że chciałaby go pani mieć.

Poruszyłam palcami, czując tuż pod skórą palące uczucie ciekawości.

– Och, wielkie nieba! Czy jest pani tego pewna?

– Och, tak. Więcej niż pewna. Myślę, że posiadacz szalika powinien mieć ten list. Proszę go przeczytać, śmiało. Moja ciotka była pokojówką, powinna pani to wiedzieć przed lekturą.

Obróciłam kopertę i otworzyłam ją. Wewnątrz widniało kilka kartek nadszarpniętych zębem czasu. Wyjęłam je delikatnie i zaczęłam czytać.

16 listopada 1911

Najdroższa Eleanor,

Bardzo bym chciała się z Tobą pożegnać, ale mój pociąg do Liverpoolu odjeżdża wcześniej rano, a Ty masz zjawić się dopiero o zmroku. Praca u Twego boku przez tych sześć ostatnich tygodni była dla mnie czystą przyjemnością.

Złożyłam rezygnację i wracam do domu. Chciałam tu zostać przez cały rok, ale, jak pewnie zgadłaś, moje serce wyrywa się ze Szkocji. Zostało w Ameryce z kimś, kto mnie kocha i kogo ja, co teraz już wiem, też Kocham. Doktor Bartlett w swojej uprzejmości udzielił mi zezwolenia na powrót. Powiedział mi, że może znaleźć inną pielęgniarkę, ja nie potrafię odnaleźć innego serca. Doktor kocha swoją żonę ponad życie i dlatego tak dobrze mnie rozumie. Niech Bóg mu błogosławi.

Moja droga Eleanor, zostawiam Cię, wiedząc, że znajdujesz się na rozdrożu. Kochałaś Wesleya całym sercem, a teraz on kocha kogoś innego.

Być może myślisz teraz tak, jak i ja kiedyś myślałam – że miłość jest zbyt nietrwała, by znów podejmować ryzyko obdarzenia nią kogoś.

Chcę byś wiedziała, że miłość nie jest człowiekiem. I nie pochodzi z Ziemi. W ogóle nie pochodzi z tej planety. Do tej pory błędnie zakładałam, iż miejscem jej narodzin jest miejsce wewnątrz mnie i że powinnam to miejsce chronić. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo się pomyliłam. Miłość pochodzi z niebios, Eleanor. Jest nam dana nie po to, byśmy trzymali ją na uwięzi czy też ukrywali, ona jest po to, by się nią dzielić z innymi.

Do listu dołączam szalik, będzie Ci o mnie przypominał. Pojawił się w moim życiu dwukrotnie, w najbardziej niespodziewanych momentach. Przeznaczenie chciało, żebym go miała. Wierzę całym sercem, że teraz to Ty powinnaś go mieć.

Początkowo należał do kobiety imieniem Lily, która dostała go w prezencie od swojej matki. Życie postawiło Lily przed trudnym wyborem, tak jak to ma również od czasu do czasu miejsce z nami. Kierowana rozpaczą kobieta podjęła trudne decyzje. Jeżeli nauczyłam się czegoś w ciągu minionego roku, to tego, że rozpacz jest najzacieklejszym wrogiem miłości.

Nie decyduj się na porzucenie miłości z obawy przed tym, że Cię ona zniszczy. I może

wyda Ci się to absurdalne, ale wbrew pozorom miłość to najpewniejsza inwestycja w tym kruchym świecie.

Nie rozpaczaj. Bądź szczęśliwa. Wybierz nadzieję.

Twoja Clara

Przez kilka sekund mogłam jedynie wpatrywać się w list bez słowa. Czytając go, odniosłam nieodparte wrażenie, że został napisany do mnie, a nie do szkockiej pokojówki wiek temu.

– Rozumiem, dlaczego moja ciotka przechowywała ten list, a pani? – Pani Stauer ścisnęła moje ramię, a ja skinęłam głową.

– Ja także.

– A tak na marginesie, spotkała kolejną miłość. Ona i mój wuj Steven byli małżeństwem przez pięćdziesiąt dziewięć lat.

Uśmiechnęłam się i wsunęłam stary list z powrotem do koperty.

– Bardzo się cieszę, słysząc to. Dziękuję pani za ten list. I w ogóle za wszystko.

Zatrzymałam taksówkę i pomogłam pani Stauer do niej wsiąść. Staruszka położyła sobie torebkę na kolanach.

– To zdanie na pani wizytówce, Taryn, jest wspaniałe. Zapomniałam, że to motto waszego sklepu. „Wszystko, co piękne, ma do opowiedzenia swoją historię”. To naprawdę mądre słowa.

– Myślę tak samo.

– Uściska pani ode mnie swoją córkę? – zapytała.

– Oczywiście – odpowiedziałam i nachyliłam się, by przed zamknięciem drzwi ucałować ją w policzek.

Patrzyłam w ślad za taksówką, póki nie zniknęła w gąszczu sobotniego zgiełku. Kilka chwil później czerwony mini cooper przemknął niepostrzeżenie na jedno z miejsc w rzędzie zaparkowanych pojazdów przede mną. Z samochodu wysiadła Kendal. Usłyszałam, jak dziękuje matce Melissy, po czym zamyka drzwi auta. Pomachałam ze swojego miejsca, a mini cooper odpowiedział dźwiękiem klaksonu. Kendal podeszła do mnie, zrzucając swój plecak na ramię.

– Cześć – powiedziałam. – Mam nadzieję, że miło spędziłaś czas.

– Tak, ale brat Melissy... Hej, czy to nie ten szalik, który miałaś na zdjęciu? – Kendal wskazała nagietki opadające kaskadą na moim ramieniu.

Wtedy właśnie postanowiłam, że szalik ten podaruję mojej córce. Już go nie

potrzebowałam. Pogodziłam się z przeznaczeniem. Kendal dopiero zaczynała rozumieć, że wolność kochania i bycia kochanym, mimo iż wiązały się nią zarówno dobre, jak i też złe rzeczy, nadawała życiu sens.

– Tak, to ten szalik – odpowiedziałam.

– Ale... Gdzie on się podziewał przez ten cały czas?

Otoczyłam córkę drugim ramieniem i przytuliłam mocno do siebie.

– Cóż, to długa historia i chciałabym ją ci opowiedzieć.

Oda do urny greckiej

Oblubienico nietknięta milczenia,

Przybrana córo przetrwania i ciszy,

Kroniko leśna, której kształt przemienia

Pieśń kwiatów słodziej niż się w wierszach słyszy:

Wśród liści jakie legendy zaklęte

Bogów, śmiertelnych, herosów półboskich

Z Tempe cienistej, z arkadyjskich grani?

Kim ci mężowie? Czym tych panien troski?

Czym fletnie, bębny? Czym ekstazy święte?
Za czym tak biegną? Dokąd losem gnani?
Słodka jest pieśń słyszana, słodsza jeszcze
Ta niepoznana: fletni dźwięk poniosę
Nie ku odczuciom zmysłów, lecz popieszczę
Duszy mej ucho twoim niemym głosem.
Piękny młodzieńcze, nie porzucisz pieśni
Snutej pod drzewem, z drzew nie spadną liście;
Na nic twe skargi, cieniu zalotnika,
Nigdy, przenigdy twój sen się nie prześni,
Nie złapiesz nimfy, zawsze się wymyka,
Lecz wdzięk jej przetrwa, jak miłość, wieczyście!
Szczęsne gałązki! Nigdy w zapomnienie
Wiosna nie pójdzie, zieleń wieczna wszędzie;
Szczęsny pieśniarzu, który niestrudzenie
Ton wiecznie nowy z fletni wydobędziesz;
Szczęsna miłości! Wciąż nowe kochanie!
Ten żar odwieczny, niczym nie stłumiony,
Wieczność uniesień i młodości wieki;
W tych namiętnościach wiecznie pozostanie
Smutek serdeczny, głód nienasycony,
Płonące usta i tęsknoty męki.
Kto ku ołtarzom podąży ofiarnym
Spowitym w zieleń? Jakich to, kapłani,
Bogów misteria uczcić ma byk czarny
O grzbiecie w kwiatów girlandy przybranym?
Z jakiejż to wioski znad morza czy rzeki,
Czy z twierdzy jakiej na groźnych gór szczycie
Świętować wyszli, jak każą bogowie?
Wiosko, ich kroki zamilkły na wieki,
Nie wróci nigdy do twych domów życie,
I jak odeszli, nikt już nie opowie.
Attycka formo! Piękna ideale
Wpisany w taniec kamiennych postaci,
Zdobny wiciami zdeptanymi w szale,
Kształcie milczący, myśl się w tobie traci
Jako w wieczności: Te chłodne idylle!

*Choć z wieku tego nie zostanie człowiek,
Ty przetrwasz dumna w przyszłości udreće,
Nowym przyjazna ludziom, którym powiesz:
„Piękno jest prawdą, prawda pięknem” – tyle
Wiedzieć wam dane i nie trzeba więcej.*

Notatka od autorki

Kiedy tworzę zmyśloną historię bazującą na realnych wydarzeniach, staram się być na tyle prawdomówna, na ile to możliwe, i wymawiam się prawem pisarza do naginania faktów tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne. Na kartach tej powieści ukazuję, jak pewna pielęgniarka mogła doświadczyć życia w Ellis Island Hospital w drugiej połowie 1911 roku.

W tym samym roku lekarze byli wcieleni do korpusu Marine Hospital Service, ale nie dotyczyło to pielęgniarek. W latach 1930–1944 korpus został poszerzony o dentystów, pielęgniarki, jak i innych specjalistów pracujących w służbie zdrowia.

Osiem tzw. oddziałów odry na trzeciej wyspie stanowiło w rzeczywistości budynki, gdzie opiekowano się imigrantami, którzy zapadli na przeróżne chorób, także szkarlatynę.

Zdecydowałam się umieścić Andrew Gwynna na oddziale K, znajdującym się na najdalszym krańcu wyspy, gdyż chciałam, by mężczyzna był odosobniony. Lokalizacja ta idealnie pasowała do historii.

Wszelkie odstępstwa od faktów historycznych zostały poczynione dla efektu końcowego opisywanej historii. Niektóre z nich są również jedynie moimi, niezgodnymi ze stanem faktycznym domysłami.

Część zysku ze sprzedaży tej książki przeznaczam na cele fundacji Save Ellis Island, by dokonać tak potrzebnej renowacji budynków szpitalnych na drugiej i trzeciej wyspie. Więcej o tym ważnym projekcie można dowiedzieć się na stronie <http://saveellisland.org>. Zachęcam do wzięcia w nim udziału.

Susan Meissner

Podziękowania

Jestem ogromnie wdzięczna...

...wszystkim pracownikom wydawnictw NAL i Penguin, szczególnie mojej wnikliwej redaktor, Ellen Edwards, za to, że dokładnie wiedziała, co mam zrobić, aby poprowadzić tę historię tak, jak tego chciałam.

...Chipowi MacGregorowi za nieustanne dopingowanie mnie od chwili, kiedy

wspomniałam, że mam pomysł na powieść osadzoną na wyspie Ellis, a także za niezliczone słowa otuchy przez te wszystkie lata, kiedy byłeś moim agentem i przyjacielem.

...utalentowanym i wspaniałomyślnym ekspertem od historii Ellis Island Hospital: Janis Calelli, przewodniczącej Save Ellis Island, Inc.; elokwentnej Lorie Conway, pisarce i producentce filmu dokumentalnego *Forgotten Ellis Island*; historykowi, bibliotekarzowi i pisarzowi Barry'emu Moreno z National Park Service; a także historykowi i kontradmirałowi Arthurowi J. Lawrence'owi, asystentowi chirurga ogólnego, USPHS. Jestem wdzięczna za Pana uprzejme i szczegółowe odpowiedzi na wiele pytań. Jestem też wdzięczna za ogromny *research*, którego dokonał historyk National Park Service, Harlan D. Unrau.

...pierwszym czytelnikom książki, Judy Horning, Debbie Ness, Barbarze Anderson, a szczególnie K.C. Wilt za cenne dla mnie opinie.

...drogim przyjaciółkom i wirtualnym współpracownikom: Mary DeMuth, Tosce Lee, Ariel Lawhon, Marybeth Whalen, Jenny B. Jones, Nicole Baart oraz Jennifer Lyn King, za to, że były ciałem doradczym zagrzewającym mnie do pisania i grupą wsparcia w jednym. A także Davisowi Bunnowi za to, że podzielił się ze mną swoimi wspomnieniami z 11 września 2001

roku, kiedy to był w dolnej części Manhattanu.

...Siri Mitchell za przetłumaczenie zdań na język francuski; znawczynie techniki quiltingu i mojej wieloletniej przyjaciółce Kathy Sanders za zainspirowanie mnie do stworzenia Heirloom Yardu; a także Nicole Shepard, za pokazanie mi piękna i brawury Manhattanu.

...ocalałym z koszmaru 11 września, którzy z odwagą w sercach podzielili się ze mną swoimi historiami, bólem oraz nadziejami. Naprawdę szczerze Was podziwiam.

...moim rodzicom, Billowi i Judy Horning; mojemu mężowi, Bobowi; a także naszym dorosłym już dzieciom, Stephanie, Joshowi, Justinowi i Erickowi, za wiarę we mnie.

...Bogu, za dar wolności kochania i bycia kochanym, jakim obdarzył nas wszystkich.

Urodzona w San Diego Susan Meissner niegdyś pracowała jako redaktor naczelna tygodnika. Jest wielokrotnie nagradzaną felietonistką. Wydała czternaście powieści, które ukazały się nakładem wydawnictw

Harvest House oraz WaterBook, należącego do Random House. Mieszka w San Diego ze swoim mężem i jest matką czterech dorosłych już dzieci.

Kontakt online:

www.susanmeissner.com

[facebook.com/susan.meissner](https://www.facebook.com/susan.meissner)

twitter.com/susanmeissner